

Spółeczeństwo łatwopalne

*Praktyki pomagania
uchodźcom wojennym
z Ukrainy w roku 2022
w Polsce*

KATARZYNA KALINOWSKA

PAWEŁ KUCZYŃSKI

IZABELLA BUKRABA-RYLSKA

KATARZYNA KRAKOWSKA

MARTA SAŁKOWSKA

Katarzyna Kalinowska
Paweł Kuczyński
Izabella Bukraba-Rylska
Katarzyna Krakowska
Marta Sałkowska

Społeczeństwo łatwopalne

**Praktyki pomagania uchodźcom wojennym
z Ukrainy w roku 2022 w Polsce**

Warszawa 2023

C O L L E G I U M C I V I T A S

Zezwala się na korzystanie z publikacji *Społeczeństwo łatwopalne. Praktyki pomagania uchodźcom wojennym z Ukrainy w roku 2022 w Polsce* na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (CC BY-SA 4.0) – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej i wskazania Katarzyny Kalinowskiej, Pawła Kuczyńskiego, Izabelli Bukraby-Rylskiej, Katarzyny Krakowskiej i Marty Sałkowskiej, a także Collegium Civitas jako właścicieli praw do tekstu. Tekst licencji dostępny na stronie internetowej:
<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/legalcode.pl>.



Recenzenci:

prof. dr hab. **Ireneusz Krzemiński**, Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego
dr hab. **Mariola Raclaw**, Instytut Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego

Redakcja: Marek Gawron

Redakcja językowa i korekta: Magdalena Kopacz

Opracowanie typograficzne i skład: Marek W. Gawron

Projekt okładki: Aleksandra Jaworowska, studio@lionpath.pl

Publikacja powstała w ramach projektu dofinansowanego ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Doskonała Nauka II – Wsparcie monografii naukowych” nr umowy MONOG/SN/0087/2023/01.



DOI: 10.6084/m9.figshare.25102097

ISBN: 978-83-66386-36-5 (print)

e-ISBN: 978-83-66386-38-9 (pdf)

e-ISBN: 978-83-66386-43-3 (pdf – WCAG 2.1)

e-ISBN: 978-83-66386-44-0 (epub)

e-ISBN: 978-83-66386-45-7 (mobi)

Wydawca: Collegium Civitas

Pałac Kultury i Nauki, XI piętro

00-901 Warszawa, plac Defilad 1

tel.: +48 500 807 895

e-mail: wydawnictwo@civitas.edu.pl

<http://www.civitas.edu.pl>

Druk: Elpil

08-110 Siedlce

ul. Artyleryjska 11

e-mail: info@elpil.com.pl

Unikatowy Identyfikator Wydawnictwa MEiN: 19800

Spis treści

Wprowadzenie 5

Kręgi pomagaczy 7

O badaniach 11

Wymiary pomagania 17

Rozdział 1. Potencjał pomagania 23

Wojna 23

Szok i niedowierzanie 24

Strach, przerażenie, stres 27

Między bezsilnością a złością 31

Paraliż? Działanie? Ucieczka? 33

Byliśmy w ich sytuacji, możemy być na ich miejscu: siła empatii 36

Decyzje 42

Decyzja etyczna: pomaganie to wybór moralny 44

Decyzja społeczna: pomaganie to efekt przynależności do wspólnoty 45

Decyzja patriotyczna: pomaganie to obowiązek wobec ojczyzny 49

Decyzja emocjonalna: pomaganie to reakcja emocjonalna 51

Decyzja terapeutyczna: pomaganie to sposób radzenia sobie 52

Decyzja tożsamościowa: pomaganie to styl życia 54

Decyzja materialna: pomaganie to konkretny zysk 57

Pospolite ruszenie w społeczeństwie łatwopalnym 58

Rozdział 2. Zderzenia emocji 63

Nie-miejsca: spotkania w drodze 63

Granica 65

Zostawić swój dom, zostawić wojnę za sobą 66

Tam i z powrotem (i tak w kółko) 69

Trzymać gardę, żeby dawać nadzieję 73

Festiwal dobra 77

Transport 83

Ruchliwość pomagania 88

Dworzec 89

Moment krytyczny 94

Ludzie-pochodnie i pomagacze-wyjadacze 102

Cielesność pomagania 104

Rozdział 3. Pomaganie na zapleczach 107

Wybór zaplecza 109

Sieciowanie 113

Organizacja pracy 118

Blok pomocy 118

Punkty recepcyjne 120

Inicjatywy miejskie i regionalne 125

Inna 125

Julia i Sofiya 127

Zbiórki 128

Małe zbiórki w wielkim mieście 129

Mała społeczność lokalna 132

Magazyny w punktach recepcyjnych 136

Identyfikowanie i komunikowanie potrzeb 137

TIR wody i 300 naleśników z nutellą. „Załatwianie” – zaopatrzenie w skali mikro i makro 139

Wojny magazynowe 144

Zaplecze – ponad przestrzeń i czasem 147

Rozdział 4. Dylematy godności 149

- Doświadczanie przez przedmioty 149
- Na wydawce 150
 - Automatyzm pomagania* 153
 - Spotkanie z uchodźcą* 154
- W punkcie recepcyjnym – między brakiem a nadmiarem 156
 - Telefon i zielona kamizelka* 160
 - Potrzeby specjalne* 161
 - Dwa oblicza oznak solidarności* 165
- Od przedmiotu do podmiotu 167

Rozdział 5. Spotkanie na progu domu 169

- Schronienie i dom 169
- Przekroczenie progu 172
- Gościnność 176
- Rodzaje schronień 183
 - Schronienia domopodobne, bez domowników* 185
 - Schronienia bez domowników – domy i mieszkania* 189
 - Schronienia z domownikami – domy i mieszkania* 190
- Emocje i wartości 192
 - Zaufanie* 193
 - Odwzajemnienie* 193
 - Troska* 194
 - Trauma* 196
 - Solidarność sieciowa* 198
 - Kalkulacja* 199
 - Niepewność jutra* 200
 - Frustracja* 201

Rozdział 6. Oswajanie orbis exterior 205

- Uniwersum pomagania – ontologia 208
 - Ludzie* 208
 - Rzeczy* 214
 - Mediowanie* 216
 - Ogarnięta Tania i nieogarnięta Sofiya* 222
 - Dobroczynność prywatna i ustawowa* 224

Próba podsumowania, czyli poszukiwanie teorii 231

- Polska tradycja socjologiczna 232
- Perspektywa ruchu społecznego 239
- Trzy rodzaje społeczności 244
- Spółeczne akcje pomocowe – skala globalna i lokalna 250
- Powrót solidarności 255

Bibliografia 257

Noty o autorkach i autorze 263

Summary 267

Résumé 271

Підсумки 277

Publikacje Collegium Civitas 281

Wprowadzenie

24 lutego 2022 roku obywatele niosący pomoc osobom uchodźczym z Ukrainy pojawili się wszędzie, w wielu krajach, nie tylko tych graniczących z zaatakowaną Ukrainą, też pozaeuropejskich. Byliśmy świadkami obywatelskiego globalnego ruchu pomocy uchodźcom. Zbiorowymi podmiotami tego ruchu były społeczeństwa, które zareagowały znacznie szybciej niż politycy. Nawet w najbardziej krytykowanym kraju NATO i Unii Europejskiej, czyli w Niemczech, pierwsi obudzili się obywatele, a nie wstrzemięźliwy i wahlwy rząd. Demonstracje pod Bramą Brandenburską zrobiły swoje.

Polacy byli tym społeczeństwem, które najczęściej pokazywano w mediach jako przykład niezwykłego zrywu i postawy solidarności z ofiarami wojny. Skąd tak niespotykany poziom mobilizacji wśród zwykłych ludzi? Skąd czerpali oni siły, aby w pierwszych miesiącach inwazji rosyjskiej zaangażować się w tak ofiarny sposób? Dlaczego tyle osób włączyło się w pomoc? Co było kamykiem, który uruchomił lawinę; momentem przekręcenia kluczyka w stacyjce; iskrą, od której zaczął się żywioł pomagania?

Słowo „zryw”, które od początku obecne było w dyskursie publicznym i przewija się także w naszych wywiadach, pokazuje, że mowa najpierw o nagłym wzbudzeniu, a potem o osiągnięciu apogeum emocji, które udzielają się również innym, są zaraźliwe. Powstaje ruch, który socjologowie chętnie określają mianem ruchu społecznego, ogarniający setki tysięcy, a nawet miliony ludzi. Podjęliśmy próbę dokumentacji rozwoju tego ruchu. Chcieliśmy wytropić gesty solidarności i wspólnotowości, uaktywnione w obliczu kryzysu, jakim jest wojna w Ukrainie i wywo-

łana przez nią wielka migracja. Staraliśmy się opisać drzemającą w polskim społeczeństwie obywatelskość, rzadko widoczną w codziennym życiu czy w statystykach.

W książce tej czytelnik znajdzie opowieści o ludziach – Polkach i Polakach oraz Ukrainkach i Ukraińcach mieszkających od lat w Polsce – którzy po rosyjskiej agresji na Ukrainę w lutym 2022 roku wyciągnęli pomocną dłoń do osób uciekających przed wojną. Wprawili oni w ruch niezwykłą maszynę pomocy, której *modus operandi* stanowiła spontaniczna, obywatelska solidarność, a paliwem był entuzjazm ludzi dobrej woli. Nazwaliśmy te osoby pomagaczami i pomagaczkami, chcąc podkreślić, że w tamtym czasie pomaganie było dla wielu z nich centralną praktyką tożsamościową – zaangażowanie w rozmaite formy pomocy uchodźcom organizowało ich codzienność, wyznaczało horyzont doświadczenia i stanowiło główną cechę, przez którą siebie charakteryzowali. Można powiedzieć, że życie wielu z nich było wówczas zdeterminowane pomaganiem. Niekiedy, chcąc uniknąć powtórzeń przy pisaniu o osobach pomagających uchodźcom, zamiennie używamy określeń pomagacze i pomagaczki, wolontariusze i wolontariuszki, a także innych, bardziej opisowych charakterystyk.

W niniejszej publikacji łączymy analizę doświadczeń jednostkowych z analizą procesów uspołecznienia w praktykach pomagania. Sięgaliśmy po relacje pojedynczych osób, które intensywnie angażowały się w niesienie pomocy uchodźcom, zapraszając ich do swoich domów i podejmując rozmaite aktywności wolontariackie. Dzięki wywiadom rozumiejącym, a także własnym obserwacjom wyniesionym z uczestniczenia w ruchu pomocowym, możemy przywołać obrazy, doświadczenia i opisać wachlarz emocji oraz wartości, które przyświecały obydwu stronom „kontraktu pomocowego” – osobom pomagającym i osobom uchodźczym.

Pisząc o osobach uchodźczych, będziemy zamiennie używać określeń: uchodźcy i uchodźczynie, przybysze i przybyszki, osoby uciekające przed wojną, bieżący czy osoby goszczone, przybywające do Polski. Najczęściej piszemy jednak o osobach uchodźczych, uchodźcach i uchodźczyniach, mając świadomość, że używamy tych określeń w sposób nieściśle,

gdyż osoby przybywające z Ukrainy po 24 lutego 2022 roku formalnie nie mają statusu uchodźcy wg polskiego prawa.

Jako socjolożki i socjologowie jesteśmy także winni czytelnikom refleksję nad procesem pomagania jako zjawiskiem społecznym. Celem naszych poszukiwań było znalezienie pomostu pomiędzy tym, co niepowtarzalne i osobiste w doświadczeniu pomagania, a tym, co wspólne i intersubiektywne w praktykach pomocowych.

Kręgi pomagaczy

W naszej książce zajmiemy się polskimi pomagaczkami i pomagaczami, mając pewność, że w wielu miejscach świata – począwszy od krajów graniczących z Ukrainą – od początku bezprecedensowej i brutalnej agresji Rosji, miliony ludzi bezpośrednio angażowały się w wojnę, która nie toczyła się na froncie, tylko miała oblicze cywilne, inaczej mówiąc – obywatelskie. Tę mobilizację o niespotykanej skali, którą możemy nazwać globalną, tworzyły i tworzą nadal kręgi wsparcia, o których będziemy pisać, koncentrując się na piątym kręgu pomocy, a nawiązując do trzeciego i czwartego.

Pierwszy krąg otacza ściśle żołnierzy i żołnierki walczących na froncie rozciągającym się szerokim łukiem przez wschodnią część Ukrainy. Dla tych, którzy walczą z bronią w ręku, najważniejsze jest, aby mieć zapewniony nie tylko sprzęt do walki, ale także warunki do życia i do przetrwania. Kto walczy na froncie potrzebuje tego samego, co ten poza okopami, czyli jedzenia, picia, ubrań, lekarstw, snu, a także poczucia wspólnoty, godności, miłości. W pierwszym kręgu wsparcia liczy się dostęp do wody, jedzenia, opieki. To tabory i szpitale polowe, towarzyszące od dawna żołnierzom. Ktoś musi ich karmić, ktoś musi prać ich ubrania, ktoś musi ich leczyć, a także grzebać zmarłych. W tym kręgu wsparcia są także dowódcy odpowiedzialni za logistykę działań na froncie, ale też dostarczyciele wiadomości z domu, już nie drogą listową, ale w formie wideo.

Drugi krąg stanowią głównie wolontariusze w strefie działań wojennych, zarówno nowicjusze, jak i doświadczeni w niesieniu pomocy. To Ukrainki i Ukraińcy, a także przybysze z innych krajów, którzy dotarli na tereny ogarnięte wojną. Ich rola jest trudna do przecenienia. Od początku ofensywy docierają z darami, jedzeniem, lekarstwami, środkami higieny, cywilnymi ubraniami. W tym kręgu odnajdziemy także tych mieszkańców Ukrainy, którzy pozostali w swoim kraju. Nie noszą broni, ale od 24 lutego 2022 roku tworzyli fizyczne ogniwa wielkiej sieci pomocy. Przenosili rannych, transportowali ludzi swoimi samochodami, dostarczali wszystko to, co potrzebne, aby mieszkańcy bombardowanych miast mogli przeżyć. Często wsparcie przychodziło za późno i było go za mało, pomimo wielkiego wysiłku ze strony tych, którzy docierali na miejsce pod ostrzałem, ryzykując życie. Pomagacze drugiego kręgu czuli potrzebę pomagania słabszym, bezradnym, bezdomnym. Tymi byli zwykle starsi ludzie, okaleczeni cywile, dzieci, osoby niepełnosprawne, a także tacy domownicy jak psy, koty, chomiki i co tylko się dało uratować i zapakować do samochodu.

Z drugim krzyżuje się **krąg trzeci**, który możemy nazwać „cywilne służby informacyjne”. Powstały za sprawą użytkowników mediów społecznościowych, zwłaszcza młodych, którzy gromadzili i przekazywali wszelkie informacje pomocne walczącym na froncie. Także, a może głównie, pozwalały odszukiwać się cywilom, wytyczać drogi bezpiecznej ewakuacji, zaopatrzenia, wskazywać miejsca pobytu ludzi i rzeczy, oraz zlokalizować każdy dom, którego mieszkańcy gotowi są do udzielenia pomocy.

Ten trzeci krąg to w istocie niezwykła sieć niemająca granic ani centrum dowodzenia. Jeśli można mówić o wojnie prowadzonej przez cywilów i głównie dla cywilów, to tym właśnie różniła się od wojny wojskowych. Zasadą tego kręgu nie była ani taktyka, ani strategia, pozwalające na zarządzanie ludźmi pod bronią i ich zapleczem logistycznym i zaopatrzeniowym. Informacyjna wojna cywilów miała inny charakter: stanowiła ją niezliczona liczba kręgów, hubów i połączeń. Powstałe w ten sposób z dnia na dzień społeczeństwo sieci (Castells 2013)

rozrastało się z każdym tygodniem, nie znając granic narodowych. Do tego społecznego środowiska mógł wejść każdy, w dowolnym miejscu na świecie. I tak właśnie było. Powstał globalny, cyfrowy ruch społeczny, utworzony przez pomagaczki i pomagaczy. Powstało globalne społeczeństwo sieci, którego trwałość jest trudna do oceny, ale na pewno należy dostrzec jego niezwykłą wagę dla ukraińskiej walki z rosyjską agresją.

Wreszcie do **czwartego kręgu**, wyróżniającego się w tekstach niniejszej publikacji, należą uchodźcy i uchodźczynie, którzy musieli opuścić swój kraj, uciekając przed przemocą i śmiercią. Trzeba pamiętać, że miliony ludzi zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów, ale większość społeczeństwa pozostała w Ukrainie.

Do tego kręgu zaliczamy osoby uchodźcze, których znaczna część znalazła się w Polsce, szukając wsparcia, a jednocześnie angażując się w pomaganie swoim rodakom – walczącym na froncie, pozostałym w kraju, ale także tym przybywającym do Polski. Osoby uchodźcze są także pomagaczami i pomagaczkami, pomimo że same walczą z licznymi trudnościami, nie zapominają o tych, którzy zostali w Ukrainie, w zbombardowanych miastach, w zniszczonych wsiach.

Uwagę skupimy szczególnie na uchodźczyniach, czyli milionach kobiet, które dotarły do Polski z dziećmi i domowym dobytkiem często w jednym tobołku. Będziemy pisać o ukraińskich kobietach, które jako wirtualne zaplecze pomocowe są bezustannie na froncie – spędzają długie godziny, śledząc wszelkie wiadomości i kontaktując się z tymi, z którymi mogą się porozumieć. One też włączają się w zbiórki i organizację pomocy dla pozostałych w kraju ofiar wojny. Uchodźczynie robią, co mogą, aby swoim podopiecznym: dzieciom, starcom, osobom niepełnosprawnym, a także zwierzętom domowym zapewnić bezpieczeństwo.

Piątego kręgu pomocy uchodźcom z Ukrainy szukamy na terenie Polski – tu znajdujemy główne bohaterki i bohaterów naszej opowieści. Po przekroczeniu granicy pomoc Ukraińcom niosły miliony Polek i Polaków, mieszkających od lat w Polsce Ukrainek i Ukraińców, a także wolontariuszy z Europy. Aby pomagać masowo napływającym ukraińskim rodzinom, do Polski ściągnęły posiłki ludzi dobrej woli niemal z całego świata.

Na chwilę lub na dłużej pomagacze – zarówno mieszkańcy Polski, jak i przybysze z zagranicy – przerwali krąg codziennych spraw, aby zrobić coś, czego nie planowali, o co siebie wcześniej nie podejrzewali. Co nimi powodowało? Współczucie, złość, odruch serca, obowiązek, wściekłość, potrzeba działania, lęk, wkurzenie (aby nie użyć mocniejszego słowa)?

Będziemy pisać o tych, którzy pomagali osobom uchodźczym na przejściach granicznych, w punktach recepcyjnych, w podróży, w nowych miejscach pobytu, w naprędce przygotowanych noclegowniach, hotelach i w domach prywatnych. Pomagacze piątego kręgu to kobiety i mężczyźni, których bezpieczne domy otworzyły się dla przybyszy ze strefy wojny. To bezinteresowni pomagacze, którzy w sytuacji niespotykanej na co dzień, ekstremalnie obciążającej, wyczerpującej fizycznie i psychicznie, nieśli pomoc rodzinom, osobom samotnym, wszystkim, którzy trafili z Ukrainy do Polski, czyli do kraju tranzytowego albo nowego miejsca pobytu.

Od lutego 2022 roku przez nasz kraj przemieszczały się miliony ukraińskich rodzin, z których część postanowiła zostać, inni zaś ruszyli dalej w poszukiwaniu miejsca do życia. O nich traktuje część naszej książki, przy czym opowiadają o nich właśnie pomagaczki i pomagacze, którzy czasami udzielają tym rodzinom gościny i robią wiele, aby poprawić ich los. Uchodźcy często pracują na odległość, mają swoje zasoby, swoje oszczędności, mieszkają w Polsce pracę, najczęściej na krótko. Dopóki nie znajdą miejsca dłuższego pobytu, stałej pracy, przedszkola czy szkoły, zdani są na pomoc innych ludzi, których ofiarność w pierwszych miesiącach wojny mogła zadziwiać tych, których wcześniej ten temat nie interesował lub nie mieli możliwości, aby pomocy udzielać.

Przygotowując nasze badanie, skłanialiśmy się do tego, że bohaterami publikacji będą pomagacze i pomagaczki z Polski. Jednak nie można zrozumieć jednych pomagaczy, nie mówiąc o drugich – ukraińskich uchodźcach. Nie da się wyjaśnić złożoności tego procesu, odwołując się tylko do jednej ze stron, ponieważ rytm praktyk pomagania w dużej mierze wyznaczają emocje i przeżycia przywiezione z wojny. Bohaterkami i bohaterami są tu zatem i uchodźcy, i pomagacze. Przy czym na osoby

uchodźcze patrzymy oczami pomagaczy i przez pryzmat ich przeżyć słuchamy opowieści na ten temat.

O badaniach

Prezentowane badanie stanowi element szerszego projektu badawczego zainicjowanego w Instytucie Socjologii im. Edmunda Wnuk-Lipińskiego Collegium Civitas w odpowiedzi na agresję Rosji na Ukrainę w całości sfinansowanego ze środków własnych uczelni. Projekt zatytułowany „Zaangażowanie – neutralność – wrogość: polskie społeczeństwo wobec kryzysu uchodźczego i wojny rosyjsko-ukraińskiej” składał się z trzech modułów: obok części jakościowej, której wyniki przedstawiamy na łamach tej książki, zawierał badanie sondażowe postaw społecznych wobec osób uchodźczych i praktyk pomagania oraz analizę dyskursu medialnego wokół tego tematu. Celem całego projektu było uchwycenie postaw polskiego społeczeństwa wobec wojny oraz osób uchodźczych z Ukrainy.

W skład zespołu jakościowego wchodziło: Izabella Bukraba-Rylska, Katarzyna Kalinowska, Katarzyna Krakowska, Paweł Kuczyński oraz Marta Sałkowska. Obserwacje terenowe w jednej ze społeczności lokalnych na Mazowszu realizował Konrad Burdyka z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa Polskiej Akademii Nauk. Prace badawcze trwały od marca do września 2022 roku.

Głównymi celami jakościowego komponentu projektu były rozpoznanie i przedstawienie emocji przeżywanych przez mieszkańców Polski zaangażowanych w pomaganie osobom uchodźczym podczas wojny w Ukrainie oraz opis kształtującej się w szybkim tempie przestrzeni społecznej, w której tworzą się relacje osób pomagających i uchodźczych. Postawione przez nas pytania badawcze dotyczyły: charakterystyki poszczególnych wymiarów pomagania – emocjonalnego, materialnego, cielesnego, społecznego i geograficznego; zróżnicowania sposobów i strategii pomagania; stosunków panujących wśród osób pomagających oraz między nimi a osobami przyjmującymi pomoc. Interesowało nas opisanie

form uspołecznienia wytwarzanych w praktykach pomagania, a także prześledzenie mechanizmów zarażania afektywnego i pracy emocjonalnej w aktywności pomocowej.

Impulsem do rozpoczęcia badań terenowych stało się nasze osobiste doświadczenie (por. Wyka 1993; Flick 2010) pomagania osobom uchodźczym – od wybuchu wojny byliśmy bezpośrednio zaangażowani w różne inicjatywy pomocowe: gotowanie, przygotowanie kanapek, wolontariat w punktach recepcyjnych, na dworcach i tzw. wydawkach (punktach wydawania żywności, odzieży, artykułów higienicznych), organizację zbiórek czy też udostępnienie osobom uchodźczym domu lub mieszkania.

Nasze własne zaangażowanie i osobiste doświadczenia sytuacji wolontariatu niewątpliwie wpłynęły na sposób, w jaki zaprojektowaliśmy proces badawczy i narzędzia, a także umożliwiło nam wgląd do takich obszarów, do których nie mielibyśmy dostępu, gdybyśmy na własnej skórze nie doświadczyli pewnych aspektów pracy wolontariackiej. Obciążenie fizyczne, materialne i emocjonalne, jakie dotkliwie odczuwaliśmy, skierowało nas ku skoncentrowaniu się w badaniach na opisie tych właśnie sfer aktywności pomocowych. Dostęp do różnych przestrzeni świadczenia pomocy (dworce, punkty kanapkowe, punkty recepcyjne, prywatny dom; miasto i wieś) i porównanie ich ze sobą dostarczyło nam kategorii umożliwiających zmapowanie procesu pomagania, scharakteryzowanie jego kolejnych etapów oraz rozróżnienie miejsc-spotkań i miejsc-zapleczy.

Podczas pierwszego etapu badania (marzec-maj 2022) prowadziliśmy wielokrotne, kilkugodzinne obserwacje uczestniczące (por.: Angrosino 2010) w trakcie dyżurów wolontariackich w Warszawie oraz w dwóch społecznościach lokalnych na mazowieckich wsiach, w których zamieszkały osoby uchodźcze, w tym rodzina goszczona przez jednego z badaczy. Notatki terenowe z obserwacji sporządzaliśmy według następującego schematu – opis sytuacji, wydarzenia (co widać, co się dzieje, jakie osoby biorą udział, jak zorganizowana jest przestrzeń pomagania) oraz opis aspektów emocjonalnych towarzyszących sytuacji (jakie emocje są widoczne, jakie emocje są przez nas, badaczy i badaczki, odczuwane).

Elementy autoetnografii przedstawione w notatkach miały charakter analityczny: w pełni uczestnicząc w badanym świecie pomagania, koncentrowaliśmy się na rejestrowaniu i interpretowaniu naszych odczuć oraz towarzyszących im ekspresji emocjonalnych, a także konfrontowaliśmy je z obserwowanymi zachowaniami oraz umieszczaliśmy w kontekście rozmów prowadzonych w terenie z innymi osobami pomagającymi (por. Anderson 2014). Regularnie omawialiśmy obserwacje podczas cotygodniowych spotkań zespołu badawczego, które miały szczególnie intensywny przebieg podczas pierwszych dwóch miesięcy wojny. W tym czasie również sami ze sobą realizowaliśmy wywiady autoetnograficzne (por.: Kalinowska 2017), których celem było poddanie refleksji naszych osobistych doświadczeń i pilotaż scenariusza wywiadu. Wywiady te miały formę autoetnografii pisanych w duchu ewokatywnym (Kacperczyk 2014) i były skupione na introspekcyjnym, afektywnym opisie naszych osobistych historii bycia wolontariuszkami i osobami goszczącymi uchodźców. Wytwarzanie podczas badań źródeł pierwszoosobowych było formą triangulacji metod i perspektyw badawczych, a podczas analizy notatek i wywiadów dostarczyło nam kluczy interpretacyjnych do rozumienia afektywnej warstwy doświadczeń.

Drugi etap badania stanowiła realizacja pogłębionych wywiadów rozumiejących (Kaufmann 2010) z osobami pomagającymi uchodźcom i uchodźczyniom. Badaliśmy osoby bezpośrednio zaangażowane w działania pomocowe. Co warto podkreślić, nie dążyliśmy do objęcia opisem całościowej panoramy emocji polskiego społeczeństwa wobec wojny i spowodowanej nią migracji, interesowała nas wyłącznie sfera dotycząca pomocy, to, co działo się wśród tej części społeczeństwa, która z tą pomocą ruszyła. Zwróciliśmy się do aktywnych obywateli, przede wszystkim do Polek i Polaków, ale też do osób innych narodowości na stałe mieszkających w Polsce. Szczególnie zależało nam na wypowiedziach tych Ukrainek i Ukraińców, którzy od dawna mieszkają w naszym kraju i już „wrośli” w polskie społeczeństwo.

W nawiązaniu do *Apelu do badaczy społecznych* z 21 marca 2022 roku wystosowanego przez Annę Horolets i Patrycję Trzeszczyńską (2022)

oraz w zgodzie z naszymi kompetencjami i postawami etycznymi nie realizowaliśmy badania wśród osób uchodźczych, nie przeprowadzaliśmy z nimi bezpośrednich wywiadów. Przedmiotem naszego badania nie były doświadczenia osób uciekających przed wojną, ale doświadczenia osób mieszkających w Polsce, które zdecydowały się im pomóc. Choć nie badaliśmy wprost osób uchodźczych, oni także są bohaterami tej opowieści. O ich doświadczeniach mówimy, jak wspomniano, głosem pomagaczy. Sami mieliśmy z uchodźcami mniej lub bardziej trwałe kontakty podczas naszych aktywności wolontariackich i dzielenia przestrzeni domowej.

Warto podkreślić, że zdajemy sobie sprawę, że badany przez nas okres był niezwykle trudny. Wiemy, że proces, który opisujemy, kiedy społeczna mobilizacja i emocje osiągnęły tak wysoki pułap, nie może trwać długo. Chcieliśmy uchwycić go „na gorąco” i rozumiemy, że naturalny upływ czasu i dotkliwa perspektywa długiej wojny będą miały wpływ na poglądy, zachowania i emocje polskiego społeczeństwa. Możliwe jest zarówno pogłębienie się podziałów politycznych, z „kwestią ukraińską” w tle, jak i inne scenariusze. Nasza analiza nie ma na celu dokumentowania takich czy innych tez na temat polskiego społeczeństwa, odwołujących się do historii Polski, albo względnie trwałych stereotypów narodowych. Skoncentrowaliśmy się na tu i teraz procesu, którego socjologia nie powinna przeoczyć.

Próbie dobieraliśmy w sposób celowy, rozmówcy byli zróżnicowani ze względu na wcześniejsze doświadczenia w pomaganiu. Rozmawialiśmy z:

- (a) osobami, które po raz pierwszy włączyły się w pomoc w związku z konkretnym kryzysem – wojną w Ukrainie;
- (b) osobami, które nieregularnie włączają się w różne wydarzenia (np. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy – WOŚP), działając akcyjnie;
- (c) aktywistkami i działaczami, którzy na co dzień zajmują się wybranym obszarem i teraz włączyli się w celowaną pomoc konkretnym grupom (np. pomoc osobom z niepełnosprawnościami, kobietom itd.);

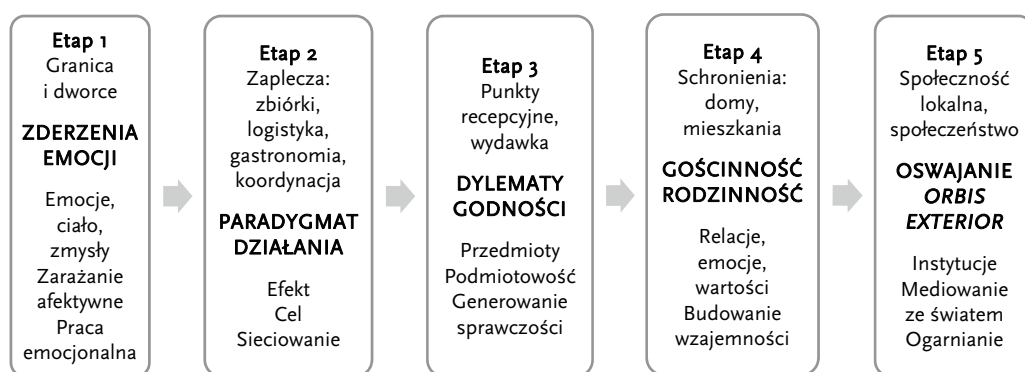
- (d) profesjonalistami i profesjonalistkami, których zawód/misja to pomoc (np. harcerki, strażacy, służby medyczne);
- (e) Ukrainkami i Ukraińcami mieszkającymi od dawna w Polsce i funkcjonującymi w polskim społeczeństwie, którzy pomagali swoim rodakom.

W rekrutacji do wywiadów wykorzystaliśmy kontakty nawiązane podczas działalności wolontariackiej, osobiste sieci znajomych oraz metodę kuli śnieżnej (niektóre osoby badane polecały nam kolejnych rozmówców i rozmówczynie). Wywiady realizowaliśmy od kwietnia do sierpnia 2022 roku. Przeprowadziliśmy łącznie 39 wywiadów indywidualnych, 1 diadę i 1 wywiad grupowy. Wśród osób badanych znalazły się 32 kobiety i 13 mężczyzn. Wywiady prowadzone były zarówno na żywo, jak i on-line, co umożliwiło nam zebranie danych od osób trudniej dostępnych (dysponujących niewielkimi zasobami czasowymi) oraz mieszkających w innych miastach (Gdańsk, Poznań, Wrocław, Zamość). Głównie jednak osoby badane mieszkały w Warszawie i w dwóch mazowieckich wsiach, co sprawiło, że zasięg geograficzny badania był znacząco ograniczony.

Istotnym ograniczeniem jest także brak zróżnicowania klasowego w próbie. Większość uczestniczek i uczestników naszych badań pochodziła z wielkomiejskiej klasy średniej oraz elit społeczności lokalnych podwarszawskich wsi (lokalni przedsiębiorcy, przedstawiciele samorządu, instytucji kultury, kościoła). Badanie pozwoliło jedynie na uogólnienia dotyczące pomagaczy spoza Warszawy. Warto jednak zaznaczyć, że przeprowadzone wywiady nie dają podstaw, aby uwzględnić zróżnicowanie regionalne powiązane z wielkością miejscowości. Próba była jednak na tyle liczna i różnorodna, że dotarliśmy do punktu nasycenia teoretycznego, gdy informacje uzyskiwane od kolejnych osób badanych zaczynały się powtarzać (por.: Kvale 2010).

Wywiady realizowaliśmy według elastycznego scenariusza, który dopasowywaliśmy do sytuacji konkretnej osoby badanej oraz specyfiki jej zaangażowania. Scenariusz rozpoczynał się pytaniem o dzień wybuchu wojny oraz o towarzyszące mu emocje. Kolejny blok pytań związany był

z zaangażowaniem w pomaganie – staraliśmy się odtworzyć historię pomagania, dowiedzieć się, w jakiej formie i z jakich powodów osoba udzielała wsparcia, jakie emocje temu towarzyszyły. Następne bloki zawierały pytania o relacje zarówno z osobami uchodźczymi, jak i z innymi wolontariuszami. Scenariusz kończył się pytaniami o reakcje społeczne na spontanicznie rodzący się ruch oraz o wizję polskiego społeczeństwa po doświadczeniu pomagania osobom uciekającym przed wojną. Przed rozpoczęciem wywiadu każda osoba wyraziła świadomą zgodę na udział w badaniu oraz na nagranie rozmowy. Wywiady trwały między 30 minut a 2 godziny.



Grafika 1. Etapy pomagania i kategorie opisu

Źródło: opracowanie własne.

Łącznie zgromadziliśmy około 40 godzin nagrań, które zostały poddane transkrypcji i jakościowej analizie treści. Analiza zgromadzonego materiału w pierwszym kroku miała charakter indukcyjny, obejmowała wielokrotną lekturę transkrypcji i odsłuchiwanie wywiadów oraz kodowanie otwarte – kody wyłaniały się z materiału empirycznego, były sortowane i grupowane w większe kategorie. W ten sposób doszliśmy do ustalenia podstawowych kategorii, wokół których ogniskuje się proces pomagania (kategoria centralna) na kolejnych jego etapach. Następnie przeszliśmy do wysycania tych kategorii przez opisanie właściwości

poszczególnych praktyk pomocowych. W dalszej kolejności włączyliśmy do procesu analizy kodowanie teoretyczne – dodaliśmy kody wynikające z postawionych pytań badawczych i wynikające z teorii, które zdecydowaliśmy się wykorzystać do interpretacji danych (Gibbs 2011).

W efekcie kilkuetapowej analizy udało nam się stworzyć uproszczony schemat procesu pomagania obejmujący najważniejsze mechanizmy społecznienia wytwarzane w procesie pomagania i pokazujący aspekty, wokół których koncentrują się praktyki pomocowe na kolejnych etapach. Schemat ten (grafika 1) stanowi jednocześnie mapę prezentowaną w niniejszej publikacji opowieści.

Wymiary pomagania

W kolejnych rozdziałach książki opisujemy poszczególne etapy procesu pomagania.

Akcja rozpoczyna się na **granicach i dworcach**, gdzie emocje odczuwane przez Polki i Polaków po wybuchu wojny zderzają się z bagażem emocji osób uchodźczych. Kluczową rolę gra tu aspekt cielesny pomagania i emocje, które z jednej strony spajają ekipy wolontariackie, a z drugiej stanowią obszar odpowiedzialności pomagaczy i pomagaczek, którzy muszą wykonywać pracę emocjonalną i zarządzać emocjami.

Następnie zaglądamy do **zapleczy** – miejsc, w których dominuje działanie bez bezpośredniego kontaktu z osobami uchodźczymi, a wsparcie koncentruje się na koordynacji logistyki, zaopatrzenia i zbiorów. Rzeczy dzieją się tu w zawrotnym tempie, a potencjalne niepowodzenia amortyzują mechanizmy sieciowania będące podstawowymi środkami realizacji celów na zapleczach.

Dalej opisujemy **punkty recepcyjne**, które są terytorium generowania i testowania sprawczości. Na pierwszy plan wysuwa się na tym etapie aspekt materialny związany z pomaganiem, dlatego rozważania koncentrują się tu wokół rzeczy materialnych – małych przedmiotów, które uosabiają wielkie wartości, takie jak godność i podmiotowość.

Z punktów recepcyjnych, które stanowią ostatni obszar bezosobowych, przygodnych relacji z osobami uchodźczymi, wkraczamy do **domu, czasowego schronienia** – przestrzeni intymnej, która jako pierwsza pozwala budować głębsze i bliższe stosunki z przybyszami, oparte na podzielanych uczuciach i wartościach. W tym rozdziale zajmujemy się budowaniem wzajemnych kontaktów, gościnnością i rodzinnością, jakie rodzą się pomiędzy pomagaczami a rodzinami uchodźczymi.

Ostatnia faza pomagania obejmuje **oswajanie orbis exterior**, czyli te praktyki, które koncentrują się na pomocy w ogarnianiu życiowych spraw, jak załatwienie miejsca w przedszkolu, numeru PESEL czy pracy. Końcowy etap pomagania, dążący do przetarcia szlaków osobie uchodźczej i umocowania jej w nowym świecie, wymagał wchodzenia w interakcje z przedstawicielami instytucji, był testem dla społeczności lokalnych.

Jak można zauważyć, pomaganie uchwycone w naszych opisach ma kilka wymiarów.

Po pierwsze, jest **ulożone geograficznie**– przemieszcza się wraz z osobami uchodźczymi, jest procesem ruchliwym i zależnym od przestrzeni, w której się odbywa. Inaczej wygląda w miejscach tranzytowych, inaczej w przestrzeniach prywatnych, domowych, inaczej w miastach, inaczej w wiejskich społecznościach lokalnych.

Drugim wymiarem pomagania, który poddaliśmy analizie są emocje doświadczane przez wolontariuszy pracujących w poszczególnych przestrzeniach: na granicy, dworcach, zaplecach, w punktach recepcyjnych, goszczących rodziny uchodźcze w swoich mieszkaniach i domach, pomagających przybyszom załatwić wszystkie formalności. Naszym celem było opisanie społecznych **światów emocji** pomagaczek i pomocaczy na kolejnych etapach tej emocjonalnej podróży.

Trzecim wymiarem jest **materialność pomagania**, na którą składają się zarówno dotkliwy brak rzeczy pierwszej potrzeby, jak i nadmiar przedmiotów gromadzonych dla uchodźców podczas zbiórek. Pomaganie zawiera w sobie abstrakcyjne wartości, które realizują się w podejściu do przestrzeni fizycznej i materialnych przedmiotów.

Czwarty wymiar, związany z emocjami i materialnością, obejmuje **cielesność pomagania** – na dworcach, w punktach wydawkowych i recepcyjnych, w sortowniach darów pomagały konkretne ciała, które doświadczały zmęczenia, odczuwały różnymi zmysłami przestrzenie i sytuacje.

Piąty wymiar to **wymiar społeczny**. Obejmuje on rodzaj relacji osób pomagających z osobami uchodźczymi, które stopniowo stają się „nasze”, bliskie. Początkowe przelotne interakcje zastępują głębsze znajomości. Punktem zwrotnym w praktykowaniu pomagania jest zaproszenie uchodźców pod dach, goszczenie u siebie oznacza jakościową zmianę relacji, co odróżnia początkowe etapy pomagania „na zewnątrz” od tych późniejszych – „u siebie”.

W tym miejscu pojawia się zasadnicze pytanie: jak opisywać zjawisko zwane potocznie pomaganiem, skoro rozpada się ono na byty tak różnorodne i heterogeniczne? Poprzestać na ogólnych określeniach bez wnioskowania w szczegóły? A przecież trzeba jakoś zapanować konceptualnie nad ontologią złożoną z ciał i emocji, z działań i informacji, z materii i opinii. Następnie: któremu z tych czynników przyznać główną rolę sprawczą, kogo lub co nazwać „pierwszym poruszycielem” animującym całe uniwersum pomagania? I wreszcie: jak od sformułowań abstrakcyjnych i ogólnych („Cała Polska, naród, społeczeństwo pomaga”) przejść do określeń zdających sprawę z konkretnych działań podejmowanych przez poszczególne osoby i nie pominąć przy tym prozaicznych detali w rodzaju: koce, śpiwory, wózek inwalidzki, pieluchy, woda, aparaty słuchowe, lakier do włosów?

Metodą pozwalającą zastąpić pojęcia generalizujące odnoszone do zbiorowości opisem dotyczącym empirii i pojedynczych przypadków będzie w dalszej części prowadzonych tu rozważań „redukcja”, odpowiednio: „redukcja indywidualizująca” i „konkretyzująca”.

Pojęciem redukcji indywidualizującej posługiwała się Antonina Kłosowska (1996), sięgając do udokumentowanych w pamiętnikach lub w wywiadach narracyjnych przeżyć i doświadczeń ludzi, którzy żyją w danej kulturze, świadomie uczestniczą w bycie narodowym i współtworzą kulturę narodową. To podejście znajdzie poniżej zastosowanie w relacji

opisującej opinie, uczucia, emocje i doznania osób zaangażowanych w pomaganie, a zwłaszcza osób przyjmujących uchodźców u siebie w domach i starających się utorować im drogę w gąszczu instytucji i świata zewnętrznego. Obrana metodologia (jakościowa, teoria ugruntowana), techniki badawcze (wywiady i obserwacje) oraz narzędzie (ogólne dyspozycje wyznaczające kolejność pytań podczas rozmowy) uzasadniają odwołanie się do redukcji indywidualizującej, a więc odsłaniającej jednostkowe perspektywy, które stają się udziałem pomagaczy i pomagaczek, sensy i znaczenia, jakie przywołują oni i werbalizują w trakcie wywiadu.

Pojęciem redukcji indywidualizującej posługiwał się też, i to dużo wcześniej, Czesław Znamierowski, ale rozumiał je inaczej. W pracy *Prolegomena do nauki o państwie* z roku 1930 zwracał uwagę na kwestie logiczne związane z wypowiedzianiem zdań o zbiorowościach przy użyciu orzeczników przynależnych jednostkom, co uważał za niedozwolone i mylące. Według niego twierdzenie: „stado ptaków leci na południe” jest „zgoła nieściśle”, ponieważ „frunąć w powietrzu może tylko to, co ma skrzydła i co niemi może odpowiednio szybko poruszać; może więc frunąć ptak, lecz nie może stado, które nie ma własnych jakichś jemu przynależnych skrzydeł” (Znamierowski 1930, s. 270). Dlatego też dążył do większej precyzji wyrażen i poszukiwania realistycznej legitymacji zdań o społecznościach. Miało to polegać na sprowadzaniu zdań ogólnych do zdań prostych i na przestrzeganiu zasady, by nie przenosić orzeczeń z poziomu jednostek na poziom zbiorowości.

Wielkim zwolennikiem propozycji Znamierowskiego i jego wkładu w koncepcję metodologicznego indywidualizmu (na wiele lat przed Johnem Watkinsem) był Stanisław Andreski. W pracy *Maxa Webera ołśnienia i pomyłki* pisał: „W dziedzinie analizy pojęć opisujących działania i stosunki społeczne czytelnik polski ma dostęp do dzieł Czesława Znamierowskiego, które w jasności i precyzji przewyższają znacznie niedokończone klasyfikacje Webera, nie mówiąc o mętnych wywodach Talcotta Parsonsa. Pod tym względem Znamierowski nie ma, moim zdaniem, równego sobie w literaturze światowej” (Andreski 1992, s. 59).

Kierując się rekomendacją Andreskiego, jak również faktyczną przydatnością propozycji Znamierowskiego dla obranych w niniejszej analizie celów, zdecydowaliśmy się ogólnikowe konstatacje o pomaganiu całemu społeczeństwu zastąpić opisem działań wykonywanych przez pojedyncze osoby i uczuć oraz emocji, jakie temu towarzyszą (co wydaje się tym bardziej zasadne, iż pomagacze – właśnie jako pojedyncze osoby – kontaktują się z pojedynczymi osobami przybywającymi z Ukrainy, a ta fizyczność kontaktu jest niejednokrotnie źródłem zarazem emocji pozytywnych, jak też repulsji). Dzięki Znamierowskiemu redukcja indywidualizująca zostanie jednocześnie uzupełniona w tych opisach redukcją konkretyzującą, która zda relację z tego, przy pomocy czego – jakich produktów, narzędzi i przedmiotów – owa pomoc jest realizowana.

Rozdział 1. Potencjał pomagania

Wojna

„Gdyby do nas przyszła/ skłamałbym, że wyszłaś/ że na świat nie przyszłaś/ kłamałbym jak popadnie, choć kłamać, córeńko, nieładnie” – tak o wojnie śpiewa polski zespół Lao Che (2015, ścieżka 3) na płycie dedykowanej dzieciom. Piosenka powstała po napaści Rosji na Krym, ale na długo przed rosyjską agresją w całej Ukrainie, po to, by wyjaśnić najmłodszym, czym jest wojna – stan, który w dzisiejszych czasach miał pozostać abstrakcyjny, jak bajka, która może być pouczająca i ważna, ale nie wydarza się naprawdę. Bajka o wojnie ma pomóc dzieciom, aby z bezpiecznej perspektywy zobaczyły nieszczęście, które było kiedyś udziałem ich przodków. Po to, żeby historia nigdy więcej się nie powtórzyła, żeby kolejne pokolenia czuły respekt przed wojną jako okrutną rzeczywistością, której nikt nigdy nie chciałby zapraszać do swojego świata. Której należy unikać za wszelką cenę i której słusznie się boimy. Wojna w tym tekście jest odległa, ale zło, jakie ze sobą niesie jest realne – zmienia moralne drogowskazy, podkopuje wszystkie zasady społecznego współżycia. Wojna to nie zabawa.

24 lutego 2022 roku słowo „wojna” nabrało rzeczywistego wymiaru i stało się konkretnym wydarzeniem, umiejscowionym tuż za naszą wschodnią granicą. Jednak przyszła. Przyszła i zmieniła wszystko: zatarta granice między dobrem a złem, wystawiła na próbę wartości, zradykałizowała ludzkie postawy, zweryfikowała intencje. Wojna „jest takim momentem, w którym warto się zastanowić nad swoim systemem wartości” (Elżbieta [imiona osób badanych oraz osób, o których traktowały ich opowieści, zostały spseudonimizowane]), to czas stawiania fundamentalnych pytań o człowieczeństwo i moralny wymiar ludzkich zachowań. Odpowiedzi na te pytania dostarczają raczej czyny niż słowa.

Konflikt zbrojny zastał Polki i Polaków w różnych okolicznościach: w podróży, w pracy, w domach, w trakcie zabawy w gronie towarzyskim lub podczas pełnienia obowiązków zawodowych. Wtargnęła niespodziewanie w ich życie codzienne. Tysiące osób niemal od razu porzuciło swoją normalność, aby ruszyć z pomocą – troszczenie się o tych, którzy doświadczyli wojny, to była ich odpowiedź na wyzwanie czasu wojny, jakie stoi przed ludźmi cieszącymi się pokojem.

Pierwsze godziny i dni wojny w polskim społeczeństwie przebiegały pod znakiem odczuwania intensywnych, negatywnych emocji – szoku, strachu, silnego stresu, bezsilności i złości. Jednocześnie Polki i Polacy od samego początku, od pierwszych doniesień z frontu odczuwali empatię wobec narodu ukraińskiego, co zaowocowało uruchomieniem masowego ruchu pomocowego. Wyjaśnienie przyczyn reakcji polskiego społeczeństwa na krzywdę wojenną naszych (wcale nie ulubionych) sąsiadów, rozpoczynamy od prześledzenia roli emocji w procesie kumulowania potencjału pomagania.

Szok i niedowierzanie

Nie ulega wątpliwości, że nikt nie spodziewał się w XXI wieku w środku Europy regularnej wojny na taką skalę. Nawet osoby zorientowane w bieżącej sytuacji politycznej, które miały świadomość, że we wschodniej Ukrainie od roku 2014 toczy się wojna, i które nie czuły się zaskoczone agresją rosyjską, były wstrząśnięte jej zasięgiem i okrucieństwem. Trudno było w pierwszym momencie uwierzyć, że wojna objęła całą Ukrainę, że nie było już bezpiecznych regionów, miast i wiosek. Szokujące było także to, że działania zbrojne toczą się tak blisko naszego kraju – na obrzeżach spokojnej, europejskiej idylli. Zaskakujący okazał się format tej wojny – otwarty konflikt nie jest językiem współczesnej Europy; jesteśmy przyzwyczajeni do działań dyplomatycznych, do wojen gospodarczych czy cyfrowych, ale nie do fizycznego naruszania granic niepodległych krajów, bombardowania miast czy mordowania cywilów. „Szybciej wyobraziłam sobie pandemię jako współczesną wojnę

niż to, że wjadą czołgi, będą latały bomby w powietrzu” (Klara) – tak niedorzeczność tej wojny podsumowała jedna z badanych. Niewiarygodne wydało się to, że historia, której powiedzieliśmy „nigdy więcej!”, właśnie się powtarza.

Ludzie tak opisywali stan poznawczego chaosu, w którym się znaleźli:

„No, ja po prostu poczułam szok. Dla mnie to było tak nierzeczywiste i nieprawdopodobne, po prostu absolutnie przekraczało w ogóle moje pojmowanie, że, że w tych czasach w ogóle może jeszcze dojść do wojny, do tego typu wojny. Wydawało mi się, że te lekcje już ludzkość odrobiła i że taka wojna, która nie jest lokalna, bo tak naprawdę, ona się wydaje lokalna, ale to jest można powiedzieć, wojna światowa, no w każdym razie, naprawdę, no dla mnie to był szok i po prostu coś całkowicie niezrozumiałego”. (Elżbieta)

„Po prostu żyjemy już w miarę normalnych czasach, i żyjemy na tyle długo, że, no myślę, że wszyscy nie spodziewali się, że coś takiego może się dzieć jeszcze w tym czasie, powiedzmy, no na naszym terytorium, czy tuż obok nas, w tej części Europy. Oczywiście słyszymy gdzieś o jakichś działaniach bestialskich w Izraelu czy w Palestynie, czy w Afryce, w krajach afrykańskich, ale to jest jakby tak na tyle egzotyczne dla nas, że przywykliśmy do tego, może to też brzydko zabrzmieć, ale no tak to odbieramy, natomiast ta wojna tutaj na Ukrainie na pewno była ogromnym zaskoczeniem. (...) Jest dla nas szokiem sama sytuacja, że jest wojna, że jest tuż obok naszej granicy, i że giną ludzie, giną dzieci, że są dzieci gwałcone, kobiety, to jest po prostu szok i niedowierzanie”. (Michał)

„Na początku to było chyba takie trochę niedowierzanie, że ale jak to?!, że stało się jakby coś, czego w sumie można było się spodziewać, ale wydawało się cały czas, że to jest takie, no że w dwudziestym pierwszym wieku żyjemy, więc raczej trudno, trudno, żeby takie wydarzenia mogły się wydarzyć tak naprawdę w zasięgu, no, naszych tam bliskich, naszych relacji”. (Gosia)

„I nikt się nie odzywał przez te parę godzin. I wszyscy po prostu mieli taki, no, zupełną zawiechę, że tak się wyrażę, ha, ha. Po prostu, nikt nie wierzył, że wiadomo, że gdzieś

tam to się zbierało i tak dalej, ale po prostu słowo wojna jest takim abstraktem nie-samowitym, które się kojarzy z, no, z jakąś przeszłością, czymś, co już nas nie dotyczy”. (Jagoda)

To, co wydarzyło się nad ranem 24 lutego 2022 roku, zachwiało równowagę poznawczą i emocjonalną Polek i Polaków. Z jednej strony „to było trochę coś, czego wszyscy się spodziewali, gdzieś to wisiało” (Anna), a z drugiej – „trudno było uwierzyć, że to się dzieje” (Paweł), wszyscy myśleli, że „nie będzie tej wojny, bo teraz nie ten wiek ogólnie, (...) można teraz dyplomatycznie po prostu porozmawiać” (Milena). Swoje pierwsze reakcje rozmówcy opisywali w powtarzalnych słowach: szok i niedowierzanie. Niektóre osoby przyznały, że na samym początku zadziałał u nich mechanizm wyparcia. Łatwiej im było uwierzyć, że to jest fikcja, a nie rzeczywiste wydarzenie.

„Na początku wydawało się, że to jest chyba nieprawda”. (Ola)

„Trochę miałam takie uczucie porównywalne jak wtedy, kiedy samoloty trafiły w World Trade Center, że siedzieliśmy w domu, tak patrzyliśmy: „A, przełącz, pewnie jakiś film leci”, ale po chwili patrzymy, że nie, że to nie jest film, to jest rzeczywistość. I to podziało u mnie podobnie, że w pierwszej chwili to był taki szok w zasadzie – co się dzieje?!”. (Klara)

„Ja byłam przerażona, no bo jako studentka stosunków międzynarodowych byłam po prostu przekonana, że Putin czegoś takiego nie zrobi i że to jest coś takiego w ogóle fikcyjnego, że tylko robią panikę i to się nie wydarzy, ale no niestety”. (Yana)

Szok blokuje zarówno możliwość racjonalnego rozumowania, jak i odczuwania emocji. Dla części osób pierwszą reakcją na wieść o wybuchu wojny w Ukrainie była swoista hibernacja procesów poznawczych i emocjonalnych.

„Chyba to do mnie nie dotarło, bo tak: przeczytałam, zastanowiłam się przez chwilę i po prostu wyszłam. I potem, i potem dotarło to do mnie w środku dnia, tak naprawdę, po paru godzinach. Ja pracuję w szkole, więc dzieci do mnie przychodziły

i mówiły, że wybuchła wojna i jakoś tak, nie wiem, co czułam. Tak trochę, chyba przez pierwsze parę godzin nic nie czułam”. (Helena)

„Z perspektywy (...) czasowej mogę spojrzeć na pierwsze tygodnie, że przebywałam w dość trudnym stanie psychologicznym, w stanie szokowym, ponieważ wielu rzeczy nawet nie pamiętam z tego okresu”. (Inna)

„I pamiętam taką falę (...) strasznego szoku, że to jest możliwe i że to się faktycznie dzieje. Bo gdzieś z tyłu, jeszcze myślę, że to jest też powód, dla którego jakoś ten lęk bardzo do mnie nie dochodził, że, że wydawało mi się, że to nie jest możliwe, żeby w dwudziestym pierwszym wieku doszło do tak ordynarnej, bezczelnej, brutalnej napaści”. (Aga)

Gdy pierwszy szok minął, pojawiło się miejsce na emocje – przede wszystkim strach.

Strach, przerażenie, stres

Strach Polaków przed wojną wynikał w pierwszej kolejności z poczucia bezpośredniego, fizycznego zagrożenia. To prawda, że „wojna nigdy nie jest doświadczeniem komfortowym, niezależnie od tego, czy się odbywa blisko, czy daleko” (Ignacy), kwestionuje bowiem porządek polityczny, burzy ład moralny, nadwyręża wiarę, że granice państwowe i międzynarodowe paktów mają wiążące znaczenie i mogą zapewnić nam bezpieczeństwo. Jednak fakt, że wojna wybuchła tak blisko terytorium Polski, sprawił, że wydała się Polkom i Polakom bezpośrednim zagrożeniem życia, a odczuwany przez nich strach zyskał konkretną twarz – Putina, dyktatora porównywanego do przywódców totalitarnych reżimów XX wieku.

Osoby, z którymi rozmawialiśmy, czuły w pierwszych dniach wojny chroniczny strach i głęboki niepokój. Deklarowały „obawy, czy czasem naszego kraju to nie spotka” (Walenty), opisywały „niepokój, co to będzie, czy to się nie przeniesie na szersze gremium” (Piotr), niektóre osoby w dramatycznych słowach przypominały sobie, że w pierwszych chwilach po wybuchu wojny miały „jasność, że następni jesteście my” (Mela).

Geograficzna bliskość bombardowań i podobna polityczna przeszłość – przynależność tak Polski, jak i Ukrainy do bloku wschodniego po II wojnie światowej – potęgowały w Polkach i Polakach poczucie, że bezpieczeństwo naszego kraju jest realnie zagrożone, że wojna może rozszerzyć się na terytorium Polski.

„To już był taki stan zagrożenia, prawda? Że ta wojna już jest nie tylko na wschodzie Ukrainy, że ona jest wszędzie, że te ataki były w takich miejscach, które już były blisko, my mieszkamy na wschodzie, prawda – blisko granicy. (...) właściwie ona wybuchła już prawie pod naszymi drzwiami, nie?”. (Aleksandra)

„Oczywiście, wiemy, że są wojny gdzieś tam, w świecie, jak to się mówi, ale wydaje nam się, że one są daleko, więc nas nie dotyczą. Natomiast tutaj pojawił się konflikt bardzo blisko nas, naszej granicy. W pewnym sensie on też zagrażał nam. My się ośobiście czujemy zagrożeni, jako Polacy”. (Elżbieta)

„Jest po prostu strach, że dalej będą państwa bałtyckie, a później do Polski może też dojść”. (Inna)

„Mój syn jest w szóstej klasie i też rozmowy pomiędzy dziećmi w szóstej klasie są na trochę innym poziomie i trochę inna jest świadomość, więc on dużo miał takich strachów o to, że co z tego, że jesteśmy w NATO, skoro Putin straszy, że każdy, kto będzie pomagał, to jakby poniesie tego konsekwencje, więc w nim było bardzo dużo strachu”. (Dorota)

Strach i silny stres towarzyszące nieustannie osobom badanym w pierwszych dniach wojny były podłożem reakcji fizjologicznych, takich jak płacz („Wszyscy wisieli na tym telefonie i tak na zmianę z takim, tymi informacjami, milczeniem i co jakiś czas, nie wiem, moja koleżanka się popłakała, ha ha. Potem ja się popłakałam, autentycznie” – Jagoda), bezsenność („Nie mogłam spać, ale ja tak zazwyczaj mam w sytuacjach stresowych” – Ola), pobudzenie („U mnie to zawsze takie stresowe sytuacje to wywołują taką adrenalinę i taka jestem pobudzona” – Ewa), zaburzenia ruchowe („Pierwszy dzień to ręce mi się trzęsły, (...) w ogóle uczucie straszne” – Yana) czy ataki paniki („Tego poranku po raz pierwszy doświadczyłam ataku paniki. Dotychczas w ogóle nie wiedziałam, co to jest.

No, był to stresujący bardzo moment” – Julia). Strach i stres to pierwszy etap ucieleśniania wojny rosyjsko-ukraińskiej przez polskie społeczeństwo.

Strach jest naturalną reakcją organizmu. Strach przed wojną jest jednak w Polsce także emocją skonstruowaną społecznie, mocno osadzoną w kulturze narodowej – zakorzeniony jest w polskim społeczeństwie głęboko, przekazywany z pokolenia na pokolenie wraz z apoteozą poświęcenia i refleksją o moralnym zwycięstwie ofiar wojen.

Nawet młodzi ludzie, którzy na własnej skórze nie doświadczyli ani wojny, ani opresji reżimu komunistycznego w PRL-u, dźwigają emocjonalny ciężar historii naszego kraju i mają wdrukowany uogólniony strach przed wojną, która może kiedyś nadejść, jak to wielokrotnie bywało. W obliczu rosyjskiej agresji „tchnienie tego naszego, naszego doświadczenia polskiego, wojennego się tutaj bezpośrednio odezwało” (Aga). Polacy są nauczeni, by myśleć o historii swojego narodu w kategoriach niesprawiedliwości dziejowej i krzywdy, która nam się przydarza – taki przekaz otrzymują kolejne pokolenia w domach i tak dzieci są uczone w szkołach. Wojna w Ukrainie wydobyła skumulowane w pamięci społecznej obawy przed wojną, ludzie werbalizowali te lęki, opowiadali o swoim strachu, odwołując się do grozy historii, która lubi się powtarzać.

„Moja babcia przeżyła wojnę, zresztą mój dziadek też, ta rodzina dosyć mocno była poturbowana. Ja w środku, mi no napłynęły łzy do oczu, bo nie wierzyłam, że to się po prostu dzieje. Ktoś kto gdzieś tam zna historię, tą najbliższą naszą, nie jakąś średniowieczną, no to, no wie, że... Dla mnie to była powtórka z historii. Więc gdzieś tam już w głowie jakieś sobie filmy kręciłam, że może być już tylko gorzej, chociaż miałam jakąś tam iskierkę nadziei, że to się gdzieś tam szybko skończy”. (Ewelina)

„Jeżeli dzisiaj, w dwudziestym pierwszym wieku kraj [Rosja], który miał w sumie też bardzo złe doświadczenia związane z drugą wojną światową, też miał przecież ogromne straty i wie, jakie to jest zło, i teraz wydawałoby się, że właśnie żyjemy w cywilizowanych latach, że już więcej nigdy... (...) no i teraz człowiek, który sięga po wojnę, to też właśnie nie wiadomo – skąd ta obawa, nie? Co on zrobi dalej, czy to się tylko na Ukrainie skończy...”. (Piotr)

„Wydaje mi się, że no, w Polakach po prostu jest ta pamięć jeszcze, no, w mieście, które jest zniszczone wojną [mowa o Warszawie] i, i znamy historię dziadków, i jeszcze nie tak dawno były tutaj, no wiadomo...”. (Jagoda)

Podsumowując, strach przed wojną miał dwa źródła.

1. Powstał na bazie **automatycznej, fizycznej reakcji lękowej organizmu**, która była odpowiedzią na poczucie fizycznego zagrożenia i braku bezpieczeństwa.
2. Generowała go **intensywna praca wyobraźni**, sięgająca z jednej strony do historycznych obrazów wojen i rodzinnych traum; z drugiej – wybiegająca w kierunku możliwych, apokaliptycznych scenariuszy rozwoju sytuacji wojennej; z trzeciej, strach podsycali działające na wyobraźnię brutalne obrazy, które z frontu i granicy za pomocą mediów docierały do mieszkańców Polski, Europy i całego świata.

Relacja jednej z badanych pokazuje **sumę wojennych strachów**, które stały się udziałem polskiego społeczeństwa pod koniec lutego 2022:

„Strach nie tylko o kraj, o swój własny dom, o mieszkańców, o wszystko, co tak naprawdę nas otacza, nasz świat się diametralnie zmienił o, naprawdę można powiedzieć, o sto osiemdziesiąt stopni, zaczęliśmy innymi realiami myśleć. Żyliśmy do tej pory tak naprawdę w takiej, jak ja to nazywałam, szklanej kuli, mieliśmy wszystko, mieliśmy wszystko na wyciągnięcie ręki. Stanęliśmy tak naprawdę pod znakiem zapytania, co dalej, co będzie, jak to się przełoży na nasz kraj i jak się przełoży to na to funkcjonowanie. No i przynajmniej strach o bliskich, strach o wszystko, co się tak naprawdę tutaj zadziało, a największy chyba dla mnie strach było o to, że jak patrzyłam na granicę, patrzyłam na ludzi, którzy zaczęli przyjeżdżać, gdzie tak, jak stali, tak wychodzili. I to było dla mnie przerażające. (...) To się tylko tak wydaje, że my jesteśmy daleko od granicy, od tego, żeby cokolwiek nas tutaj dosięgło. My jesteśmy tak naprawdę bardzo blisko. To jest kwestia tylko, zresztą, proszę Państwa, my nie wiemy, co nas czeka za dzień, za dwa, my nie wiemy, co, już tak powiem brzydko, Putin sobie w tej głowie układa. Owszem, my jesteśmy w NATO, my jesteśmy chronieni, ale słuchajcie, no NATO, no NATEM, ale my to my, tak? I tak naprawdę nie wiemy, z czym to się za chwileczkę dla nas może skończyć, prawda?”. (Ania)

Między bezsilnością a złością

Odczuwanie strachu wzmacniały media, które drobiazgowo i obrazowo relacjonowały sytuację w Ukrainie, z godziny na godzinę dostarczając nowych informacji i analiz eksperckich. Skłaniało to do podejmowania prób oceny sytuacji militarnej na froncie i globalnej sytuacji politycznej. Śledzenie wieści z wojny w telewizji i mediach społecznościowych sprawiało, że strach, a niekiedy wręcz przerażenie, zaczynało być poddawane refleksji i łączone z innymi emocjami, takimi jak smutek, wstręt, obrzydzenie, ale też gniew i złość.

Ze wspólnego dla całego społeczeństwa doświadczenia strachu przeszliśmy do konglomeratu różnorodnych emocji. Okrucieństwo wojny obserwowane przez ekrany obudziło w Polkach i Polakach równocześnie:

– **wściekłość** wyrażaną w agresywnych, pełnych nienawiści słowach pod adresem Rosji, Rosjan i Putina.

„No, poczułem... kolejną wściekłą, falę wściekłości na Putina, którego od piętnastu lat uważam, że należałoby zgładzić. Co prawda to sprawy nie załatwi, bo bracia Rosjanie mają po prostu pewne cechy charakteru chyba niezgodne z ludzkimi”. (Jan)

„Pierwsza myśl, jaką miałam w głowie... że chyba kogoś popierdoliło, jak można zaatakować drugi kraj, tak po prostu!”. (Karolina)

„Pierwsze wrażenie, zdziwienie, zaraz w połączeniu z wkurwieniem na tą hołotę sowiecką... Nie no, złość to trwająca, moja od... Od Jałty, tak, od Jałty trwająca”. (Jacek)

„Byłem wkurzony, no. (...) nie przebierałem w słowach. Nazywając naszych, naszych... tych ze wschodu barbarzyńcami, którzy od wieków mordują, palą, grabią, gwałcą i tak dalej”. (Karol)

– **bezsilność, pełną beznadziei rozpacz:**

„A kiedy jeszcze więcej, jak zaczęły się te wszystkie zdjęcia tam w Buczy i tam, te wszystkie widea, to po prostu było, no, jakby, wtedy, nie wiem, no rozrywało się serce

ogólnie od takich rzeczy i, że typu tak, ludzie myślą, że mają prawo tak się zachowywać w innym państwie, ale, że no, taka... (...) To, co robią nie ma ani, no, jakby nic ludzkiego”. (Lena)

– **lub głęboki smutek**, który powodował apatię i odbierał chęć do jakiegokolwiek aktywności:

„Bo początek to był taki, w którymś momencie, taki Weltschmerz w zasadzie... Bo nie ma co w ogóle przyszłości planować, nie ma co jakichś mebli kupować, że w sumie to nic nie wiadomo, a może w ogóle po co to coś planować, jak nie dość, że pandemia, to jeszcze to, wszystko po kolei...”. (Klara)

Jeszcze inaczej gniew i bezsilność odczuwały Ukrainki od lat mieszkające w Polsce, wrosnięte w polskie społeczeństwo, które na wojnę patrzyły z odległej perspektywy, jak Polki i Polacy, ale jednak emocjonalnie były w samym środku walk o niepodległość swojego kraju (por.: Krakowska 2023a). Z naszych badań wynika, iż ukraińskie kobiety przede wszystkim bały się o bliskich, którzy zostali w Ukrainie albo byli w trakcie ewakuacji, czuły ogromną niesprawiedliwość i wściekłość na państwo-agresora i przebieg historii, której doświadcza ich kraj, która się przydarzyła wbrew woli Ukraińców. Są to dobrze znane Polakom emocje niezgody na sytuację historyczną.

„Ja myślę, że też wiele Ukraińców na początku, ale i do tej pory, odczuwają bardzo dużą złość za niesprawiedliwość, która się wydarzyła. Ponieważ Ukraina tej wojny nie chciała, ona nam, Ukraińcom, nie jest potrzebna, to, co się dzieje, nie może nie wywoływać jakiejś złości, jak bardzo, ogromnej... I kiedy widzisz, i ci osoby pokazują wideo, jak ich dom został zniszczony, i że nie mają nic, nie wiem, że ktoś tam zginął, no to, no nie wiem, jakie to emocje może wywoływać”. (Inna)

„To był, taki był strach, był gniew w tym czasie, było takie, że ja nie mogę w niczym pomóc, jestem tutaj. Było takie poczucie winy, że ja jestem z Ukrainy i ja jestem tu, i typu, że, czemu ja nie jestem w swoim państwie w tym czasie, typu, że idzie wojna, że to, że ktoś cierpi...”. (Lena)

Bezsilność i gniew wydają się być w wielu usłyszanych historiach emocjami alternatywnymi, które nasi rozmówcy odczuwali jak ciągłe przeciąganie liny. Poczucie bezsilności, pogrążanie się w smutku i rozpaczyciągnęło ich w dół, odbierało siły i nadzieję, powodowało bierność i niechęć, obarczało ciężarem winy. Złość – przeciwnie – napędzała, pobudzała do sprzeciwu i buntu, nie pozwalała zagrzebać się w niemocy. Emocje o skrajnych wektorach prowadziły do przyjmowania różnych taktyk radzenia sobie z sytuacją w pierwszych dniach wojny.

Paraliż? Działanie? Ucieczka?

Co robić? Po pierwszym szoku, wciąż w strachu i stresie, między bezsilnością a złością, Polacy zaczęli robić drobne kroki: w przód – zbierając informacje i siły do działania, czekali niejako w blokach startowych na rozwój sytuacji; w tył – planując ucieczkę, wycofywali się w prywatne przestrzenie przetrwania; niektórzy wciąż stali w miejscu jak sparaliżowani, nie mogąc się zdecydować, czy żyć dalej normalnie, czy uciekać, czy coś zrobić. Tylko co?

Tak ekstremalne wydarzenie jak stan wojny wywołuje destabilizację na każdej płaszczyźnie życia, zmienia plany, zaburza codzienne funkcjonowanie, niszczy więzi. Sprawia, że to, co wydawało się mieć sens i być właściwe w czasie pokoju, zaczyna uwierać, ponieważ przecież tuż obok, za granicą są ludzie, którzy stracili swoje domy, musieli porzucić marzenia, w niezwykle nagły sposób zmienić otoczenie, są w żałobie po swoich bliskich – pierwszych ofiarach walk, nalotów i bombardowań. Jak w takiej sytuacji zajmować się swoimi sprawami? – to pytanie, podszyte wyrzutami sumienia, towarzyszyło wielu Polkom i Polakom w pierwszych dniach wojny. Wykonywanie dotychczasowych czynności dla niektórych zaczęło być wstydlive, a nawet moralnie wątpliwe. Drobne przyjemności straciły smak. Destabilizująca specyfika wojny przekroczyła granice i również na mieszkańcach Polski wymogła przeorganizowanie życia codziennego, zrewidowała ich plany. Jednym słowem – normalność „się rypla”.

W związku z tym część osób ugrzęzła w bardzo niekomfortowym miejscu, między potrzebą zatrzymania się w codziennym kołowrotku planów i obowiązków a koniecznością dalszego, normalnego życia.

„Miałam kolosalny wyrzut sumienia, ponieważ od czterech miesięcy miałam wcześniej zaplanowany wyjazd do Francji. I widziałam, że, i wybuchła wojna w czwartek, a ja mam w niedzielę wyjeżdżać, powodowało to u mnie kolosalne wyrzuty sumienia, jakim ja prawem mam wyjeżdżać, skoro tu się dzieje wojna, czy nie powinnam tego odwołać, bo trzeba by było zrobić coś stanowczo, a poza tym, jakim prawem ja mam się cieszyć, jakim prawem ja mam się relaksować w sytuacji, kiedy jest tyle nieszczęścia”. (Aga)

„No, to w ogóle był taki dzień, który się w sumie zaczął od burzliwych myśli, bo to był dzień bali karnawałowych u nas w szkole. Niektóre klasy miały bale karnawałowe i po prostu, jak wstałam i otworzyłam grupę na Messengerze, to był taki moment, gdzie tam zawrzało, bo zaczęliśmy się zastanawiać, co mamy zrobić w związku z tym, jak tam się zaczyna wojna, a nasi mają się bawić? No ale uznaliśmy, że no jakby dla dzieci, to i tak, które być może część z nich już, jak przyjdzie do szkoły, to będzie wiedziała, część nie. Część ma, nie wiem, opiekunki, które pochodzą z Ukrainy, więc też mogą wiedzieć i tak same w sobie mogą być przestraszone, w związku z tym, oni muszą mieć po prostu normalne życie tutaj, tak?”. (Dorota)

Wyjściem z tego klinczu okazało się wybieganie myślami w przyszłość i szukania dla siebie miejsca w nowej sytuacji, wymagającej reakcji na kryzys uchodźczy spowodowany przez wojnę. Część późniejszych pomagaczy szybko otrząsnęła się z pierwszego szoku i na chłodno analizowała sytuację, mając „poczucie, że prawdopodobnie będzie to oznaczało potrzebę jakiejś pomocy” (Ignacy).

Wśród naszych rozmówczyń i rozmówców były osoby, które – można powiedzieć – stanęły naprzeciw wyzwania, jakim jest wojna, weszły w tryb czuwania i przygotowywały się do działania, choć jeszcze bez konkretnych planów.

„I pierwszej nocy to było ciągle sprawdzanie telefonu, ciągle sprawdzanie powiadomień, bo ja też dostaję powiadomienia ratownicze w sytuacjach, i ja nie wiedziałam,

czego mam się spodziewać, czy te samoloty skończą na Kijowie, czy to za chwilę zacznie się coś u nas, czy dostanę wezwanie, czy w ogóle zostanę w Polsce, czy będę musiała na przykład jechać na granicę czy w ogóle do Ukrainy. To było takie wielkie, wielkie zaskoczenie, później się okazało, jak rozmawiałam też z lekarzami w punkcie medycznym, że wszyscy tak mieliśmy, wszyscy tej pierwszej nocy budziliśmy się dosłownie co chwilę i patrzyliśmy, jak nigdy, co się dzieje, jaki jest aktualny przebieg sytuacji. (...) Te pierwsze dni były takie, że wiadomo było, że coś trzeba zrobić, ten początek był bardzo chaotyczny, także same, same nawet szpitale, nikt nie wiedział w ogóle, jak to zacząć, tak? Że ten pierwszy weekend był taki, że wszyscy wiedzieli, że coś na pewno będziemy robić, a jeszcze nikt nie wiedział co”. (Klara)

Wiele osób mówiło, że w próbach podjęcia konstruktywnej reakcji na kryzys najgorszy był „chaos w głowie” (Renata) i „stan niepewności z niemożliwością przygotowania się, nieznaną tego, co będzie się działo jutro. Kompletną” (Aga). Niepewność (kolejny raz, po niepewności pandemicznej) wpleciona została w naszą codzienność, od 24 lutego każdego dnia towarzyszyło nam kolokwialne „Cholera wie, no, co będzie” (Jan)...

W niektórych ludziach odczuwanie lęku i napięcia związanego z przedłużającym się stanem niepewności wywołało odruch unikania, który materializował się w myślach o ucieczce lub organizacji warunków życia koniecznych do przetrwania podczas wojny, a niekiedy też w podejmowaniu konkretnych kroków mających na celu przygotowanie drogi ucieczki z kraju.

Po pewnym czasie badani ze szczerością, ale i dystansem opowiadali o przedsięwzięciach ewakuacyjnych i akcjach ratunkowych, które planowali w pierwszych dniach wojny.

„Ja już się zastanawiałam, gdzie ja się mam chować, jak [wojna] będzie u nas, nie?”.
(Aleksandra)

„Tak, zaczęłam się uczyć survivalu, ha, ha, na wszelki wypadek. Gdzieś tam też tego przetrwania w lasach i tak dalej, nie? Jakby żeby może mieć jakieś poczucie sprawczości, czy cokolwiek, że zaradzę sobie. Jakies sprzęty kupować, hamaki, nie-hamaki,

no ogólnie to była cała przygoda z tym. Ale też przedtem trochę po prostu wyjeżdżać na naturę, (...) żeby... Mogłam się odłączyć na jakiś czas, i od takiej niepewności, co będzie teraz, czy będzie jakiś atak, czy mam się chować, czy w ogóle trzeba kupować jakieś tabletki [chroniące] od broni atomowej, żeby ta radiacja nie weszła et cetera, et cetera...". (Oksana)

„Wywoływało to mój straszny, straszny niepokój i uruchomiło we mnie wszystkie możliwe najgorsze, może nie najgorsze, ale dawno tłumione we mnie, prepersowskie, przygotowawcze odruchy, ha, ha”. (Aga)

„Pamiętam taką panikę wśród... niektórzy tam ludzie wzięli bardzo dużo benzyny”. (Ewa)

„I poszłam wieczorem na piechotę do centrum handlowego i kupiłam, bo wyszłam z wniosku, że jeśli będziemy musieli się ewakuować następnego dnia, na przykład my, no to muszę mieć dobry telefon komórkowy, i to pamiętam. I pamiętam to, że nie spałam w nocy, i... zastanawiałam się, w jaki sposób będę ewakuowała siebie, i swoją mamę, i wszystkie zwierzęta, które mamy, i czy już mam dzwonić, i co robić, tak? I czy mam... czy już mam dzwonić do swojej rodziny we Francji, czy nie?”. (Ola)

„No różne tematy padały, poprzez takie, że ja sobie myślałam: Kurde, przecież jak trzeba będzie uciekać, na szczęście nie mam dzieci teraz, ale mam psa, co z nim zrobić, czy uda się z takim psem uciec, czy nie lepiej go uśpić, bo nie chciałbym, żeby został sam..., jakieś głupie takie, znaczy takie myśli absurdałne, bo jakby rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej”. (Weronika)

Byliśmy w ich sytuacji, możemy być na ich miejscu: siła empatii

Silne emocje, które w momencie wybuchu wojny wstrząsnęły polskim społeczeństwem, skalibrowały społeczną wrażliwość, uczuliły na krzywdę. Od samego początku Polki i Polacy deklarowali empatię do Ukrainek i Ukraińców. W rozmowach, zaraz po sprawozdaniu własnych emocji, badani opowiadali o dyspozycji do współodczuwania emocji i stanów psychicznych uchodźczyń i uchodźców wojennych. Wysoki poziom empatii

doprowadził do wytworzenia silnej więzi między Polakami i Ukraińcami, sprawiało to wrażenie, że te dwa społeczeństwa zlały się w jedno.

„No to trochę wygląda tak, jakby to nie była Polska i Ukraina, tylko jeden kraj, bo mam wrażenie, że nie zawsze ludzie z tego samego kraju tak sobie potrafią pomóc, jak to zrobili Polacy, tak? (...) a tu jakby mamy dwa kraje, które tutaj nagle po prostu zrobiły się jakimś jednym jakby”. (Oksana)

„Bo teraz operujemy taką sytuacją bardzo emocjonalną, tak?, wszyscy jeszcze jesteśmy w tym takim napięciu, żyjemy w takiej totalnej empatii, jesteśmy w stanie oddać ostatnie, wszystko, co mamy, żeby pomóc innej osobie. Więc tak, jak mówię, choć w drastycznych warunkach, ale zbudowaliśmy niesamowitą przyjaźń”. (Julia)

„Totalna empatia” pełna była wzruszenia i współczucia („Mam takie poczucie, że po prostu szkoda mi tych ludzi, którzy tam, którzy tam cierpią” – Paweł), ale także uczucie odprężenia, że nie jesteśmy w takim położeniu jak Ukraina („Myślę, że ludzie... im współczuli po prostu, mówiąc najprościej, i, i dziękowali Bogu, że u nas nie ma czegoś takiego, że, że nikt nie musi uciekać” – Karol), bądź ulgi zmieszanej ze strachem na myśl o tym, że role mogłyby się odwrócić („Dla mnie to jest przerażające w ogóle, sama myśl, że ja bym mogła być w ich sytuacji” – Karolina; „Człowiek się wtedy zastanawia, co by było, gdyby to jego dotknęło” – Aleksandra).

Czynniki, które ułatwiały Polkom i Polakom współodczuwać emocje naszych sąsiadów, to z pewnością podobieństwo rasowe (biały kolor skóry, brak różnic w wyglądzie zewnętrznym) oraz kulturowe (wspólny krąg cywilizacyjny, słowiański etnos, podobny język, religia chrześcijańska). Jak relacjonowali badani:

„Przyjechali do nas w tej chwili ludzie bardzo podobni do nas, prawda? Jeśli chodzi o kulturę, język, kolor skóry, wyznanie, no, wszystko, prawda?”. (Ignacy)

„Tutaj nagle widzimy osobę, która, powiedzmy ma te same ubrania, czy podobny styl co my, i ona w tej chwili została tylko z jednym plecakiem, czy, jak niektórzy, z reklamówką, w której ma tylko paszport. I to jest takie, że my to automatycznie przenosimy na siebie”. (Klara)

„Ja po prostu uważałam, że to są tacy sami ludzie, jak my, takie same dzieci. Takie same osoby starsze, które przyjechały, które się tak naprawdę znalazły na tym dworcu w Warszawie, i co dalej? I co dalej, i co dalej? Co mają zrobić ze sobą, gdzie mają schronienia szukać, gdzie mają dach mieć nad głową? (...) Obserwując ich, czuję, jak ja bym musiała się zachować w tej sytuacji i szukać gdzieś domu, gdzie no zostawiam z dnia na dzień wszystko, tak? I tułać się”. (Ania)

Ponadto obywatele Ukrainy są w polskim społeczeństwie zdomowieni, spotykamy ich na co dzień na ulicach miast, w miejscach pracy i nauki, w przestrzeniach konsumpcji, w kręgach towarzyskich. W Polsce są oni odbierani pozytywnie, ich życzliwy wizerunek kontrastuje z negatywnymi stereotypami ludzi z krajów arabskich, Bliskiego Wschodu czy Afryki.

„Nam bardzo pomogło to, że mieliśmy kontakt z Ukraińcami, że ludzie pracowali z Ukraińcami, nie tylko, nie wiem, widzieli ich w Żabce, ale w korporacjach, wykształconych, na różnych poziomach, że każdy miał jakiegoś swojego kolegę, koleżankę, gdzieś z Ukrainy, i wiedzieli, że to są normalni ludzie, tacy jak my, bardzo podobni i ta Ukraina to nie był, nie wiem, ktoś z daleka”. (Weronika)

„Bliskość etniczna, ukraińska, no, na pewno też, tych czynników sprzyjających temu jest cała gigantyczna masa, no. Dlatego, że jesteśmy też już oswojeni z Ukraińcami, bo przez tyle lat oni byli po prostu obecni w naszym kraju, że to jest ta bliskość”. (Aga)

„A poza tym się ich nie boimy, bo oni u nas już byli. Syryjczyków się boimy i ja też bym się bała. (...) To są już nawet, wiesz, ludzie z Ukrainy, oni są dla mnie, ja tak zawsze mówię, przytulni. Oni mają ładny język, oni są ładni, oni mają, jak to mówiłam tak zawsze, maślane takie bułeczki przyjemne. Oni są po prostu przyjemnie... to nie są Syryjczycy brudni w języku, którym nie mówisz, i jeszcze mało go w ogóle słyszysz, gdzie teraz myślisz, że bomba wybuchnie. (...) Pracują u nas od bardzo wielu lat. Ile osób ma pomoc w domu czy przy starszych osobach, w budownictwie to już od dawna słyszymy język ukraiński, o Uberze nie wspomnę. W związku z tym to właściwie przyjeśliśmy przyjaciół czy rodzinę ludzi, którzy z nami już tu żyli”. (Ela)

Cieniem na empatii i współczuciu wobec ukraińskich uchodźców wojennych kładzie się postawa polskiego społeczeństwa wobec uchodźców

i migrantów z innych kręgów kulturowych. Wielokrotnie w prowadzonych rozmowach wracał wątek granicy białoruskiej, dzielenia uchodźców na lepszych (białych Słowian) i gorszych (tych o ciemnym kolorze skóry), ksenofobii Polek i Polaków i „tego, jak bardzo nasze pomaganie uzależnione jest od kwestii rasowych, etnicznych i religijnych” (Aga).

O wybiórczej empatii tak mówiła jedna z kobiet, która na samym początku włączyła się w rozmaite akcje pomocowe:

„To strasznie brzmi, ale to trochę tak jest, że łatwiej jest pomagać nie wiem, mamom z dzieckiem, z dziećmi, niż nie wiem, mężczyznom. No jednak Ukraina jest kulturowo nam bliższa, więc łatwiej jest, tak? No i te kobiety z dziećmi, no łatwiej jest pomagać kobietom z dziećmi, niż, nie wiem, mężczyźnie z kraju, który kulturowo jest daleki od nas”. (Zuza)

Mówienie o okazanej empatii kieruje nasze myśli w pierwszej kolejności w kierunku ludzi i ich historii. Ale ważnym składnikiem tego uczucia jest też sytuacja – zagrażająca życiu, nagła wojna. Jeśli zaś chodzi o wojnę, naruszanie granic, anektowanie terytoriów, terror okupantów, Polakom łatwo wczuć się w sytuację ofiar. Analogie historyczne oraz wspólny wróg – Rosja – to druga generująca empatię płaszczyzna podobieństw między polską a ukraińską historią i współczesnością. Jak powiedziała jedna z badanych: „Mamy taką solidarność trochę z nimi, ze względu na to, że to Ruscy napadli” (Monika), inna dobitnie oceniła nasze intencje: „To nie jest z miłości do Ukraińców, tylko to jest z nienawiści do Rosjan, że mamy takiego wspólnego wroga” (Ewa). Gdy patrzymy na rosyjskie wojska najeżdżające niepodległy, europejski, bliski kraj, wspomnienie historii naszego kraju uruchamia przenoszenie perspektyw.

„My potrafimy rzeczywiście [zrozumieć Ukraińców], sami może doświadczeni różnymi trudnościami, bo i zabory, i też druga wojna światowa, no też przecież wielu Polaków znalazło się gdzieś tam na uchodźstwie, przecież i najpierw Związek Radziecki, potem nawet Iran czy tam część uchodźców dotarła na koniec wojny [z Armią Andersa]. Tak, więc no to sami mamy te doświadczenia”. (Piotr)

„Po pierwsze, myślę, że ludzie mają trochę takie myślenie, że my też, jako społeczeństwo polskie, przeszliśmy swoje kiedyś. Po drugie myślę, że być może to trochę wynika z takiej nadziei, że jeżeli nam by się to przydarzyło, to też się znajdą ludzie, którzy pomogą”. (Dorota)

„Przyjechali do nas ludzie gnębieni przez kogoś, kogo i my nie lubimy i kogo i my się boimy, prawda? Myślę, że to też ma znaczenie. No i przyjechali do nas ludzie doświadczeni konfliktem, który się dzieje tuż obok, prawda?”. (Ignacy)

„Empatię poczułem dużą do ludzi, szczególnie do cywilów, którzy giną na froncie, giną dzieci, osoby cywilne, które nie powinny brać udziału w tych sporach wojennych. Ginęli niewinni ludzie, ale również trzeba ubolewać też nad śmiercią zwykłych żołnierzy, bo śmierć jest jednakowa dla wszystkich, więc empatia i współczucie”. (Krzysztof)

„Moja mama ma korzenie z Kijowa, jej rodzina przed wojną tam sobie żyła. Bardzo dawno to było, jeszcze przed pierwszą wojną, oni po pierwszej wojnie przyjechali do Warszawy. I, i dla mojej mamy, właśnie, jest taka duża analogia, że to też przez wojnę, bo tamta rodzina z Kijowa to była polska rodzina w Kijowie i oni zostali wywiezieni na wschód i oni potem, jakby, musieli się przedostać do Warszawy. Dla mojej mamy to była jakaś taka mocna analogia tego, co, gdzieś tam w rodzinie, o czym się rozmawiało. No i też, jak przyjechały panie z Kijowa, to siedziały i płakały, wszystkie razem”. (Jagoda)

ONI są jak MY – dlatego współodczuwamy z osobami uchodźczymi. Ale drugie źródło empatii płynie z innego rodzaju utożsamienia – MY jesteśmy jak ONI, a przynajmniej wierzymy, że tacy właśnie bylibyśmy, gdybyśmy byli na ich miejscu: odważni, dzielni, zwycięscy, silni.

Dzielimy z narodem ukraińskim nie tylko historię wojennych opresji i dramatów, geopolityczne położenie, ale też wspólne wartości, takie jak poświęcenie dla ojczyzny, bezkompromisowa walka w jej obronie, sprzeciw do końca. Takie jest bowiem polskie rozumienie i doświadczenie patriotyzmu. Za takie postawy podziwiamy naszych przodków i takie cechy budują nasz narodowy etos. Waleczność wojska ukraińskiego i prezydenta Wołodymyra Zełenskiego Polakom imponuje, budzi szacunek i respekt.

Rodzi wdzięczność. Ze społeczeństwem, które się podziwia za opór i walkę, łatwo się utożsamić.

„To wszystko, co dla Polski, co dla Polaków jest ważne. To jest to, że mężczyźni zostali, bronią ojczyzny. Przed najeźdźcą. Ci mężczyźni są i walczą, i oni na tyły właśnie swoje kobiety i dzieci do sąsiadów, do przyjaciół Polaków wysłali. I zresztą była ta narracja, że, że wasze kobiety i dzieci są bezpieczne, tak? Wy możecie walczyć. Więc to jest właśnie jednak to, co zagrało na tej polskiej duszy, że ten, ten Ukrainiec tam stoi i walczy za jednak naszą wspólną wolność. Bo to są kobiety i dzieci [wśród uchodźców], a mężczyźni walczą o ojczyznę. I to Polakowi bardzo pasuje, właśnie taki schemat, i wtedy tacy uchodźcy są *very welcome*. Także... także wiesz, także, także to nie jest... ten *casus*, że to po prostu są Słowianie. To jest ten *casus*, że oni zrobili dokładnie to, co Polacy cenią. Jest wiesz, ten taki etos narodowy tej, tego obrońcy ojczyzny. Więc mam wrażenie, że to też na pewno, jakby... tym bardziej nas motywuje do, do pomocy. Że to nam pasuje tak, wiesz, na poziomie takich, nie wiem, wartości narodowych, tak? To wszystko, wszystko się zgadza. Tu wszystko się zgadza. Jest po Bożemu”. (Anna)

„Każdy, z kim gadam, każdy ma jaką taką świadomość, że oni walczą za nas również. I, i wszyscy im kibicują, żeby, żeby ruskich pogonili. Myślę, że to jest powszechne. To jest powszechne, ja się nie spotkałem z innymi, tutaj, z innymi tutaj głosami. Czyli, czyli współczucie i, i taka solidarność, naprawdę, no, taka, taka solidna solidarność, no”. (Karol)

Wojna to czas skrajności. Na wojnie słabość, ból, lęk i okrucieństwo spotykają się z heroizmem, wspólnotą i człowieczeństwem. Przemoc to awers wojennego czasu, empatia to jego rewers. Wojna generuje cierpienie, które domaga się troski i pomocy, a te można zorganizować często dopiero poza strefą wojny, z dala od działań zbrojnych, na uchodźctwie.

Tak stało się w przypadku polskiej pomocy uchodźcom wojennym z Ukrainy. W ten sposób wojna zainicjowała swoisty outsourcing troski. Zło działań wojennych uruchomiło produkcję dobra. Po agresji zbrojnej Rosji na Ukrainę w naszym kraju błyskawicznie uruchomiła się fala pomocy ze strony społeczeństwa, ludzi dobrej woli, którzy wolontaryjnie podjęli się naprawy krzywd spowodowanych przez wojnę. Stosunek

Polaków do niej – wynikający z doświadczeń zaborów, okupacji, powstań i wojen zaszytych w pamięci kolejnych pokoleń – sprawia, że w naszym narodzie tkwi **skumulowany potencjał pomagania**. Społeczny, uwewnętrzniony imperatyw, który uruchamia samoistną odpowiedź na wezwanie ofiar, osób w potrzebie. Dlatego „na początku ta pierwsza reakcja wszystkich jest taka sama, pomimo tej ciężkiej historii, którą mamy akurat z nimi [Ukraińcami], no nikt się, myślę, aż tak bardzo nie zastanawia. Każdy chce pomóc, to jest normalny odruch” (Michał).

Decyzje

„Rozmawiałem z wieloma osobami, które jakoś pomagają, ale chyba z nikim nie rozmawiałem o tym, czemu to robi. Mnie się to wydaje, tak oczywiste, że nie trzeba o to pytać. Ale pewnie jestem w bardzo dużym błędzie, prawda? Pewnie tych motywacji jest bardzo dużo?”. (Ignacy)

Faktycznie, rozmówcy pytani o to, jak to się stało, że zaangażowali się w pomaganie uchodźcom, często odpowiadali, że „to było naturalne” (Ewelina), „po prostu” zaczęli pomagać i nie myśleli za dużo o powodach swoich decyzji. Dlaczego Polacy pomagali? „No bo po prostu są dobrzy” (Dorota) – odpowiadali niektórzy. Pierwszy był odruch serca, nieuświadomiany impuls. Jednak w toku wywiadów badani dzielili się wieloma przemyśleniami na temat tego, co motywowało do pomagania zarówno ich samych, jak i innych ludzi. Analiza tych wypowiedzi pozwoliła nam stworzyć typologię decyzji o pomaganiu, nieco bardziej skomplikowaną i wskazującą na wielość źródeł motywacji pomagaczy. W historiach opowiadanych przez osoby pomagające przenikały się i łączyły ze sobą różnorodne typy motywacji.

Przegląd powodów zaangażowania Polek i Polaków w różne formy pomocy ukraińskim uchodźcom przedstawiamy w tabeli 1, a poszczególne typy decyzji omawiamy w dalszej części rozdziału i ilustrujemy konkretnymi przykładami z wypowiedzi osób badanych (pierwotnie opis typologii decyzji o pomaganiu ukazał się w: Kalinowska, Krakowska, Sałkowska 2023).

Tabela 1. Typologia decyzji o pomaganiu

Charakter decyzji	Źródło motywacji	Powody pomagania	Pomagam bo...	Czym jest pomaganie?
Etyczny	Wartości	Imperatyw wewnętrzny: trzeba pomagać, trzeba się dzielić Wola opowiedzenia się po stronie dobra Solidarność z człowiekiem w potrzebie	tak trzeba to moja powinność wybieram dobro ludzie są dobrzy dobro zwyczają	Pomaganie to wybór moralny
Spółeczny	Normy społeczne Bezpośredni wpływ społeczny	Gościnność i pomaganie słabszym jako element wychowania wyniesiony z domu rodzinnego Presja grupowa, moda na niesienie innym pomocy Atmosfera panująca w grupie jako zachęta do bycia razem w pomaganiu	tak wypada tak mnie nauczono inni tak robią chcę robić to, co inni, być z innymi chcę należeć do wspólnoty pomagaczy	Pomaganie to efekt przynależności do wspólnoty
Patriotyczny	Etos narodowy	Podobierstwo historii Wspólny wróg	rozumiem ich postawę sytuacja polityczna tego wymaga	Pomaganie to odpowiedzialność wobec ojczyzny
Emocjonalny	Emocje	Współczucie, empatia, troska Złość i niezgoda na cierpienie	chcę, żeby inni poczuli się lepiej nie mogę znieść, że ludzie cierpią	Pomaganie to reakcja emocjonalna
Terapeutyczny	Potrzeby psychologiczne	Chęć zniwelowania negatywnych emocji przez działanie Poszukiwanie sensu Dopływ hormonów szczęścia	chcę poczuć się lepiej chcę znaleźć dla siebie miejsce	Pomaganie to sposób radzenia sobie
Tożsamościowy	Styl życia	Indywidualne doświadczenia pomagania i kontaktu z „innym” z przeszłości Profesjonalne przygotowanie do niesienia pomocy	umiem mogę lubię	Pomaganie to styl życia
Materiałny	Korzyści materialne	Możliwość pozyskania pieniędzy lub siły roboczej Profity w miejscu pracy	się opłaca	Pomaganie to konkretny zysk

Źródło: Opracowanie własne.

Decyzja etyczna: pomaganie to wybór moralny

Wojna to test z człowieczeństwa. Najczęściej wymienianym powodem decyzji o pomaganiu był imperatyw moralny, wewnętrzne przekonanie, że „tak trzeba”, impuls, naturalne dążenie do robienia tego, co właściwe. Narracja etyczna w wywiadach wychodziła od twierdzenia, że człowieczeństwo oznacza kierowanie się w swoich wyborach uniwersalną etyką, której najważniejszym drogowskazem jest czynienie dobra, szczególnie wtedy, gdy istnieje potrzeba pomocy osobom pokrzywdzonym. „Ludzkie” zachowanie zasadza się na wartościach takich, jak miłosierdzie, współczucie, życzliwość, troska – to one budują moralną figurę pomocacza.

„Tak, no po prostu, trzeba, bo potrzeba jest, trzeba każdemu pomagać, trzeba być człowiekiem”. (Ania)

„Bo to było tak naturalne i tak spontaniczne, że wydaje mi się, że nikt w głowie sobie za bardzo nawet nie kalkulował, tylko to była taka potrzeba, jakby, potrzeba serca. (...) I to, co dla mnie było właśnie niesamowite, że tutaj jakby już nie miały znaczenia żadne różnice, to, czy ktoś właśnie jest wierzący, niewierzący, czy ktoś się kieruje właśnie pobudkami bardziej religijnymi, ktoś zupełnie jakby innymi. To, to chyba jednak kierowało nas to, że po prostu jest taka potrzeba, jest taka... że widzieliśmy, tak, te dzieci, widzieliśmy twarze tych ludzi i wydaje mi się, że to było tak naturalne, że po prostu jakaś chyba taka potrzeba człowieka, że coś się dzieje złego, możemy coś zrobić, to robimy. Że bardziej bym powiedziała, że taka potrzeba serca, ale tak, no nikt specjalnie tego nie, nie analizował, nie zastanawiał się, że to był taki impuls. Po prostu, ja to sobie tak myślę, że chyba po prostu w każdym z nas jest taki naturalny po prostu impuls do pomocy drugiemu i to po prostu w tej sytuacji się gdzieś tam, jakby, zaskoczyło, tak, że to jest moment”. (Gosia)

„Po prostu, normalne, chrześcijańskie uczucie, no. Są ludzie, którym trzeba pomóc, i nie ma dwóch zdań, no, tu nie ma się nad czym zastanawiać. Ani filozofować, tylko po prostu się [pomaga], jakby, a priori”. (Karol)

„No nikt nie ma obowiązku [pomagać], bo to zależy personalnie od osoby, czy ty chcesz, czy ty nie chcesz. Ale ja po prostu czuję wewnętrznie coś takiego”. (Yana)

„Mnie się wydaje, że jakieś takie nastawienie prywatne, odczucie, już taki charakter się ma, niektórzy mają taki charakter, że chcą bardziej pomagać, inni mniej, ale ogólnie rzecz biorąc, to się widzi, że każdy wie, że ta potrzeba jest i trzeba tym ludziom pomóc”. (Walenty)

Pomaganie było zatem wyborem moralnym, który polegał na opowiedzeniu się po właściwej stronie w walce dobra ze złem. Wiązało się to z przekonaniem, czy też projekcją, że dobro musi zwyciężyć, że zawsze zwycięża.

„Zresztą tutaj chyba cały świat się zjednoczył raczej przeciwko okrucieństwu wojny, no bo to jest walka dobra ze złem, tak? Więc, no, możemy się opowiedzieć po stronie albo tych dobrych, albo złych, no ale nikt nie chce być zły. Więc jesteśmy dobrzy w tej sytuacji, bo nie mamy innego wyboru”. (Zuza)

„Najlepszym, najwięcej, co mogłaś zrobić, to po prostu pomóc, tak? (...) I to jest super, i po prostu myślisz, kurczę, no fajnie. Czyli jednak jest nadzieja dla tej ludzkości”. (Anna)

Skąd brał się, według rozmówców, ów moralny kompas, który w naturalny sposób kierował ludzi ku decyzji o niesieniu pomocy i – jak mówili niektórzy – nie dawał im wyboru, nakazywał czynienie dobra? Jedni mówili, że to element ludzkiej natury. Inni wskazywali na społeczne, kulturowe i religijne źródła kształtowania dobroci wyrażającej się w woli pomagania.

Decyzja społeczna: pomaganie to efekt przynależności do wspólnoty

Były osoby, które mówiły wprost o tym, że ruszyły z pomocą uchodźcom, ponieważ w taki sposób je wychowano. Etyczne i społeczne motywacje bardzo często łączyły się ze sobą – ludzie kierowali się zasadami i wartościami moralnymi, które rodzina i wspólnota kulturowa oraz religijna wpołyły im w dzieciństwie. Oddziaływanie tradycji i norm społecznych, które ludzie internalizują w toku socjalizacji, to istotny powód pomagania.

Niektóre osoby na pytanie o przyczyny swojego zaangażowania w ruch pomocowy odpowiadały w taki sposób:

„No tak, już od dawna w tej wierze i tak byliśmy wychowani, to chyba też”. (Walenty)

„Ja wiem, że nie każdy jest takiego spostrzeżenia, że trzeba pomagać, ale raczej, no ja tak byłam wychowana w domu, że należy pomagać i ta pierwsza pomoc jest zawsze dla każdego bardzo potrzebna. I ja nie wyobrażałam sobie inaczej podejść do sprawy”.

(Ania)

„Nie wiem, wydaje mi się, że to też bardzo mocno się wynosi z domu. Nie wiem, na ile mam rację, ale... Tak jak, właśnie, dla mnie to było oczywiste i moi rodzice przyjęli jakichś ludzi, to rozmawiałam z moim kolegą, i on był taki w szoku: *Jak to, ojejku, moi rodzice w życiu, oni by się bali wpuścić obcych ludzi do domu*. I tak myślę, że jak się wyniesie takie podejście z domu, to samemu się nie wpuści nikogo, ha, ha. I gdzieś tam będzie się dbało po prostu o, o swój komfort i to, nie wiem, widzę tutaj gdzieś przyczynę. Taki mental niektórzy mają po prostu. (...) Więc to, wydaje mi się, że jeszcze zanim, ten odruch był tak od razu. (...) Chyba z mlekiem matki go wyssałam (...) chyba moi rodzice tak nas wychowali, rzeczywiście. I od zawsze gdzieś tam wiem, tak, że trzeba pomagać. Nie wiem, nie zastanawiam się. Chyba, po prostu wydaje mi się to bardzo naturalne”. (Jagoda)

„Tak naprawdę w ogóle to ja jestem bardzo wierzącą osobą i ja staram się nie robić ludziom zła, bo ja boję się Boga. (...) Ale robię ludziom dobro nie przez to, że boję się Boga, po prostu z dzieciństwa mnie tak wychowano, że trzeba być dobrym. I to tak”.

(Polina)

Decyzja o włączeniu w pomaganie mogła wynikać też z zewnętrznego poczucia zobowiązania – presji społecznej czy swoistej mody na pomaganie. Ten typ motywacji było widać szczególnie w „aktywistycznych bańkach”, środowiskach, w których pomaganie ukraińskim uchodźczy-
niom i uchodźcom stało się durkheimowskim faktem społecznym, jak w poniższych historiach.

„Było też takie, nawet takie, tak, poczucie, to mówiły znajome, że jak się było w... w Warszawie, to było w złym tonie nie pomagać, tak? Czyli jeszcze też taka presja

społeczna, że kurczę, no, ty musisz pomóc, tak, no bo jak to, no to, to co, ty nic, nic tutaj nie robisz?”. (Anna)

„I takie też, inni pomagają, to ja też chcę, inni wzięli kogoś do domu, w cudzysłowie mówię *wzięli kogoś do domu*, to ja też wezmę, to ja też przygarne i zaoferuję pokój”. (Ewelina)

„Ale też zauważyłam... że jest jakiś taki, taka moda na pomaganie, snobizm na pomaganie? (...) No więc ja się zaangażowałam bardzo szybko, pamiętam, że z tatą o tym rozmawiałam, rozmawiałam, opowiadałam mu, i tak rozmawiałam o tym z tatą i on najpierw się tak, nie wiem, czy to musiał przetrawić w głowie, czy co, ale nie, nie, jakoś nie mówił, że się chce jakoś zaangażować, nie mówił też, że w jakikolwiek sposób chce pomóc, a ja też uważam, że każdy, no każdy robi to, co tam uważa za słuszne. Ale potem, aha, i potem się okazało, że jego brat, czyli mój stryj, przyjął pod swój dach tam ileś osób, nawet rodzin, tam chyba nie wiem, z dziesięć osób, z dwie rodziny, czy trzy ukraińskie. Jak tylko mój tata się o tym dowiedział, to on bardzo szybko (...) po prostu powiedział: *Zuza, to powiedz mi, jak tu, jak tu można pomóc, co tu trzeba zrobić, jak tu zaprosić kogoś do mieszkania?*, i takie miałam wrażenie, że nie wiem, czy to jest moja interpretacja, czy... no ale bardzo długo, chyba przez miesiąc, nie wpadł na ten pomysł, że ma puste mieszkanie, że może pomóc, ale jak tylko się okazało, że jego brat kogoś przyjmuje, no przecież, no nie może być gorszy, i też, też postanowili... (...) Tak jakby taki snobizm na pomaganie. I tak, i te ciekawe rozmowy, tak: *Co ty dzisiaj zrobisz, żeby pomóc? Jak ty pomagasz?*”. (Zuza)

Nieuczestniczenie w pomaganiu powodowało w badanych dyskomfort, gdyż społeczna norma pomagania wyznaczała właściwy poziom zaangażowania w tamtym czasie.

„Sam fakt tego, że ja odlatywałam [na urlop] i właśnie, tak jakbym, no nie uciekałam z tego miejsca, po prostu miałam wcześniej zaplanowaną wycieczkę. Ale jakoś czułam, że, że tak nie powinno być, ha, ha. Jakoś bardzo klóciło się to we mnie. Jakoś czułam właśnie jakąś taką dezercję, mimo tego, że to nie, że to nie do końca tak to było w ten sposób. (...) Czułam tą nieadekwatność, że nie jestem w tym miejscu, w którym chciałabym być. Że widziałam, jak się ludzie skrzykują na grupach na fejsie i wszędzie, że idą pod ambasadę, albo coś. A ja, kurde, idę, oglądać starówkę. (...)

Wszyscy się organizowali na tych grupach, żeby właśnie iść na protest i ja, no, czułam się wykluczona z tego. Byłam nieobecna. Nie było mnie”. (Jagoda)

„Trochę ludzi reagowało w taki sposób, taką obroną, wiesz? W sensie, tak nie wiem, jak słyszeli, że kogoś my przyjęliśmy, to mówili: *No, ja sobie nie mogę na to pozwolić*. Tak jakby czuli się zobowiązani, że powinni. To jest w ogóle... Ja tyle razy mówiłam: *Słuchaj, ale każdy pomaga, tak jak może i to nie tylko fizycznie w kwestii miejsca, tylko emocjonalnie*, tak? No nie pomożesz, jeżeli sama nie jesteś na to gotowa i jeżeli nie jesteś w stanie tego dźwignąć, bo tylko zaszkodzić możesz. Ale no, było ileś takich osób, które tak zareagowały”. (Dorota)

Decyzje o pomaganiu motywowane społecznie były niekiedy związane z bezpośrednim wpływem grupy, osobistym zaproszeniem ze strony znajomych czy całkiem obcych ludzi. Aktywistyczna atmosfera dopingowała ludzi do podejmowania swoistego „pomocowego challenge”. Niektórzy namawiali koleżanki i kolegów na wspólne pomaganie – to była szansa, żeby pobyć razem, wspólnie coś zrobić. Ludzie przyprowadzali swoich znajomych na wolontariat. Klimat pomagania dosłownie „wciągał” kolejne osoby w tę rozpędzoną maszynę pomocy.

„Koleżanka mnie wciągnęła, było coś takiego, że ona jedzie, więc dobra, jadę z tobą”. (Renata)

„No w rodzinie i wśród znajomych, no to, ja bym powiedziała, że o tyle inaczej, że ich to też nakręcało, tak? Że jak oni właśnie widzieli, że ja tutaj jakby się angażuję w to, to też próbowali jakoś się zaangażować. I to raczej było takie, bym powiedziała, właśnie domino pomocy. Że nagle mówi ktoś, właśnie jak tutaj znajoma, gdzie, że ona powiedziała, to może ja też z tobą jakby pójde, że następnym razem daj znać i to tak właśnie jakby, to było takie właśnie pozytywne, że, że to wyzwało w ludziach takie dobro, że okay, to ja też tak chcę coś robić, pomagać. Tak. I tak samo właśnie, potem właśnie mówię, czy nawet właśnie mówiłam, że robimy tą zbiórkę, na te rzeczy, no to też ludzie, że słuchaj, to ja też dam, ja też dołożę. I to tak jakby podkreślało, że kolejni: to wiesz co, to i ja dołożę”. (Gosia)

Podjęcie pomocy i udzielanie na różne sposoby wsparcia było wyrazem uspołecznienia i przynależności do wspólnoty. Pomagacze motywowali

się nawzajem swoim przykładem, a naśladownictwo okazało się istotnym mechanizmem napędzającym sztafetę tego spontanicznego ruchu pomocy uchodźcom.

Decyzja patriotyczna: pomaganie to obowiązek wobec ojczyzny

Pomaganie wojennym uchodźcom z Ukrainy przez niektóre osoby było postrzegane jako wyraz patriotyzmu, odpowiedzialności za ojczyznę w stanie zagrożenia i solidarności z ofiarami wojny. To szczególnie rodzaj społecznej motywacji pomagaczy, ponieważ opiera się na realizacji zinternalizowanego etosu narodowego (Polska jako zbawca narodów, opoka chrześcijaństwa) i urzeczywistnianiu polskich cech narodowych, takich jak gościnność, poświęcenie, fantazja, determinacja i zaradność w sytuacjach kryzysowych. To też rodzaj motywacji emocjonalnej, bowiem kluczową rolę grała tu opisana wyżej empatia, której podłożem jest rozumienie położenia społeczeństwa ukraińskiego i jego postaw wobec agresji rosyjskiej. Wspólne dla Polaków i Ukraińców doświadczenie patriotycznego oporu zbrojnego oraz ten sam wróg – Rosja – były dla części osób bezpośrednim powodem zaangażowania w ruch pomocowy.

„Dla mnie jest obowiązek. Nie jakaś tradycja. Walczą za nas, bronią naszych granic, i dla mnie to jest tak oczywiste, że wiesz. Nic nie ma tu żadnych innych teorii, tak? I czy oni są fajni, czy niefajni, to są, bronią nas, Ukraińcy, tak? Proste jak gwizdek”.
(Jacek)

„Dla nas to jest oczywiste, że po prostu jeżeli się nie zatrzyma tej wojny tam, to ona się rozleje, i wiesz, i po prostu możemy być w takiej samej sytuacji, jak oni”. (Mela)

„Wydaje mi się, że ta reakcja też wynika bardzo z tego, że to jest nam tak strasznie bliskie, tak, znaczy, że po prostu większość z nas się poczuła zagrożona po prostu, tak, i że to jest taka reakcja, która nie wiem, czy jest taka strasznie filantropijna, tylko to jest reakcja obronna też, mi się wydaje, częściowo”. (Justyna)

Sytuacja polityczna i dobro ojczyzny wymagały od Polski i Polaków aktywności humanitarnej oraz zrobienia wszystkiego, żeby „zabezpieczyć

tyły” wojsk ukraińskich, by te mogły walczyć w obronie niepodległości swojego kraju, europejskich wartości i granic – także polskich. Włączenie się w „festiwal pomagania” to była też niepowtarzalna szansa, żeby pokazać, że „Polak potrafi”.

„Polak potrafi”, „daliśmy radę”, „sprawdziliśmy się” – patriotycznie motywowane pomaganie wiązało się również z szansą na to, żeby zmierzyć się z niedostatkami społeczeństwa obywatelskiego, zobaczyć wspólnotę narodową w lepszych barwach i odczarować wizerunek Polski zarówno na międzynarodowej arenie, jak i na rodzimym, polskim podwórku.

„Stanęliśmy naprawdę na wysokości zadania, jako społeczeństwo, jako naród, który, no, jest empatyczny, który w obliczu katastrofy, no, jest w stanie pomóc drugiemu człowiekowi, nawet jeśli wcześniej dominowały jakieś takie poglądy, jeszcze ta przeszłość nasza wspólna nie jest jakaś taka sympatyczna, tak, w odbiorze społecznym. Myślę, myślę, że tak jest, rzeczywiście, że, że nie jesteśmy złymi ludźmi, że potrafimy pomóc”. (Aleksandra)

„Wiadomo, nie jesteśmy najgorszym krajem... społeczeństwem na świecie, nie jesteśmy też pewnie najlepszym, ale... w tej sytuacji jakoś daliśmy radę, nie, i to, jest chyba krzepiące, bo cały czas jesteśmy na takim dorobku troszkę. Nie wierzymy trochę w siebie, i tacy jesteśmy troszkę nie tego... ja nie jestem z natury narodowcem, pewnie raczej odwrotnie, natomiast miło jest spojrzeć na to, że ludzie samorzutnie robią pewne rzeczy, bo nie muszą ich robić...”. (Paweł)

„Jestem w sumie tak trochę dumna z tego, że jestem Polką. I to jest pierwszy raz w życiu”. (Karolina)

„Tak, tak bardzo in plus było, wiesz, te artykuły, i wszyscy tak wow, *jak ta Polska pomaga!* No, to jednak tak czujesz, że wreszcie z tego pariasa, i wiesz, ha, ha, takim jesteś, takim jesteś bohaterem trochę. I takiego kraju, takich właśnie tych ludzi, tacy, takich wiesz, takich... szlachetnych Polaków, którzy tak się rzucili na pomoc. Może nie wszystkim, ale jednak. (...) Na pewno jest to bardzo pozytywne, i rzeczywiście mam wrażenie, że wszyscy, że w sumie, w Europie przynajmniej, to wszyscy jednak byli pod takim bardzo dobrym wrażeniem, (...) bo to też jest, jest budujące, takie dla spójności społecznej, wiesz. To poczucie takiego wspólnego celu, i tych wartości, że

właśnie, że nie tylko ten materializm, ale tutaj właśnie też ta pomoc, i tak dalej. Także to jest bardzo fajne. Także mam wrażenie, że to jest in plus, i w sumie nasze społeczeństwo na tym korzysta, tak, wiesz, tak moralnie. Mam wrażenie, że taki kapitał moralny, jakby, się buduje właśnie. Tak, każdy się lepiej z tym czuje trochę niż, niż kiedyś”. (Anna)

Decyzje motywowane patriotycznie łączą się z satysfakcją, że Polska znów okazała się bohaterska, a Polacy walczą po dobrej stronie, w słusznej sprawie.

Decyzja emocjonalna: pomaganie to reakcja emocjonalna

Patrzenie na cierpienia budzi w ludziach automatyczne reakcje emocjonalne – wzruszenie, przerażenie, gniew na sprawców przemocy. Reagują oni wówczas empatycznie, stawiając się w miejscu ofiar, licząc, że „gdyby nas coś takiego spotkało, to pewnie też byśmy od innych narodów tą pomoc otrzymali” (Aleksandra), w nadziei, że „karma wraca” (Ania). Chcą chronić tych, którzy doznają krzywd, chcą troszczyć się o ofiary, bezbronnych. „Pomagasz słabszemu, w potrzebie – wojna nam to robi” (Ela). Dla niektórych osób odczuwane emocje stanowiły główne argumenty za włączaniem się w inicjatywy pomocowe.

„Ja czułem taką przyjaźń dla tych ludzi, jak oni... Nieraz tak patrzyłem na młodych, na młodych tych ludzi, że, ja mówię, no ich miejsce może powinno być gdzie indziej, cieszyć się w swoim kraju, w swojej ojczyźnie, a los ich tutaj rzucił, no tym ludziom, i się odzywało to takie uczucie, że naprawdę trzeba im pomóc. (...) To, co ja odczuwałem, kiedy byłem czy przy zbieraniu darów, czy przekazywaniu im, to się robiło z takiej, z poczucia, kierowało tym moje serce”. (Walenty)

„To są osoby podatne na wrażliwość. W sensie, bo to są osoby, nie dość, że osoby zranione, to są kobiety z dziećmi, osoby starsze”. (Aga)

„I jeżeli ja mogę w jakikolwiek sposób poprawić ich sytuację tutaj, to ja chcę to zrobić. To nie mi nad głową latały bomby, to nie ja widziałam martwych ludzi na ulicach”. (Karolina)

Emocjonalne podłoże decyzji o pomaganiu umocowane jest w odruchowej reakcji na ludzką krzywdę. Wrażliwy człowiek kierujący się „odruchami serca” wie, że „nikogo się nie zostawia, po prostu, nie, nie można odwrócić oczu od człowieka i zapomnieć, bo to się nie zapomni, przede wszystkim” (Paweł).

Decyzja terapeutyczna: pomaganie to sposób radzenia sobie

Włączając się w akcje na rzecz Ukrainy, Polki i Polacy pomagali nie tylko uchodźcom, ale także sami sobie. W jaki sposób działa terapeutyczna moc pomagania? Po pierwsze, pomaganie to dla wielu osób remedium na strach przed wojną i dyskomfort, jaki wywołuje bezradność. Zaangażowanie koi nerwy, kieruje uwagę na działanie i jego efekt, tym samym uspokaja rozedrgane emocje. Badani i badane tak opowiadali o działaniu, które okazało się skuteczną strategią radzenia sobie z silnymi odczuciami.

„Czasem się ujawnia taka moja natura lękowa, więc myślę, że też się przestraszyłem pewnie. Ale myślę, że mam też już doświadczenie z innych sytuacji, które mnie nauczyło, że na lęk, chyba najlepszym lekarstwem jest jakaś aktywność, działanie, prawda? Więc myślę, że to jest, że te dwie reakcje, o których mówię, są ze sobą powiązane. To nie było intencją od razu, prawda? Myślę, że to może nawet nie było do końca uświadomione na początku, prawda? (...) Ale na pewno potrzeba aktywności, potrzeba działania, potrzeba pomocy, jest też pewnie w jakimś sensie odpowiedzią na pojawiający się lęk”. (Ignacy)

„W sensie, to [pomaganie] była wielka potrzeba. I to była moja wielka, wielka potrzeba, żeby po prostu coś zrobić. Ja po prostu jestem wdzięczna za tą okoliczność, za tę możliwość. Marnie o sobie myślę, w tym kontekście, że to zaspokajało też moje potrzeby niż... dało mi szansę po prostu też, też, też w jakiś sposób też skanalizować te swoje, swoją złość, swoją niechęć do tej sytuacji, straszny żal i na to, co się dzieje tym ludziom”. (Aga)

Dla wielu osób pomaganie było formą przywracania sprawczości i wiary w to, że w kryzysie wojennym działania nawet pojedynczej osoby może mieć ogromne znaczenie. Włączenie w akcje pomocowe było według niektórych deklaracją, że chcą i mogą coś dać od siebie. To zarazem wyraz nadziei, że człowiek ma jakiś wpływ na sytuację, może odzyskać kontrolę. Jak mówiły uczestniczki badań:

„Ja zawsze sobie myślę, że jak pomogę nawet jednej osobie, albo czterem osobom, to przynajmniej te cztery osoby będą zaopiekowane. Jakby ja całego świata nie uratuję, nie sprawię, że ta wojna się skończy, że ja niewiele mogę tak naprawdę, no bo mogę niewiele, jakby w perspektywie tego, co tam się dzieje, to niewiele. To jest, jak ma-lutki wycinek, ale przynajmniej tyle mogę”. (Zuza)

„Działanie pomaga przetrwać. Pomaga przetrwać stres, i jak już jest jakieś zagrożenie, no to jak coś robimy, no to mamy jakieś poczucie, że jednak, że jednak panujemy nad tym, co się dzieje”. (Aleksandra)

„Swoje marzenie, swoje jakieś tam cele to po prostu odsunęłam gdzieś dalej i tutaj byli właśnie ci ludzie dla mnie i jakby takie poświęcenie siebie, że ty możesz komuś być pomocna, potrzebna”. (Lena)

Pomaganie przywraca nadzieję i uspokaja sumienie, pozwala wyzbyć się poczucia winy.

„Taka niemożność siedzenia i obserwowania biernie tego, co się dzieje. Ja nie potrafię po prostu patrzeć, tak? No, nie potrafię. Więc... żebym, żeby też nie mieć takiego poczucia winy, tak? (...) Bo ja to robiłam dla siebie tylko dlatego, żeby nie czuć tego, że nic nie robię, wiesz”. (Anna)

Co więcej, niektóre osoby mówiły, że decydowały się na pomaganie, bo zaangażowanie wiąże się z napływem fali pozytywnych emocji, takich jak: satysfakcja, spełnienie, szczęście, duma, radość. Pomaganie nadaje sens życiu, podczas gdy okrucieństwo wojny ten sens odbiera. Żeby poczuć się lepiej, warto było wejść w role pomagaczy i pomagaczek.

„Ja chyba gdzieś jakby, zawsze widziałam, że ja, jak ja się w coś angażuję, to moje życie staje się takie jakby piękniejsze. Że jakby, ja już mam doświadczenie, że jak

jestem w coś mocno zaangażowana, to ja wbrew pozorom, mimo tego zmęczenia fizycznego, czuję, jakby, że moje życie ma sens”. (Gosia)

„To były takie emocje i uczucia, no, nie, nie powiem, że radości, radość była, ale w takim normalnym znaczeniu, typu radości, że mogę im pomóc. (...) Ja wiedziałam o tym, że lubię pomagać ludziom, typu, że jestem taka, że bardziej przynosi to mi jakieś takie, nie wiem, uczucie spełnienia, może to jest trochę egoistyczne nawet, że, typu, lub że zrobiłam to i jestem czasami dumna”. (Lena)

„A tu po prostu parę, parę takich czynności miałam wrażenie, że, no, naprawdę ma sens. Więc to jest bardzo takie ważne poczucie sprawczości. Fajne. Bardzo satysfakcjonujące, chociaż straszne, że związane z taką straszną sytuacją, no. Nie wiem, gdzieś jest ta sprzeczność tego, że masz takie poczucie takiego szczęścia, przy tak dużym nieszczęściu”. (Jagoda)

„Ludzie zauważyli, że to jest przyjemne pomagać, że to jest jakby wielka, no jakby tak nawet na poziomie hormonalnym, no, po prostu mega zastrzyk oksytocyny”. (Ewa)

„Po prostu miło mi jest, ciepło mi na duszy jest, w środku, kiedy ja pomagam”. (Milena)

„No i jak zaangażowałam się w to, od razu miałam lepszy nastrój, bo jednak mam takie poczucie, że to jest takie kluczowe, żeby coś zrobić, tak? Że taka bezradność jest właśnie najgorsza w tym momencie. I jak ja zaczęłam jakoś ich wspierać, to mój nastrój poszybował do góry, w ogóle bardzo”. (Anna)

Pomaganie było więc dla polskiego społeczeństwa formą zbiorowej terapii. Wiele osób świadomie decydowało się włączyć w ruch pomocowy po to, by odzyskać kontrolę i sprawczość, przetrwać trudny czas niepewności i emocjonalnych zawirowań, doświadczyć pozytywnych emocji, „naładować akumulatory”.

Decyzja tożsamościowa: pomaganie to styl życia

Niektóre osoby pomagały, ponieważ mogły, potrafiły, miały warunki. Posiadały zasoby – materialne, przestrzenne, emocjonalne – i dlatego

decyzja o pomaganiu była dla nich stosunkowo prosta i naturalna. Wpisała się w codzienność, nie wymagała poświęceń ani szczególnych zabiegów. Niektórzy na co dzień zajmują się działalnością usługową (np. wynajmują mieszkania, prowadzą działalność hotelarską, gastronomiczną). Inni mają unikalne kompetencje (np. językowe, zarządcze, informatyczne). W chwili wybuchu wojny takie osoby miały poczucie, że to jest właściwy moment, aby swoje zasoby wykorzystać. Pomaganie wkomponowało się w ich projekty życia.

„A jeszcze miałam takie poczucie, że jak znam rosyjski, to ja muszę jakoś to wykorzystać, bo tak sobie pomyślałam, że ci ludzie, przecież wtedy bardzo dużo ludzi było na dworcach, i tam są, tam jest dużo wolontariuszy, ale mało z nich mówi po rosyjsku, czy po ukraińsku, a skoro ja mówię, no to, to trzeba wykorzystać, ale tak sobie myślałam, że gdybym ja przyjechała do innego kraju, uciekała przed wojną i nawet, gdyby to byli cudowni ludzie, ale nie mówili w języku, w którym ja mówię, no to przecież ja bym poczuła, ogromny stres to musi być...”. (Zuza)

„Ja uważam się za osobę dosyć uprzywilejowaną. W związku z tym, mam takie poczucie, że osoby w takiej sytuacji jak ja, osobom potrzebującym powinny pomóc. Miałem zresztą kilka, może nie bardzo dużych, ale jednak, doświadczeń z uchodźcami, także w ostatnich miesiącach. No więc, chyba miałem takie poczucie, że to jest kolejna z sytuacji, w którą po prostu, będę chciał się jakoś zaangażować”. (Ignacy)

„Proste to jest. No właśnie, gdybym nie miała warunków, i gdyby nie było tej przestrzeni, to bym tego w życiu nie zrobiła, tak?”. (Mela)

„Pierwsza rzecz to się odezwała do mnie znajoma, która pracuje w radiu, że ma audycję no i oczywiście, że chce poświęcić tą audycję, w związku z tym, no, Ukrainie. I czy bym mogła jej podesłać jakieś nagrania, skoro ja śpiewam po ukraińsku. (...) No i sobie zdałam sprawę, ha, ha. Halo! Ja rzeczywiście, jakby, mam trochę więcej kontaktu z tym światem, bo, no bo śpiewam po ukraińsku. Nie mówię po ukraińsku, nie rozumiem, ale jakby od paru lat się interesuję trochę tą kulturą. (...) I napisałam do mojego zespołu, że halo, przecież to my! Możemy coś zrobić!”. (Jagoda)

„Wpadłam jak śliwka w kompot, ze względu też trochę na swoje kompetencje [kompetencje], dlatego, że ja jestem technologiem żywności i żywienia i jak zobaczyłam,

jak wygląda chłodnia [w dużym punkcie recepcyjnym] to poszłam do osoby, która tam była (...) poszłam i powiedziałam: *No ktoś musi zrobić porządek w chłodni i zadbać o wszystko, ustalić system zapewniający bezpieczeństwo żywności!*". (Kalina)

Niektóre osoby już wcześniej nauczyły się pomagać, mają swoją osobistą lub zawodową historię zaangażowania w niesieniu pomocy. Lubią być obok innych ludzi, wspierać ich, wiedzą o sobie tyle, że sprawdzają się w roli tych, którzy się troszczą. Od lat pracują i działają w służbach, zawodach medycznych czy organizacjach pozarządowych jako wolontariusze, aktywiści albo profesjonaliści.

„W ratownictwie nadrzędnym jest to, że się pomaga, że ta pomoc, że my jesteśmy, ja już po grupach też i wolontariatu, i ratownictwa, że tu spotkała nas sytuacja wojny, ale gdyby to powiedzmy była sytuacja, nie wiem, że nagle zawaliło się, powiedzmy całe Katowice się zawaliły, to wszyscy ruszyliby tak samo, że tutaj nie było tej kwestii, że jest wojna to pomagamy. Nie, po prostu trzeba pomóc drugiemu człowiekowi, i po prostu potrzeba nas dużo. I to podziałało w ten sposób, że myślę, że u wszystkich było, było to przede wszystkim, że to zawsze działa w mechanizmie ratownictwa. Że jeżeli już ratownikiem z krwi jesteś, to potem niezależnie, czy to jest wojna, czy to jest zawalenie się budynku miasta, to po prostu biegniesz, bo jesteś tam potrzebny”. (Klara)

„Szybko zrobiła posiedzenie zarządu głównego, żebyśmy się zastanowili, w jaki sposób możemy się włączyć, bo jesteśmy zsielowani, nie? I mamy jednak różne zasoby, i zdawałam sobie chyba też sprawę od razu, że ta ściana graniczna będzie obciążona, a my tu daleko mniej. I że możemy część jakichś obowiązków koordynacyjnych na przykład przejąć”. (Ela)

„Ale tutaj jakoś ta pomoc była taka oczywista i jakby mogłam ją wpisać po prostu w prace naszego stowarzyszenia”. (Ewa)

Jeszcze inni postrzegają świat jako miejsce, w którym krąży dobro i życzliwość. W swoim życiu doświadczyli pomocy, nauczyli się, jak praktykować troskę o innych i wplekli takie postawy w swoje codzienne postępowanie. Są niejako wyspecjalizowani w niesieniu dobra.

„Ja w swoim życiu (...) spotkałam się z taką masą jakiejś takiej życzliwości naturalnej, ludzkiej, nieplanowanej, nawet nie dlatego, że mi było źle, tylko dlatego, że komuś było po drodze, żeby mi pomóc, że wydaje mi się, że to co ja i tak przez całe swoje życie robię, to procentowo tego nie oddaję, co dostałam”. (Weronika)

Gdy pomaganie staje się stylem życia, decyzja o zaangażowaniu w przyjmowanie uchodźców jest oczywista.

Decyzja materialna: pomaganie to konkretny zysk

Wśród pomagaczy znalazły się także osoby kierujące się chęcią zysku. Decyzję o włączeniu się w akcje pomocowe mogła w tym przypadku wywołać: (1) poczyniona przez państwo obietnica otrzymania świadczeń pieniężnych przez osoby goszczące uchodźców (40 PLN za jeden dzień goszczenia osoby uchodźczej); (2) upatrywanie w osobach uchodźczych siły roboczej i rąk do pracy (np. w jednym z badanych miejsc ludzie goszczący uchodźców planowali zatrudnić ich przy zbiorach owoców); ale także (3) zasady niektórych wolontariatów pracowniczych, zakładające czerpanie korzyści w zamian za zaangażowanie w akcje pomocowe (np. uzyskanie dni wolnych od pracy przez osoby, które brały udział w dyżurach w punktach recepcyjnych czy na dworcach).

Motywacje materialne do niesienia pomocy przez innych pomagaczy oceniane były zazwyczaj negatywnie.

„Byli wolontariusze, którzy byli przysłani na ten dyżur, bo to są pracownicy, ja tak zrozumiałam, to są pracownicy urzędu (...) i oni w ramach pracy chyba, czy mogli, że na przykład pójdą na ten dyżur, a potem nie przyjdą do pracy. (...) Na dworcu była taka jedna pani (...) widać było, że ona się też boi, no bo to było takie, to było bardzo, bardzo trudne i trochę się jej nie dziwię, nie wiem, czy oni tam byli wysyłani?, czy oni... nawet chyba nikt nie może nikogo zmusić do wolontariatu, ale widać było, że [ta pani] nie czuła się z tym dobrze”. (Zuza)

„Zderzyłam się z taką niestety firmową rzeczywistością, że niektórzy wolontariusze przychodzili do mnie, i powiedzieli: No okej, dwadzieścia cztery godziny na dobę,

siedem dni w tygodniu, no ale to jak to? To jak ja idę w nocy to potem ja mam wolne? Czy ja sobie odbieram? Czy ja dostanę za to coś? I ja wtedy tak mówię: Ale jak to w ogóle? O co tu chodzi, nie? (...) to było też trudne, mnie to frustrowało, że ktoś przychodzi i mnie pyta, czy coś za to dostanie. Albo że może dostać za to dzień wolny. Mówię: Słuchaj, to jak nie chcesz pomagać, to nie idź!, nie? No to jakby... Bardzo mnie to... I to były takie emocje we mnie, że ja tego nie rozumiałam. I bardzo mnie to de-nerwowało. I czasami reagowałam też w sposób impulsywny na takie pytania, bo to była potrzeba chwili, wszyscy widzieliśmy, co się dzieje, ludzie z organizacji też mówili o tym, że przyjmują kogoś, że chodzą do innych organizacji, że pomagają, nie wiem, w szkołach, tych ludzi lokować i tak dalej, i tak dalej... Kupują koce, zawożą śpiwory, różne rzeczy robią też prywatnie, poza firmą, a ktoś potrafił przyjść i po prostu jest taki, taki... Takie pytanie zadać w ogóle!”. (Ewelina)

Niezależnie od powodów – jest decyzja, jest działanie. Trzy – Cztery – START!

Pospolite ruszenie w społeczeństwie łatwopalnym

„Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie, ja z synowcem na czele i jakoś to będzie” (Mickiewicz 1982, s. 177) – w tych kanonicznych dziś słowach wypowiedzianych przez sędziego Soplicę, wieszcz wypunktował nasze, polskie usposobienie: łatwopalne – z jednej strony – i skłonne do intensywnych emocji, a z drugiej – dość niefrasobliwe czy też niepokojąco prezentystycznie zorientowane.

Takie usposobienie dało o sobie znać już w pierwszych dniach i tygodniach po wybuchu wojny w Ukrainie. I tym razem Polacy rzucili się do pomocy, nie zważając na możliwe komplikacje i problemy, które mogą pojawić się w niedalekiej przyszłości. Bez długofalowej polityki pomagania, niekiedy jedynie z operacyjnym planem organizacji pomocy. Na własne oczy zobaczyliśmy książkowy obraz polskiego społeczeństwa opisywany w kanonie lektur szkolnych.

Jedna z badanych, polonistka, zobaczyła „Polaków, jakich znała z literatury – w godzinie próby zdolnych do zrywu i największych poświęceń” (Anastazja). Ci Polacy gdzieś są! Właśnie tu – to my jesteśmy tymi Polakami.

„Mamy tendencję, my bardzo lubimy się zrywać. Lubimy mieć swoje zrywy. I to też był zryw”. (Aga)

„My jesteśmy akcyjni. My jesteśmy nawet jak długodystansowcy, to jednak akcyjni. (...) Może my po prostu mamy już wpisaną tę waleczność w swoje geny i jednocześnie tę wyniosłość: my, naród, teraz będziemy razem. My się trochę w tym pławimy, nam jest dobrze w tym, że my jesteśmy dobrzy”. (Ela)

„Wojna pokazała jeszcze raz, i udowodniła to, że we wszystkich książkach historycznych polski naród będzie opisywany jako naród, który może w dwa dni się w ogóle zrzeszyć i pomóc w ogóle na taką skalę. Ja byłam sama w szoku, że coś takiego mogło się wydarzyć”. (Yana)

Pomaganie miało w Polsce charakter pospolitego ruszenia. To był masowy ruch, spontaniczny zryw, ogólnospołeczny szal ogarniający zjednoczone, polskie społeczeństwo, które z wielkim entuzjazmem i ułańską fantazją rzuciło się do pomagania. To była „samoorganizacja na dużą skalę” (Aleksandra), ruch miał charakter powszechny, w pomoc uchodźcom z Ukrainy włączyły się „zastępy Polaków” (Anna).

Pomaganie miało też rys działania zbiorowego wyrastającego z normy pomagania, było zachowaniem oczekiwanym i zyskującym społeczną aprobatę. Wiadomo było, że Polacy włączą się w pomoc osobom uchodźczym – to był impuls, żarliwa chęć, nie rozkaz, lecz oddolny odzew na zawołanie o pomoc:

„A jeżeli chodzi o znajomych, to znajomi odczuwali to samo, co ja i szukali jakiejś formy pomocy. Jedni jechali na Dworzec Centralny, żeby pomóc tym ludziom i wolontariuszom, zaopatrując ich w jakieś środki spożywcze, napoje, jakieś zabawki dla dzieci, inni jechali do Nadarzyna, gdzie było ponad sześć tysięcy kobiet z dziećmi, jeszcze inni wybierali się samochodami na przejścia graniczne i oferowali pomoc, po-

kazując na planszach, na takich kartonach, ręcznie wymalowane nazwy miejscowości, w których mogliby tych ludzi przyjąć. Także ogólnie rzecz biorąc było takie popolite ruszenie, w cudzysłowie, ludzi, którzy wczuli się w sytuację i chcieli po prostu w jakikolwiek minimalny sposób pomóc”. (Krzysztof)

„Polska stała się, całe jakby społeczeństwo, NGO, ha, ha. Organizacją pozarządową pomocową. Ponieważ, no, skala zaangażowania społecznego chyba już od wielu lat nigdy nie była taka zauważalna. Więc moim zdaniem, jest to część solidarności, która na pewno wejdzie do historii, ponieważ jeszcze nie widziano, aby na początku kryzys uchodźczy był rozwiązany w taki sposób, że ludzie po prostu przyjmą uchodźców do siebie do domu, a nie zamieszczą ich w obozach dla uchodźców, więc nigdy takiego czegoś jeszcze nie było. (...) Oprócz tego, że przyjęli uchodźców do siebie do domu, to zaangażowanie wolontariackie we wszystkich organizacjach na różny sposób, przeprowadzanie zbiórek w pierwszych tygodniach chaotyczne, czasami niepotrzebne, jedzenie było wyrzucane, wylewane, już tego jedzenia było tyle, że uchodźców jeszcze tyle nie było. Ale cóż, była taka potrzeba wykazania się...”. (Inna)

O entuzjazmie Polek i Polaków badani często mówili, używając metafory ognia. Polskie społeczeństwo „łatwo zapalne” (Helena) uległo żywiołowi pomagania. „Na początku było tak, że wszyscy się rzucili i pomagali, i tylko o tym myśleli” (Helena), nastąpiła „gigantyczna mobilizacja” (Jagoda), ludzie „żyli dzisiejszymi działaniami” (Justyna), wybuchł potencjał pomagania i uruchomiły się zasoby – „to, co było i się tliło” (Aga) w naszym społeczeństwie. Aż nastąpiło tąpnięcie entuzjastycznego nastroju i moment wypalenia. „Na razie jest *sursum corda* jeszcze” (Aga), ale „ten początkowy zryw wiele ludzi spalił na początku” (Dorota).

Gwałtowność zaangażowania i jego natężenie odbijały się na stanach świadomości osób pomagających, które tak opisywały swoje wspomnienia z początku zrywu:

„Po prostu jakbyśmy dostali jakiegoś zastrzyku dopaminy, nie wiem, ha, ha. No po prostu, ilość energii była niesamowita. (...) To był jakiś nie, niezły lot, ja nie wiem, byłam na jakimś haju trochę, ale to chyba w ogóle, jak, no... Dużo emocji. (...) no po prostu byłam jakaś odrealniona, ha, ha. Po prostu, wszystko się działo, ja po prostu

leciałam jak na jakichś narkotykach i, byłam najbardziej szczęśliwą osobą na świecie, mimo tego, że to było absurdalne, no, bardzo przykra sytuacja, ale po prostu, ilość mobilizacji i tak dalej, tego, ile osób chciało pomagać i tak dalej, była taka, że ja byłam niesamowicie szczęśliwa”. (Jagoda)

„Była taka megaadrenalina, póki ta adrenalina była, to ja mogłam bardzo mało spać i non stop pracować. (...) Byłam mocno roztrzęsiona, tak jak zresztą przez pierwszy miesiąc, ja na pewno mogłam spać dwie godziny i później zapieprzać dalej, tak później poczułam takie zmęczenie, że ja się budziłam zmęczona. I nie byłam w stanie funkcjonować. Ale z drugiej strony, akurat ja jestem taką jednostką, która, jak się wkręci w coś, to już koniec, to już po wszystkim. To już do upadłego, można powiedzieć”. (Karolina)

Ułańska fantazja to znak firmowy naszego społeczeństwa – pomaganie *à la polonaise* jest gorącym procesem. Był więc „szał na pomaganie” (Ewelina) i „taki stan trochę amoku” (Oksana). Ci Polacy gdzieś są – szaleni, zatracający się w działaniu, zdeterminowani, nie do zatrzymania. Emocjonalna łatwopalność społeczeństwa i niekontrolowana, zbiorowa, oddolna inicjatywa sprawiały, że niekiedy, co było nieuniknione, samoorganizująca się masa pomagaczy działała chaotycznie.

„Na początku to był jeden wielki chaos, nie było na to w ogóle planu, nie było na to w ogóle pomysłu, tylko to było takie właśnie rzucenie się na głęboką wodę: *A, jakoś to będzie*. I o ile w mikro skali, powiedzmy, nie wiem, w wolontariacie na pięć osób, gdzie mamy, nie wiem, pomalować świetlicę środowiskową, czy świetlicę w domu dziecka, to takie rzucenie się na głęboką wodę, jeszcze, jeszcze przejdzie, i nie będzie to miało jakichś dużych skutków ubocznych, to w skali makro to jest dramat. To jest dramat. Bo ci ludzie nie wiedzieli, totalnie nic. (...) Ludzie bili pianę, nakręcali się”. (Ewelina)

„No to było tak, że ilość wiadomości, które wtedy było produkowanych, na tej grupie naszej, to po prostu, każdy chciał coś zrobić i aż było tak, że za dużo osób chciało coś zrobić, była wielka dezinformacja oczywiście. Potem jedna osoba krzyczała na drugą, że jak to jeszcze, już było o tym pisane, tak, robimy to, ha, ha. A po prostu tego było

za dużo i, i to jest, wydaje mi się, że to był wszędzie problem, że wszyscy chcieli dobrze, a w związku z tym był straszny zamęt”. (Jagoda)

Jedna z pomagaczek reakcje Polek i Polaków na wojnę w Ukrainie podsumowała tak: „dla nas jest to bardzo formacyjne doświadczenie” (Aga). Zobaczyliśmy siebie w świetle innymi niż to, jakie rzucają na nasze społeczeństwo codzienne spory, konflikty, podziały, praktyki dzielenia i wykluczania. Przypomnieliśmy sobie albo odkryliśmy, że potrafimy się zjednoczyć w sytuacjach kryzysowych.

„Jak coś się dzieje takiego złego, albo trudnego, to my się spinamy i ludność pokazuje, że jesteśmy superzjednoczeni, superzorganizowani i mamy wolontariuszy skrajnie lewicowych, skrajnie prawicowych, wierzących, ateistów, Hindusów i generalnie z każdej frakcji politycznej i wszyscy pracują ramię w ramię i nie ma gadania o tym, że *Ja to nienawidzę Tuska, A ja to nienawidzę Kaczyńskiego*, tylko po prostu pomagamy wspólnie i myślę, że jesteśmy fajnym społeczeństwem, które wcale sobie same nie podkopuje dołków pod sobą i nie szuka problemów tam gdzie ich nie ma, bo w obliczu właśnie czegoś takiego jak dzieje się teraz, no, jesteśmy w stanie się spiąć i pokazać tą taką najlepszą stronę naszą, tych ludzi, którzy mają w sobie empatię i którzy nawet jeśli mogą pomóc bardzo mało, bo na przykład nie mają zasobów finansowych, czy, czy jakichkolwiek innych, to wolą zrobić cokolwiek... niż nie zrobić nic”. (Kalina)

„Jak jest jakaś sytuacja trudna, taka nagła, niespodziewana, to bardzo się potrafimy zjednoczyć. I to, co ja właśnie doświadczyłam, to na tych różnych obszarach, że tak naprawdę, nagle, nie ma, że tak jak często się różnimy o byle pierdoły, i potrafimy się klócić tak naprawdę o drobne rzeczy i mało istotne, tak w obliczu takich ważnych wydarzeń, wyzwani, my jednak stoimy razem. I że potrafimy razem robić coś, jakby, ponad takimi naszymi barierami, jakimiś granicami, że nagle okazuje się, że są wyższe, ważniejsze jakieś cele, i wtedy takie rzeczy bardziej, bym powiedziała, przyziemne, codzienne, nie mają znaczenia. Że potrafimy się właśnie zjednoczyć w jakimś takim, dobrym celu. I być ponad tymi naszymi podziałami, konfliktami. I tego ja właśnie doświadczyłam, mówię”. (Gosia)

Dlatego możemy być spokojni. „Szabel nam nie zabraknie”, „jakoś to będzie”...

Rozdział 2. Zderzenia emocji

Nie-miejsca: spotkania w drodze

Dla wielu osób początkiem subiektywnie doświadczanej wojny było pierwsze, osobiste spotkanie z osobą uchodźczą. Wojna zaczęła się 24 lutego 2022 roku, ale niektórzy mówili jak Kalina: „moja taka pełna świadomość tego, co się dzieje, gdzieś tam się zaczęła później”. Później, czyli w momencie bezpośredniego zetknięcia się z uchodźcami, ujrzania na własne oczy dramatów Ukrainek i Ukraińców, które wcześniej były „tylko” wyobrażone lub obserwowane w relacjach medialnych.

Spotkania pomagaczy z uchodźcami, spotkania w drodze – krótkie, naskórkowe i punktowe – są treścią pierwszego etapu pomagania, podczas którego zderzają się: emocjonalna reakcja Polek i Polaków na agresję rosyjską, opisana w poprzednim rozdziale, z emocjami przywiezionymi przez osoby uciekające z Ukrainy, z terenów objętych wojną.

Pomagacze na granicy i dworcach spotykali się z osobami uchodźczymi w szczególnych okolicznościach – w punktach tranzytowych, do opisu których pomocna jest koncepcja *nie-miejsca* francuskiego antropologa Marca Augé (2010). *Nie-miejsca*, jak określa je autor, to przestrzenie bezbarwne, pozbawione symbolicznych konotacji i lokalnych akcentów kulturowych, a więc podobne do siebie w każdej szerokości i długości geograficznej (np. dworce, przystanki, lotniska; bezosobowe, do złudzenia do siebie podobne sieciowe lokale gastronomiczne). To terytoria prowizoryczne, przechodnie, wymuszające automatyzm i przygodność relacji między ludźmi. Przestrzeń przejścia granicznego, dworca, ale też punktu recepcyjnego czy wydawkowego, nie zapewnia intymności, wszystko jest tu na widoku, nie ma gdzie się ukryć, nie sposób zaszyć się z dala od wzroku innych użytkowników danej powierzchni.

Takie przestrzenie mają być komfortowe tylko jako punkty w drodze, nie jako miejsca przebywania. To zabieg celowy – w *nie-miejscu* nikt nie

powinien zatrzymywać się na dłużej, a jeśli już musi (np. spędza długie godziny w poczekalni dworcowej czy kawiarni lotniskowej w oczekiwaniu na swój środek transportu), powinien zachowywać się neutralnie – tak jak neutralne jest terytorium miejsc tranzytowych. Neutralność oznacza wykluczenie tego, co indywidualne i osobiste, ale też lokalne, zakorzenione w jakimś symbolicznym uniwersum. Nie ma tu miejsca na manifestowanie odrębności ani na ochronę intymności.

Pomaganie w *nie-miejscach* jest zdeindywidualizowane, ma charakter „taśmowego” kontaktu z kolejnymi osobami, które trzeba gdzieś przekierować, eskortować, obdarować, opatrzyć, zabezpieczyć. Nie ma tu warunków, by się zatrzymać, rozejrzeć, dłużej porozmawiać, poświęcić komuś więcej czasu. Można wysłuchać jedynie fragmentarycznych historii, pobieżnie zapewnić realizację najpilniejszych potrzeb. To nie czas ani miejsce na nawiązywanie głębszych więzi. Ważne jest, żeby dać, wziąć, rozdać, przenieść, podjechać, wskazać kierunek, pokonać trasę – zmierzyć się z przestrzenią *nie-miejsca*, z której osoby uchodźcze muszą jak najprędzej się wydostać, żeby zrobić miejsce kolejnym przybyszom.

W miejscach tranzytowych ludzie mają ze sobą jedynie kontakt przelotny, niepogłębiony. Dominują interakcje niezogniskowane, podczas których „żadnemu z uczestników nie można oficjalnie «udzielić głosu», nie ma też formalnie określonego ośrodka uwagi” (Goffman 2008, s. 40). To styl interakcji specyficzny dla przestrzeni publicznych, z których codziennie korzystają masy anonimowych dla siebie ludzi, by się przemieścić z jednego punktu do drugiego. Właściwym trybem spotkania w takich strefach jest *mijanie się*. To sprawia, że najważniejsze w kontakcie z drugim człowiekiem są najbardziej dostępne bodźce zmysłowe: wzrok, węch, dotyk. To one stanowią narzędzia wczuwania się w emocje przybyszy.

Spotkania w drodze to wyciskający łyż widok ludzi umęczonych podróżą, obciążonych dobytkiem, który udało się udźwignąć lub zupełnie bez bagażu, ponieważ nie dało się go spakować w pośpiechu, w gorączce ucieczki. To odrzucający (co pomagacza zawstydzia) zapach zmęczonego, zaniedbanego, a niekiedy rannego ciała. To chwytający za gardło dotyk trzęsącego się ciała asekurowanej osoby starszej czy uścisk dziecka

wziętego na chwilę na ręce. Interakcje pomagaczy z uchodźcami w *nie-miejscach* organizują też proksemiczne (Hall 1978) doświadczenia bliskiego fizycznego dystansu podczas rozdawania zupy w tłumie ludzi stłoczonych w kolejce na granicy. Zastłyszane skrawki historii, krążące jak echo na peronie czy obok punktu kontroli granicznej, muszą wystarczyć za kontekst interakcji. W *nie-miejscach* na pierwszy plan wysuwa się cielesność pomagania.

Granica

Rok 2022 – słowo granica ma różne konotacje. Są oczywiście granice między państwami, czasami jeździmy zagranicę na wakacje lub służbowo, ale takie podróże niekoniecznie kojarzą nam się z wielką wyprawą, egzotyką. Wiele zakątków świata traktujemy jak przedłużenie domu, ponieważ są tak podobne do miejsc, w których na co dzień żyjemy. Granice państwowe niewiele wówczas zmieniają. W zglobalizowanym świecie państwa narodowe nie grają już takiej roli jak kiedyś, utożsamianie z kulturą narodową i zamieszkiwanie na terytorium jakiegoś kraju to dwie odrębne sprawy.

W codziennym życiu znacznie częściej mówimy o granicach emocjonalnej czy fizycznej wytrzymałości, o przekraczaniu osobistych granic – w kontekście negatywnym, kiedy mamy na myśli naruszenie komfortu i intymności, oraz w kontekście pozytywnym, gdy przekraczanie granic oznacza poszerzanie horyzontów, rozwój osobisty, wychodzenie ze strefy komfortu, eksplorowanie nowych obszarów doświadczenia. Sprywatyzowane, wyobrażone granice są dla współczesnego człowieka Zachodu punktem odniesienia w procesie poszukiwania równowagi między bezpieczeństwem a wolnością.

Już dawno przestaliśmy myśleć o granicy wyłącznie jako o linii na mapie, narzędziu geopolitycznego podziału terytorium. Jesteśmy przyzwyczajeni do ruchu bezwizowego, swobodnie przemieszczamy się między krajami Unii Europejskiej, często nawet nie odnotowując, że przekroczyliśmy granicę. Jesteśmy Baumanowskimi *turystami* (Bauman

2000), którzy albo ekscytują się zagranicznymi wojażami, albo beznamiętnie odbywają dalsze i bliższe podróże, ale w każdym przypadku traktują swobodę ruchu jako przysługujące im prawo.

W odróżnieniu od *włóczęgów*, dla których granica oznacza mur, od którego odbijają się zarówno metaforycznie (gdy przekraczając granicę obcych państw stają się mieszkańcami „drugiej kategorii”: bez praw obywatelskich, skazanymi na niskopłatne prace, często również izolowanymi społecznie), jak i fizycznie (co pokazuje choćby sytuacja *push-backu* „niechcianych” migrantów na granicy polsko-białoruskiej, zob.: Sadura, Urbańska 2021; Amnesty International 2022). Podczas gdy dla jednej części globalnej społeczności granice mają wymiar prywatnych presji i wyobrażeń, druga część wciąż podlega podziałom i prawom wyznaczonym przez obiektywne granice państw.

Wojna boleśnie przypomina nam o tym, że stosunek do granic państwowych to kwestia przywilejów, która łączy wątki klasowe i neokolonialne. Wielu kosmopolitycznie zorientowanym Ukrainkom i Ukraincom znane jest doświadczenie bycia *turystą* zbudowane na swobodzie przemieszczania. Wiele osób ma doświadczenia (własne lub zapośredniczone) bycia *włóczęgą*, migrantem ekonomicznym. W lutym 2022, po agresji rosyjskiej na Ukrainę, wszyscy oni stali się *włóczęgami* i musieli zmierzyć się z porzuceniem dobytku, codziennego życia, pozycji społecznych, które zajmowali w swoim społeczeństwie, by ruszyć do obcego świata w roli uciekiniera zmuszonego do przemieszczania się. Od tego momentu każdego dnia na granicy polsko-ukraińskiej rozgrywają się dylematy wolności i bezpieczeństwa. Dojście do granicy oznacza uratowanie życia za cenę uchodźstwa.

Zostawić swój dom, zostawić wojnę za sobą

Dorohusk, Zosin, Dołhobyczów, Hrebenne, Budomierz, Korczowa, Medyka, Krościenko, to przejścia graniczne, na których pod koniec lutego 2022 roku ustawiały się kolejki osób uciekających przed wojną, szukających bezpiecznego schronienia w Polsce i na Zachodzie. W pierwszym

miesiącu wojny granicę przekroczyło ponad 2 miliony Ukrainek i Ukraińców. Do naszego kraju „przyjechały osoby, które zostawiły swoich mężów, braci, zostawiły swoje mieszkania, domy, ogrody, swoją przeszłość i przyszłość” (Krzysztof). Byli to ludzie, którzy zazwyczaj przebyli długą i męczącą drogę ze strefy objętej działaniami wojennymi, nierzadko w fatalnych warunkach sanitarnych, bez jedzenia, ciepłych ubrań, snu – na granicy stawiali się zmęczeni, głodni, zziębnięci i przerażeni. W takim stanie odnaleźli ich i mimowolnie podglądali pomagacze i pomagaczki, co rzutowało na pierwszy kontakt z uchodźcami, naznaczony współczuciem i empatycznym dzieleniem z nimi cierpienia.

Najpełniej wyrażają to relacje Ukrainek mieszkających od dawna w Polsce, patrzących na swoich rodaków w sytuacji uchodźczej:

„To było strasznie trudne patrzeć na te dzieci, którym zimno w ręce, w nogi, dziecko płacze, jedno dziecko za rękę u mamy... To było straszne patrzeć na to”. (Milena)

„To były osoby, które przebywały w stanie szokowym, a kiedy osoba przebywa w stanie szokowym, to niektóre części mózgu u niej po prostu nie działają, więc to były osoby takie strasznie zagubione, bardzo często też potrzebowali pomocy medycznej. Dużo łez widziałam, więc, no, były trudne, trudne, w trudnym stanie były uchodźcy z Ukrainy, no... Ciężko jest to, kiedy uciekasz z dzieckiem, z jedną walizką, nie wiadomo dokąd, nie wiesz, co tam z twoim domem, więc trudne to doświadczenie w życiu”. (Inna)

„Teraz po prostu szkoda mi jest tych ludzi, którzy zostali bez niczego. W ogóle bez niczego, nawet nie ma im gdzie wracać i... Gdzie wracać, to jeszcze tak, a niektórzy nawet zostali bez rodziców, bez swoich dzieci”. (Polina)

Warunki, które uchodźcy zastali w kolejkach do odpraw paszportowych, dalekie były od komfortu. Dopiero stopniowo, wraz z kolejnymi ekipami pomocaczy na przejściach pojawiały się punkty wsparcia uchodźców – stacjonarne (namioty, food trucki; raczej po polskiej stronie granicy) i mobilne (konkretni pomocacze podchodzący z pomocą od osoby do osoby; po stronie ukraińskiej). Po stronie ukraińskiej ludzie czekali w długich, wielokilometrowych kolejkach, licząc na pomoc wolontariuszy kursujących

w tłumie z różnego rodzaju wsparciem rzeczowym, informacyjnym i medycznym. Czy ktoś przyniesie kubek ciepłej herbaty? Poratuje łykiem wody? Czy ktoś poda coś do okrycia? Pomoże z bagażem, podejdzie z wózkiem? Czy ktoś udzieli pierwszej pomocy?

Łamiący serce obraz masowego exodusu ukraińskich uchodźców wojennych, zdanych na dobrą wolę, inicjatywę i wyobraźnię wolontariuszy, zapadł w pamięć jednej z uczestniczek naszych badań, która pomagała na granicy:

„Straszne to było. Przyjechaliśmy rano, typu piąta rano, dopiero jak się zaczynało robić jasno, to przejechaliśmy przez granicę i stanęliśmy tuż przy granicy, ale po ukraińskiej stronie i tam dojeżdżały autokary, które wypuszczały ludzi, ponieważ oni musieli przejść pieszo. (...) I tam był taki zaduch, bez powietrza żadnego. Kierowcy mówili, że oni są od 48 godzin w tym autobusie bez niczego. Samym kierowcom musieliśmy wciskać po kanapeczce, bo oni nic nie brali. Każdy jeden mówił, że nie chce, nie chce. Potem jak się pytałyśmy, ile nie jadł, to mówili – 30 godzin. Tam byli naprawdę głodni. Była też masa głodnych dzieci. (...) Ta pierwsza kolejka przy granicy, to było jakieś 300 metrów, a potem było 2 kilometry niczego, półtora kilometra, a potem już ogromna kolejka. Niektórzy czekali, żeby nie zatykać tej granicy, taka przestrzeń wolna, nie wiem, może kilometr... i ci wszyscy ludzie w tej kolejce dalej nie wiedzieli, za ile jest granica. I oni takimi partiami byli puszczani, po jakieś 50 osób. I pytali nas wszyscy: *jak daleko, gdzie jesteście, jaki to kraj?*” (Helena)

Osoby badane udzielające pomocy na granicy wspominały też o dramatach ludzkich, które rozgrywały się wówczas po stronie ukraińskiej, której nie mogli opuścić mężczyźni w wieku poborowym. Granica to miejsce pożegnań, łez i tęsknoty. Za domem, materialnym wymiarem codzienności, do którego „można już nigdy nie wrócić” (Klara), za krajem niszczone i okupowanym przez wroga, a przede wszystkim za ukochanymi osobami. Wszystkie intymne emocje towarzyszące rytuałom pożegnań przeżywane były na widoku, ponieważ w *nie-miejscach* nie ma przestrzeni prywatnych. Dlatego pomagacze, chcąc nie chcąc, byli niemymi świadkami scen między najbliższymi, dzielili z uchodźcami klimat przygranicznego smutku.

„I potem pamiętam, że czułam się jakbym była w zoo trochę. Chodziłam i rozdawałam to jedzenie, i czułam... A ci ludzie naprawdę nie chcieli brać, to było miejsce, gdzie mężczyźni odprowadzali kobiety, więc po prostu seria pożegnań, strasznych. I tam pamiętam, że czułam się bardzo źle, taka niepotrzebna i w ogóle nie na miejscu. Że naruszam... te dzieci chcą brać te rzeczy, widać, że są głodne, ci rodzice ich trzymają i wszyscy są zapłakani, ale w takim zapłakaniu zamkniętym”. (Helena)

„Jakby to też było takie smutne miejsce, kiedy się obserwowało, jak małżeństwa się żegnają, czy pary się żegnają. Ta ukraińska strona. A jak już przechodziły na polską, no to było chyba takie odetchnięcie z nadzieją”. (Weronika)

Jest tu więc i nadzieja, że będzie dobrze, jest ulga, że to, co złe, zostało z tyłu, za granicą, daleko. Ale zostało też to, co dobre i co trzeba było porzucić. Granica to miejsce pełne smutku, straty i żalu z powodu oddzielenia od tego, co było i od tych, co zostali. Jak powiedziała jedna z aktywistek organizująca akcje ewakuacyjne z obszarów Ukrainy, w których toczyły się najgorętsze walki:

„Ewakuacja to jest w zasadzie wyjęcie człowieka z jego życia i przeniesienie całego tego życia gdzieś indziej. (...) Czyli oni uciekali w taką próżnię. Oni po prostu uciekali, żeby uciec. Ale już jak byli po tej bezpiecznej stronie, to oni nagle, jak już trochę opadł też ten stres, oni byli... no, może nie zrozpaczeni, ale zagubieni kompletnie, tak?”. (Anna)

Granica to zapowiedź samotności w obcym kraju.

Tam i z powrotem (i tak w kółko)

Sytuacja w punktach granicznych wymagała szybkiej reakcji i zorganizowania natychmiastowego wsparcia dla ludzi, którzy „nie ze swojej winy, nagle, z jedną walizką lądują na granicy” (Paweł). W odpowiedzi na kryzys spowodowany wojną na granicę polsko-ukraińską zjechały z naszego kraju i całego świata tysiące osób gotowych do pomocy ukraińskim uchodźcom. Wśród nich byli pracownicy służb medycznych i porządkowych, aktywistki z organizacji pomocowych i humanitarnych,

przedstawiciele lokalnych samorządów, a także zwykli obywatele, wolontariuszki, ludzie dobrej woli. Niektórzy przyjeżdżali na granicę z jednorazową misją, inni spędzili na niej długie tygodnie. Pomagacze stawiali się do pomocy w grupach lub indywidualnie. Były osoby, które zostały skierowane na granicę w ramach obowiązków zawodowych (wojsko, policja). Niektórzy przyjechali na przejścia graniczne w ramach zorganizowanych akcji środowiskowych (np. harcerskich, kościelnych, ochotniczej straży pożarnej) czy też krajowych lub międzynarodowych misji humanitarnych. Czasami skrzykiwano się spontanicznie, aby jechać na granicę w mniejszych grupkach koleżeńskich, inni przyjeżdżali sami, z własnej inicjatywy. Można powtórzyć za jednym z pomagaczy, że „cały ten impet tej sytuacji wzięło na siebie społeczeństwo i organizacje pozarządowe, i trochę samorządy” (Paweł).

Na początku pomoc na granicy nie była skoordynowana, każda trafiająca tam osoba lub grupa sama szukała dla siebie miejsca, rozpytując o aktualne potrzeby wśród pomagaczy z większym doświadczeniem, którzy przybyli na dane przejście graniczne czasami kilka godzin czy dni wcześniej. Dzień czy dwa na granicy to wówczas był długi staż, pozwalał aspirować do miana doświadczonego pomagacza. Informacje o zapotrzebowaniu na pomoc i miejscach do „obsadzenia” w pasie przygranicznym rozchodziły się pocztą pantoflową, rozsyłane były za pomocą mediów społecznościowych i przez prywatne kanały komunikacji, czasami przekazywane były dopiero na miejscu – z ust do ust, przez uchylone szyby samochodów kursujących w tę i z powrotem przez granicę. Panował „samoorganizujący się chaos” (Anastazja).

Wszyscy badani, którzy pomagali na granicy, mówili, że nie mieli pojęcia, co będą robić, gdy dotrą na miejsce i jakiej konkretnie pomocy będzie wymagała od nich sytuacja – „My działaliśmy jakby widząc, co się dzieje, ponieważ ktoś ci przekazał, co on w zasadzie robił wczoraj, co ty możesz robić” (Weronika). Pierwszym wyzwaniem było zatem odnalezienie się w nowej przestrzeni geograficznej i społecznej. Kluczowe okazywały się wskazówki od innych pomagaczy oraz szybkie orientowanie

się w sytuacji panującej w kolejkach do punktów granicznych po stronie ukraińskiej i w „miasteczkach pomocowych” po polskiej stronie.

W tym samym czasie, w pierwszym miesiącu wojny, w różnych punktach na granicy byli między innymi Olaf (z misją humanitarną), Helena (z koleżanką) i Weronika (indywidualnie, przyłączyła się do jednej z organizacji społecznych), którzy opowiedzieli nam o tym, jak trafili na granicę i co robili po przybyciu na miejsce.

„To było bardzo spontaniczne, my chyba w południe powiedziałyśmy: *Chodź, pojedziemy na noc tam*. [Kolega] nam powiedział, jak to wygląda, że nikt nie przejeżdża na ukraińską stronę, że po polskiej stronie jest pomoc, a na ukraińskiej są ogromne kolejki ludzi stojących po kilkadziesiąt godzin bez krzesła, bez niczego. Więc pojechaliśmy, żeby przejechać granicę, rozdać rzeczy, rozdać jedzenie, wziąć krzeselka, ciepłą zupę i tam trochę nakarmić tych ludzi, a potem ich zacząć przewozić przez granicę. Ta piesza kolejka była strasznie długa, kilkadziesiąt godzin, a samochodowa nie. (...) Miałymy takie miejsce przy toi-toiach, takie obleśne, które się okazało dość kluczowe, bo z tej kolejki ludzie tylko wychodzili do toalet. Tam po prostu rozdawaliśmy, wchodziłyśmy w tą kolejkę z tymi kartonami i rozdawaliśmy rzeczy. Byłyśmy źle przygotowane, bo palniki nam nie działały, zupy nie mogłyśmy zrobić nawet. Wiatr był jakiś i ten palnik był za słaby. Robiliśmy też tak, że do autobusów wchodziłyśmy i tam rozdawaliśmy”. (Helena)

„Ja mam takich kolegów, którzy działają w różnych wolontariatach, i zadzwoniłem do nich, czy oni pomagają, czy coś robią w sprawie, która się dzieje na granicy. I pojechaliśmy (...). Obkleiliśmy samochody krzyżami, tak, bo jesteśmy akcją humanitarną. No i dostaliśmy mnóstwo rzeczy, typu kanapek, wody, kocy. My mieliśmy pełne samochody. Pojechaliśmy na trzy samochody. To był... pierwszy albo drugi tydzień, już nie pamiętam nawet. I pojechaliśmy (...), no i tam przejechaliśmy przez granicę. No i po prostu od razu, od razu w zasadzie za granicą zobaczyliśmy tłumy ludzi, i, i w zasadzie przez cały dzień tam rozdawaliśmy żywność, słodczyce dzieciakom. Właśnie jakieś koce, jakieś pampersy. No, wszystko, co mieliśmy, to przez... od godziny szesnastej, bo o szesnastej tam dotarliśmy, do, do dwunastej nam się zeszło, żeby to wszystko porozdawać. Ale też po tej stronie ukraińskiej też byli... Polacy, którzy mieli kampera, i... i, i rozdawali ciepłe posiłki. Tylko że do tych ciepłych posiłków nikt nie

podchodził, bo wszyscy stali w kolejce. Więc ta pomoc polegała na tym, że trzeba było wchodzić w ten tłum i im dawać te rzeczy, bo oni nie chcieli tracić kolejki. Zupy im roznosiliśmy, właśnie od, od tych Polaków, co mieli tego kampera”. (Olaf)

„I to polegało na tym, że w zasadzie przechodziłam tam i z powrotem przez granicę, ja tam się podczepiłam tam pod taką grupę (...), to są [ludzie], którzy rozdają jedzenie, oni tam byli pierwsi, rzeczywiście gotowali dla tych ludzi, potem jak się pojawiło tak bardzo dużo już tam punktów, to oni już zaczęli tylko wydawać kawę i herbatę, a każdy działał tak trochę na czuja w porozumieniu z taką bazą bardziej sformalizowaną, po stronie ukraińskiej, czyli chodziło o to, że my po prostu przewożiliśmy ciepłą herbatę tam gdzie trzeba było, pomagaliśmy, no ja bardzo dużo pomagałam z tłumaczeniami, z ludźmi, jak ktoś miał jakiś problem, okazywało się, że nie mógł przejść, wejść do Polski, bo nie miał odpowiednich dokumentów, pokazywałam, gdzie można się przenocować, jakby tłumaczyłam... No, głównie to właśnie chyba z takim, jeździłam z takimi wózkami, jak są wózki w supermarkecie, żeby pomóc tym ludziom przewieźć te ciężkie rzeczy, bo tak naprawdę tam i z powrotem, no, jakby ten proces od chodnika, gdzie się zatrzymuje autobus, do chodnika, po ukraińskiej stronie, do chodnika gdzie wyjeżdża autobus w Polsce, to był pewnie jakiś kilometr siedemset, coś takiego. Więc to mogło być, z ciężkimi bagażami i w kolejce trudne. Też z wózkami inwalidzkimi się przyjeżdżało, brało się ludzi, którzy tam mieli jakieś rany, albo byli starsi, albo coś trzeba im było wytłumaczyć... No tak, tak jakby po prostu taka obecność też... Z racji też tego, że właśnie znam język rosyjski, to było łatwiejsze, dużo osób nie orientowało się, jak to funkcjonuje, często myśleli, że za wszystko trzeba płacić, za te rzeczy, które są rozdawane, więc trzeba było ich uspokoić, że to jest za darmo, że ten autobus jest za darmo, że on odjeżdża, że on jak jedzie do [miasta], to z [tego miasta] już pojedzie dalej...”. (Weronika)

Pomoc na przejściach granicznych miała charakter interwencyjny. Skupiona była przede wszystkim na zaspokojeniu podstawowych potrzeb fizjologicznych osób przekraczających granicę (dystrybucja jedzenia, odzieży, środków higienicznych), pomocy w przemieszczaniu się i przenoszeniu bagaży, kierowaniu uchodźców do kolejnych ośrodków pomocy (tymczasowych punktów recepcyjnych, środków transportu, punktów

medycznych) i „wyprawianiu” ich w dalszą drogę (udzielanie informacji, wyposażenie w prowiant na drogę).

Trzymać gardę, żeby dawać nadzieję

Oprócz „prowadzenia [uchodźców] za rękę” (Paweł) i męczącej pracy fizycznej wolontariusze z granicy wykonywali intensywną *pracę emocjonalną*. To pojęcie opisane przez Arlie Hochschild (2009) odnosi się do zarządzania procesami emocjonalnymi w interakcjach, które polega na refleksyjnym modelowaniu emocji swoich i partnerów interakcji. Osoba wykonująca pracę emocjonalną bierze odpowiedzialność za to, w jaki sposób odbierane są emocje, jak ludzie sobie z nimi radzą, jak je wyrażają. Bierze na siebie rolę niejako tłumaczki emocji, konfrontuje się z atmosferą emocjonalną wytwarzaną w różnych sytuacjach i odpowiednio kieruje natężeniem emocji w interakcjach. W zależności od okoliczności zadaniem osoby zarządzającej emocjami jest łagodzenie pewnych stanów emocjonalnych bądź pobudzanie emocji.

W praktyce pomocowej praca emocjonalna oznaczała dwie rzeczy. Po pierwsze chodziło o to, by podczas spotkania z Ukrainkami i Ukraińcami, w komunikacji *interpersonalnej* umieć właściwie zareagować na cierpienie i empatycznie, kojąco i z troską podejść do każdej potrzeby. Zetknięcie się z bagażem emocji związanych z wojną wymagało od osób pomagających postawy silnej akceptacji, otwartości oraz sporego poziomu wrażliwości na sytuację przybyszów.

Chociaż pomagaczki i pomagacze nieraz wspominali, że „nie wiadomo było, co powiedzieć, jak samemu zareagować” (Klara), było im niezręcznie uczestniczyć w drodze, którą pokonywali Ukraińcy i Ukrainki, to jednak trzeba było dać im do zrozumienia, że każda osoba uchodźcza ma przestrzeń, by przeżywać swoje emocje, a także, że nie zostaną one zakwestionowane ani ocenione:

„Znaczy dla mnie, od samego początku, tak jak mówiłem, najtrudniejsze jest jakby wejście w skórę tych ludzi, bo to jest niewyobrażalne absolutnie, nagle kończą jakieś

tam swoje życie, które mieli, i zaczynają jakieś zupełnie inne... docierają tutaj strau-
matyzowani, no... to jest, jakby dla mnie, tak od samego początku, strasznie mi ich
po prostu szkoda". (Paweł)

„Ogólnie jestem osobą empatyczną i mam zdolności wchodzenia i postawienia siebie
na stanowisku, jakby, danej osoby, więc bardzo często też mogłam z nimi popłakać
lub trzymać się optymistycznie, w zależności od sytuacji, albo mówić, że wszystko
będzie dobrze i tak dalej, albo je wesprzeć, i dać im trochę też tej nadziei". (Inna)

Po drugie, być może nawet trudniejsze, elementem pracy emocjonalnej
było ciągle monitorowanie swojego stanu emocjonalnego w celu ukrycia
własnego przerażenia, zagubienia i bólu, żeby nie obarczać nimi dodat-
kowo osób uchodźczych. To działania *intrapersonalne* – praca z wła-
snymi emocjami, skierowana do wewnątrz, swego rodzaju emocjonalna
autocenzura. Wolontariuszki i wolontariusze musieli najpierw „rozpra-
wić” się ze swoimi emocjami, by móc wyjść do osób przekraczających
granice z dobrym słowem, przyjąć je z uśmiechem, który stanowił cza-
sami pierwszą pociechę w drodze do nowego, obcego kraju. Pomagacze
na granicy, ale również ci na dworcach czy pomagający w transporcie,
mieli za zadanie dać osobom uchodźczym, w ich pierwszych chwilach
w obcym kraju, poczucie bezpieczeństwa i zapewnić o tym, że są w Pol-
sce mile widziani.

Bezpieczeństwo to słowo-klucz w przypadku ucieczki ze strefy wojny.
Pomagacze asystujący osobom uchodźczym w przekraczaniu granicy to-
warzyszili im jednocześnie w emocjonalnym przejściu od stanu ekstre-
malnego napięcia do poczucia ulgi. Uczucie ulgi podszyte niepewnością
i zagubieniem, ale jednak zapewniające pewne wytchnienie. Najważ-
niejszy cel osoby kursującej przez granicę z kolejnymi grupami uchodź-
ców stanowiło wyartykułowanie na koniec tej podróży: „Tu jesteście już
bezpieczni. Najważniejsze, że jesteście już po tej stronie granicy!” (Ela).
Wagę poczucia bezpieczeństwa opisuje Weronika:

„I było dużo wzruszających momentów, ale w ogóle to miejsce, może też ten czas i to
miejsce było jakieś takie dające nadzieję, bo było często tak, że ci ludzie, którzy czekali

po tej ukraińskiej stronie nie wiedzieli zupełnie, co ich czeka, jak już przeszli tą granicę, to jakby spadał z nich jakiś taki ciężar, nagle czuli się bezpiecznie, była taka sytuacja, że szedł taki mały chłopczyk z babcią i mamą, ja im pomagałam przenosić te rzeczy, i on się co chwilę pytał: *A już jesteśmy w Polsce?*, ja mówię: *Nie, jeszcze nie. A już jesteśmy?*, *Nie, jeszcze nie. A już tam, zobacz tamtą furtkę, to będziesz w Polsce.* I mówię: *No, teraz jesteś w Polsce!* I on wyciągnął telefon i dzwoni: *Tato, już jesteśmy bezpieczni.* No i to było takie wzruszające. Ale też tam nawet ta topografia jest taka, że jak się idzie do Ukrainy to jest pod górę, jak się idzie też do granicy ukraińskiej, to jest pod górę, a jak się przekracza tą ukraińską granicę w stronę Polski to się idzie w dół, więc nawet te bagaże mniej ciążyą. Nagle tam było też więcej takich punktów, które ludzie z różnych krajów też tam przyjechali, żeby gotować, więc ci ludzie przekraczali tę granicę, czuli się bezpiecznie nagle, nagle się okazało, że tam jest kilka organizacji z całego świata, które o nich myśli, i gotuje dla nich, można coś zjeść ciepłego, napić się herbaty, dostać ciepły koc, dostać ciuchy, dostać transport dla zwierzęcia, smycz, karmę, pieluchy...”. (Weronika)

Witanie gości na granicy w atmosferze radości i nadziei, mimo odczuwanych w głębi strachu, smutku czy złości, skutkować może odcięciem się od własnych emocji. W pewnym sensie na każdym kroku trzeba było się pilnować, żeby robić dobrą minę do złej gry.

Jedna z wolontariuszek podzieliła się potrzebą odcięcia się od odczuwanych emocji w bezpośredni sposób:

„Najtrudniejsze pewnie jest to, że jakby, jakby można było z tych wolontariatów wyłączyć uczucia, to by było łatwiej. Bo gdyby do ciebie ktoś się zwracał i powiedział: *wiesz co, ja mam dwie pary majtek, za przeproszeniem, paszport i dwójkę dzieci, i nie mam nic, co mam zrobić?* I te uczucia, kiedy, no, zawsze czuję, że faktycznie no, nie wiem, tam komuś ktoś zginął i tak dalej, no to bardzo na ciebie wpływa i czasami ja po prostu już mam tak, że ja już psychicznie nie wytrzymuję i że muszę zrobić jakąś przerwę po prostu, no bo wiem, że ja nie tylko nikomu nie pomogę, tylko sobie jeszcze zaszkodzę, jakby po prostu sobie zrobię krzywdę, dlatego jakby tutaj ten aspekt uczuciowy jest bardzo taki nadwyreżony, w sensie, no bardzo trudno jest”. (Yana)

Albo, jak w przypadku Mileny, która w pewnym momencie chciała zniknąć, żeby nie być podmiotem interakcji, tylko pomagać w niewidoczny sposób: „Ja bym, ja chciałabym i chcę pomagać, ale tak, żeby mnie nie widzieli po prostu”. W *nie-miejscach* nie tylko osoby uchodźcze, ale też osoby pomagające były „na widoku”, nie miały intymnej przestrzeni, aby wykrzyczeć, otwarcie wyrazić swoje reakcje na wybuch wojny. Praca emocjonalna na granicy często wiązała się więc z cichym dźwiganiem obciążeń emocjonalnych spowodowanych patrzeniem na cierpienie uchodźczyń i uchodźców. Trzeba było współczuć po cichu, nie rozklejać się publicznie na widok dramatów uchodźczych, w ukryciu radzić sobie z poczuciem bezsilności.

A czasami człowiek musiał skonfrontować się z własnymi emocjami i widokami wszechogarniającego cierpienia. „I ja zaczęłam płakać. Po prostu zobaczyłam, jak tam siedzą na, nie wiem, na podłodze, wszędzie są ludzie, i to są ludzie tacy jak ja” (Yana). Bycie świadkiem krzywdy naraża na wtórną traumę. By jej przeciwdziałać, pomagaczki i pomagacze wspierali się nawzajem, stanowili dla siebie nawzajem wsparcie emocjonalne.

Takie relacje słyszeliśmy zarówno od wolontariuszy z granicy, jak i od tych z dworców czy punktów recepcyjnych:

„Często też musieliśmy wyrzucić jakieś takie trudne sytuacje. No bo takim najbardziej przykrym momentem był taki, kiedy komuś się nie udawało przejść na tą polską stronę”. (Weronika)

„Też były takie wspólne, integracyjne wyjścia, było chyba kilka takich, się odbyło, jakieś tam piwko, gdzie też sporo tych wolontariuszy po prostu się tam wybrało”. (Ewelina)

Tym, co generowało i podtrzymywało entuzjazm mimo trudności i momentów zwątpienia, były, po pierwsze, wzajemność interakcji z uchodźcami, a po drugie – wspólnoty pomagaczy, które wytwarzały się na przejściach granicznych i w ośrodkach pomocy. Dlatego w kolejnym rozdziale zajmiemy się wspólnotowym, gromadnym charakterem pomocy i atmosferą festiwalu dobra panującą w punktach pomocowych na granicy.

Festiwal dobra

Po pewnym czasie w przestrzeń poszczególnych punktów granicznych wkraczały organizacje z doświadczeniem w koordynacji wolontariatu i organizowaniu pomocy na większą skalę. To był moment, kiedy pojedynczy pomagacze albo włączali się w tworzone naprędce struktury wolontariackie, albo wycofywali się z zajmowanych pozycji i oddawali pole wciąż oddolnej, lecz zorganizowanej pomocy. W opowieściach naszych rozmówców pojawiał się motyw nadmiaru rąk do pracy na granicy, jak w relacji Olafa:

„Na przykład moja koleżanka sama pojechała, żeby pomagać, no ale okazało się, że już jest tak to wszystko zorganizowane, jeszcze okazało się, że [duża organizacja pomocowa] też się jakoś zaczęła tym... jakby, przejęła tą całą pomoc humanitarną, tak, że w zasadzie poprosiła, żeby tacy samowolnicy pomagający, żeby... się trochę usunęli na bok, bo wtedy będzie im łatwiej to wszystko też trochę kontrolować”. (Olaf)

Niektórzy wspominali także o zagrożeniach wynikających z masowych inicjatyw pomocowych na granicy i braku kontroli nad nimi:

„Największa baza to była ta baza tej fundacji [nazwa], która zaczęła współpracować z [nazwa innej dużej organizacji], i o ile na początku brali jakby każdego wolontariusza, i też dawali nam takie plakietki, które nam też przyspieszały w przekraczaniu granicy, to wiem, że po jakichś dwóch... to znaczy tam po jakimś tygodniu od tego momentu, kiedy ja byłam, czyli pod koniec marca, oni byli bardzo ostrożni w przyjmowaniu nowych wolontariuszy, bo uważali, że mieli szpiegów w tej swojej bazie. Szpiegów to znaczy, że mieli jakiegoś wolontariusza, który później na przykład opublikował na stronie, na jakimś tam swoim blogu wszystkich ludzi, z którymi współpracował, i podpisał, że to jest na przykład koordynator do czegoś tam w tej bazie, jakby opisał całą tą strukturę, co no jest jednak nie na rękę, bo oni uważają, że to jest trochę szpiegostwo na rzecz Rosjan, że takich informacji się nie wypuszcza dalej. I później wiem, że była już taka rezerwa, jeśli chodzi o dawanie jakichś identyfikatorów i takich rzeczy”. (Weronika)

Pomaganie na granicy stopniowo się formalizowało, co wiązało się z zawiązywaniem spontanicznych wspólnot o praktycznie stałym składzie i strukturze, opartych na zaufaniu i wspólnym doświadczaniu intensywnych emocji. Osoby badane porównywały wspólnotowy charakter pomagania na granicy do wyjazdów na stypendia typu Erasmus lub na wakacyjne festiwale muzyczne. Oto ludzie, którzy wcześniej nie mieli ze sobą nic wspólnego, są ze sobą skojarzeni, wrzuceni w jakąś sytuację i muszą razem działać oraz doświadczać współbycia przez określony czas. Do tego odbywało się to w sytuacji ekstremalnej, generującej skrajne emocje, gdy tuż za granicą toczy się wojna.

Energia grupowa, która wytwarza się między towarzyszami i towarzyszkami takich wydarzeń, rozlewa się na całe środowisko, otacza jednostki niczym *mgławica uczuciowa* łącząca wspólnotę. Ten proces *zarażania afektywnego* – przechwytywania emocji od grupy i przekazywania energii emocjonalnej innym jej członkom – trafnie opisał francuski badacz wspólnot *neoplemiennych* Michel Maffesoli (2008). Ludzi, których tu i teraz gromadzi jakieś wspólne działanie – czasem pasja, czasem misja – spajają ze sobą ciepłe, intensywne (choć zwykle nietrwałe) więzi. Euforyczny, dionizyjski nastrój tworzy sytuację święta, które jest okazją do celebrowania wspólnoty. Spontaniczne bycie razem jest tu często najważniejszą wartością, celem samym w sobie, przygodą życia.

Cechy *nowego trybalizmu* – wciągającą, magnetyczną atmosferę wspólnoty, intensywność, ale i dobrowolność kontaktów, momentalnie wytwarzaną bliskość, zaraźliwy entuzjazm, energetyczny styl komunikacji w grupie – zauważyć można w opisach funkcjonowania przygranicznych wspólnot pomagaczy.

„Pewne osoby są na tyle szalone, że w nocy były w stanie się zerwać, i pojechać o drugiej nad ranem, bo coś się dzieje, i naprawdę to było takie... trochę taki Erasmus, że po prostu jestem gdzieś indziej, zupełnie, jestem trochę inną osobą, ale jestem... jakby pochłania mnie to doszczętnie”. (Ola)

„Wszyscy byli na jakiejś takiej euforii, jechali na, oni tam jechali na wyjazd, to jest coś poza twoim domem i jest łatwiej pomagać na wyjeździe, bo... bo trudniej jest

robić mniej w momencie, kiedy przychodzisz z pracy, masz w domu coś jeszcze... (...) Na wyjeździe jest dużo łatwiej, bo możesz w każdej chwili wyjechać, nikt cię nie trzyma jakby. (...) Wszyscy się do siebie uśmiechali, nie wiem, przychodziło się tam i zagadywało: *A do której wczoraj byłeś?* – bo w nocy się też dużo działo – *Ja zasnąłem o dwunastej, a ja coś tam, o, znowu ty masz taką dobrą pizzę...* – tak pomiędzy wolontariuszami, nie? Albo coś tam... Albo ktoś tam przybiegał i: *Potrzebuję kogoś, kto mówi po rosyjsku! Ale super, coś tam, to ty pomożesz!* No nie wiem, było to takie, to jest, to było takie harcerstwo dorosłych... No. No to jest atrakcyjne też takie pomaganie, i też [ludzie] byli tacy bardziej na luzie, i że to się wszystko nakręcało, że tam na tym miejscu tam to było wszystko takie... No nie wiem, wyjątkowe. (...) To znowu jest taki egoizm trochę, że to jest takie doświadczenie, które we mnie zostanie, i to jest może też dziwnie powiedziane, ale to była super, superprzygoda, jakby tak brutalnie mówiąc, to była superprzygoda, to byli... Ja teraz się skupię na wolontariuszach, jakby to byli superludzie, z którymi tam pojechałam, z którymi tam byłam, żałowałam, że nie mogłam zostać dłużej. Żartowaliśmy, że... Było takie hasło, jakby w cudzysłowie: *Nigdy się nie uśmialiśmy tyle, co na tej wojnie*. W sensie wiem, że to strasznie brzmi, ale to jakby w takich skrajnych emocjach czasem, że my się dobrze czuliśmy ze sobą, każdy chyba się czuł potrzebny”. (Weronika)

Większość relacji z granicy miała charakter zapadających w pamięć, lecz krótkotrwałych epizodów międzyludzkich. Intensywne współprzeżywanie ma rację bytu póki trwa sytuacja, która te więzi wytwarza i napędza. Klara obserwowała wśród wolontariuszy „wiele mniejszych lub większych flirtów”. Renata opowiadała, że „ludzie, którzy w ogóle się nie znali, błyskawicznie nabierali do siebie zaufania”. Weronika odkryła zaskakującą bliskość między wolontariuszami ze skrajnie odległych od siebie opcji ideowych (lewicowych oraz patriotyczno-narodowych), które zgodnie koegzystowały w przestrzeni granicznej, wymieniały się zasobami i ufały sobie. Na granicę przyjechali pomagać różni ludzie, a granica zatarła różnice między nimi.

„To było też takie fajne, że ty, jako wolontariusz tam też byłaś zaopiekowana, bo mogłaś korzystać z tego jedzenia, bo każdy był dla ciebie miły, bo nikt się nie pytał, na kogo głosujesz... No i byli ludzie z różnych środowisk: anarchiści, obok był namiot

[organizacji narodowej], i jakoś wszyscy się też dogadywali. No właśnie była bardzo taka pozytywna energia, jakby, że wszyscy sobie pomagali. Że mogłaś podejść wszędzie, też było tak międzynarodowo, więc ten angielski też trochę skraca dystans. Obok nas była organizacja z Chile, która miała jakiś sprzęt dla dzieci, rozdawała, na wprost był Amerykanin z naleśnikami, gdzieś tam przyjechali Szkoci, którzy robili jakieś tam pizzę i takie różne rzeczy”. (Weronika)

Niektóre więzi, które powstawały między wolontariuszami okazały się jednak nie tylko silne, ale i trwałe, mimo że ludzie nie znali się wcześniej. Anastazja, Rosjanka mieszkająca od lat w Polsce, na granicy poznała mnóstwo osób, którzy przyjechali na granicę nie tylko z Polski, ale też Izraela, USA i innych państw – część z nich w momencie zakończenia naszych badań nadal przebywała na granicy. Badana wciąż utrzymuje z nimi kontakt, niektórych nazywa przyjaciółmi. Połączyła ich chęć pomocy, ból i niezgoda na bestialstwo. Są w kontakcie do dziś, wspierają się, wymieniają informacje.

Podobnie atmosferę i charakter więzi w tworzonych *ad hoc* grupkach pomocowych opisywali wolontariusze pracujący w innych miejscach. Na przykład klimat panujący w dworcowym punkcie medycznym porównywany był do klimatu Przystanku Woodstock, organizowanego przez Jurka Owsiaaka (obecnie PolandRock).

„Tam [na dworcu] się życie toczyło po prostu innymi wartościami, tam się na wiele rzeczy patrzy po prostu zwyczajnie inaczej. I myślę, że tam trochę się tak przychodziło trochę dlatego, żeby, jakkolwiek no brzmi to dziwnie, ale się odprężyć pewnego rodzaju innymi kategoriami życia, tym co się dzieje, inaczej. (...) Była też taka dziewczyna, zdarzyło mi się parę razy z nią akurat też trafiać na dyżur, młoda, pracująca, ta najmłodsza generacja. (...) I ona też bardzo dużo się tam udzielała, ja myślę, że oni trochę to traktowali w kategorii, jak masz dwadzieścia lat, to jest trochę taka przygoda życia. Jak ja miałam dwadzieścia lat, to ja jeździłam na Przystanek Woodstock jako ratownik, bo to była dla mnie przygoda życia, bo tam, no, też się wiele działo, to też był ciekawy przykład doświadczenia ratowniczego. I myślę, że oni trochę w ten sposób też podchodzili, to było trochę, trochę coś nowego, trochę bohaterstwo dla

niektórych jednak, ale fajnie, że byli, fajnie, że naprawdę byli, że o to wszystko zad-bali, bo częściowo były to naprawdę te same osoby jednak na dworcu. To nie było tak, że to było unikatowe, zwłaszcza nocami, zwłaszcza nocami, często było tak, jak my się cały czas w tym samym składzie spotykaliśmy. (...) Tak, no jak pamiętam czasy Woodstockowe, pewnie podobnie właśnie, jeżeli chodzi o to ratowanie tam”. (Klara)

„Ja mam takie poczucie, że jadę i taka jest wspólnota. I właśnie są ci wolontariusze wszędzie na tych dworcach. Jednak jest ich bardzo dużo i ci ludzie tak bardzo przychylnie nastawieni, i wspierający, i to było bardzo fajne i budujące”. (Anna)

W punktach recepcyjnych wśród wolontariuszy panowała wręcz siostrzano-braterska komitywa, rodzinna, serdeczna atmosfera, będąca jednocześnie najsilniejszym źródłem entuzjazmu do pomagania.

„Ludzie się bardzo mocno ze sobą żyli, bardzo mocno się ze sobą zintegrowali, mówię o wolontariuszach. (...) My tam wspólnie wyładowywaliśmy tiry pełne jedzenia, i tam było dużo żartów, i jakieś takie też ludzie opowiadali o sobie, czym się zajmują, co robią, jakieś żarty, żarciki, jakieś wspólne wyjście na papieroska, jakieś takie właśnie poklepywanie się, że: *Kurde, dobrą robotę dzisiaj zrobiliśmy!*, albo *Super, że nam się udało to dzisiaj zrobić, że zrobiliśmy to wspólnie, razem!*”. (Ewelina)

„Z osobami, z którymi na przykład na wolontariacie jestem, to się czuję jak rodzina. Jakby to nie tylko nas łączy, ale też łączy z tymi ludźmi z którymi pomagamy, tak naprawdę. Że to zbliża jeszcze bardziej, buduje jakąś taką więź bardziej niż przyjacielską, jakąś tam koleżeńską”. (Yana)

„W trakcie takiego pomagania udało się poznać dużo fajnych ludzi. Właśnie ten czynnik ludzki, czyli to, że łączymy się wspólnie na, żeby pomagać, to właśnie było takim motywatorem, to, co jakby napędzało działanie. I nawet do głowy by nie przyszło, żeby z tego się wycofać, bo jakby, jak mogę się wycofać, skoro inni tyle robią, a ja co, będę siedzieć i patrzeć w sufit?”. (Sofiya)

Na tworzenie dobrej atmosfery na przejściach granicznych składały się także pełne sympatii i wdzięczności reakcje osób uchodźczych na pomoc ze strony Polek i Polaków. Gorące powitanie spotykało się z gorącym przyjęciem. Kluczowa była tu wzajemność relacji, świadomość, że druga

strona dostrzega troskę i miłym słowem czy uśmiechem daje natychmiastową informację zwrotną o skuteczności podejmowanych zabiegów. Słowami jednej z pomagaczek: „jak się widzi efekty i się wie, że to działa, to się kontynuuje” (Oksana). Helena opisywała, że czuła się na granicy potrzebna, oczekiwana przez uchodźców. Mówiła, że dużym wsparciem w trudnej pracy wolontaryjnej były dla niej życzliwe gesty ze strony Ukrainek i Ukraińców:

„Na początku wszyscy nas tam lubili i wszyscy się uśmiechali, jak nas widzieli, i nas przytulali. I my jeszcze byłyśmy takie pachnące i niezmięcone aż tak bardzo i właśnie zatrzymywały się przy nas samochody, i właśnie [krzyczeli]: *Dzięki Polsko!* Tam było miło, znaczy miło... i wdzięczność, i naprawdę ludzie się uśmiechali, że jesteśmy ich siostrami, po prostu dawali nam paczki papierosów na przykład też. Rzucił się jakiś pan, że dziękuje, i tak nam podawał...”. (Helena)

Z kolei Weronika, podsumowując tydzień spędzony na granicy, wielokrotnie wskazywała na dobre chwile i oceniła, że w porównaniu z pomaganiem na dworcach, czego również doświadczyła, pobyt na granicy wiązał się z przewagą pozytywnych emocji:

„To byli ludzie, którzy nie chcieli łąpać kontaktu wzrokowego, ale jeśli ktoś łapał, to zwykle z taką ulgą, więc to były przyjemne momenty, to nie były jakieś takie rzeczy traumatyzujące nas jako wolontariuszy, że coś ciężkiego widzimy i tak dalej. Oni mają tą nadzieję: *będzie dobrze*, tacy czują się oczekiwani na tej granicy, ale że jak już dojadą do tego dworca, to będzie ciężiej niż w tym momencie. Także to było bardzo łatwe miejsce do pomagania”. (Weronika)

Oprócz dostrzeżenia pozytywnych skutków świadczonej pomocy, życzliwości uchodźców oraz entuzjastycznej atmosfery wśród pomagaczy elementem napędzającym dobre emocje i chęć dalszego działania były reakcje społeczeństwa na rodzące się inicjatywy związane z niesieniem pomocy uchodźcom. Masowy zryw Polek i Polaków spotkał się z wieloma komentarzami pełnymi uznania. Zarówno z krajów sąsiednich, jak i z odległych miejsc globu docierały do Polski słowa uznania i podziwu za to, co robi dla Ukrainy. Szczególnym szacunkiem cieszyły się osoby

pomagające w pierwszych szeregach, czyli właśnie na granicach, dworcach i w punktach recepcyjnych.

„Naprawdę chylę czoła dla tych, którzy spędzali w punktach granicznych, nawet przyjeżdżali z obcych krajów ludzie pomagać, gotować i przywozić środki higieny i jakieś podstawowe artykuły, dla tych przychodzących, uchodzących przed kataklizmem, przez śmiercią”. (Krzysztof)

Transport

„Dwu-, trzypasmowa autostrada w jedną stronę i pojawia się tylko, tak, pomoc humanitarna, pojawia się wojsko, pojawiają się autobusy z PSP, czyli z państwowej straży pożarnej, odbierających tych ludzi z tej granicy. Tak. I to jest wszystko, co nam się pojawiło na drodze, tak? Więc ten, kto nie był, ten kto nie, naprawdę nie dotknął, to chyba nie rozumie tego”. (Ania)

Krajobraz strefy wojny, katastrofy lub kataklizmu. Klimat stanu wyjątkowego. Na samym początku na granicę jechały głównie wojsko, pomoc humanitarna i służby porządkowe. Sunące do granicy kolumny jednostek i służb o różnych specjalnościach potwierdzały, że sytuacja jest niecodzienna i groźna. Ruch drogowy w drugą stronę, jak zapamiętał Michał, był mało intensywny i zdominowany przez osoby, które ze względu na swoją uprzywilejowaną pozycję społeczną, zdołały wydostać się z kraju ogarniętego wojną jako pierwsze:

„Na początku wojny to z tamtej strony [z Ukrainy] praktycznie nie było ruchu w ogóle, polskich rejestracji nie widzieliśmy w ogóle, natomiast było dużo samochodów drogowych, takich z wyższej półki, na rejestracjach ukraińskich, i nie kierowały nimi kobiety, ale również mężczyźni. W pierwszej kolejności w ogóle do Polski przyjechały osoby zamożne, uciekając z Ukrainy, to to było widać”. (Michał)

Potem, według relacji Aleksandry, z Ukrainy w głąb Polski „jechały non stop samochody wypełnione” – z Kijowa przez Zamość, ze Lwowa przez Przemyśl. A jeszcze potem dołączyły do nich auta Polek i Polaków, którzy

zaczęli przewozić uchodźców z granicy. Kim byli ci ludzie i jak wyglądała ich pomoc?

Ela przywołała historię ewakuacji matek z autystycznymi dziećmi, mówiła, że „jakaś dziewczyna zorganizowała prywatne osoby, które samochodami prywatnymi pojechały na tę granicę i w nocy te matki przywiozły”. Marian podzielił się wrażeniami związanymi ze swoją wyprawą na granicę: „O drugiej w nocy dostałem tam telefon od tego, od tych ludzi z granicy, że mają ileś tam osób, to do księdza między innymi przywieźliśmy”.

Helena oceniła swoje zaangażowanie w transport jako niezależny od niej proces: „To tak po prostu falowo poszło (...) i to się wszystko przeobraziło tak, że, że dużo osób miało mój numer telefonu, ha, ha. I do mnie po prostu dzwoniło”.

Milena opowiadała o sztafecie kierowców podczas wielogodzinnych wypraw na granicę: „I tak, jeździli nie wiem ile razy, z trzy albo cztery razy do granicy swoimi samochodami, wymieniali się, bo chłopaki też nie mogli jechać całej trasy, tak? Jechali w jedną stronę chłopaki, w drugą stronę dziewczyny.”

Pomagacze oferujący transport z granicy pracowali często w nocy, w pośpiechu, na zmiany i we współpracy, byli ciągle pod telefonami, dostępni 24/7, jak w poniższej relacji o pomocy w transporcie uchodźcom z niepełnosprawnościami:

„O Boże, na początku to było non stop, przez całą dobę. Łącznie z weekendami. Tak, to był koszmar. Na początku, naprawdę, to... przez parę pierwszych tygodni wojny, to trwało non stop. Że trzeba było nawet i w środku nocy, jak się, jak ten telefon nas obudził, to trzeba było po prostu wstawać. Więc jeśli to nie był nasz samochód, to jechał jakiś wolontariusz, a, a często oni też załatwiali w tych punktach recepcyjnych, nie wiem, straż pożarna, na przykład, czasem była karetka też, że, że przywoziła. A czasem przywoziła ta nasza partnerka [z Ukrainy], swoim busem”. (Aleksandra)

Historia Agi jest jedną z wielu, która obrazuje partyzanckie warunki organizacji transportu z granicy w pierwszych dniach wojny. Pomagacze wożący uchodźców musieli samodzielnie przygotować do transportu

i we własnym zakresie dopilnować wielu małych i większych spraw, od „skołowania” zaopatrzenia na granicę, przez uzupełnienie baku auta benzyną, po zamontowanie fotelika dziecięcego do bezpiecznego przewozu najmłodszych pasażerów.

„Więc dostałam o dwudziestej trzeciej telefon, jeszcze logistyczny, czy nam kogoś, kto może pojechać na granicę. I trzeba było na tą granicę pojechać dokładnie teraz. Ja powiedziałam, że znam, jestem, nie ma żadnego problemu. Była godzina dwudziesta trzecia trzydziści. Pojechałam do domu, zrobiłam sobie herbatę do termosu, wzięłam trochę żarcia, pojechałam wymienić samochody. Na całe szczęście, co się okazało być potem bardzo praktyczną rzeczą, przygotowując się do jeżdżenia na granicę, poprosiłam moją bratową o nosidełko, znaczy nie nosidełko, fotelik dla dziecka. Żeby zabezpieczyć też jeszcze, jeszcze tą podróż pod tym kątem. Więc pożyczyłam od mamy duży, duży samochód, takiego SUV-a, wiedziałam, że jednak moim ukochanym autkiem miejskim, jeżdżenie może będzie bardziej ekonomiczne, ale stanowczo niepraktyczne. Liczyłam się z tym, że po prostu osoby, które tam będą, jednak będą miały ze sobą bagaże, a poza tym dzieci są też z wózkami. Także wymieniałam samochody, potem o godzinie dwunastej ruszyłam w drogę. Byłam na miejscu o czwartej, czwartej trzydziści. Bardzo się ucieszyłam, że zatankowałam jeszcze odpowiednio wcześniej, zatankowałam w Warszawie, ale jeszcze, jeszcze później, później jeszcze w ostatnim możliwym momencie też udało mi się jeszcze dobić benzyny trochę pod korek, bo wszystkie stacje benzynowe były już nieczynne przy granicy. Miałam ze sobą strategicznie zabrane pudełko po pizzy i marker, bo to był jedyny sposób, żeby po prostu, poprzez napisanie imienia i nazwiska tej dziewczyny, odnaleźć ich w tym punkcie, jak by określić ten punkt...? W punkcie zbiorczym, bo oni, oni z granicy byli przysyłani do, przysyłani, przywożeni do różnych punktów, takich tymczasowo (...), gdzie mogli po prostu czekać na, na dalszą drogę. Zapakowałam dziewczyny, miałam piętnaście minut przerwy i o godzinie dziewiątej byłam z powrotem w Warszawie”. (Aga)

Kulminacyjnym punktem nastawionych na pomoc w transporcie wypraw na granicę był powrót z pasażerami udającymi się do różnych miast w Polsce. Jak pomagacze wspominają trasę z uchodźcami? Milena pamięta milczenie, ogromne zmęczenie przewożonych pasażerów, a także swoje wzruszenie i trudne do pohamowania łzy:

„A jak jechaliśmy z granicy, nikt do nikogo nie mówił, po prostu byli wszyscy w swoich myślach. To takie było... Ja, jak popatrzyłam na te dzieci, które tam były, takie małe, ja tak płakałam, naprawdę. Po prostu płakałam, bo szkoda było tych dzieci, naprawdę szkoda”. (Milena)

Samochód Agi okazał się pierwszą bezpieczną przestrzenią dla uchodźczyń, które wreszcie mogły spokojnie odpocząć po wielogodzinnej ewakuacji. Pasażerki zasnęły podczas podróży. Aga w tym czasie czuła ulgę, satysfakcję, a nawet szczęście, że udało jej się komuś pomóc. Wyprawa na granicę to było dla niej swoiste *katharsis* – wreszcie włączyła się w łańcuch pomocy, zrobiła coś konkretnego, podróż z uchodźczyniami zadziałała na nią terapeutycznie:

„Oni byli tak strasznie zmęczeni, że w momencie, kiedy wsiedli do tego auta, nie chcieli ani nic zjeść, nic wypić, tylko i wyłącznie po prostu zasnęli. Byłam wdzięczna i szczęśliwa, że mogę, mogę im w ten sposób pomóc. Myślę, że tak, jak oni mogą mieć poczucie, że ja im pomogłam, to oni mi pomogli w tym momencie tak samo”. (Aga)

Natomiast Olaf razem z rodziną, którą transportował, przywiózł pełno dramatycznych wieści z frontu oraz apokaliptycznych scenariuszy wieszczących wybuch atomowy zagrażający całej Europie. Tak relacjonował tę podróż:

„No i przewoziłem przez granicę chyba z pięć osób, w samochodzie. I potem już po polskiej stronie zabrałem babcię z dwójką wnuków (...). Jeszcze jak wracałem z tą babcią i z tą dwójką wnuków, to do niej zadzwonił mąż, który powiedział, że Rosjanie zaatakowali jeden z reaktorów jądrowych. I właśnie ta pani mi tłumaczyła, że, że w Czarnobylu chyba były tam dwa reaktory, a w tym miejscu, gdzie Rosjanie zaatakowali, jest, nie wiem, tam z pięć czy sześć tych reaktorów, więc mówiła, że jak to wysadzą, to nie ma Europy. Więc trochę jechałem z tą babcią z taką wizją końca świata”. (Olaf)

Samochody pomagaczy transportujących uchodźców z granicy okazały się bardzo funkcjonalnymi na wielu poziomach. Dawały schronienie i wytchnienie osobom uchodźczym, przewoziły ich bagaże, niekiedy ogromnych rozmiarów, przyjmowały wszystkie emocje, stawały się

świadkami historii. Były ruchomymi punktami troski, w których Ukraińki i Ukraińcy mogli złapać nierzadko pierwszy głęboki oddech w swojej podróży.

Wyprawa na granicę nie zawsze kończyła się realizacją planu pomocowego. Na przykład mąż Doroty z kolegami „wrócili na pusto”. Czasami przypadek decydował, czyja pomoc była przyjęta, kto pojawiał się pierwszy, zdołał „zgarnąć” czekających na granicy. Bywało i tak, że decydowało zaufanie do konkretnej osoby, ponieważ – co wielokrotnie podkreślali rozmówcy – dla uchodźczyń podróżowanie z obcymi ludźmi zawsze wiązało się z podjęciem ryzyka.

Dlatego największe znaczenie dla sukcesu w niełatwej operacji pt. „transport” miał rozsądek w pomaganiu i opracowanie planu działania, jak w przypadku przytoczonej powyżej historii Agi. Udawanie się na granicę po uchodźców było obarczone niepewnością. Trudno było przewidzieć, czy w danej chwili potrzebny będzie transport, pomagacze mówili, że w niektórych momentach był nadmiar ofert podwózki, a masowe wyprawy na granicę spowodowały, że drogi się korkowały.

„No ale potem przyszła taka informacja, że bez sensu tam jechać, że ludzie tam jadą, wracają na pusto, że kobiety zaczynają bać się wsiadać do samochodu. Wcale się nie dziwię, z mężczyznami.” (Dorota)

„Zastanowiłam się w weekend, czy po prostu nie pojadę na dzidę, na pałę na tą granicę i nie będę wystawać z kartką o transporcie, ale też zrobiłam potem *research*, że ta forma pomocy jest nienajlepsza, z tego powodu, że powoduje tylko i wyłącznie bardziej pogłębiający się chaos, a poza tym uchodźcy boją się wsiadać do losowych aut”. (Aga)

„Na początku było strasznie dużo samochodów, które tam jechały, żeby odwieźć jakąś pomoc, zabrać ludzi. Finalnie były ogromne korki, było to zbędne, ciężarówki czekały zbyt długo, żeby gdziekolwiek dotrzeć, i, no, to są dobre chęci, ale to było mało efektywne”. (Oksana)

„A później już Polska załatwiła takie całe autobusy. I mówili, żeby nie jeździć teraz samochodami osobistymi, bo zrobicie, będą korki”. (Milena)

Ruchliwość pomagania

Ruchliwość pomagania miała dwa wymiary – dosłowny i metaforyczny. Pierwszy to transport zaopatrzenia oraz pomoc uchodźcom w przemieszczaniu się. Ta forma zaangażowania zawiera w sobie namacalny element ruchu. Pomagacze przemierzali kilometry, żeby nieść pomoc: własnymi samochodami i wynajętymi pojazdami robili kursy do granicy z darami, a z granicy z pasażerami, których rozwozili do różnych miejsc w Polsce, a jednocześnie towarzyszyli im w kolejnym, po przejściu przez granicę, etapie ucieczki z terenów ogarniętych wojną.

Po drugie, pomaganie było dynamicznym procesem dlatego, że ludzie mieli na początku trudność ze znalezieniem sobie miejsca w rozpedzonej maszynie pomagania. Bardzo chcieli się zaangażować, ale nie do końca wiedzieli, gdzie potrzebne są ręce do pracy, czego potrzebują uchodźcy, w jakie działania warto zainwestować swoje zasoby. Zmieniali więc formy pomocy, ponieważ działali trochę po omacku. Próbowali się dopasować do sytuacji, szukali takich aktywności, które odpowiadałyby ich kompetencjom i możliwościom. Czasami podejmowali działania, których nie udało im się udźwignąć. Zdarzało się, że oferowali nietrafioną pomoc lub ich pomoc okazywała się nadmiarowa (nie mieli komu pomagać, ponieważ w niektórych miejscach wolontariuszy było więcej niż uchodźców).

Chwyтали się różnych aktywności, żeby nie być bezczynnym, ale takie kompulsywne zaangażowanie zwykle nie trwało długo. Zdarzało się, że nie mogli się odnaleźć w grupie pomagaczy albo zawiązana *ad hoc* grupa rozpadała się, dzieliła, zmieniała profil pomagania. Najczęściej w pewnym momencie znajdowali swoją niszę, wrastali w środowisko pomagaczy skupionych wokół danego miejsca lub formy pomocy i stawali się specjalistami od zbiórek, dworców, punktów recepcyjnych, lokowania uchodźców w domach itd... Ta ruchliwość, zmienność form zaangażowania charakteryzowała pierwszy etap pomagania.

Dworzec

Apropozycja, toaleta, odpoczynek, ogrzanie, udzielenie informacji i pomoc w zebraniu myśli – w skrócie: misja dworzec (Por. raporty i rekomendacje dotyczące wolontariatu na dworcach opracowane w pierwszych miesiącach wojny: Fundacja Stocznia 2022; Jankowska i in. 2022; Reinhard, Rudnicki 2022).

Specyfika pomagania na dworcach polegała, po pierwsze, na zabezpieczeniu podstawowych potrzeb osób uchodźczych. Chodziło więc o rozdawanie ciepłej herbaty i wody, zapewnienie posiłku, możliwości skorzystania z toalety, dostarczenie odzieży, udzielenie pomocy medycznej, jeśli była konieczna, udostępnienie miejsca do regeneracji sił. Z drugiej strony, dworce były bramą łączącą przybyszy z nowym miejscem – wolontariusze zarządzali ruchem mas przybyłych do miast: wysyłali ludzi do punktów recepcyjnych, kierowali do tymczasowych schronień, kojarzyli ze sobą osoby udostępniające mieszkania z osobami poszukującymi kąta do spania, pomagali przedostać się do środków transportu jadących do innych miejscowości i krajów. Pod wieloma względami pomaganie na dworcach podobne było do wolontariatu na granicy – łączyło pracę opiekuna i odźwiernego.

Opiekunem i odźwiernym był Danilo, który pochodził z Ukrainy, a w Polsce mieszkał od kilku lat, tu studiuje i pracuje. Od momentu wybuchu wojny do momentu prowadzenia wywiadu na dworcu był prawie codziennie. Przychodził razem ze swoimi znajomymi z uczelni – młodymi Polakami i Ukraińcami osiadłymi w naszym kraju. Szczególnie ci ostatni byli bardzo pomocni na tym etapie, gdyż potrafili rozmawiać z osobami uchodźczymi w języku ukraińskim lub rosyjskim. Zakorzenieni w polskim społeczeństwie ludzie narodowości ukraińskiej mają też własną perspektywę migranta, a przy tym doświadczenie życia w Polsce – są idealnymi tłumaczami dla nowo przybyłych osób. W tej przestrzeni najbardziej liczyły się bowiem dwie rzeczy – znajomość języków i krzepa fizyczna.

„No, po pierwsze, to trzeba dopomagać w niesieniu informacji. Na przykład, osoba przyjeżdża do Polski, pierwszy raz w ogóle przyjechała za granicę, przyjechała na dworzec, poszła na peron i nic nie wie... Jeżeli są jakieś pytania tam, gdzie coś zjeść, na przykład, gdzie jakiś dokument zrobić, to my możemy pójść z nimi, zrobić te dokumenty albo pokazać im. I już inna służba im dopomaga dalej. Albo jeżeli u osoby są pytania, o jakiej godzinie pociąg, jak dojechać do tego miasta, na jaki peron przyjść, na przykład, jak zrobić ten dokument, i tak dalej. Albo jeżeli, na przykład, jeżeli są duże bagaże i trzeba je [zanieść] na jakiś peron, i trzeba pomagać, to tak samo”. (Danilo)

Podobne doświadczenia w pomaganiu na dworcu miała Aga. Choć jest osobą młodą i wysportowaną, wspominała noszenie bagaży po dworcowych schodach jako najtrudniejszy trening wymagający ogromnej siły i sprawności fizycznej:

„Moja praca skoncentrowała się na tym, że... to był bardzo efektywny akurat sposób, w jaki mogłam pomóc. Że wyszukiwałam im jak, skąd, gdzie mogą jechać, jaki peron, i nosiłam im walizki. (...) Ja w przeciągu tych sześciu godzin, myślę, że, jak podliczyłam, myślę, że ja pomogłam w tym PKP-ie przenieść walizki, skontaktowałam się i ogarniałam, mniej więcej od dwustu do dwustu pięćdziesięciu osób. Tak myślę. Efekt był tego taki, że ja, jak, jak już o godzinie dwunastej miałam, miałam już zejść (...) moje ręce były w takim stanie, ja nie byłam, nie byłam w stanie podnieść telefonu, one były tak zmęczone od tego noszenia. (...) Nie było chwili, żebym miała puste ręce, nie było chwili, żebym czegoś nie robiła. Jeżeli tak, no to były dosłownie dwie, trzy sekundy i pojawiały się kolejne osoby”. (Aga)

Aga nie zna ani rosyjskiego, ani ukraińskiego, dlatego największym wyzwaniem były dla niej zadania wymagające bezpośredniej komunikacji z osobami uchodźczymi. Przed przyjazdem na dworzec, a także w trakcie spotkań i rozmów uczyła się na bieżąco najpotrzebniejszych słów po ukraińsku i intensywnie korzystała z ułatwień technologicznych (aplikacja tłumaczeniowa w smartfonie), żeby móc się dogadać, kierować uchodźczynię i uchodźców w odpowiednie miejsca, na właściwe perony, pomagać w zakupie biletów itd.:

„To, że dzień wcześniej przygotowałam się do tego wolontariatu w ten sposób, że nauczyłam się paru podstawowych zwrotów po ukraińsku, to, że miałam Google Translate – to pozwoliło mi się tam jakoś zorganizować”. (Aga)

Ewelina pomagała na dworcu tylko przez chwilę, na samym początku wojny, gdy obłożenie dworców było największe. Jako że nie zna języków, którymi posługują się uchodźcy zza wschodniej granicy, wzięła na siebie głównie zadania opiekuńcze, niewymagające wchodzenia w interakcje werbalne. Na dworcach było wielu takich wolontariuszy jak ona – milczących pomagaczy i obserwatorów, którzy komunikowali się z osobami uchodźczymi nie słowami, ale gestami.

„Po prostu rozdawaliśmy kawę i herbatę, najzwyczajniej w świecie, jakieś tam ciastka czy czekolady dzieciakom, po prostu krążyliśmy, chodziliśmy, też pomagaliśmy nosić walizki, bo to była taka pierwsza styczność w ogóle z tym wszystkim”. (Ewelina)

„Było tak, że czasami ktoś po prostu siedł, żeby... Brał, kupował jakieś rzeczy, typu jogurty, wodę i rozdawał na dworcach, nawet takie, takie małe akcje to też pamiętam”. (Lena)

Zuza z kolei pełniła bardziej rolę tłumaczki-odzwiernej, która wprowadzała przybyszów w nowe dla nich realia i pomagała się odnaleźć w Polsce. Ze względu na znajomość języka rosyjskiego oraz doświadczenie pobytu na wschodzie Europy wiedziała, z jakimi trudnościami językowymi, komunikacyjnymi i logistycznymi mogą mierzyć się osoby uchodźcze. Zuza udzielała więc informacji osobom potrzebującym pomocy w zaplanowaniu dalszej podróży, zaangażowała się też w obsługę punktu informacyjnego o mieszkaniach i rozlokowywanie osób przyjezdnych w domach przygotowanych na gościnę uchodźców, które zgłosili mieszkańcy stolicy. Pomagała ponadto, tłumacząc w punkcie medycznym podczas porad świadczonych przez lekarki, pielęgniarki i ratowniczek.

„Ja byłam w takim punkcie, który oferował nocleg, jak ktoś potrzebował noclegu np. z miasta. (...) Czasem przychodziłam tam do tego punktu medycznego, bo ci ratownicy i lekarze tam przecież też nie mówili czy po ukraińsku, czy po rosyjsku, więc ja robiłam tłumaczenie”. (Zuza)

Na stołecznych dworcach, w punktach medycznych przez kilka pierwszych miesięcy regularnie dyżurowała Klara, która o swojej pracy mówiła jako o misji wynikającej z zawodu medyczki. Klara oraz jej koledzy i koleżanki z ekip medycznych mieli styczność z trudnymi przypadkami osób, które odniosły mniej lub bardziej poważne obrażenia podczas ewakuacji oraz z uchodźcami, którzy cierpieli na zwykłe dolegliwości zdrowotne. Wszyscy oni otrzymywali pierwszą pomoc od wolontariuszek i wolontariuszy pracujących w dworcowych punktach medycznych.

„Bardzo szybko się okazało, że naprawdę tu będziemy równie mocno potrzebni, będzie prawie jak na granicy, co później rzeczywiście miało wiele wspólnego z rzeczywistością, bo też, no, te ciężko ranne osoby były jednak transportowane w ogóle pociągami medycznymi, także do nas trafiały te osoby, które też trafiłyby na granicy, trafiały do nas po prostu później. Ten wolontariat jest trochę inny, i o ile do wydawania jedzenia, umówmy się, możemy każdego tak naprawdę wstawić, to niestety do tego medycznego nie każdego już wstawimy, i czasami rzeczywiście było tak, że brakowało tych ludzi, i chociaż, nie wiem, dzwonili ze szpitala: *Chociaż na dwie godziny podjedź, na trzy godziny podjedź, na cokolwiek, ale że tam była jakaś zakładka, jakaś wymiana*, no i oczywiście, że się wtedy jedzie, bo jak nie pojechać, tak?”. (Klara)

Dworzec – kolejny punkt na mapie pomagania – wymagał od wolontariuszy podejmowania podobnych aktywności, co granica, czyli przede wszystkim działań nakierowanych na opiekę, zwiększenie komfortu oraz przekierowania osób uchodźczych do tymczasowych lub docelowych schronień.

Jednak, z punktu widzenia pomagaczy, emocjonalna atmosfera na dworcach wydawała się bardziej przytłaczająca niż ta doświadczana na granicy, którą jedna z badanych nazwała „wolontariackimi wakacjami” (Weronika). Dworzec odstraszał pomagaczy, kilkakrotnie słyszeliśmy głosy takie, jak ten Oli:

„Bałam się pójść na dworzec, znaczy ten dworzec mnie przerażał. Dla wszystkich wolontariuszy, którzy pracowali na dworcu mam bardzo, bardzo wielki szacunek, i to jest straszna praca, uważam, i ja nie byłabym w stanie jej robić”. (Ola)

Co było najtrudniejsze w pomaganiu na dworcach? Na pewno trudność z zachowaniem równowagi między wolontariatem a życiem prywatnym. Pomaganie w swoim mieście, po godzinach pracy, blisko domu wiązało się z nieustannym rezygnowaniem z tego, co prywatne, aby zaangażować się bardziej, dać z siebie więcej, bardziej intensywnie włączyć się w pomoc. Tego dylematu nie było na granicy – tam się jechało, aby całą swoją energię poświęcić na pomaganie, tu i teraz; tam wolontariat nie generował poczucia wewnętrznego rozdarcia ani konieczności dzielenia czasu między pomaganiem a swoim życiem. Pod tym względem pomaganie „u siebie” było według rozmówców trudniejsze, ponieważ trudniej było dbać o *work-life balance* i higienę emocjonalną.

„To jest bardzo trudne później, kończąc dyżur, żeby móc wyjść głową z tego i nie przynosić tego, tego uczucia na znajomych, na wszystkich dookoła. Żeby móc właśnie nie myśleć, że... Bo trzeba, jakkolwiek, przy całej tej tragedii, jednak gdzieś trzeba starać się trzymać ten pion, bo chociażby z prostej rzeczy, nie pomoże się innym, jeżeli samemu się do tego dołu skoczy”. (Klara)

Jednak głównym powodem odczuwania ciężaru dworcowego wolontariatu było bezpośrednie zderzenie z przeżywanymi przez uchodźców emocjami, które dopiero po czasie, po wjechaniu w głąb obcego kraju, zaczęły być coraz bardziej widoczne, jakby „odmrożone” po chwilowym szoku, spadku adrenaliny i mobilizacji związanej z ewakuacją. Z każdym kolejnym przystankiem na drodze ucieczki przestawał kojąco działać efekt ulgi, jaką uchodźczynie i uchodźcy odczuwali po przekroczeniu granicy. Rosły natomiast tęsknota i strach o bliskich, którzy zostali w Ukrainie, kielkowała złość, powracały niekiedy traumatyczne wspomnienia, pojawiała się panika związana z brakiem planu i napotykaniem nowych wyzwań w nowym miejscu.

Takie emocje rozprzestrzeniały się po dworcach, tworząc zamknięte przestrzenie smutku i niepewności. Pomaganie w tych przestrzeniach nie pozostawiało osobom wolontariackim wyboru – musiały one skonfrontować się z bagażem emocjonalnym, który „wysiadł” z pociągów czy autokarów wraz w uchodźcami.

Moment krytyczny

Wszyscy spośród rozmówców i rozmówczyń pracujących wolontaryjnie na dworcach zwracali uwagę na intensywność, chaotyczność i zawrotne tempo działania oraz obciążający fizycznie i emocjonalnie charakter pomagania w tych miejscach. Każda poznana przez nas osoba miała w swojej historii dworcowego wolontariatu moment załamania, tąpnięcia czy zwątpienia. Aga czuła się zagubiona w gąszczu nieuporządkowanych informacji i trudno jej było konstruktywnie pomagać bez podstawowej znajomości języka. Zuza bywała przytłoczona odpowiedzialnością za losy osób, które szukały u niej pomocy, czasami zdając się na jej osąd. Danilo źle znosił wybuchy negatywnych emocji, które wobec wolontariuszy kierowali zmęczeni i zrozpaczeni przybysze, czasami odbierał je jak niewdzięczność. Lena ze wzruszeniem odwracała wzrok od cierpienia ludzi błagających się bez planu między peronami. Ewelina też nie czuła się komfortowo, gdy onieśmielona patrzyła na ludzi w koszmarnym położeniu, których intymność wystawiona została na publiczny widok. Klara walczyła ze wstrętem, przechodząc obok ciał uchodźców zalegających na podłogach hal dworcowych i opatrując wojenne rany.

Niektórzy pomagacze, oceniając sytuację na dworcu, mówili: „Zaczęły się schody” – całkiem dosłownie, gdy trzeba było tarabanić się z walizami przez nieprzyjazne przestrzenie dworców i wspinać się z bagażami po stromych schodach, by przedostać się na perony. Metaforycznie, gdy przed wolontariuszami momentalnie zaczęły piętrzyć się przeszkody różnego rodzaju.

Właściwie od samego początku wolontariat na dworcach był zadaniem ekstremalnym i niewdzięcznym. W dodatku kojarzącym się z samotną walką z kolejnymi stopniami prowadzącymi do wypalenia aktywistycznego, którymi były: chaos, konflikty, nieprzyjazna przestrzeń, praca emocjonalna obejmująca radzenie sobie z poczuciem niezręczności, bezsilności i irytacji, w końcu – skrajne zmęczenie fizyczne. Jak powiedziała z nieukrywanym rozgoryczeniem jedna z pomagaczek: „na

tym dworcu to nikt, po prostu tam nikt się nie interesował wolontariuszami” (Zuza).

Przeszkoda pierwsza: **chaos**. „Bajzel na tym dworcu po prostu dziki” – wspominała Elżbieta. Wolontariat dworcowy to – słowami Agi – „wielka improwizacja” i „koszmarna dezinformacja”, a według Klary – „jedna wielka niewiadoma” albo „chaos i burdel”. „W zasadzie się zdziwiłam, że to wszystko tak jakoś działało sprawnie” – te słowa Weroniki dotyczące wrocławskiego dworca były w zasadzie wyjątkiem.

Szczególnie na początku wolontariuszki i wolontariusze skarżyli się na zamieszanie i brak jasnych instrukcji odnośnie do dostępnych form pomocy. Mówili, że nie wiedzieli, co mają robić, gdzie kierować przyjezdnych, skąd czerpać aktualne informacje. W efekcie czuli się na swoich posterunkach „nie na miejscu”, czasami towarzyszyło im przeświadczenie, że są niepotrzebni, że ich pomoc nie jest efektywna. Mieli wrażenie, że nikt nie czuwa nad koordynacją pomocy na dworcu. Oni sami nie potrafili objąć percepcją skomplikowanej układanki składającej się na dworcowy wolontariat, układanki, która obejmowała ruchome siatki dyżurów, nieintuicyjną topografię przestrzeni dworcowej i wciąż rekonstruowane sieci wolontariuszy pochodzących z różnych organizacji i obsługujących różne stanowiska.

Wśród wolontariuszy istniała duża rotacja, jedni szybko się wykruśzali, inni dochodzili, panowała raczej anonimowa atmosfera (oprócz ścisłego *core’u* ekip pomagaczy na poszczególnych dworcach). Wszystko to generowało stres i niepewność, dodatkowo potęgowane przez poczucie zagubienia, jakiego doświadczali uchodźcy i uchodźczynie, a które udzielało się pomagaczom i pomagaczkom.

Dworzec w dużym mieście to miejsce, które żyje szybkim tempem, ponadto polska kolej w swoje funkcjonowanie ma wpisane zmienność i niepewność... W pierwszych miesiącach po wybuchu wojny dało się to odczuć ze zwiększoną mocą, ponieważ masy ludności napływające ze wschodniej granicy wystawiły na próbę przepustowość dworców nieprzygotowanych na obsługę takiej liczby ludzi. Chaotyczność dworcowego wolontariatu barwnie opisuje Aga w opowieści o swoim pierwszym dyżurze:

„Jak przyjechałam dzień wcześniej, żeby zorientować się w układzie tego miejsca, w jego jakiejś topografii, no to poszukałam koordynatora wolontariuszy, żeby się dowiedzieć, czy, czy dostanę jakiś instruktaż, co i jak mam robić. I tak, oczywiście, zostanie wszystko wytłumaczone. Nie wiedziałam konkretnie, jakiej pracy się spodziewać i co będę dokładnie robić. Natomiast wyobrażałam sobie, że to będą jakieś ogólne, prosto-techniczne rzeczy, nie wiem, jakaś pomoc, szukać w jakichś rozkładach, czy może dostaniemy jakieś rozkłady, jakieś informacje, kartki, cokolwiek. Tym bardziej, że w opisach tych wolontariatów miejskich [na stronach [www miasta](http://www.miasta)] nie ma nawet żdźbła informacji, co tak do końca ma tam wolontariusz robić. (...)

Więc przylazłam o godzinie szóstej rano, poszłam do tego punktu, zostaliśmy ustawieni przed ścianą, na której była mapa całego dworca. Dostaliśmy kamizelki, no i powiedzieli nam, że informacje są takie, że mamy przekazywać wszystkim, że pociągi są bezpłatne oprócz Pendolino, że autobusy są płatne, że marszałek organizuje przejazdy też dalekobieżne, że jeżeli ktoś potrzebuje noclegu, to może to iść zgłosić do punktu marszałkowskiego, że i tutaj są wyjazdy do Nadarżyna, do Ptaka. *I macie się rozglądać, i być pomocni.* I to, na tym się skończył instruktaż! Dostaliśmy kamizelkę, dostaliśmy przechodni identyfikator, że jesteście wolontariuszem. I mieliśmy wyjść. No to...

Wylazłam. (...) Jaki był skutek tego, że ja mam na sobie kamizelkę? Skutek był tego taki, że jak wypelzłam za ten próg, bo miałam wypełznąć i pójść, część miała krążyć przy autobusach, przy tym punkcie, część pójść na PKP. No, efekt był tego taki, że w momencie, jak ja wyszłam z tą kamizelką, jak tylko przekroczyłam miejsce tego, granicę tego wejścia, to wszyscy uznali mnie za, jako punkt informacyjny, no, co jest jasne i oczywiste, ale punkt informacyjny: *gdzie?, jak?, z której strony mam jechać?, o której odjeżdża mój autobus?, jak mam sobie poradzić?*. A ja nie mam pojęcia! Nie mam zielonego pojęcia, jak odjeżdżają autobusy, ponieważ jedyny rozkład, jaki jest, jest na hali dworca! Ludzie się mnie pytają, z którego peronu odjeżdżają, ja nie wiem, z którego odjeżdżają, bo te informacje są albo wypisane tam we wnętrzu, ale to jest też znowu przestrzennie oddzielone, nie dostaliśmy takich kartek. Wszyscy do mnie, wiadomo... atmosfera dworca jaka jest, zupełnie niezależnie od czasu wojny, też wiemy, że to jest zawsze miejsce, gdzie się wszyscy spieszą i denerwują. Czy wsiadą na czas, czy są we właściwym miejscu...

Zaczęły się też, więc, kolejne osoby do, w pośpiechu, w bardzo dużym zdenerwowaniu, do mnie podchodziły i pytały się mnie o kolejne rzeczy. Przerywając sobie nawzajem, no bo też każdy chciał uzyskać swoją wiadomość. To było bardzo stresujące. I sytuacja była taka, że dopiero zaczęły się mnie kolejne osoby pytać, z których peronów jadą, ja też nie wiedziałam, jak im udzielić tych informacji. W końcu jakiś wolontariusz powiedział mi: *A słuchaj, jeżeli wejdiesz w aplikację PKP, przejdiesz na podstronę, wyklikasz tą minimalną kreseczkę, to jesteś w stanie wyklikać, z którego peronu*. I dla mnie to była podstawowa informacja. To, ta informacja, że mogę to wyklikać jakoś, gdzieś we wnętrzach na tej stronie internetowej. (...) Jestem trochę zszokowana. I tu jest wiele powodów do szoku. Bo liczyłam, że skoro to jest wolontariat organizowany przez miasto, to, że dostaniemy jakiś instruktaż”. (Aga)

Przeszkoda druga: **konflikty i przerzucanie odpowiedzialności**. W oddolnie organizowanym systemie pomocy, bez jednego centrum decyzyjnego, dochodziło wśród różnych grup wolontariuszy zarówno do współpracy i wzajemnej pomocy, jak i do konfliktów. Szczególnie dotkliwe i demobilizujące dla środowiska wolontariuszy były sytuacje nierównej dystrybucji zadań i odpowiedzialności za pomaganie. Część służb i osób wolontariackich wywiązywała się z powierzonych im obowiązków, inne miały do nich luźny stosunek. To powodowało dezintegrację wspólnot pomagaczy na niektórych dworcach. Przykład, jak uciążliwe było unikanie zaangażowania przez niektórych, znów odnajdujemy w relacji Agi, która początkowo ironicznym, a potem pełnym złości tonem mówiła:

„A tak swoją drogą, bardzo się serdecznie uśmiecham tutaj do panów, panów z wojska. Było trochę, trochę było oddelegowanych, z cztery czy pięć osób, które miały, które właśnie miały robić za, sorry, określię to w ten sposób, za fizoli, pomagać nosić te walizki. Panowie stali w kółeczku, patrząc sobie w oczy, stali z boku. I nie wykazywali najmniejszej, żadnej inicjatywy. Trzeba było ich bardzo bezpośrednio poprosić, ja musiałam, jako wolontariuszka ich prosić, że: *o, sorry, może mi pomożecie?* Co też powiedziałam, bez szczególnej ochoty. I jestem zła na system. No, jestem zła na system. Jestem zła na system, bo oni przerzucili po prostu odpowiedzialność na te zdarzenia i okoliczności za organizację pracy, za organizację, za pozyskiwanie informacji, na obywateli. I to mnie doprowadza do szewskiej pasji”. (Aga)

Ewelina z kolei zwróciła uwagę na bardziej subtelny problem z zakresem obowiązków i odpowiedzialności na dworcach, który wynikał z nadmiaru źródeł dowodzenia i braku koordynacji siatki wolontariuszy zaangażowanych w pomaganie. Rozmówcy zgłaszali, że nie mogli się połączyć, która organizacja za co odpowiada. Jak mówi stare przysłowie: „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. W początkowym okresie na dworcach było niekiedy zbyt wiele osób, punkty pomocowe nie zawsze uzgadniały ze sobą, kto się czym zajmuje, co czasami prowadziło do wchodzenia sobie w drogę i wzajemnego blokowania inicjatyw.

„Trochę z tym pomaganiem było tak, że wszyscy się rzuciliśmy, i na tym dworcu naprawdę było dużo ludzi i był tego przesyt. W pewnym momencie na jednym metrze kwadratowym było dziesięciu wolontariuszy z innych organizacji. I każdy coś chciał, każdy ci coś wciskał, to to było takie... Dlatego taki miałam trochę opór, żeby po prostu chodzić i się ich pytać”. (Ewelina)

Przeszkoda trzecia: **nieprzyjazne terytorium dworców**. Przestrzeń dworców sprawiała jej użytkownikom i użytkowniczkom problemy logistyczne. Ludzie spieszący się do pociągów czy autobusów oraz pomagający im wolontariusze co i rusz napotykali na różnorakie bariery architektoniczne, takie jak schody, brak podjazdów czy wind, wąskie przejścia, które utrudniały przeciskanie się w tłumie, obejścia, długie odległości między poszczególnymi punktami krytycznymi, nieintuicyjnie rozstawione tablice informacyjne, brak informacji o topografii dworca itd.

„A to też jest o tyle znamienne, żeby pociągi dalekobieżne odjeżdżały z peronu siódmego, na który nie dość, że trzeba wejść po strasznie wysokich schodach, to jeszcze przejść kładką. I to jest koszmar. Absolutny koszmar. Kobiety z tymi dziećmi, z tymi walizkami. Starsze osoby, koszmar. (...) W tak źle zorganizowanej przestrzeni, jak tamta, gdzie nie ma żadnych elektronicznych tablic, wyświetlających te najbardziej bieżące informacje. Gdzie jest mnóstwo barier przestrzennych, to jest wszystko do dupy, no, to po prostu wszystko nie działa”. (Aga)

Przeszkoda czwarta: **niezręczność, bezsilność, irytacja**. Z organizacją terytorium dworca ma związek kwestia braku przestrzeni na manifestację intymności. Dworce stały się w pierwszych tygodniach wojny doraźnymi schronieniami, sypialniami, miejscami rodzinnych telekonferencji, decyzji i pożegnań – były wykorzystywane w prywatnych celach, czyli – jak pisaliśmy – niezgodnie z przeznaczeniem *nie-miejsc*. Na peronach matki szukały zagubionych dzieci, dzieci – zapodziaanych zabawek, nastolatki – zgubionych powerbanków. W części autobusowej dworca tłoczyli się mężczyźni, którzy wracali do Ukrainy walczyć – jechali na wojnę, żegnali się z rodzinami, w ciszy, we łzach, w napięciu. W podziemiach i halach głównych ludzie spali na ziemi, rozstawiali bagaże, grodzili kawałki podłogi, by stworzyć dla siebie i współtowarzyszy podróży chwilową oazę spokoju. W tych warunkach pomagali dworcowi wolontariusze, zawstydzeni, że wkraczają w czyjaś intymność i wściekli, że te spotkania odbywają się w niekomfortowych warunkach, które zachęcają obydwie strony – tak uchodźców, jak i wolontariuszy – do podejmowania wysiłków, by zdystansować się od otoczenia.

Przestrzeń punktów tranzytowych generuje dystans, który uwierał pomagaczki i pomagaczy dworcowych. W interakcjach z uchodźcami dominowała nieśmiałość i niezręczność. Niewiele było gestów bliskości, które rekompensowałyby wysiłki związane z pracą na dworcach. Jak podsumowała Ewelina:

„Znaczący generalnie, wydaje mi się, że tam w ogóle nie było rzeczy łatwych, bo jak ja weszłam na ten dworzec, to, no to mnie ścisnęło, ludzie upoceni, brudni, umordowani... W zasadzie siedzący jeden na drugim, na podłodze, wszyscy podpięci pod jeden kabel, ładują jakieś telefony, jedni śpią, inni gdzieś tam z tobołkami, jedni tylko z jedną reklamówką, i tak naprawdę, o co ich zapytać. No mówię, nie wiem, mam podejść i po prostu tak: *Czy chcesz herbatę?*, czy on sobie o mnie czegoś nie pomyśli, że, czy on chce tej pomocy, czy nie chce... Bo to są duże dylematy, bo często patrzę trochę przez swój pryzmat, że... Kurczę, tak jakby się ktoś na mnie rzucał i mnie żałował, to to nie jest dla mnie okej. I ja też nie chciałam robić tak, że *O Jezu, jak mi was szkoda, jak mi was żal*, bo to nie o to chodzi, to po drugiej stronie nadal i wciąż był

człowiek (...) Więc to było takie zderzenie, gdzie też trochę się tak krępowałam, żeby nawet ja, jako wolontariuszka, mimo że miałam ten kubraczek taki wolontariacki, oni wiedzieli, że ja jestem wolontariuszką, żeby podejść, żeby zagadać..” (Ewelina)

Wolontariat na dworcu to także konfrontacja z bezsilnością. Człowiek tyle robi – dźwiga bagaże, wskazuje drogę, rozdaje soki, wypełnia papiery, tłumaczy, sortuje ubrania, nalewa herbatę – jest fizycznie i emocjonalnie zaangażowany, ale towarzyszy mu poczucie, że niewiele to zmienia, że poza jego zasięgiem jest zaspokojenie podstawowych potrzeb Ukrainek i Ukraińców (takich jak zapewnienie pokoju w ich kraju, zagwarantowanie bezpieczeństwa i wolności).

Zaangażowanie, które miało przecież chronić pomagaczy przed poczuciem braku sprawstwa w sytuacji wojny, nie zawsze spełniało swoją funkcję w przypadku dworcowego wolontariatu. Z perspektywy dworca pomagacze widzieli pesymistyczną wersję opowieści o pomaganiu, mierzyli się z poczuciem, że cała machina pomocowa to zaledwie małe gesty, które nie dotyczą sedna problemu.

Mimo ciągłego ruchu, mimo dynamicznej sytuacji na dworcach panowała zaskakująca bierność: masy ludzi zastygłych w kątach hali dworcowej, śpiwory rozłożone wzdłuż ścian, blokująca niedecyzyjność przybyszy odnośnie do dalszej drogi, powracające pytania o to samo zadawane przez ludzi kręcących w koło w niemocy i niepewności, konieczność patrzenia na cierpienie bez możliwości naprawy sytuacji.

Nieruchomość dworca dla wielu osób była zaskakująca. Wolontariusze rejestrowali kontakty z osobami uchodźczymi w „stop-klatkach” – to były wyrywkowe, pojedyncze, krótkie interakcje, spotkania bez ciągu dalszego, organizowane przez obrazy, kolejne twarze, z którymi łączyły się konkretne problemy, miejsca pochodzenia, destynacje, potrzeby, emocje. Takie odpersonalizowane interakcje, które sprowadzały wolontariuszy do mechanicznej roli słupa informacyjnego czy dystrybutora wody bywały po jakimś czasie męczące i irytujące, jak w opowieści Danilo:

„Bo już kiedy osoba podchodzi i padają te same pytania, piąty, szósty, siódmy, dziesiąty raz, i ty po prostu, no, możesz krzyczeć na te osoby, bo ta osoba po prostu nie

rozumie takiego. Ja rozumiem, żeby ta osoba była, jakieś, nie wiem, zdenerwowana albo coś. Ale jeżeli te same pytania, kilka godzin, podchodzi i pyta. Po prostu, na przykład pyta, jaki peron, ten pociąg, i ty mówisz na przykład *Szósty* i przez dziesięć minut podchodzi ta sama osoba i pyta to samo pytanie, a ty w końcu mówisz, że na tablicy są pociągi, jeżeli nie możesz po polsku przeczytać, to proszę zobaczyć na numer pociągu, jaki peron, i koniec. A nie podchodzić każdego razu i pytać o to samo, bo ja dam tę samą odpowiedź”. (Danilo)

Przeszkoda piąta: **zmęczenie fizyczne**. Wolontariat na dworcu to prawdziwa harówka. Praca fizyczna, dźwiganie, noszenie, bycie w ciągłym ruchu, chłód i przeciągi, głód (bo czasami pracy było tyle, że nie było kiedy zjeść i odpocząć), hałas, smród, przebudzowanie, brak snu (w przypadku nocnych grafików), a nade wszystko praca emocjonalna, która jest bardzo obciążająca dla organizmu. Niektóre osoby przychodziły na dyżury po całym dniu swojej pracy zawodowej i ciągnęły po godzinach kolejny etat – wolontaryjny.

Dla niektórych taka intensywność zaangażowania kończyła się spadkiem odporności i chorobą („Zdrowotnie się zajęchałam” – Zuza). Z pomagania na dworcu nasze rozmówczynie i rozmówcy zapamiętali ogromne wyczerpanie:

„Bo ja pracowałam na zewnątrz, było bardzo zimno i te, te dyżury moim zdaniem one trwają, czy trwały za długo, i jak już nie dawałam rady, jak już było mi za zimno, albo za, już nie mogłam, po prostu musiałam chwilę odpocząć, przestać rozmawiać z ludźmi, to skrywałam się do punktu medycznego. (...) Ale też te dyżury są za długie, znaczy są, były, nie wiem, jak jest teraz, ale były, za długie były moim zdaniem, jak na taką liczbę tych, no, zdarzeń, które tam miały miejsce”. (Zuza)

„Wróciłam do domu i szczerze powiem, to, że byłam fizycznie bardzo zmęczona, to jest jedno. Miałam, to był najlepszy trenio na buły, jaki przeżyłam od niepamiętnych czasów, to jest jasne. (...) Ja, ja też zdaję sobie sprawę z tego, że moje podejście do tej sprawy nie było zdrowe. Znaczy, powinnam sobie zrobić więcej przerw, powinnam być bardziej zdystansowana emocjonalnie, ale nie jestem”. (Aga)

„Później przyszedł taki moment tego stałego działania, który łączył się z tym, że ja miałam po dwa, trzy dyżury w tygodniu, które były na noc, i to było bardzo wyczerpujące. (...) To było takie duże zmęczenie, to właśnie, bo tak jak wcześniej wspomniałam, w którymś momencie już przychodziła taka irytacja, że z drugiej strony dlaczego znowu muszę iść”. (Klara)

„Po prostu, kiedy przychodziłem z tego dworca, to jestem po prostu zmęczony, po prostu przychodziłem i siedłem spać. I koniec. I następny dzień tak samo, chodziłem na dworzec i nic. Nic więcej.” (Danilo)

„Słyszałam o takich sytuacjach, ale to ja nie pomagałam, nie byłam przy tym obecna, jak ktoś u nas pomagał po pracy, i było zimno, i był zmęczony, i po prostu za dużo wziął na siebie, bo po ośmiu godzinach siedł jeszcze na przykład na sześć godzin. To po prostu takie... Zwyczajna złość i zmęczenie chyba rodzą się w człowieku”. (Weronika)

Ludzie-pochodnie i pomagacze-wyjadacze

Wolontariat na dworcu może spalić człowieka w zawrotnym tempie. Wśród pomagaczy byli tacy ludzie, których życie skupiało się na ciągłej obecności i pomaganiu na dworcach. Ludzie-pochodnie, którzy doświadczali „całej palety emocji” (Aga) i angażowali się w pomaganie z całą swoją energią, na dwieście procent. Byli też pomagacze-wyjadacze, którzy ze względu na wcześniejsze doświadczenie w zawodach związanych z niesieniem pomocy ustalili sobie zawczasu granicę zaangażowania i ostrzegali innych przed ryzykami wynikającymi z poddania się żywiołowi pomagania.

Danilo otrzymał wiele cennych rad od koleżanek-wolontariuszek, które mówiły „że trzeba odpoczywać i fizycznie, i psychicznie”. Klara mówiła o entuzjazmie wolontariackim z dystansem, zalecała, żeby „czytać swoje ciało”, by wiedzieć „kiedy się zatrzymać” oraz wskazywała na humor i rytuały zespołowe jako na źródła wsparcia w kryzysach emocjonalnych:

„Nie możemy się spalić na początku, bo nasza pomoc ta medyczna będzie bardzo, bardzo długofalowa. I ona będzie jeszcze przez bardzo długi czas potrzebna. No jak widać mamy połowę maja, za chwilę czerwiec, a tak naprawdę ja nadal spędzam czas na dyżurach na dworcu. (...) My też trochę chyba sami w ratownictwie między sobą nauczyliśmy się odreagowywać, czyli sobie po prostu żartujemy, śmiejemy się, staramy się jakoś w tym szaleństwie funkcjonować sobie sami normalnie. Ja myślę, że to jest taka ogólna problematyka ratownictwa w Polsce, że tu nie ma żadnego psychologicznego wsparcia, i dlatego też wszyscy jakoś sobie... Nauczyli się sami radzić z tymi traumami między sobą. (...) Te rytuały się bezpośrednio na samym tym dyżurze ustalało. Czyli na przykład: *no, słuchajcie, trzynasta, elektrolity*. I piliśmy sobie te elektrolity. Czy na tej zasadzie, że może byśmy zupkę zjedli, to może... Takie małe rzeczy były, takie małe rzeczy były”. (Klara)

Po pierwszych momentach „działania w stanie wyższej mobilizacji” (Aga) u niektórych wolontariuszek i wolontariuszy szybko pojawiało się wypalenie emocjonalne i zwątpienie w sens wykonywanych działań. Ludzie zaczynali bronić się przed własnymi negatywnymi emocjami, podejmując praktyki odcięcia się od nich. W poniższych cytatach pomagaczki opisują procesy dystansowania od swojej pracy na dworcu – Klara spogląda na swoją aktywność jak na coś, na co nie ma wpływu, co jest narzucone z zewnątrz, w czym została niejako „uwięziona”:

„Przyszedeł oczywiście moment takiego kryzysu, że byłam wkurwiona po prostu na ten dworzec, że czemu ja tutaj siedzę, że po co w ogóle to wszystko, że, mówię, miałam mieć inne plany, inne, a tutaj siedzę, jest godzina czwarta rano, a ja siedzę w tym śmierdzącym punkcie. (...) Takim największym momentem takiej frustracji, to była taka... To był marzec, to była taka druga połowa marca”. (Klara)

Zuza natomiast porównuje siebie i swoich towarzyszy-wolontariuszy do robotów, które działały automatycznie, bez koncentrowania się na wszechotaczającym cierpieniu, gdyż zablokowałoby to możliwość sprawnego działania:

„Tam ciężko było, tak ciężko było o dobre momenty, bo... ci ludzie byli w takim szoku, że oni też nie, nawet, jak wiedzieli, co chcą zrobić, czy tam, co planują, no to ciężko

było o jakieś takie dobre emocje, czy, bo tam chyba wszyscy tak funkcjonowaliśmy, jak takie roboty. (...) Ja trochę działałam jak taki robot przez ten czas tego dyżuru, bo wiedziałam, że inaczej po prostu nie dam rady, nie dam rady, muszę po prostu tak, no jak taki robot działałam... mi to pomagało, bo miałam wrażenie, że ja dzięki temu funkcjonuję, że inaczej to bym się rozpadła, że taki wiesz, zadanie, trzeba zrobić zadanie i tyle, i jakby, no to jest mój taki, taki sposób, żeby też przetrwać”. (Zuza)

Wypalenie emocjonalne skutkowało czasami porzuceniem tej formy pomagania.

„Ale to mnie też bardzo dużo emocjonalnie kosztowało. Znacznie więcej niż, niż przewidziałam. I szczerze, to potem zrobiłam sobie długą pauzę. Bardzo długą pauzę. Zaskoczyło mnie, że tak szybko, że tak szybko mnie to rozładowało. Tu mówię o dworcu, tu mówię, że tak szybko mnie rozładowało, zaskoczyło mnie to. Zaskoczyło mnie to, że, że, że nie miałam siły tam wrócić”. (Aga)

„Nie każdy na takim dworcu, że nie dla każdego to byłoby OK doświadczenie, że nie każdy mógłby sobie z tymi emocjami poradzić i też ja na przykład przestałam chodzić na dworzec, bo dla mnie też już było za dużo”. (Zuza)

„Jak się okazuje, bycie wolontariuszem, pomaganie, wymaga bardzo dużego poświęcenia, nie tylko czasu, bo czas to... swoją drogą, ale właśnie psychicznie człowiek nie potrafi przyjmować na siebie tak duży atak próśb, problemów, i muru, który spada po prostu, autentycznie spada”. (Julia)

Cielesność pomagania

Nieustannie w rozmowach z wolontariuszkami i wolontariuszami z *nie-miejsc* powracał wątek cielesnego wymiaru praktyk pomocowych. Zaangażowanie w pomoc na granicy i dworcach to zaangażowanie ciała – siły mięśni, aparatu zmysłów, fizjologicznej ekspresji emocji przez mimikę, gesty, oddech i ruch. Pomaganie w drodze to ucieleśniona troska, która stawiała ludzki organizm w stan gotowości, co skutkowało silnym napięciem ciała i fizycznym zmęczeniem.

Spotkania z osobami uchodźczymi wymuszały reakcje emocjonalne, przestrzeń *nie-miejsc* dostarczała rozmaitych bodźców zmysłowych. Dworcowy kolaż doświadczeń sensorycznych składa się z reakcji na różnorodne czynniki – zapachowe, dźwiękowe, wizualne, dotykowe.

„Dla mnie zapach wojny to jest... Połączenie toi-toia z takim zapachem garkuchni, takich przypalonych jakichś ziemniaków i z połączeniem jeszcze takiego specyficznego zapachu dworca jaki jest. I to wszystko takie wymieszane gdzieś, sięgające po prostu, że wchodzisz, i jeszcze... Zapach fekaliiów, po prostu kupy ludzkiej. Tak było na jednym z dworców w pewnym momencie, bardzo intensywnie. I to naprawdę był okropny ten zapach, i on się długo, długo za mną ciągnął. W tej chwili jeszcze czasami też gdzieś go poczuje tutaj, na innym dworcu, teraz już jest trochę mniej, bo jednak (...) ta temperatura, to wietrzenie, to wszystko spowodowało, że te zapachy są inne. I ludzi jest też mniej. (...) Pamiętam też taką sytuację, kiedy przyjechał pociąg i któryś z takich pracowników technicznych dworca wywoził śmieci czy wywoził jakieś rzeczy na takim wózeku, a w tych tunelach są te rynienki, które naprowadzają osoby niewidome. I on tymi drobnymi kółkami najechał na te rynienki, przez co przez całe jeszcze echo, które się niesie w tym korytarzu rozbiegł się dźwięk: *Tu tu tu tu tu tu tu tu* [jak z karabinu]. Totalnie ci ludzie podskoczyli. Te dzieci płakać zaczęły, które jeszcze były w resztkach tego korytarza”. (Klara)

„Widziałam, było widać na twarzach, że te emocje, przerażenie, ten strach, który im towarzyszył. I właśnie sobie zadawałam pytanie: a o czym ja mogę z nimi porozmawiać?”. (Sofiya)

„Na pewno też były trudne te wszystkie sytuacje, kiedy przychodziły dzieci, ja pamiętam, że przyszła jakaś jedna pani z takim chłopczykiem, miał pięć, sześć lat może, bardzo ładny chłopczyk, takie czarne, wielkie, takie ciemne oczy, takie rysy, i on bardzo wymiotował. I tak jakoś zawiesił, przez cały ten pobyt zawieszał wzrok na mnie, więc tam się do niego uśmiechałam, i tak, cały czas jak myślę o dzieciach, to jakoś widzę takie jego wielkie, smutne, ciemne oczy, cały czas we mnie wlepione”. (Klara)

„Ludzie bardzo często okazywali to, tą wdzięczność. Ja nie mam też problemu z bliskością fizyczną, za każdym razem jak mnie ktoś przytuli z wdzięczności, to też było mi bardzo miło”. (Aga)

Rozdział 3. Pomaganie na zapleczach

Wiadomość o wojnie nie wyrwała Kaliny ze snu wczesnym porankiem 24 lutego. Nie żyła napięciem, które od kilku tygodni generowała strona rosyjska, nie miała w Ukrainie nikogo, o kogo musiałaby się troszczyć, nie miała też zwyczaju zaczynania dnia od sprawdzania newsów w serwisach informacyjnych. Była mamą, żoną, przyjaciółką i nauczycielką. Świadomość tego, co dzieje się u naszych sąsiadów i tego, jakie reakcje i działania wywołują te wydarzenia w Polsce docierała do niej stopniowo z mediów społecznościowych i telewizji, którą w związku z tym zaczęła włączać częściej niż dotychczas. W końcu wojna, a właściwie jej ofiary, zawitały do najbliższego sąsiedztwa – blisko domu Kaliny powstał punkt recepcyjny, o czym dowiedziała się z mediów społecznościowych:

„A zupełnie przez przypadek, gdzieś tam na Facebooku wyświetliła mi się... wyświetlił mi się *fanpage*... [punktu recepcyjnego], który został założony przez wolontariuszy, była informacja, że niczego nie ma, że nie ma żywności, że nie ma..., że nie ma ubrań, że wszystko potrzebne, że jeśli ktokolwiek może cokolwiek przywieźć i pomóc w jakiś sposób, to niech przyjedzie, a że jest punkt bardzo blisko mojego domu...”.

(Kalina)

Przez kilka dni wahała się z decyzją o odwiedzeniu punktu i włączeniu się w pomaganie, ponieważ bała się tego, co zastanie na miejscu i emocji, przed którymi już wówczas nie da się uciec. Pojechała tam jednak i zaczęła od sortowania ubrań. Na miejscu zobaczyła magazyn żywności, w którym panował wielki bałagan, który ona – technolożka żywności – dostrzegała lepiej niż inni. Rozumiała też, że jeśli nad tym bałaganem nie zapanują, to będzie to oznaczało marnowanie się wielkich ilości dostarczanego tam jedzenia. Wiedziała, jak działać i z kim nawiązać współpracę, by jedzenia nie brakowało i jednocześnie nie marnowało się to, które już zostało do punktu dostarczone. Nie miała kontaktów z organizacjami,

z którymi warto podjąć współpracę, ale wiedziała, że one istnieją i trzeba do nich dotrzeć.

W ten sposób z dziewczyny sortującej ubrania stała się specjalistką od zaopatrzenia w punkcie, który już wkrótce gościł tysiące ludzi potrzebujących dosłownie wszystkiego. Pozyskiwała darczyńców, podpisywała umowy, przyjmowała dary o wartości setek tysięcy złotych, szukała także produktów trudno dostępnych, jak specjalistyczny pokarm dla chorych dzieci; prowadziła handel wymienny z innymi organizacjami (np. tabletki do zmywarek za sosy do makaronów); przekazywała nadwyżki żywności do mniejszych punktów pomocowych i organizacji niosących pomoc osobom w kryzysie bezdomności.

Większość pracy wykonywała z domu, łącząc ją z innymi obowiązkami. Przez to dla większości osób była niewidoczna, ale też nie musiała mierzyć się każdego dnia z bezpośrednim obcowaniem z ludzkim dramatem. Załatwiała rzeczy, wykonywała zadania. Dbała, by nikomu niczego nie zabrakło i by nie marnowało się nic, co zostało podarowane. Działała. Mimo rzadkich wizyt w punkcie pomaganie pochłaniało ją bez reszty: „Ja przez pewien czas nie byłam mamą, nie byłam, nie byłam... nauczycielką, którą jestem na co dzień, nie byłam przyjaciółką, byłam tylko wolontariuszką” – mówiła. Otrzymała pulę zupełnie nowych obowiązków i odpowiedzialności, jednak błyskawicznie odnalazła się w nowej sytuacji, ponieważ przyświecał jej paradygmat działania.

Hartmut Rosa w centralnym punkcie swojego projektu późnonowoczesnej czasowości umieszcza przyspieszenie społeczne, które rozumie jako „wzrost tempa, w jakim zanikają niezawodne punkty oparcia naszych doświadczeń i oczekiwań, a także jako skracanie się tego odcinka czasu, który utożsamiamy z terażniejszością” (Rosa 2020, s. 35). W warunkach przyspieszenia dobrem rzadkim i niezwykle cennym jest czas, a zdarzenia i doświadczenia ulegają kondensacji. Ciągły pośpiech wymaga wielozadaniowości.

Działania, jakich podjęli się wolontariusze, realizowane były kosztem ich wolnego czasu. Wbrew temu, co powiedziała Kalina, na czas pomagania nie przestała pełnić żadnej z pozostałych ról społecznych. Musiała

wpleść nowe zobowiązania pomiędzy stałe. Nie rozstawała się z telefonem. Prowadziła rozmowy ze sponsorami i darczyńcami, układając klocki z dzieckiem.

Osób takich jak Kalina, które z zaplecza koordynowały pomoc, było wiele, choć niejednokrotnie nie były widoczne. Bez tworzenia sieci i organizacji pracy wolontariuszy, koordynacji różnorodnych działań, komunikowania potrzeb, łączenia ze sobą ludzi oferujących pomoc i jej potrzebujących, organizacji zbiórek i zaopatrywania magazynów działania osób na pierwszej linii frontu pomocowego byłyby niemożliwe. Pomagacze na zapleczach wykonali wielką pracę i to im właśnie poświęcony będzie ten rozdział.

Wybór zaplecza

Zaplecze to obszar tych wszystkich działań, które podejmowane są bez wchodzenia w bezpośrednie interakcje z osobami uchodźczymi. Nie oznacza to jednak, że żadna z osób w tym obszarze działających takich kontaktów nie ma. Wprost przeciwnie. Zaplecze bywa etapem działania (faza przygotowań do pracy z uchodźcami), częścią działania (koordynacja, komunikacja wewnętrzna) lub wreszcie samodzielnym działaniem na rzecz potrzebujących (zaopatrzenie punktów pomocowych, sieciowanie, zbiórki, marketing pomagania).

Niesienie pomocy osobom uciekającym przed wojną dla większości było sytuacją nową. Doświadczeniem, które pozwalało rozpoznać swoje możliwości i swoje granice, których szukać nigdy nie mieliśmy potrzeby. Owo rozpoznawanie odbywało się w procesie dotykania różnych form pomagania. Ola w pierwszym odruchu zamierzała przyjąć do swojego mieszkania gości z Ukrainy: „Przygotowałam sobie pokój, że przyjmę kogoś, matkę z blond warkoczem, i z dzieckiem przy pasie, i tak dalej” – opowiada. Umówione z nią osoby nie dotarły, zatrzymały się w innym miejscu i ruszyły w dalszą podróż – „Jedna z takich tych sytuacji, co dużo osób miało, że czekało aż przyjedzie ich Ukrainiec, ale nie przyjechał”. Potrzeba działania nie pozwalała jej jednak czekać na kolejne osoby,

które mogą się nie pojawić. Wzięła urlop i wraz z koleżanką robiła kanapki dla osób przebywających na dworcu. Pojechała też do jednego z punktów krótkiego pobytu z kupioną za prywatne pieniądze hurtową ilością damskich kapci.

Była tam raz, pracując w punkcie wydawkowym; wtedy miała szansę pierwszy raz zobaczyć uchodźcę – co było jej wewnętrzną potrzebą – i zrozumieć, że rzeczywistość pracy z bieżąciami może różnić się od naszych przewidywań.

„Myśmy tak myślały, że jak zrobimy ładę, no to oni będą podchodzić, mówić, a my tutaj, prawda... Bo co przychodzili jacyś ludzie, to przynosili jakieś dary, my żeśmy je układały z boku... A potem się okazało, że nie, i zaczęliśmy po prostu dawać” (Ola).

Zamierzała wrócić do tego punktu, ale tak się nie stało, ponieważ usłyszała o nowo powstałym w okolicy jej domu punkcie recepcyjnym. Pojechała tam zaopatrzona w torby żwirku i karmy dla zwierząt uchodźców. Została na kilka miesięcy, stając się jedną z bardziej aktywnych wolontariuszek działających w obszarze komunikacji wewnętrznej i koordynacji działań pomocowych.

Czasem, jak w przypadku Oli, trafienie na zaplecze było efektem testowania siebie i dotykania różnych form pomocy. Bywało jednak i tak, że pomagacze już na starcie rozumieli, że najlepiej będzie, jeśli ich działania nie będą odbywały się na pierwszej linii frontu. Niekiedy wynikało to z troski o samych siebie i zrozumienia, że aby móc pomagać, musimy być w dobrej kondycji psychicznej. Praca w bezpośrednim kontakcie z osobami uchodźczymi jest niezwykle obciążająca. Przeżywanie wraz z tymi osobami setek i tysięcy jednostkowych dramatów, wysłuchiwanie historii o utraconych domach, zdrowiu, bliskich, patrzenie na ludzkie światy zamknięte w niewielkich, zabrudzonych wiosennym błotem tobołkach jest ciężarem, którego nie można nieść długo.

Jednocześnie nie każdy z nas potrafi zbudować wokół siebie emocjonalny mur, który go przed tym wszystkim osłoni. Nie zawsze jesteśmy w stanie odciąć się od tego, co widzimy i działać zadaniowo. Niektórzy zwyczajnie się bali.

„Zdecydowanie ja byłam gdzieś tam w tych relacjach z uchodźcami z boku i trochę z wyboru, w takim sensie, że mówię, nie bardzo miałam, jak uczestniczyć w... ze względów osobistych, a trochę też przyznam szczerze, że ze strachu, w takim sensie, czy ja to udźwignę? (...) Czyli strach, po prostu, ja podziwiam dziewczyny, które były codziennie [w punkcie recepcyjnym] i powiem szczerze, że nie wiem, jak one wracały do domu, jak spały, bo dla mnie pójście tam raz na jakiś czas i przejście przez falę, bo zawsze, żeby dojść na magazyn (...), trzeba było przejść przez salę, na której było kilkaset łóżek. (...) Na tych łóżkach koty, dzieci, dorośli, gdzieś tam w tle jakieś relacje z Ukrainy na telefonach i... no to po prostu... człowiek dostaje w łeb bardzo mocno, to jest cholernie obciążające i ja trochę też na własne życzenie się z tego wycofałam. (...) Z tego bycia tam na miejscu, bo też sama jestem po różnych przejściach i bałam się, że to mi siądzie za bardzo na psychikę, więc chyba dla własnego bezpieczeństwa się z tego trochę *wyoutowałam*”. (Kalina)

Czasem imperatyw działania był na tyle silny, że wolontariusze realizowali wiele różnych zadań zarówno w bezpośrednim kontakcie z osobami uchodźczymi, jak i na zapleczu, ponieważ to pełne zaangażowanie w pomoc sprawiało, że nie starczało czasu na myślenie o własnych emocjach. Nawet chwile, kiedy pozwalali dojść do głosu swoim odczuciom, szybko przerywane były przez myśl, że ofiary wojny mają gorzej.

„Płaczę. Ja naprawdę, to było po prostu... Jak przychodzę do domu od razu płaczę i koniec. A później – na Ukrainie im gorzej, niż tutaj mnie”. (Milena)

Z takim oddaniem wiąże się jednak fakt, że to całkowite oddanie jest dostrzegane i doceniane, co paradoksalnie dla osób introwertycznych bywa trudne.

„Bardziej bym chciała, żeby nie wiedzieli, że ja pomagam. Po prostu pomoc i koniec. Mi to niepotrzebne, że coś tam: *O, ona pomagała, ona jest taka super!* Dla mnie to niepotrzebne”. (Milena)

Obok osób, które wybierają zaplecze kierując się emocjami, są też takie, które pracują w tych miejscu lub są do niego delegowane ze względu na swoje kompetencje. Wątek kompetencji pomagaczy jest ciekawy sam

w sobie. Wielu z nich udawało się do punktów recepcyjnych, wydawkowych czy na dworce z założeniem, że będą wykonywać prace niezbędne, ale znacznie poniżej ich kwalifikacji. Ci, którzy zdecydowali się zaangażować bardziej i na dłużej, szybko orientowali się jednak, że przy tak olbrzymim przedsięwzięciu logistycznym jak organizowanie – w dużej mierze oddolnie, bez koordynacji ze strony państwa – przyjęcia wielomilionowej grupy uchodźczej potrzebne są najróżniejsze kompetencje, którymi pomagacze mieli okazję się wykazać. Niekiedy mieli szansę je w sobie odkryć, a tym samym wzmocnić własną samoocenę w kategoriach wartości na rynku pracy:

„No ja jak idę do swojego szefa to już trochę inaczej z nim rozmawiam, bo nawet jak mnie wywali, to wiem, że znajdę pracę”. (Kalina)

Kompetencje decydujące o wykonywaniu pracy na zapleczu miały rozmaity charakter. Czasem była to relatywnie rzadka wiedza ekspercka, która w tej sytuacji okazywała się niezwykle przydatna, gdyż wiązała się z organizacją magazynów czy zapewnienia bezpieczeństwa żywności.

„Wpadłam jak śliwka w kompot, bo nagle okazało się, że oprócz takich wolontariuszy, którzy będą na miejscu, będą... sortować dary, wydawać posiłki, no to potrzebne są osoby, które będą zapewniać jakby dostęp do produktów, tak?”. (Kalina)

„Pamiętam, że przyjechał kiedyś mój szef, wtedy powiedział, że zreorganizuje nam magazyn, i on bardzo dobrze by to zrobił. Do tego przyjechała dziewczyna, która robi teraz jakąś... *chapeau bas*, nie wiem, czy to w Ikei, czy, w którymś z tych... bo właśnie na tych samych przestrzeniach magazynowych, tak? I że ona przyjedzie, ustawia, wszystko zrobią, no i tam ustawili”. (Julia)

W innych, niezwykle częstych wypadkach, te pożądane na zapleczu kompetencje miały charakter zdecydowanie bardziej miękkiej i wiązały się z umiejętnością zarządzania ludźmi czy koordynowaniem ich pracy, zdobytych przez wolontariuszy w środowisku, z którego się wywodzili.

„Myślę, że też jestem w dość specyficznym środowisku, bo ja jestem ze społecznej szkoły i moi znajomi są właśnie tak aktywni społecznie. Mam wrażenie, że wszyscy

mają z tyłu głowy, że jak są takie akcje, to, no, też, po prostu nas tak uformowali. Też wydaje mi się, że gdzieś nie bez powodu byliśmy w tej, tej szkole. No i właśnie wśród moich znajomych to po prostu wydaje mi się, że to było takie supernaturalne, bo jestem powiedzmy, w różnych środowiskach, i dużo było osób, które przeżywało to, gdzieś tam rozmawiało na ten temat, ale nie, nie angażowali się”. (Jagoda)

„Cała nasza działalność była skierowana do emigrantów z Ukrainy, ale też ogólnie do wszystkich migrantów i uchodźców, więc my i do tej pory tym się zajmowaliśmy, więc ze względu też na doświadczenie, różne kompetencje, przejęliśmy tą działkę”. (Inna)

Sieciowanie

Miesiące, które opisujemy w tej książce, to czas, kiedy osobami zaangażowanymi w pomoc targały niezwykle silne emocje. To właśnie te emocje wyprowadzały ludzi na protesty uliczne, zachęcały do otwierania drzwi swoich domów dla całkowicie obcych osób, przekazywania środków na pomoc humanitarną, poświęcania urlopów, by prowadzić działania w formie wolontariatu na dworcach czy w punktach recepcyjnych, na wyjazdy na granicę, organizację zbiórek żywności, odzieży, leków, pieniędzy, etc. etc. Te same emocje sprawiały jednak, że niektóre działania okazywały się nie do końca przemyślane, a czasami niepotrzebne czy przesadzone.

Mimo tego, choć przez długie tygodnie brakowało koordynacji aktywności pomocowych przez władze państwowe, udało się. Wydarzyło się coś, co jedna z naszych rozmówczyń opowiadająca o pracy w punkcie recepcyjnym na wschodzie Polski nazwała „samoorganizującym się chaosem”, a więc chaosem pozornym, w którym każda z zaangażowanych osób rozumie swoją rolę i swoje możliwości. To przełamanie chaosu i wyłonienie się z niego pewnego porządku pomagania było możliwe dzięki osobom, które rozumiały, że nad tym żywiołem trzeba zapanować i podjąć próbę koordynacji działań (por.: Krakowska 2023b).

Takie osoby już 24 lutego, od pierwszych godzin po ataku Rosji, tworzyły sieci ludzi pragnących nieść pomoc, rozpoznawały ich kompetencje i możliwości, by rozpocząć przemyślane i skuteczne działanie.

„To znaczy, powiem tak, że ja zawsze byłam za takim mądrym pomaganiem i zawsze namawiałam wszystkich na mądre pomaganie. Ale co mam na myśli? Jak wszyscy mi krzyczeli na początku, że róbmy zbiórki w samorządzie, róbmy zbiórki, ja mówię: słuchajcie, nie ma sensu teraz robić z tego względu, dołączmy się do tego, co już istnieje. Jakby, nie róbmy tego punktowo, tylko róbmy jakoś tam trochę to skoordynowanie, żeby tego po prostu nie mnożyć”. (Yana)

Cytowana tu Yana to studentka z Ukrainy, która na studia do Polski przyjechała zaledwie 3 lata wcześniej. W tym czasie działała w uczelnianych i pozauczelnianych zespołach oraz organizacjach studenckich, co dobrze przygotowało ją do współorganizacji prac na rzecz studentów poszkodowanych w wyniku rosyjskiej agresji, a także koordynacji aktywności studentów chcących nieść pomoc uchodźcom. Podobne działania, ale na znacznie szerszą skalę, prowadziły Julia i Inna, które również przyjechały kiedyś na studia do Polski, a dziś są aktywistkami w dwóch dużych polskich miastach.

Tworzenie się sieci pomocowych w pierwszych dniach wojny często zaczynało się od prostego **wezwania do działania**. Działanie, które dopiero w kolejnych krokach miało być sprecyzowane, nazwane, skoordynowane i podjęte. Wezwanie to było aktem solidarności z napadniętym narodem i demonstracją gotowości do pracy, ale też próbą znalezienia wspólnoty, która będzie nasze emocje dzieliła. O znaczeniu bycia częścią takiej sieci opowiada Jagoda, która zmagала się z poczuciem wykluczenia z grupy chcącej opowiedzieć się po stronie dobra, ponieważ z powodu wcześniejszych planów wyjechała na kilka dni z kraju tuż po rosyjskiej inwazji:

„No tak, bo, po prostu na wszystkich, gdzieś tam, mam na fejsie głównie grupy znajomych, prawda, z różnych środowisk, no to wszyscy na raz tam, nie wiem, na jednej grupie z dziesięć, dwadzieścia osób coś takiego, no to wszyscy się organizowali na

tych grupach, żeby właśnie iść na protest i ja, no, czułam się wykluczona z tego”. (Jagoda)

Takie wezwanie było też jednym z kroków wykonanych przez Julię, która wystosowała do wszystkich znajomych osób ze swojego miasta, o których wiedziała, że mają doświadczenie aktywności obywatelskiej:

„My od razu, z pierwszych dni, zaczęliśmy... ja zaczęłam kumulować dookoła siebie osoby, które znam, które gdzieś tam były aktywne, które poznałam dotychczas. I, i stwarzamy najpierw taki czat, na Facebooku, (...) ale skumulowałam w tym czacie coś około stu osób. No i tak zaczęliśmy dzielić się refleksjami, i to był bardzo... to była bardzo słuszna decyzja, ponieważ wtedy wszyscy się czują, każdy przeżywał stres, a dzielenie się tym stresem troszeczkę go redukowało. I zaczęliśmy też wspólnie rozmawiać o tym, co my możemy zrobić do tego, żeby pomóc uchodźcom”. (Julia)

Przynależność do tworzonej spontanicznie sieci w pierwszych chwilach pełniło dla jej członków również funkcję terapeutyczną. Było szansą na wypowiedzenie głośno swoich obaw, złości, ale też żalu i współczucia dla ofiar. Kolejny krok stanowiło zatem przelanie tej energii w działanie w tych obszarach, w których czuły się najlepiej i posiadały odpowiednie predyspozycje. Do tej sieci lokalnych liderów, która wkrótce miała stworzyć złożony system pomocy bieżącym i który został przyjęty przez lokalne władze i otrzymał ich wsparcie finansowe należała również Sofiya:

„Zadałam sobie pytanie, co ja mogę zrobić, i zadzwoniłam do mojego kolegi jeszcze ze studiów (...) i on mi powiedział, że tworzy się z naszych wspólnych jakby tam znajomych taka nie wiem, czy to można byłoby nazwać organizacją, taką inicjatywą osób, które chcą pomagać. I właśnie, że mogę dołączyć i sobie wspólnie omówimy, co możemy zrobić. To była taka jakby nasza inicjatywa oddolna, że każdy z nas czuł taką potrzebę, że chciałby pomóc, nie wiedział do końca jak, więc możemy się połączyć i spróbować wymyślić, jak to możemy zrobić”. (Sofiya)

Stworzenie sieci, której podstawę stanowili lokalni liderzy i aktywiści, pozwoliło jednocześnie na zbudowanie bazy do rozszerzania tej sieci.

„Podzieliliśmy się, od razu stworzyliśmy bazę danych, bazę pomocową taką, kategorie, kto co może robić, kto w czym posiada, w jakich kontekstach, kierunkach, posiada znajomości, kto do kogo może uderzyć, czyli tak naprawdę stworzyliśmy bardzo szybko, ekspresowo taką bazę danych, która później nam posłużyła jako właśnie taki, taka podstawa do zbudowania czegoś większego i szerszego”. (Julia)

Powyższy przykład pokazuje zaangażowanie dużej grupy osób mających doświadczenie w działalności na rzecz lokalnej społeczności, które jednak niekoniecznie zajmowały się w swojej pracy tematyką migracyjną, nawet jeśli same posiadały doświadczenie migracyjne. Obok tego rodzaju sieci powstawały również takie, które nazwać można eksperckimi, siatki organizacji skupiających się w swojej działalności na tematyce migracji lub na różne sposoby związanych ze społecznością ukraińską w Polsce, czy też przez tę społeczność stworzonych i prowadzonych.

Do osób tworzących taką sieć organizacji współpracujących z władzami lokalnymi, ale też z władzami centralnymi Ukrainy i Polski, należała Inna. W dniu wybuchu wojny przedstawiciele tych organizacji spotkali się – na zaproszenie fundacji, w której pracuje Inna – aby ustalić plan działania i podzielić się obszarami, w których realizować będą swoje aktywności, tak by móc maksymalnie wykorzystać własne zasoby, wiedzę i dotychczasowe doświadczenia.

Obok tych sieci tworzących się być może nieco pochopnie, w odpowiedzi na wewnętrzne, choć społecznie i medialnie stymulowane potrzeby pomagaczy, ale jednak dość profesjonalnie, ponieważ przez osoby już wcześniej aktywne społecznie, powstawały również całkowicie spontanicznie sieci osób bez doświadczenia obywatelskiego zaangażowania, które połączyła wspólna sprawa.

Milena swoją sieć pomagaczy zaczęła tworzyć 25 lutego, stojąc w kolejce do oddania krwi dla ofiar wojny:

„To była kolejka straszna, ja wchodziłam tam dać krew, tam pół dnia stały kolejki, nazbierała się nas cała ekipa, która będzie pomagać. (...) Była nasza koleżanka, która była w tej kolejce też, dużo osób, które my poznaliśmy”. (Milena)

Ta powstała spontanicznie niewielka sieć znajomości – wzmocniona przez prywatne kontakty – była dla Mileny bazą do organizowania transportów z granicy, organizowania zbiórek dla walczącej Ukrainy, zakwaterowywania uchodźców, którzy zgłaszali się do niej po pomoc, i wyposażania ich w niezbędne do życia przedmioty.

W przypadku Gosi sieć pomocową utworzyli sąsiedzi z jednego bloku, którzy wcześniej nawet nie mieli okazji się poznać, ponieważ żyli obok siebie, ale całkiem osobno:

„Wtedy nasz, prezes naszego zarządu, wspólnoty mieszkańców, właśnie rzucił taki temat, że, że chcą zagospodarować naszą przestrzeń, taką fitness, mamy siłownię w bloku, żeby tam w jakiś sposób po prostu pomagać. Na początku jeszcze nie było wiadomo, jak ta pomoc ma wyglądać, ale rzucił taki temat, że on by właśnie chciał, żeby pomóc, z racji, że mieszkamy blisko dworca (...), więc też tam dużo tych uchodźców przyjeżdżało i uznał, że to jest taki nasz, nasz taki, bardzo pozytywy jakby aspekt właśnie tej lokalizacji. I zwołał takie spotkanie, że kto jest chętny, to zaprasza tych mieszkańców na takie spotkanie, właśnie na dół, na tą siłownię, żebyśmy mogli wspólnie zastanowić się, w jakiej formie możemy pomóc, kto, w jakim zakresie, jakie mamy po prostu możliwości, takie sąsiedzkie”. (Gosia)

Tworzone oddolnie mniejsze i większe sieci kontaktów w jakiejś mierze się ze sobą zazębiały. To było ich wielką siłą i pozwalało ograniczyć chaos będący efektem setek tysięcy maleńkich działań tworzących kofonię pomocowych głosów. Dzięki działaniom w obszarze zaplecza udawało się łączyć osoby i instytucje w działające dość sprawnie wsparcie.

„Mam znajomych, którzy mają znajomych, którzy mają znajomych, których jest firma, która chce pomóc. A ja mam znajomych, którzy mają znajomych, który mają kontakt do Czerwonego Krzyża, więc fajnie by było ich połączyć”. (Oksana)

Organizacja pracy

„Zarządzanie wolontariuszami jest straszną rzeczą, nikomu w życiu bym nigdy nie chciała tego dać, to jest zgraja natrętnych much, które po prostu, każda z nich ma własną filozofię, i własne podejście to, co by chciała robić, i ona uważa, że jej zdanie jest najważniejsze, i to jest ciężkie” – powiedziała w rozmowie z jedną z nas Ola. Mocne słowa. „Wszyscy byli bardzo chętni, zaangażowani, ale po prostu był bajzel w tym wszystkim na maksa. (...) Bardzo słodkie, ale takie ludziki, co tak biegają i tak walą się o siebie, ha, ha. Ja miałam taką wizję, że po prostu wszyscy bardzo chcą, ale masakra” – opowiadała o organizowaniu się punktu noclegowego Jagoda.

Wypowiedzi tego typu dobrze oddają emocje pomagaczy związane z chaosem panującym w punktach pomocowych zwłaszcza na etapie ich organizowania się. Wyprowadzenie tych punktów i związanych z nim ludzi ze wspomnianego stanu chaosu i wprowadzenie pewnego porządku pracy oraz struktur pomocowych było jednym z kluczowych zadań zaplecza.

Blok pomocy

Nieopodal jednego z dworców stanowiącego przez długie miesiące ważny punkt na pomocowej mapie Polski znajduje się blok mieszkalny, którego mieszkańcy podjęli decyzję, by pomieszczenia, w których znajdowała się ich wspólnotowa siłownia, przeznaczyć na miejsca krótkoterminowego zakwaterowania osób uchodźczych. Decyzja była przemyślana, podjęto ją na zebraniu wspólnoty i poparto uchwałą podpisaną przez odpowiednią liczbę mieszkańców.

Mimo to w pierwszych dniach brakowało jeszcze pomysłu na organizację – gdy pojawiała się informacja na temat osób potrzebujących noclegu, spontanicznie ustalano na komunikatorach, kto odbierze je z dworca, kto przygotuje im kolację, kto śniadanie etc. Mieszkańcy szybko zrozumieli jednak, że to mało efektywne, że potrzebny jest plan

działania i jasny podział obowiązków, by uniknąć sytuacji, w której jedno działania będą zdublowane, a inne nie zostaną wykonane wcale. Społecznicy zdawali sobie sprawę, iż trzeba chronić się przed zbyt szybkim wypaleniem, które mogło pojawić się błyskawicznie – jak to było w pierwszych dniach, kiedy wszyscy „rwali się” do każdego pojawiającego się zadania. Powstały więc zespoły zadaniowe, o których tak opowiada Gosia:

„Mieliśmy właśnie zespół, tak zwany śniadaniowy, to była grupa, która przygotowywała śniadania, tam mieliśmy dyżury rozpisane właśnie w takich arkuszach na dysku, już każdy się wpisywał po prostu, kiedy może mieć, już obstawione. (...) Potem druga grupa była właśnie obiadowa, więc to były głównie te osoby, które pracowały zdalnie, albo po prostu były w domu, więc mogły tak w tym czasie zrobić, właśnie zupę, bo to głównie zupa, czasami jakieś inne rzeczy, ale taka grupa obiadowa. Była grupa tak zwanych praczek, to były dziewczyny, które tak naprawdę po każdym pościel, (...) pościel była właśnie zbierana, od razu prana, suszona i z powrotem przebiegana, tak samo ręczniki czy jakieś inne, jak była potrzeba, bo też ci ludzie z podróży czasami, no jechali wiele dni, to też potrzebowali, żeby ich rzeczy odświeżyć, więc również tak grupa taka porządkowa brała tę pościel, prała. Była grupa właśnie też taka, przyprowadzania, odprowadzania ludzi z dworca. (...) A poza tymi grupami jeszcze mieliśmy dyżury grafików, żeby spędzać po dwie godziny, mniej więcej, rozpisane takie dyżury, w ciągu dnia, żeby tym ludziom właśnie pomagać, czy szukać biletów, czy szukać też jakiegoś mieszkania, jakiegoś pomysłu na siebie, albo po prostu być z tymi ludźmi, tak? Często to właśnie były osoby, które potrzebowaly się wygadać, więc też po prostu ta osoba na dyżurze, no, służyła takim, no, wysłuchaniem, wsparciem, czasem organizowaliśmy właśnie lekarza, jakieś leki, czy jakieś ubrania, gdzieś chodziliśmy do punktu, żeby mogli te rzeczy pobrać”. (Gosia)

Mieszkańcy stworzyli zespoły zadaniowe, określili swoją dyspozycyjność i gotowość do zaangażowania i za pomocą tabelki w Excelu byli w stanie sprawnie zorganizować swoją pracę. W tym samym programie jeden z pomagaczy stworzył również „pomocowy manual” ze wskazówkami dotyczącymi pomagania, który udostępniany był również innym

społecznościom, a także aktualizowaną na bieżąco bazę gości, która ułatwiała pracę osobom pomagającym.

„Nawet z jednego Excela sumowało nam ludzi na śniadanie, więc jak ja wchodziłam w plik śniadaniowy to widziałam: okay, mamy jutro dwanaście osób na śniadanie. Więc, no, usprawnień naprawdę, bardzo dużo poczynił ten jeden kolega, że w pewnym momencie już, to było tak płynne, że ja tylko okay, wchodziłam w ten plik śniadaniowy, dobra, dwanaście osób. Tak? I mnie nie interesowało już na przykład, ile zostanie na obiedzie, bo ja już byłam po prostu na swoim miejscu, wiedziałam, co i jak robić”. (Gosia)

Podobny grafik prowadziła Jagoda organizująca miejsce krótkiego pobytu w przestrzeni zwykle wystawowej:

„Chociażby znam program Excel, gdzie można rzeczy powrzucać w tabelkę i zaproponowałam, że mogę pomóc w ten sposób, żeby chociaż, nie wiem, zebrać jakieś informacje, zrobić grafik”. (Jagoda)

Excelowe tabelki w miejscach krótkiego zakwaterowania to dobry przykład tego, jak pomagacze wykorzystywali swoje najróżniejsze kompetencje i korporacyjne przyzwyczajenia do organizacji pomocy. O ile jednak to zadanie może wydawać się stosunkowo proste w skali mikro, kiedy do zaopiekowania jest jednorazowo kilkanaście lub maksymalnie kilkadziesiąt osób, to znacznie trudniej zapanować nad sytuacją w punktach recepcyjnych, w których przebywają setki czy tysiące osób, więc liczba zadań i wykonujących je osób jest ogromna.

Punkty recepcyjne

W punktach recepcyjnych działali tzw. wolontariusze z ulicy, czyli osoby indywidualnie i spontanicznie włączające się w pomoc, wolontariusze działający w ramach wolontariatu pracowniczego (z różnych instytucji samorządowych i firm prywatnych), profesjonaliści (przedstawiciele służb mundurowych i personel medyczny), przedstawiciele polskich i zagranicznych organizacji pomocowych, osoby zatrudnione przez władze

lokalne i/lub zarządców obiektów, w których funkcjonowały punkty oraz wiele innych.

Poza liczebnością grupy osób niosących pomoc i jej wielkim zróżnicowaniem oraz szerokim spektrum realizowanych zadań, dodatkowym utrudnieniem w organizacji pracy w punktach recepcyjnych był fakt, że miały one swoich zarządców i nadzorców, na których spoczywać powinna organizacja ich pracy. Istotne było to, że punkty recepcyjne to znacznie więcej niż noclegownie. Wydawane są tam posiłki i zaopatrzenie dla osób wyruszających w dalszą podróż. Udzielana jest pomoc w bardzo szerokim zakresie: w zakwaterowaniu, zorganizowaniu dalszej podróży czy znalezieniu pracy. Organizowane są w nich sale zabaw dla dzieci, minipunkty usługowe (np. fryzjerskie) i sale komputerowe. Na ich terenie działają także duże magazyny żywności, środków chemicznych i wszystkiego, co potrzebne do codziennego funkcjonowania osób uchodźczych.

Wydawać by się mogło, że skoordynowanie pracy tak wielu różnych grup osób i zorganizowanie tak licznych form pomocy wymaga zaangażowania wysokiej klasy specjalistów od zarządzania. Z narracji pomagaczy wynika jednak, że pomoc organizowała się oddolnie, niekiedy przez przychodzących „z ulicy” ludzi starających się wprowadzać metody zarządzania wyniesione z doświadczenia zawodowego, które nie wiązało się z niesieniem pomocy.

„Mieliśmy oficjalne fora i czaty, na które... na których, czy na specjalnych czatach, żeśmy uzgadniali jakieś kwestie, wręcz, które przypominały odprawy. Tak, bo tak to bym widziała, takie nasze... niektórzy próbowali wprowadzić statusy korporacyjne, ale nie wyszło. Moglibyśmy się uformować szybciej, gdyby nie fakt, że [przedstawiciel władz lokalnych] był nieogarnięty sam z siebie, ale też rozumiem to, ale z drugiej strony fakt totalnego nieogarnięcia [zarządcy obiektu]”. (Ola)

Wśród pomagaczy i koordynatorów pomocy były jednak i osoby, które wcześniej profesjonalnie działały w organizacjach pozarządowych czy – tak jak Ewelina – zajmowały się koordynacją wolontariatu pracowniczego w swojej firmie. Takie osoby nawet lepiej rozumiały znaczenie koordynacji

i planowania działań oraz zdawały sobie sprawę z tego, że od planowania trzeba zacząć.

„Cała logistyka tego, czyli co my tam tak naprawdę chcemy robić, dogadanie się również z innymi podmiotami, które tam już działały, i z podmiotem odpowiedzialnym za pierwotne funkcjonowanie, bo ten punkt recepcyjny otworzył się chyba dwudziestego piątego, czyli szybko. I ze wszystkimi innymi podmiotami, i służbami, które tam po prostu były. Bo to nie było tak, że mogliśmy sobie wejść, cześć, i tyle, tylko no jak to w takich miejscach, no też musi być oznaczenie, oni musieli wiedzieć, kto jest, ile nas jest, w jakich godzinach będziemy, a że byliśmy tam dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu co do zasady, głównego założenia, i tak było do końca, no to też ustalenie tego całego harmonogramu”. (Ewelina)

Przytoczone wyżej słowa pokazują jednak, że zanim profesjonalni pomagacze mogli włączyć się w działania, to w odpowiedzi na potrzebę chwili, punkty pomocowe zdążyły już powstać i – lepiej lub gorzej – zorganizować się oddolnie. Wejście tam ludzi z zewnątrz z nowym pomysłem na organizację punktu nie było dla żadnej ze stron łatwe.

„I było bardzo trudno. Bo nagle przychodzi ktoś, kto ma pieniądze, no bo my, jako organizacja, mieliśmy pieniądze, i to duże, wsparciowe dla tego punktu, żeby to w ogóle usystematyzować, poukładać, i te dostawy, nie-dostawy, i jedzenia, i to i tamto, opisy w ogóle w języku polskim, w języku ukraińskim, w języku angielskim, różnych miejsc, różnych punktów, bo tak naprawdę nie było tego, więc cała taka infrastruktura i tak dalej, i przychodzimy i nagle oni dostają informację, że teraz my we dwie będziemy nimi koordynować. Będziemy nimi, jak oni to powiedzieli, rządzić. *Przyszły nowe miotły i będą zamiatać*, bo i takie dostawałam informacje. To było przykre, bo ani nie czułam się miotłą, ani osobą, która miałaby coś zamiatać, nie mówię tu o kwestii fizycznej, tylko żeby, nie wiem, kogoś wypraszam, przedstawiam, i tak dalej, bo mi zależało na tym, żeby to była fajnie naoliwiona maszyna”. (Ewelina)

Firmy czy instytucje różnego typu chcące nieść pomoc przed rozpoczęciem działania muszą przeprowadzić określone procedury dotyczące podjęcia decyzji o formie działania, przeznaczeniu na nie określonych środków i zasobów ludzkich, a to wszystko zajmuje czas.

„Przeszło mi też przez myśl, żeby tam po prostu jechać, ale znowu gdzieś tam byłam potrzebna tutaj, u mnie w organizacji, u mnie w firmie, żeby to po prostu wszystko pospinać. Chwilę to trwało, proces decyzyjny był mozolny, co mnie mocno frustrowało...”. (Ewelina)

Pojawienie się profesjonalnych pomagaczy w działających już punktach bywało źródłem napięć. Pole pomocy na poziomie deklaracji obecnych w nim osób ma strukturę wertykalną – wszyscy wolontariusze mają ten sam status i wspólny cel. W praktyce jednak toczy się w nim nieustająca gra o pozycję i możliwość wpływania na podejmowane działania, podział obowiązków czy organizację przestrzeni.

Znacznikami statusu w punktach recepcyjnych były odbłaskowe kamizelki, których kolory oznaczały przynależność do określonej grupy, różnego typu identyfikatory czy kolorowe *badge* zapewniające dostęp do przestrzeni, które nie były otwarte dla wszystkich, np. magazynów.

„Jedna z naszych koleżanek, która tworzyła Facebooka, Blanka, ona jakby chciała być, chciała być koordynatorką wszystkiego. I ja jej cały czas tłumaczyłam, że to jest, że tak nie można. I ona jakby zaczęła na początku wyznaczać osoby, które miały być koordynatorami poszczególnych odcinków, i ja mówię *Wiesz, no nie, musisz dać jednak... lud musi zdecydować, bo to jest odpowiedzialność, i tutaj nie można tak zrobić.* (...) I wtedy jakby przejęłam od Blanki, po prostu zabrałam jej te *badge*, powiedziałam: *Sorry, ale po prostu dajemy im, oni się sami...* I w momencie, kiedy się im oddało te odcinki, to zaraz zeszły jakieś rzeczy, i pytania do nas, a z drugiej strony te odcinki rozkwitły”. (Ola)

Intensywne zaangażowanie w pomoc w określonym punkcie i skupienie swojej aktywności na konkretnym odcinku, jak wydawka, zaopatrzenie, punkt gastronomiczny, *pet patrol*, organizacja zakwaterowania etc. sprawiało, że niezależnie od pozycji danej osoby poza polem pomocy, stosunkowo szybko można było uzyskać status specjalistki, a co za tym idzie koordynatorki danego odcinka. Z taką władzą wiązała się jednak odpowiedzialność i poczucie obowiązku, które niekiedy uniemożliwiała zdystansowanie się i pozwolenie sobie na chwilę wypoczynku.

„Pisaliśmy do siebie: *Potrzebujemy tego i tego*, już nie było *Weź, czy mogłabyś ogarnąć, czy mógłbyś ogarnąć?*, nie, już była tylko informacja, była informacja *Nie ma... nie ma mydła* i to była informacja pod tytułem *Kalina załatw to mydło*. Gdzie to było, niepisana zasada taka, myślę, że sami sobie tą kwestię też narzucaliśmy”. (Kalina)

To poczucie obowiązku za odcinek, na którym się pracuje, pozwalało na jego lepszą koordynację, usprawnienie działania dzięki zrozumieniu specyfiki tego obszaru i pojawiających się na nim potrzeb. Umożliwiło również tworzenie kanałów komunikacyjnych, dzięki którym zdobywano potrzebne rzeczy, ale też wprowadzało rozwiązania ułatwiające pracę osób pomagających i jednocześnie pomocne dla osób uchodźczych, jak katalog zasobów i system wydawania na wydawce w jednym z punktów recepcyjnych.

„Więc wymyślono system, że dajesz swój telefon komórkowy, dostajesz suszarkę, zwracają ci ten, i tak dalej, i tak dalej. One takie różne systemy, zapisy, zrobiły, specjalne takie kartki, i takie katalogi, żeby wybierać dla osób, które w ogóle nie mówią w żadnym języku, i wszystko dla wolontariuszy amerykańskich, czy jakichkolwiek, co mówią po angielsku, to było napisane, było pisane na czerwono deficytowe elementy... No, po prostu one zrobiły cały swój system”. (Ola)

O ile osoby na stałe zaangażowane i związane z jakimś konkretnym odcinkiem często miały poczucie, że całość działa sprawnie i każdy zna swoje miejsce i swoją rolę, o tyle dla wolontariuszy, którzy pojawiali się w punktach rzadko lub pierwszy raz, bywało doświadczeniem niezwykle trudnym, nie tylko dlatego, że sama praca z osobami uchodźczymi wymaga nie lada umiejętności, ale również ze względu na poczucie zagubienia. Stosunkowo szybko powstały możliwości zapisywania się online na określone przedziały godzinowe na konkretnych odcinkach pomocy, np. w informacji czy w punkcie gastronomicznym. W niektórych miejscach nikt jednak tych zapisów nie śledził i pojawiający się w punkcie wolontariusz musiał szukać sobie zajęcia lub osoby, która mu jakieś zadania wyznaczy.

Jeszcze większe wyzwanie stanowiło założenie kamizelki, która automatycznie sygnalizowała, iż jest się osobą zdolną udzielić wszelkich niezbędnych im informacji, wysłuchać skarg i rozwiązać każdy problem. By złagodzić uciążliwość tej sytuacji – z inicjatywy doświadczonych już wolontariuszy – z czasem zaczęto organizować spotkania wprowadzające dla nowych osób.

Inicjatywy miejskie i regionalne

Prześledziliśmy już działania organizacyjne zaplecza w obszarze mikro (małe punkty noclegowe) i mezo (punkty recepcyjne). Pozostaje organizacja pomocy w skali makro, dotycząca dużych miast czy całych regionów, w której, według relacji naszych rozmówczyń, również licznie uczestniczyli pomagacze. Usłyszeliśmy dwie takie relacje o oddolnym planowaniu i koordynowaniu bardzo różnorodnych działań na szeroką skalę.

Inna

Inna jest koordynatorką jednej z organizacji ukraińskich działających lokalnie w dużym polskim mieście. Twierdzi, że wybuch wojny wprowadził ją w stan szoku, z którego nie mogła wyjść przez długie tygodnie. Jako Ukrainka i aktywistka nie mogła sobie jednak pozwolić na poddanie się trudnym emocjom. Weszła w tryb działania, który trwał nieprzerwanie do dnia naszej rozmowy. Mówi, że ma luki w pamięci i części czasu po inwazji z 24 lutego nie pamięta, ale efekty wykonanej w tym okresie przez nią i jej zespół pracy są trudne do przecenienia.

„Od razu w pierwszym dniu, więc na nasze plecy po prostu spadł ogrom działań i bardzo często nawet nie można było tych emocji przeżyć, w znaczeniu tego stresu, tego szoku, ponieważ trzeba było pracować i pomagać osobom, które przyjeżdżały już do Polski”. (Inna)

Fundacja Inny jako lokalna organizacja Ukraińców w mieście wzięła na siebie zadania związane z koordynacją podobnych ukraińskich inicjatyw działających w różnych obszarach życia społecznego i mających różny zasięg terytorialny.

„Zrobiliśmy spotkanie w tym samym dniu, dwudziestego czwartego, z innymi organizacjami ukraińskimi (...). I my podzieliliśmy po prostu między sobą obowiązki, dotyczące pomagania”. (Inna)

Poszczególne organizacje i instytucje wzięły na siebie zadania, które pozwalały im wykorzystać posiadane kompetencje, zasoby i sieci kontaktów tak, by działać na najlepiej rozpoznanych obszarach. Zakres podejmowanych przez nie działań był szerszy niż w przypadku polskich pomagaczy, ponieważ czuli się odpowiedzialni nie tylko za pojawiające się w Polsce osoby uchodźcze, ale także winni wsparcie bezpośrednio walczącej Ukrainie.

W rozmowie z Inną, ale też innymi osobami z Ukrainy niosącymi pomoc w Polsce, można było wyczuć, a niekiedy też usłyszeć, że traktują te działania jako swój odcinek frontu, swój wkład w walkę o ukraińską wolność i niepodległość. Organizacje i instytucje ukraińskie w Polsce wzięły więc na siebie takie zadania, jak: zakwaterowanie i pomoc materialna dla osób uchodźczych, prowadzenie punktu recepcyjnego, prowadzenie infolinii dla osób z Ukrainy, prowadzenie kursów języka polskiego jako obcego, prowadzenie szkoły ukraińskiej w Polsce, wspomaganie wchodzenia na rynek pracy, tworzenie klubów ułatwiających integrację i swego rodzaju samopomoc, prowadzenie portalu w języku ukraińskim ułatwiającego odnalezienie się w polskich realiach, organizacja wydarzeń kulturalnych i świątecznych dla dzieci i dorosłych, organizacja protestów antywojennych, korytarzy dla pomocy humanitarnej czy zbiórki na rzecz ukraińskiej armii.

Takie organizacje, jak ta, w której pracowała Inna, zmuszone były do natychmiastowej zmiany trybu i skali działania. Zwielokrotniły liczbę swoich pracowników i wolontariuszy. Dawały także zatrudnienie osobom uchodźczym. Ich pracownicy byli przy tym „swoi”. Rozumiejący. Posługujący

się biegle językiem ukraińskim. Działali na bardzo wielu odcinkach pomagania, co mogło dawać ich podopiecznym poczucie zaopiekowania. Jednocześnie oczekiwania względem fundacji rosły wraz z zakresem realizowanych działań i poziomem docenienia profesjonalizmu. Szybko musieli mierzyć się z niezadowoleniem osób mających pretensje, że ta niewielka – pierwotnie – fundacja nie prowadzi działań w całej Polsce, ponieważ przecież są tak bardzo potrzebne.

Julia i Sofiya

O ile sieć organizacji, w której działała Inna, zbudowana była z aktywistów i działaczy doświadczonych w pracy z migrantami oraz aktywnością na gruncie relacji polsko-ukraińskich, o tyle Julia i Sofiya tworzyły oddolnie sieć „wolnych strzelców” chcących nieść pomoc, mających kompetencje lidarskie, ale nieposiadających doświadczenia w obszarze pomocy humanitarnej. Mimo to byli na tyle oddani sprawie i zdolni do pełnego wykorzystywania swoich kompetencji, że stworzony przez nich plan niesienia pomocy został przyjęty przez władze regionalne, które tę koncepcję wdrożyły i sfinansowały. Julia była liderką tej grupy, Sofiya jej członkinią.

„I zaczęło się od tego, że po pierwsze spisaliśmy tę listę, kto i jak może komu pomóc”.
(Sofiya)

„Po chyba, trzech czy czterech tygodniach, gdzie pracowaliśmy, wspólnie się spotka-
liśmy, i taka burza mózgów się odbyła, która trwała tam, coś około pięciu godzin,
naprawdę nam te, te mózgi parowały, natomiast była to bardzo skuteczna i owocna...
burza mózgów, bo wybudowaliśmy taki system, który później zaprezentowaliśmy
w urzędzie wojewódzkim, i urzędzie miasta, i w urzędzie marszałkowskim. I ten sys-
tem został wdrożony w życie”. (Julia)

Zespołowi Julii, na który składało się pierwotnie około 100 osób różnych narodowości, udało się stworzyć system, który pozwolił ograniczyć problem rozdrobnienia najróżniejszych działań, które nazywa „partyzanckimi”.

„Stworzyłam sztab wolontariuszy, który nie jest, on nie jest zarejestrowany oficjalnie, to nie jest żadna organizacja, ale jest to po prostu zrzeszenie osób, które chcą pomagać. Na tą chwilę mamy dziewięćdziesiąt osób w sztabie, i są to osoby bardzo aktywne”. (Julia)

Stworzenie systemu pozwalało na ograniczenie marnowania energii ludzkiej i pewnych zasobów, które przy braku dobrej organizacji również mogłyby zostać roztrwonione. Zapewniało też efektywne wykorzystanie umiejętności osób należących do sieci liderów.

„Czyli mówię teraz o takim podziale, podziale kompetencji, na trzynaście podgrup, że tak powiem, i każda z grup zajmowała się, jakby, swoim obszarem działań. Więc po prostu skierowaliśmy każdy swoje umiejętności i doświadczenie w te kierunki, w których po prostu dotychczas działaliśmy”. (Julia)

Tak zaprojektowany system zakładał organizowanie takich podstawowych obszarów działania, jak: organizacja zakwaterowania, różnego rodzaju zbiórki żywności, kosmetyków i innych potrzebnych produktów, kursy języka polskiego, wsparcie psychologiczne dla uchodźców, ale i dla samych wolontariuszy.

Zbiórki

Jedną z najchętniej podejmowanych aktywności, szczególnie w pierwszych dniach po rosyjskiej inwazji, było włączanie się do zbiórek rzeczowych i finansowych (por.: GUS 2022). Była ona istotna z wielu różnych względów, przede wszystkim jednak pozwalała zaspokoić najpilniejsze potrzeby zanim w pomoc włączyły się firmy, organizacje pomocowe i instytucje państwa. Dla samych pomagających była zaś wentylem bezpieczeństwa dającym możliwość rozładowania negatywnych emocji związanych z szokiem wywołanym inwazją i niepewnością jutra, przekuwając je w działanie. Włączanie się w zbiórki było najprostszą i najbardziej dostępną formą niesienia pomocy. Niezależnie od dyspozycyjności czasowej, kompetencji językowych, sytuacji rodzinnej i zawodowej, a do

pewnego stopnia również statusu majątkowego do zbiorów mógł przyłączyć się każdy – kupując pilnie potrzebne produkty, dzieląc się tym, co ma się w domu czy dokonując przelewu środków.

Organizacja różnego rodzaju zbiorów była jedną z istotniejszych form działań podejmowanych na zapleczach. Zbiórki organizowane od pierwszych godzin na prywatnych kontaktach i w prywatnych przestrzeniach zaspokajały potrzeby uchodźców i walczącej Ukrainy, a jednocześnie budowały poczucie wspólnoty pomagaczy.

„Pierwszy raz zaczynałam pisać, że zbieramy rzeczy właśnie tam dla ludzi na granicy, rzeczy, jedzenie, i my zrobiliśmy taką pierwszą swoją zbiórkę tam z mieszkania, i właśnie ta atmosfera współpracy, współpracy, że wy jesteście razem i, że my, teraz, zbieramy te rzeczy, zbieramy, tam dajemy swoje pieniądze, piszemy swoim znajomym, (...) ale właśnie ta taka współpraca nasza, jako naszych znajomych, to, to tak bardzo wspierało nas bardzo”. (Lena)

Lena, jak wiele Ukrainek i Ukraińców żyjących w Polsce od lat, zaczęła od organizacji zbiorów właśnie. Kompetencje językowe i sieć kontaktów sprawiały, że bardzo szybko identyfikowali oni potrzeby na bardzo różnych odcinkach: u uchodźców bezpośrednio po dotarciu do Polski i po przyjeździe do punktów pobytu, ale też wśród uchodźców wewnętrznych w Ukrainie, mieszkańców ostrzeliwanych miast, walczących żołnierzy i rannych.

Małe zbiórki w wielkim mieście

Od pierwszych dni zbiórki stały się obecne w przestrzeni wirtualnej, mediach tradycyjnych, ale też przestrzeni fizycznej. Prowadziły je władze samorządowe, szkoły, sieci sklepów, ale też osoby prywatne. Zbierano produkty spożywcze, odzież, kosmetyki i chemię gospodarczą, powerbanki, a także rzeczy mniej oczywiste, jak plecaki i kolorowanki oraz zabawki dla dzieci w drodze czy też termosy.

„A tego samego dnia dwudziestego czwartego to pamiętam, że z moją przyjaciółką właśnie i z jej mężem, co też mieszkali tutaj w [mieście], to pojechaliśmy na zakupy, żeby kupić jedzenie i zawieźć do znajomej właśnie mojej przyjaciółki męża, bo ona organizowała taką pomoc dla tych, którzy są na granicy. Czyli miała już ogarniętych kierowców i poinformowała w mediach społecznościowych, że jeżeli ktoś chce dołączyć, to może kupić i wysłać listę produktów. Właśnie ten jakby mąż mojej przyjaciółki skontaktował się właśnie z tą swoją znajomą i ona powiedziała, że potrzebują to, to i tamto, dostaliśmy listę, kupiliśmy to wszystko i tego samego dnia było to zawieszone do jej mieszkania. U niej w domu było takie mieszkanie, w sensie, ona mieszkała w takim niedużym mieszkaniu, nie wiem, z trzydzieści metrów kwadratowych może. I tam było wszystko zavalone, wszystko”. (Sofiya)

„Pierwsza zbiórka termosy, termosy takie na herbatę, termosy na ciepłą zupę, i kubki termoaktywne, bo okazało się, że tego najbardziej brakuje. No bo nawet nie mają gdzie podgrzać zupki dzieciakom, czy potem, jak gdzieś ruszają w dalszą drogę, to żeby to gdzieś schować”. (Ewelina)

Osobną kategorią zbiorów były akcje służące zebraniu leków i środków opatrunkowych dla osób chorych i tych, które odniosły rany w wyniku działań wojennych. Wątek zbiorów organizowanych dla wojska często pojawiał się w wypowiedziach pomagaczy pochodzenia ukraińskiego, którzy traktowali taką formę zaangażowania jako swój wkład w ukraińską walkę.

„I taką pierwszą inicjatywą właśnie była zbiórka leków. To było tak, że fundacja nam udostępniła miejsce, pomieszczenie, gdzie można było przywozić te leki. Wszyscy z nas jakby informowali o tym, że zbierają leki i była jakby taka ogólna zbiórka, o której mógł się dowiedzieć każdy z [Miasta]. Ja na przykład zrobiłam jeszcze osobną zbiórkę u siebie w pracy. Po to, żeby dołączyć do tej większej zbiórki”. (Sofiya)

Obok zbiorów ogólnodostępnych medykamentów na różne sposoby organizowano też leki na receptę. To wymagało dobrej sieci kontaktów, aby znaleźć lekarzy gotowych wystawić stosowne recepty oraz aptekarzy, którzy realizowali je bez poddawania w wątpliwość, rozumiejąc, że nie trafią do osób, na których nazwiska zostały wystawione.

„Potrzebne były leki, bo nie ma tych wszystkich leków już dla wojska na Ukrainie, tak? To jak my to, wystawiała nam recepty, nam pomagali wystawiać te recepty, kupowali nam, też wysyłali nam jakieś pieniądze, jakiś mały stoik ktoś tam nazbierał, robili zakupy tych leków na receptę. To było bardzo miłe w aptece, bo zawsze jak nie ma recepty, to nie mogą sprzedać, tak? I teraz mówiłam, że mam receptę, i jak patrzyli ile ja chcę tego kupić, to mówili *Co się stało?*, ale tak od razu czuć, że jestem Ukrainką i to już nic nie mówili, tylko, że *Dobrze, tutaj pani ma receptę, proszę bardzo*. I sprzedali. I my dawaliśmy tym, którzy jechali na przykład autobusem, który jechał aż do Lwowa, albo Winnicy, też tam miasto w Ukrainie. (...) Bo nam wysłały, że *Nam potrzebny taki syrop, w Ukrainie nie mogę teraz kupić*, to my to kupiliśmy, i od razu do nich trafiło. To było takie bardzo miłe”. (Milena)

Zbiórki rzeczowe – nawet na relatywnie niewielką skalę – to duże wyzwania logistyczne. Wymagają odpowiedniej przestrzeni, na której gromadzone są dary, zasobów ludzkich w postaci osób, które przyjmują je od darczyńców, segregują i pakują. Trzeba było wziąć pod uwagę każdą formę transportu do miejsca docelowego oraz kanały komunikacji, które pozwalały na ogłoszenie zbiórki i opis jej efektów. Dodatkowym utrudnieniem organizacyjnym był duży chaos informacyjny, niekiedy prowadzący do tego, że po zakończeniu zbiórki okazywało się, że dane towary nie są już potrzebne w punkcie, który zapotrzebowanie zgłaszał, ponieważ jednocześnie zbiórkę prowadziło wiele osób lub promocja zbiórki z mediów społecznościowych nie została wycofana, choć potrzeba została już zrealizowana.

„Tak, to się szybko zmieniało, bo każdy komunikat, każdy wolontariusz mógł mieć jakąś różnicę między tym, co już jest lub na przykład czasami to były takie środki higieniczne, typu serwetki, pasty do zębów, szczoteczki, jeżeli są dzieci, to wszystkie te rzeczy typu pieluchy. (...) Dostałam taki komunikat, że trzeba było ciepłe rzeczy, ubrania, potem już, że nie trzeba, no i wszystkie rzeczy były zabrane i tak, w każdym razie tam dowiezione, tylko że w grupie zawsze miałam jakiś taki problem, że ktoś rzuca taką informację i nie było tego, no bo nie było takiego lidera w grupie na przykład, każdy chciał od siebie pomóc i też, żeby trzeba było znaleźć nawet, żeby odwieźć te rzeczy do punktu wolontariuszy, bo tych rzeczy było dużo, to trzeba było znaleźć

takie dwie, dwa samochody przynajmniej, i prosiłam swoich, przez znajomości tam, ale no z tym, z tym nie było bardziej problemu, problem właśnie był, jakby, jak coś pomagamy, żeby to było skuteczne i żeby to dotarło, i żeby to było właśnie, no, bardzo przykro by było, jakby jakieś środki poszły na to, czego nie potrzebowali na przykład ludzie, a to są też te środki naszych ludzi, i trochę to tak...”. (Lena)

Sytuacja była dynamiczna i nie zawsze można było pozwolić sobie na organizację zbiórki rzeczowej. Często prowadzono więc zbiórki środków finansowych na określony cel. Zaangażowanie się w tego typu akcję wymaga dużej dozy zaufania do osoby prowadzącej zbiórkę. Z tego też powodu często były to mikrozbioraki organizowane wśród znajomych. Jak mówi Milena: „To było po prostu moje konto. I ja wysyłałam im później te paragony”, paragony potwierdzające zakup paliwa, by dotrzeć na granicę po kolejną grupę osób, leki dla chorych, kamizelki kuloodporne dla walczących czy wózek dla nowonarodzonego dziecka. Czasem zdjęciom paragonów towarzyszyły zdjęcia zakupionych przedmiotów publikowane na zamkniętych kanałach dyskusyjnych lub w postach w mediach społecznościowych w zależności od zasięgu danej zbiórki.

Mała społeczność lokalna

O ile w dużych miastach mieliśmy do czynienia z ogromną liczbą mikrozbiorak, co wynika ze specyfiki społeczności miejskich, to w małych społecznościach lokalnych pojawiały się inicjatywy, które udawało się łączyć, by usprawnić działania. Było to o tyle istotne, że w pewnej mierze pozwalało ograniczyć chaos informacyjny związany z wielością osób kontaktowych czy choćby liczbą samochodów transportujących dary na granicę czy do innych punktów. Przekładało się to na obniżenie kosztów i zmniejszenie korków w najbardziej ruchliwych miejscach.

Taką wspólną zbiórkę zorganizowała społeczność lokalna w jednym z mazowieckich miasteczek i otaczających je wioskach. Pierwotnie zrodziły się dwie inicjatywy: w parafii rzymskokatolickiej oraz lokalnej ochotniczej straży pożarnej. Połączenie sił i zorganizowanie wspólnej

zbiórki zaproponował burmistrz, który zaangażował w działania gminny ośrodek kultury. Włączenie się tak istotnych dla społeczności lokalnej instytucji sprawiło, że w pomaganie włączyły się kolejne podmioty. Wspomniana parafia jest bowiem siedzibą dekanatu i zainspirowała do działania i przyłączenia się do zbiórki również inne okoliczne parafie.

„I właśnie tutaj, to znaczy tu my się razem z parafialnym Caritas podjęliśmy już takie działania. Też tutaj zwróciłem się do okolicznych księży”. (Piotr)

Zaangażowanie władz lokalnych z kolei zaowocowało przyłączeniem się do zbiórki miejscowości partnerskiej z zachodu Europy.

„Ba, przyszedł transport i z [Miejscowości we Francji]. (...) Właśnie od ładnych kilkunastu lat nasza gmina jest zaprzyjaźniona z gminą [francuską]”. (Walenty)

Do zbiórki włączyło się też biuro poselskie znajdujące się w sąsiedniej miejscowości.

„Tak. Tak, chociaż tutaj jeden z posłów z PiS-u, więc to tak trzeba, też dał takie hasło w sąsiedniej miejscowości (...) z ramienia jego biura poselskiego też były te dary zbierane”. (Walenty)

Tak o inspiracji do działania i dostarczeniu pierwszych darów na granicę opowiada burmistrz:

„Mamy na terenie naszej gminy różne organizacje pozarządowe, stowarzyszenia, w tym jednostki OSP, tak jak tutaj. I wszyscy takie podjęli, znaczy część tych organizacji podjęła takie nieskoordynowane ruchy, i zaczęły się organizować zbiórki takie nieskoordynowane. Wtedy zgłosił się do mnie ksiądz dziekan, poinformował mnie, że chcą robić zbiórkę w ramach Caritas Polska, żeby dostarczyć dary, najbardziej potrzebne rzeczy do centralnego magazynu Caritas w Przemyśle, w sensie jak najbliższej granicy, żeby ta pomoc była na miejscu. I my wtedy wyraziliśmy chęć pomocy i gotowość przygotowania tego wszystkiego i zorganizowania. I tak się stało, zorganizowaliśmy zbiórki tutaj w tym budynku, zebraliśmy bardzo dużo darów, wszyscy zareagowali bardzo żywiołowo, ogromne ilości tych przedmiotów zostały zebrane. To wszystko później ja, ksiądz i kilku strażaków zawieźliśmy do Przemyśla Caritas i tam rozpakowaliśmy”. (Michał)

Wspomniane instytucje wezwały okolicznych mieszkańców do działania i to wezwanie spotkało się z entuzjastyczną odpowiedzią, jak mówi Walenty: „Nasza praca polegała na tym, że ogłosiliśmy zbiórkę darów żywności, artykułów, przyborów szkolnych, odzieży. I to się udało, w krótkim czasie żeśmy sporo tego zebrali”.

Samo zebranie darów było jednak dopiero pierwszym etapem, ponieważ te zgromadzone produkty należało posegregować i zapakować, za co odpowiadały pracownice lokalnego ośrodka kultury przy wsparciu strażaków z OSP.

„No ale to było logiczne, no nie możemy w jeden karton wrzucić wszystkiego, no bo jak to później na magazyn trafi, prawda? (...) Jeśli są to makarony, to tylko makarony, jeśli to jest spożywką... Mąki, cukry, później, no wiadomo, tej potrzeby chemicznej było bardzo dużo, bo środki czystości były... podstawą. Czy płyny do kąpieli, czy balsamy, no wszystko to, co ludzie mogli dawać, to my to segregowaliśmy. (...) No ja tutaj, (...) miałam tutaj panów strażaków, którzy przyszli z nami, pakowali, robili, przygotowywali, oczywiście pod naszym nadzorem, ale oni to robili”. (Ania)

Tak przygotowane produkty następnie przetransportowano dwoma samochodami dostawczymi w okolice granicy. Transport zorganizował burmistrz, który zresztą wraz z księdzem i szefową ośrodka kultury pojechał na granicę, by dostarczyć zebrane dary.

W wypowiedziach dyrektorki ośrodka kultury, która była silnie zaangażowana w cały proces, usłyszeć można pewien niedosyt czy wręcz skargę na niewystarczające zaangażowanie lokalnej społeczności:

„Kilku wolontariuszy w postaci moich znajomych, które przyszły i robiły. Natomiast mieszkańcy, reszta, no przynosiła dary, owszem, obserwowała, weryfikowała, interesowała się, jaki ten transport szykujemy, ale tak naprawdę to na tym się zakończyło. (...) Ludzie no po prostu podchodzili bardzo chłodno, bardzo czasami bez serca, owszem, oni przynosili te dary, ja nie powiem, że nie, bo oni nam nanieśli bardzo dużo tych darów. Ale to było na zasadzie chyba takiego obowiązku, takie miałam wra-

żenie, że *No po prostu spełniamy swój obowiązek. (...) Nie przejmujemy się, pozamykamy się w domu, na pewno nic nam nie będzie, bo my jesteśmy daleko od granicy. To się tylko tak wydaje*". (Ania)

Jej ocena jest dość surowa. Działania społeczności nie zakończyły się bowiem na przetransportowaniu zebranych darów na granicę. W czasie trwania zbiórki w okolicznych miejscowościach zaczęły pojawiać się uchodźczynie, które przyjęte zostały do domów mieszkańców gminy. Wraz z ich pojawieniem się zbiórkowe magazyny otwarto również dla nich.

„I ci, którzy już przybyli z Ukrainy i byli tutaj czy w obrębie naszej gminy, czy w gminie sąsiedniej zakwaterowani, to przyjeżdżali i to, co im się przydało, no to wzięli. Także ta pomoc głównie na tym polegała, chociaż też i byli tacy ludzie, którzy wyrazili chęci, poprzyjmowali do swoich prywatnych budynków tych uchodźców”. (Walenty)

„No i na tej zasadzie się oni pojawili. I tutaj, jak my już, można powiedzieć, powoli kończyliśmy zbiórkę, już wiedzieliśmy, że co najmniej w trzech rodzinach już uchodźcy byli. No więc też tutaj w gronie tutaj takich tych organizatorów podjęliśmy decyzję, po prostu, przywozimy ich, niech się rozpatrzą, niech sobie wezmą, co chcą, część tych rzeczy po prostu, część tych rzeczy damy, zostawimy tutaj, no bo wiadomo, ci pierwsi szczególnie uchodźcy to z jedną walizką uciekali”. (Piotr)

„W każdym razie, przewieźliśmy ten transport, bardzo szybko, sprawnie to się odbyło, następnie pozostałe dary, bo to oczywiście nie zakończyło się na tym, te dary nadal były zbierane, i w zasadzie nadal są, chociaż oczywiście w tej chwili już na mniejszą skalę, aczkolwiek mamy pewne jeszcze zebrane artykuły, i tym osobom, które zamieszkują na terenie naszej gminy, zostały poinformowane od razu o możliwości od nas pozyskiwania tych różnych przedmiotów, towarów, i tak się dzieje”. (Michał)

Część darów trafiła wreszcie i do samej Ukrainy.

„To była pierwsza pomoc, potem się okazało, że na przykład jakiś kierowca, który przywiózł [uchodźców], on wraca na Ukrainę, ma busa, no to jak możemy ten, to część darów bezpośrednio na busa i do Ukrainy”. (Piotr)

W tej małej lokalnej społeczności powstała zatem sprawnie działająca sieć, która zbadała potrzeby, określiła swoje możliwości i zaangażowała lokalne instytucje, które współpracowały ze sobą, koordynując prowadzoną zbiórkę.

Magazyny w punktach recepcyjnych

Zbiórki miały charakter akcyjny. Ich zasięg bywał różny, czasem trudny do przewidzenia. Na zapleczach gromadzenie rzeczy miewało jednak również nieco inny charakter. W punktach czasowego pobytu, w których przebywały niekiedy bardzo liczne grupy osób (nawet po kilka tysięcy), niezbędne były środki do zaspokojenia podstawowych potrzeb ich wszystkich. Nie mogło być mowy o niepowodzeniu organizacyjnym, ponieważ to przekładałoby się na jakiś dokuczliwy brak: papieru toaletowego, pościeli, szamponów do włosów, mydła, podpasek, kubków, talerzyków, zdatnej do picia wody, jedzenia dla tych, którzy zostają, i prowiantu dla wyruszających w drogę, majtek, skarpetek, butów, czystych i dostosowanych do pory roku ubrań, telefonów i ładowarek, leków i środków opatrunkowych, ale też kolorowanek i kredek, walizek, plecaków i szetek na dokumenty, szczotek, gumek i spinek do włosów, kawy, herbaty, kisielu, owoców, słodyczy, karmy i innych produktów dla zwierząt w drodze i wielu, wielu innych rzeczy, nad którymi zwykle się nie zastanawiamy. Trudno nam wyobrazić sobie ich brak.

Nad zapewnieniem dostępu do rzeczy niezbędnych, by żyć i przydatnych „by się trzymać”, dbały zaplecza punktów recepcyjnych. Tam pracowały osoby, które czasem dość nieoczekiwanie stały się odpowiedzialne za zaopatrzenie tych punktów, odpowiedzialne za „załatwianie” rzeczy.

Do skutecznego zaopatrzenia punktów recepcyjnych kluczowa jest dobra organizacja pracy i jasne określanie obowiązków, a także poczucie odpowiedzialności za poszczególne odcinki działania. W świecie idealnym zarządca czy koordynator obiektu i jego pracownicy są przygotowani i mają poczucie obowiązku za zapewnienie niezbędnych towarów.

Finansują to ze środków otrzymywanych od władz państwowych. W świecie nieco mniej idealnym w punkcie pojawiają się organizacje pomocowe i komórki odpowiedzialne za wolontariat w korporacjach – wprowadzają przeciwiczone sposoby zarządzania i wykorzystują środki własne oraz sieć kontaktów pomocowych. W rzeczywistości bywało jednak i tak, że w dużych punktach organizacja pracy i zaopatrzenia tworzona była oddolnie przez ludzi „z ulicy”.

Tak o swojej pracy na zapleczu opowiada Ola – odpowiedzialna za zaopatrzenie – która na długie miesiące oddała się bez reszty takiej działalności. Pracę osób takich jak ona mogliśmy wszyscy śledzić na żywo, gdy trafialiśmy w mediach społecznościowych na apele i listy potrzeb poszczególnych punktów pomocowych:

„Żywność pochodziła z darów, ta dodatkowa, czyli kawa, herbata, i tak dalej, i tak dalej, i te wszystkie chemie, i tak dalej, ten cały luksus, który był [w punkcie recepcyjnym A] w porównaniu z [punktem recepcyjnym B], to było wszystko... to byli wszystko darczyńcy”. (Ola)

Ileć wieźliśmy do punktu recepcyjnego torbę kanapek, skrzynkę naleśników, worek papieru toaletowego czy ubrania, z których wyrosliśmy lub choćby naszą starą walizkę, to było to w odpowiedzi na prośbę osób z zaplecza, którym udało się dotrzeć do nas z informacją o pilnych potrzebach. Równolegle do naszych małych dostaw pomocy pod punkty recepcyjne podjeżdżały busy dostawcze, a nawet TIR-y wypełnione darami od dużych firm przekonanych przez ludzi zaplecza, że warto pomagać, ponieważ ta pomoc pozwala przetrwać najcięższy czas.

Identyfikowanie i komunikowanie potrzeb

Załatwianie produktów niezbędnych do życia kilkuset czy kilku tysięcy osób nie jest zadaniem łatwym. W tym procesie kluczowy jest pierwszy punkt, jakim jest identyfikacja potrzeb i sprawna wymiana informacji. Dlatego właśnie tak ważna była organizacja pracy i poczucie odpowiedzialności osób koordynujących za swoje odcinki. Przekazanie odpowiednio

wcześnie informacji, że jakiegoś produktu może zabraknąć, pozwalało bowiem na działania wyprzedzające i zorganizowanie go na czas. W punkcie, w którym pracowały Kalina i Ola, powstały dwa narzędzia – do komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej.

„W momencie, kiedy zaczęłam bardziej zajmować się zaopatrzeniem, i robieniem tych wszystkich list, które są na Facebooku, to jakby stworzyłam specjalną grupę, wyłącznie dla zaopatrzenia, bo też mamy... i to było napisane na samym początku, to jest... grupa, to jest czat dotyczący zaopatrzenia bez żadnego *pitu pitu*”. (Ola)

„Po prostu mieliśmy na bieżąco aktualizowaną listę, dzień w dzień była aktualizacja, czego potrzeba, czego nam brakuje, dzisiaj nam brakuje herbaty, majtek i wody w małych butelkach, a jutro potrzebujemy jeszcze czegoś tam, nie?”. (Kalina)

Wolontariusze mieli więc swój wewnętrzny kanał – grupę na komunikatorze internetowym, która służyła wyłącznie wymianie informacji na temat potrzeb związanych z zaopatrzeniem, by informacje o brakach czy kończących się zapasach szybko trafiały do osób, które są w stanie ten problem rozwiązać.

Jednocześnie istniała grupa w mediach społecznościowych i fanpage, które pozwalały na komunikację zewnętrzną. Służyły do tego przede wszystkim aktualizowane codziennie listy potrzeb z wyróżnionymi tymi najpilniejszymi. Ten rodzaj komunikacji skierowany był do prywatnych osób, małych grup koleżeńskich czy niewielkich organizacji, które chciały wspólnie włączyć się w pomaganie – zakupić potrzebne produkty czy przygotować jedzenie. Dzięki swej aktualności i przejrzystej strukturze lista była niezwykle skutecznym narzędziem; za pośrednictwem osób korzystających z mediów społecznościowych promowana była dalej – na ich indywidualnych kontach i w grupach pomocowych, do których należeli.

Równocześnie osoby zaplecza starały się trafiać do dużych graczy – lokalnych, krajowych i międzynarodowych producentów czy dystrybutorów wszystkiego, co w punkcie recepcyjnym mogło być przydatne: firm odzieżowych, sieci sklepów, producentów żywności i produktów higienicznych etc. Na prywatnych komputerach, korzystając z prywatnych

skrzynek mailowych i prywatnych telefonów komórkowych, starały się dotrzeć do firm, które mogą pomóc.

„Dziewczyny od Facebooka były trzy, one się zajmują komunikacją taką zewnętrzną i wewnętrzną, że przekazują, co jest potrzebne, w jakich ilościach, a my to realizowaliśmy, i to było na zasadzie kto pierwszy ten lepszy, no bo jak ktoś załatwi więcej, no to było wiadomo, że będziemy mieli na zapas. Myślę, że była taka zdrowa konkurencja, na zasadzie, każdy próbuje swoimi kanałami, swoimi sposobami, bo każdy z nas działał trochę inaczej, mieliśmy dziewczynę, która tylko dzwoniła, nie pisała maili, ona powiedziała, że dla niej to nie działa, u niej pisanie maili nie działa”. (Kalina)

Poszukiwanie darczyńców zmieniło się niejako w konkurs, w którym każdemu zależało, by pozyskać większego gracza, więcej dóbr i to najchętniej tych najbardziej poszukiwanych. Ta część pracy nie miała zorganizowanej formy. Podjęto próby organizacji, tworzenia baz firm i oznaczania w nich rezultatów podjętych kontaktów. Taki system się nie przyjął, szybko uznano go za zbędną biurokratyzację kradnącą czas, który mógłby zostać poświęcony na kontakty z kolejnymi firmami. Uznano, że nawet jeśli kilka osób zadzwoni z prośbą o wsparcie do tej samej firmy, to zwiększy to szansę trafienia na osobę, która stwierdzi, że warto zaangażować się w pomoc.

TIR wody i 300 naleśników z nutellą.

„Załatwianie” – zaopatrzenie w skali mikro i makro

Pomoc dostarczana do punktów recepcyjnych, takich jak ten, w którym pracowały Ola i Kalina, miała więc swój wymiar mikro i makro. Ich zaangażowanie i rola były odmienne na różnych etapach niesienia pomocy.

„My się w pewnym momencie też nad tym zastanawialiśmy, jak tak naprawdę, kto, kto jest tak naprawdę naszym głównym darczyńcą i myślę, że... znaczy tego jestem pewna, że gdyby w pierwszych dniach nie pomogli ludzie, z okolicy, z [okolicznych dzielnic], to ci uchodźcy będący [w punkcie recepcyjnym] nie mieliby nic, bo firmy

nie zdążyły zareagować, dopiero w którymś tam dniu, nie wiem, siódmym, dziesiątym, zaczęła się taka bardzo mocna intensyfikacja tych takich działań dużych, które też były potrzebne, bo jednocześnie, to już nie było pięćset osób, [w punkcie recepcyjnym] tylko dwa tysiące, prywatni darczyńcy nie byliby w stanie pokryć jakby zapotrzebowania na wszystko (...). Czasem bardziej pomagały firmy, a czasem bardziej pomagali ci pojedynczy darczyńcy, bo... to, że mieliśmy, to, że, że dostaliśmy TIR-a wody, to była nieoceniona pomoc, bo tej wody potrzebowaliśmy. (...) Tego TIR-a, żeby ci ludzie mieli na bieżąco dostęp do świeżej wody, ale jednocześnie, jak ktoś przywiózł, nie wiem, trzysta naleśników, które smażył przez trzy godziny u siebie w domu, czy przez pięć godzin... I dzieci się cieszyły, że są naleśniki z nutellą, no to też było nie do przecenienia, bo te dzieciaki miały jakąś tam namiastkę normalności i dostały naleśniki z nutellą". (Kalina)

Liczyby są nieubłagane i przy tak dużych potrzebach długotrwałe pomaganie bez zaangażowania dużych podmiotów byłoby niemożliwe. Trudno więc przecenić pomoc ze strony firm prywatnych, które dostarczały niezbędne do funkcjonowania punktu produkty, czy organizacji pozarządowych zapewniających ciepłe posiłki czy opiekę medyczną.

Zaangażowanie firm prywatnych generowało poważne wyzwania związane z księgowaniem i dokumentowaniem darowizn. Przedsiębiorstwom zależało bowiem na możliwości uwzględnienia darowizn w rozliczeniach podatkowych. Również organizacje pozarządowe zapewniające różnego rodzaju wsparcie potrzebowały dokumentów potwierdzających jej przyjęcie i określającej sposób jej wykorzystania. Ta kwestia stanowiła spory problem dla wolontariuszy, ponieważ nie działali w sposób sformalizowany. W punkcie Kaliny i Oli nie mieli nawet podpisanych umów wolontariackich. Trzeba więc było oddolnie wymyślić sposób na „księgowanie” trafiających do punktu towarów. Wykorzystywano do tego fotografie.

„Musiałam dopilnować tego, żeby te zdjęcia były, żeby były pokazane produkty, żeby były oznaczenia jakości, żeby później firma dostała umowy darowizny (...), bo to nie jakiś tam mały sklepik, tylko rzeczywiście międzynarodowa korporacja". (Kalina)

Składając jakikolwiek podpis na dokumentach, wolontariusze występowali zatem jako osoby prywatne. Wiązało się to z wielką odpowiedzialnością, a tym samym obciążeniem psychicznym, ponieważ przyjmowali towary, których wartość sięgała niekiedy dziesiątek tysięcy złotych.

O ile przyjmowanie darowizn w formie rzeczowej było nieodzowne, o tyle wsparcia finansowego wolontariusze przyjmować nie chcieli. Nie istniało konto bankowe, które służyłoby temu celowi, nie było także możliwości organizacyjnych, by przejrzystie prezentować sposób spożytkowania tych środków. Obawiano się też ewentualnych konsekwencji prawnych czy finansowych, np. tego, że po jakimś czasie pomagacze będą musieli zapłacić podatek od kwot, które wpłynęły na ich konta, a oni nie będą w stanie udowodnić, że pieniądze nie były przeznaczone dla nich. Propozycje przelewu środków pochodziły zwykle od osób prywatnych lub grup osób czy też niewielkich firm.

Rozwiązano ten problem, zwracając się do nich z prośbą o dokonanie zakupów i dostarczenie do punktu określonych produktów. W przypadku osób z zagranicy zaś o zakupy w sklepie internetowym.

„I ludzie pytali *Gdzie możemy przelać? Czy, czy jest konto bankowe?*, konta bankowego nie było, no ja nie wyobrażałam sobie podać swojego, a więc szukaliśmy rozwiązań i w pewnym momencie ludzie z zagranicy robili nam zakupy [w sklepie internetowym], więc to, to też... gdzieś tam zupełny przypadek, bo napisała do mnie dziewczyna, chyba z Hiszpanii, z pytaniem, gdzie ona by mogła przelać pieniądze, ja tak kminiłam, co z nią zrobić, jak ona może no... w Hiszpanii, ona się będzie bała przelać, zresztą ja nie podam swojego numeru konta, nie wiadomo, co z nią zrobić, wybrnąć z tego czysto, tak? *Czy jesteś w stanie nam zrobić zakupy i adres dostawy na* [punkt recepcyjny], no i ludzie nam robili z zagranicy zakupy, normalnie kupowali nam arbuzy i banany i one przychodziły, z konta zagranicznego szła kasa na [sklep internetowy], a [sklep internetowy] nam dowoziło jedzenie”. (Kalina)

Kontakty do osób prywatnych gotowych zaangażować się i wesprzeć przydawały się również w sytuacjach, kiedy dotyczyły produktów czy spraw intymnych, wstydlivych. Rzeczy, których nikt nie przynosił, ponieważ ze względu na delikatność tematów i związane z nimi tabu,

osoby prowadzące media społecznościowe decydowały, by nie zwracać się z prośbą o nie na ogólnodostępnych listach.

„Były takie produkty, o które nie bardzo mogliśmy prosić głośno, bo na przykład nie poprosimy głośno o preparat na wszy, bo to jest takie uwłaczające, tak? To się... nie tylko, że nikt tego nie przyniesie, ale powiedzenie na głos *Halo, nasi uchodźcy mają wszy, przywieźcie nam szampony* (...) albo testy ciążowe, no przecież nikt nie..., nie powiedziałby *Poprosimy testy ciążowe*. Tam kobiety przyjeżdżały i często zastanawiały się, czy nie są w ciąży, my tych testów ciążowych potrzebowaliśmy, często były właśnie takie darowizny, że ktoś chciał coś kupić i my pytaliśmy *Czy możecie zakupić testy ciążowe, bo potrzebujemy, bo... no bo, no muszą być*” (Kalina)

Działania w skali mikro mieszkańcy okolicznych dzielnic realizowali na bieżąco, odpowiadając na pojawiające się listy potrzeb. Szybka reakcja prywatnych osób była też istotna w sytuacjach kryzysowych, kiedy nagle, np. późnym wieczorem okazywało się, że bardzo brakuje jakiegoś produktu, a czasu było zbyt mało, by włączyć w działanie firmy czy organizacje pozarządowe. Zdarzało się też, że w godzinach wieczornych pojawiał się post, np. z prośbą o naleśniki czy kanapki, które się kończą, a punkt spodziewa się przyjazdu dużej grupy osób uchodźczych już po porze wydawania kolacji.

W punkcie recepcyjnym Oli i Kaliny dostawy żywności, którą można było spożyć pomiędzy regularnymi posiłkami lub wyruszając w dalszą drogę, stanowiły formę pomocy silnie angażującą lokalną społeczność. Prywatne osoby, całe rodziny, klasy szkolne, zespoły pracownicze, a także grupy nieznanymi osób, które połączyła ta inicjatywa, przygotowywały kanapki, ciasta, naleśniki, placki i sałatki. Wszystko musiało być zapakowane w osobne porcje i właściwie opisane, by jasne było, co się w danej paczce znajduje i kiedy zostało przygotowane.

Samo przygotowywanie takich posiłków było również aktywnością zaplecza. Angażowały się w nie osoby, które nie mogły lub nie były w stanie pomagać w bezpośrednim kontakcie z osobami uchodźczymi. Regularnie w mediach społecznościowych punktu pojawiały się podzię-

kowania dla osób i grup przygotowujących posiłki lub relacje z ich dokonani. Niejednokrotnie kanapki przygotowywane były wspólnie przez uczniów okolicznych szkół. Grupy znajomych wspólnie smażyły naleśniki lub wspierały finansowo znajomych, którzy robili kolejne partie naleśników, ciast czy kanapek. To uwspólnotowanie procesu pomagania i dzielenie się emocjami z nimi związanymi sprawiało, że satysfakcja z niesionej pomocy była jeszcze głębiej odczuwalna. Dla osób dostarczających żywność była to też okazja do krótkich kontaktów z osobami uchodźczymi – szczególnie dziećmi wypatrującymi w przynoszonych skrzynkach czy torbach ich ulubionych naleśników z nutellą.

Społeczność lokalną angażowano także w przyrządzanie dań specjalnych na szczególne okazje, jak Wielkanoc, Dzień Matki czy Dzień Dziecka. Powstawały wówczas specjalne listy na przygotowanie konkretnych potraw i dostarczenie ich w określonym terminie. W tego rodzaju inicjatywy włączały się także dzieci z okolicznych szkół i ich rodzice. Listy zapisów były jednak dostępne również dla osób, które nie były związane z żadną instytucją, ale pragnęły swoim ciastem czy tortem współtworzyć świąteczną atmosferę, by wprowadzić do punktu recepcyjnego odrobinę normalności.

Decyzja o przyjmowaniu jedzenia od „ludzi z miasta” nie była wcale oczywista i w wielu punktach budziła kontrowersje. Czasem nie godzono się na nią, obawiając się konsekwencji zdrowotnych wynikających z nieznanego jakości i składu dostarczanych produktów, o czym mówiła nam Ewelina, pracująca w innym punkcie:

„Na początku, jak tam przyszedłam, to ludzie z miasta przywozili, w garach, od siebie z domu ugotowaną zupę. Okej, tylko za chwilę były sytuacje biegunek, były sytuacje alergii pokarmowych, były sytuacje no przeróżne, jakichś bólów żołądka, bólów brzucha... I to nie to, że ktoś chciał kogoś otruć, tylko, być może, nie wiem, mamy różne żołądki, różne gdzieś tam dania nam bardziej podchodziły, więc trzeba to było po prostu zarządzić tym, że... Trzeba było też, to było trudne, powiedzieć tym ludziom, którzy przywozili to tam, że my od was tego nie weźmiemy. Nie weźmiemy tych kanapek z wędliną, bo ja nie wiem, ja nie wiem, ile ta wędlina ma. W sensie czy ona ma jeden

dzień, czy ona leżała na słońcu, czy ona była w lodówce... A my to dajemy dzieciom, dajemy to ludziom, i za chwilę my mamy zagrożenie epidemii albo jakichś gryp żołądkowych i tak dalej, i wtedy nas, kładzie nas wszystkich momentalnie". (Ewelina)

Oczywiście podawane argumenty są zrozumiałe i mogą być zasadne. W jakiejś mierze wynikają one jednak z niskiego poziomu zaufania względem drugiego człowieka. Powstrzymanie się od przyjmowania jedzenia z miasta chroni raczej przed sytuacją, w której ktoś ma intencję zranienia drugiego człowieka. Skład i datę przygotowania posiłku można bowiem zamieścić na naklejonej nań etykiecie. Taka forma wsparcia była niezwykle istotna szczególnie w pierwszych dniach pomocy, kiedy pojawiający się w Polsce ludzie korzystali praktycznie tylko z takiej formy niesienia pomocy, czyli kanapek czy przekąsek przygotowywanych w prywatnych domach czy przeznaczonych na to pomieszczeniach na dworcach. Także różnorodność posiłków uwzględniających preferencje żywieniowe i alergię pokarmowe, bywała naprawdę duża.

Wojny magazynowe

Zważywszy na to, że punkty recepcyjne finansowane były przez władze państwowe zastanawiać może fakt organizowania przez osoby wolontariackie tak podstawowych produktów jak żywność czy papier toaletowy. Kalina i Ola przekonane były, że ani braki pewnych produktów, ani obciążenie odpowiedzialnymi zadaniami ludzi z ulicy, ani nieprzejrzyste zasady zatrudniania i wynagradzania uchodźców, ani cały panujący w punkcie chaos nie były dziełem przypadku.

„I ja na początku sobie myślałam «Boże, jak ci ludzie robią biznesy za miliony złotych, i dochodzi do takich sytuacji». Ale potem zrozumiałam, że jakby to była dla nich superopcja, bo w tym chaosie, który był, byli w stanie po prostu zawsze być chaos... W momencie, jeżeli się wprowadza zasady, i zaczyna się je egzekwować, i jeżeli ktoś zrobi błąd, no to będzie trzeba to wyegzekwować, tak? A oni zostawili ten chaos, że jeżeli coś by się potknęło, to zawsze można zważyć na wolontariuszy, i tak zresztą się stało". (Ola)

O sposobie zarządzania punktem i wieloma realizowanymi tam praktykami nasze rozmówczynie mówiły w tonie skargi i pewnego rozżalenia. Nie chcielibyśmy pozostawić naszych czytelników z wrażeniem, że sytuacje, o których opowiemy, były standardem czy choćby częstą praktyką. Nie jest naszym zamiarem, by przekreślały znaczenie dobra, które wydarzyło się przy okazji różnych praktyk pomocowych.

Ben Shephard (2016) w książce *Powrót* opisując powojenne losy *dipisów*, zdaje relację z tego, jak różne warunki panowały w przeznaczonych dla nich obozach, jak odmienne było podejście pracowników obozów do wysiedlonych narodowości i do jak poważnych uchybień niekiedy dochodziło. Zaznacza jednak, że mimo niewydolności organizacji odpowiadającej za prowadzenie tych jednostek i wszelkich nieprawidłowości, które miały w nich miejsce, ilość dobra, które przyniosły one milionom bezbronnym ludzi była nieporównywalnie większa. Skupienie na kosztach i słabościach systemu pomocy sprawiło jednak wycofanie finansowania ze strony rządu USA, który musiał uwzględniać sygnały płynące od opinii publicznej.

Nie jest naszą intencją ocenianie sposobu organizacji i efektywności zarządzania jakimkolwiek punktem pomocowym. Interesujący jest jednak punkt widzenia badanych na te kwestie. Zdaniem naszych rozmówczyń w jednym z punktów recepcyjnych celowo utrzymywano pewien poziom chaosu, który pozwalał na brak przejrzystości finansowej.

„No to, my byliśmy bardzo z tego niezadowoleni. I to było wielokrotnie zgłaszane, no ale jakby to było trudno, mam wrażenie, że ta umowa była tak strasznie źle napisana, że ten, że nasz, że po prostu [przedstawiciel władz lokalnych] nie był w stanie w żaden sposób niczego wyegzekwować”. (Ola)

Celowy był – zdaniem badanych – brak staranności w rejestrowaniu i zgłaszaniu pojawiających się i opuszczających punkt osób uchodźczych. Zaangażowanie wolontariuszy w zaopatrzenie również pozwalało na pewne „przeoczenie” faktu, że *gros* „załatwianych” przez nich towarów to produkty, na które zarządca obiektu otrzymał pieniądze. Wolontariusze mieli poczucie, że coś jest nie tak, ale „załatwiali” rzeczy, ponieważ

były potrzebne. Poczucie odpowiedzialności nie pozwalało im odpuścić i powiedzieć, że to nie ich zadanie.

Trudne emocje pojawiały się jednak w momencie, gdy widzieli, że zarządca stara się przejąć kontrolę nad zdobytymi przez nich darami lub rozdysponowywać je w sposób, który oni uważali za niesprawiedliwy. Prowadziło to do swoistych wojen magazynowych, w ramach których wolontariusze i zarządca na bieżąco reorganizowali przestrzeń, tak by przejąć lub utrzymać kontrolę nad darami.

„Monitorowałam to w ramach grupy, co się dzieje z daną rzeczą, na przykład w momencie, kiedy [przedstawiciel władz] zaczął pytać, gdzie są jakieś rzeczy, to nagle część palet zniknęła z magazynu, i zostały schowane w... na tej, którą się idzie do magazynu, po prawej stronie jest taki kontener, niby medyczny, i tam są takie drzwi zawinięte taśmą, taką srebrną. I oni tam, pod osłoną nocy, któregoś dnia przerzucili wszystkie palety z cukrem, mlekiem, [kosmetykami do golenia], takie różne rzeczy, te takie najbardziej deficytowe, twierdzą, że po prostu było za mało miejsca na magazynie, i musieli to przesunąć, ale jakby... my żeśmy potem znajdowali te rzeczy w różnych miejscach, w różnych częściach. Ja pamiętam do dzisiaj, nie wiem, co się stało u nas z dwunastoma wielkimi skrzyniami, takimi drewnianymi na rzeczy darów (...). Byliśmy w stanie jakby wprowadzać kolejne ulepszenia, ale też jakby, to też było tak, że nadal to tak działa, że nadal [zarządca punktu] się nie skapnął, co jest na górze, na pierwszym piętrze naszego magazynu, bo tam są te największe schowane rzeczy, które my żeśmy wynosiły pod osłoną nocy, znaczy nocy nie, no bo kamery są, tak?\".

(Ola)

Frustrację wolontariuszek wywoływały też momenty, w których widziały, że rzeczy deficytowe i bardzo dobrej jakości, o które długo zabiegały, np. nowe ubrania, są wydawane poza stworzoną przez nie procedurą i pewnymi limitami osobom zatrudnianym przez zarządcę lub wolontariuszom z miasta. Uznawały, że jest to nie fair w stosunku do uchodźców, sponsorów i samych zaopatrzeniowczyń.

Trudnych emocji związanych ze współpracą z zarządcą obiektu, dotyczących nie tylko zaopatrzenia, było wiele. Poza Kaliną i Olą rozmawialiśmy jeszcze z dwiema innymi osobami pracującymi w tym samym

miejscu. Wszystkie odeszły właśnie ze względu na napięte relacje z zarządcą. Co jednak ważne – żadna z naszych rozmówczyń nie zrezygnowała z pomagania, przenieśli swoje siły do innych punktów i pomagały dalej.

Zaplecze – ponad przestrzenią i czasem

Zaplecze nie ogranicza się do żadnego miejsca, z żadnym nie jest też ściśle związane. Jest w magazynach punktów recepcyjnych, prywatnych domach i miejscach pracy i wszędzie tam, gdzie akurat się znajdowały organizujące, koordynujące i zaopatrujące działania pomocowe osoby. Trudno też wskazać jakieś ramy czasowe, które określałyby działanie zaplecza. Jest ono bowiem całą siecią procesów, które dzieją się, często niedostrzegane, gdzieś poza pomocowym pierwszym planem.

Zaplecze zaczęło się na długo przed 24 lutego 2022 roku, ponieważ kompetencje i inne zasoby przez nie wykorzystywane poszczególne osoby zdobywały w ramach swoich doświadczeń zawodowych i społecznych (zaangażowanie w inne akcje pomocowe czy różne formy aktywizmu). Również my jako społeczeństwo przygotowywaliśmy się na okołowojenne wezwanie zaplecza od dawna: osuwając się z obecnością społeczności ukraińskiej w Polsce, trenując wrażliwość społeczną przez uczestnictwo w takich inicjatywach jak np. WOŚP, reprodukując wizję narodu polskiego jako zdolnego do wielkich wspólnych zrywów czy wreszcie bogacąc się od co najmniej 20 lat, byśmy realnie posiadali środki, aby się nimi podzielić i przybyszów ugościć.

Na zapleczu wszystko działo się w wielkim przyspieszeniu. Kondensację działań i łączenie ról pomocowych ze wszystkimi innymi, odgrywanymi dotychczas, wymuszało poczucie obowiązku wynikające z rozpoznania skali potrzeb.

Rozdział 4. Dylematy godności

Punkty recepcyjne i tak zwane wydawki to kolejne miejsca, w których przebywały osoby uchodźcze z Ukrainy.

Punkty recepcyjne stanowiły, i cały czas po kilku miesiącach od początku wojny stanowią miejsca, gdzie zapewniony jest nocleg oraz wyżywienie. Punkty te różnią się wielkością, liczbą osób w nich przebywających, organizacją, ale zawsze stanowią skupiska bieżących, odbierając poczucie intymności – często są to hale (sportowe, wystawiennicze, magazynowe), w których poustawiane są łóżka polowe. Panuje tłok, przebywają tam osoby z różnymi doświadczeniami i zróżnicowanymi potrzebami, w tym osoby z niepełnosprawnościami, osoby starsze, dzieci, a wśród nich również zwierzęta.

Wydawki to takie miejsca, w których uchodźcy mogą otrzymać jedzenie, artykuły higieniczne, odzież, obuwie. Zatem zjawiają się tam zarówno osoby, które przebywają w punktach recepcyjnych, jak i te, które goszczą w domach Polek i Polaków.

Doświadczenie przez przedmioty

Kluczową kategorią doświadczenia pomagaczki w tych miejscach są rzeczy, przedmioty – rozumiane szeroko jako jedzenie, ubrania, artykuły higieniczne, kosmetyki, zabawki, leki. Te przedmioty nie służą jedynie zaspokajaniu potrzeb (o tym, jakie potrzeby może mieć według pomagaczki osoba uchodźcza, napiszemy później), ale są nośnikami wartości (niekoniecznie materialnych) i emocji. Przedmioty niosą ze sobą określone znaczenia (Krajewski 2013). Zazwyczaj jesteśmy przyzwyczajeni, jako dorośli ludzie, że sami decydujemy, w co się ubierzemy, co zjemy, jakie mydło czy pastę do zębów kupimy. W przedmiotach zawiera się także pewna sentymentalna pamięć. Wbrew modzie na minimalizm gromadzimy pamiątki, przechowujemy ulubione przedmioty po rodzicach,

dziadkach. Zachowujemy ubranka dziecięce, jakieś zabawki. Te sentymentalne przedmioty są szczególnie ważne, budują naszą tożsamość, dają poczucie ciągłości naszego indywidualnego istnienia. Zakorzeniają nas w dłuższym trwaniu i stanowią punkt odniesienia.

Wolontariusze mieli w pamięci różne obrazy i świadectwa ilustrujące ucieczkę przed wojną, gdy bieżący pakowali swój dobytek w tobołki, walizki, plecaki, torby. Decydowali, co zabrać, a co zostawić. Decyzje te bywały niekiedy dramatyczne, ponieważ dla niektórych osób konkretne przedmioty oznaczały możliwość poruszania się i przeżycia.

„Na przykład ktoś, przekraczając, uciekając ze swojego miasta, żeby uratować ludzi, musiał zostawić swój wózek. To jest dla mnie okropne, dlatego że to jest jak obcięcie sobie nóg, po to, żeby więcej osób się znalazło w samochodzie, i ja rozumiem, że dla czego ludzie to robią oczywiście, ale z drugiej strony ta osoba jest w tym momencie całkowicie zależna”. (Karolina)

Walizki i tobołki jako zamknięty w niewielkich rozmiarach skrzynce dobytek, stanowiły oddzielne wspomnienie pomagaczy: „Cały dom mają w dwóch walizkach” (Lena), „Mają jedną walizkę spakowaną i jadą” (Milena), „Nie ze swojej winy nagle z jedną walizką lądują na granicy i co dalej?” (Paweł), „Jedna walizka na 7 osób” (Ignacy).

Na wydawce

Kolejka przed punktem wydawkowym ustawiała się jeszcze przed jego otwarciem. Znajdowały się w niej głównie kobiety: starsze, młodsze, z dziećmi. Cierpliwie czekały na swoją kolej, wchodziły pojedynczo, pilnując swoich dzieci. Zresztą widać je było, kiedy kierowały się do punktu. Wyróżniały się z daleka: taszczyły torby, były zbyt ciepło ubrane, jak na rozpoczynającą się właśnie wiosnę.

Walizki dźwigane i wnoszone po schodach przez pomagaczy i uchodźczynie zmieniły się po krótkim czasie na siatki i reklamówki wypełnione różnymi produktami otrzymanymi na wydawkach. Osoby uchodźcze przychodziły do takich punktów z własnymi torbami albo otrzymywały je na

miejscu. Nie mogły same poruszać się po punkcie, zawsze towarzyszyły im wolontariuszki. Trzymały torby i wkładały do nich po kolei różne produkty. Torby się wypełniały i stawały się coraz cięższe, potem zapelniały się kolejne. Jeśli uchodźczynie przychodziły z dziećmi, rodzicami, rodziną – dostawały więcej produktów, ale też więcej mogły unieść. Zresztą rosyjski zwrot *skolko was?* był jednym z pierwszych, którego uczyli się wolontariusze, aby określić mniej więcej zapotrzebowanie na produkty. Pytano też o dzieci (ros. *ribionki*), ich wiek, aby zorientować się, czy potrzebne są pieluchy, mleko, butelki, słoiczki z jedzeniem.

Wolontariuszy obowiązywała wyraźna instrukcja, aby artykuły wydawać szybko, ponieważ kolejka była długa, a trzeba było obsłużyć wszystkich. Nie było też wskazane wydawanie dużej ilości jedzenia, aby się nie zepsuło i aby wystarczyło dla wszystkich. Pomagaczki i pomagacze mieli na wszystko mało czasu, a osób potrzebujących była ogromna liczba. Nie można więc było pozwolić sobie na pogawędki i długie podejmowanie decyzji. Po kolei: kasza gryczana, mleko, płatki, różne konserwy, makaron. I słodycze – tu zazwyczaj kobiety zaczynały jeszcze bardziej pilnować swoich dzieci, ale prosiły o czekolady, ciastka, rogaliki z nadzieniem czekoladowym, czasem były pączki. Brały bardzo dużo słodyczy.

Następne w kolejności były kosmetyki – szczoteczki do zębów, pasty, mydła, szampony, ale też balsamy do ciała. Pewnego razu ktoś podarował bardzo dużo balsamów i koordynatorka punktu powiedziała, aby każdej kobiecie dawać jedną butelkę. Jedna z uchodźczyń zapytała o szampon dla syna. Wywołała tym zaskoczenie. Jak to? Oddzielny szampon dla syna? Farba do włosów? Lakier do paznokci? Odżywka do włosów? W pierwszym odruchu pomagaczki dostrzegały w takim zachowaniu grymaszenie czy wydziwianie. Po co w takim momencie inny szampon czy mydło dla dużego już dziecka, nastolatka? Czy nie mógł skorzystać z tego samego co matka? Jak można tak wybrzydzać w takiej sytuacji – uciekła przed wojną, czy naprawdę tak ważna jest ta farba do włosów?

Refleksja przychodziła później.

„I jakby nie myślisz sobie, że to jest pierwsze, co ktoś, jak uciekł z wojny, będzie na przykład szukać sobie manikiurzystki i fryzjerki, no ale po prostu chce się żyć normalnie, nie?”. (Weronika)

W punkcie wydawkowym znajdowała się też sala z artykułami dziecięcymi. Pracujące tu wolontariuszki instruowano, by kobietom z dziećmi proponowały, a nawet wciskały, słoiczki z gotowym jedzeniem dla dzieci. Stały za tym dobre intencje – w punktach recepcyjnych lub w innych miejscach, gdzie przebywają uchodźczynie nie zawsze istniała możliwość przygotowania pełnowartościowego posiłku dla dzieci, zwłaszcza tych mniejszych.

Ukrainki jednak są przyzwyczajone do tego, że same wszystko przygotowują, nie korzystają z gotowego jedzenia w słoiczkach dla dzieci. Od pomagaczek oczekiwano, że będą tłumaczyć matkom, że takie jedzenie też jest dobre dla dzieci i namawiać je, aby z niego korzystały. W salach z produktami dla najmłodszych znajdowało się mnóstwo słoiczków z jedzeniem oraz paczek z pieluchami we wszystkich rozmiarach. Kobiety niekiedy prosiły o konkretną markę i były zawiedzione, gdy nie udawało się jej znaleźć. Czasem prośby o konkretne marki i rodzaje pieluch irytowały ekipę wolontariacką – szukanie wybranej marki oznaczało bowiem przerzucanie kilku lub kilkunastu paczek, na małej powierzchni i pod presją, ponieważ kolejka osób uchodźczych cały czas była długa, w pokoju było ciasno i duszno, co powodowało, że i cierpliwości było mniej.

Ostatnim przystankiem na wydawce był pokój z artykułami higienicznymi i lekami. Podpaski, tampony, wkładki higieniczne – artykuły związane z menstruacją automatycznie przestawały być sprawą intymną. Wydawane były też leki (przeciwbólowe, na przeziębienie), papier toaletowy, proszki do prania, maseczki higieniczne. Pewnego razu znaleziono tam również leki opisane w jakimś obcym języku. Tłumaczenie ulotki w translatorze pomogło wolontariuszkom zrozumieć, że były to silne leki psychotyczne, które przepisuje się osobom cierpiącym na zespół stresu pourazowego.

Automatyzm pomagania

Cała ta machina przydzielania produktów, które wolontariusze, jako ci dobrzy przyjmujący, uznawali za potrzebne, odarta była z wrażliwości na konkretne osoby uchodźcze. Bywała odbieraniem im możliwości zdecydowania, dokonania wyboru. Pomagacze założyli, że ugoszczą i zaopiekują się w najlepszy sposób. Że lepiej wiedzą, czego te osoby potrzebują. Wypełniali torby, czasem nie oglądając się na rzeczywiste potrzeby i oczekiwania. Tak jak z farbą do włosów albo konkretną marką podpasiek. To były te produkty, które Ukrainki kupowały w swoim domu, znały je i chciały dalej ich używać. Może to kwestia ciągłości? Może potrzeba poczucia bezpieczeństwa, łączności z czasami sprzed wojny, gdy były za dbanymi kobietami, z makijażem, dobrą fryzurą i manicurem?

Imperatyw, być może nieuświadomiony, dbania o siebie to próba zachowania godności, nieprzyjmowania roli ofiary, utrzymanie możliwości decydowania o sobie. Alicja Gawlikowska-Świerczyńska, więźniarka Ravensbruck, w *Historiach osobistych* powiedziała Karolinie Sulej:

„Spotyka panią dramat polegający na utracie wolności i samostanowienia. Nie wie pani, kiedy to się skończy, ale musi się pani temu oprzeć i doczekać zmiany. Niech sobie pani to naprawdę wyobrazi. Może nam się dziś wydawać to wręcz nierealne. Ale ja pani powiem: to nie był żaden kosmos, żadne piekło. To też było życie. I proszę zapamiętać, że przez jakikolwiek dramat by pani przechodziła, nie wolno przestać robić najprostszych rzeczy. Trzeba się myć. Trzeba się ubrać i uczesać. Choćby nie wiem jak człowiek był znużony i udręczony. To jest pani potrzebne nie tylko po to, żeby pani przeżyła, ale też po to, żeby pani chciała żyć później” (Sulej 2021, s. 37).

Pomagacze mający przekonanie, że wiedzą lepiej, niekiedy zapominali, że do Polski przyjechały konkretne osoby, o zróżnicowanym statusie materialnym, wyznaniu, stanie zdrowia. Uchodźcy nie stanowią jednej homogenicznej grupy z jednakowymi potrzebami. Niektóre z tych osób

w Ukrainie były zamożne, same decydowały, co i kiedy kupują, w co się ubierają. Ich dzieci miały rowery, hulajnogi, zabawki. Wolontariuszki szybko zrozumiały, że nie wystarczy „rzucić jakiś ochłap”, aby osoby były im wdzięczne: „I tu chodzi właśnie o ludzką godność. Nie to, że wiesz, że dasz łachy, bo to są uchodźcy” (Anna).

Instrukcje szybkiego wydawania różnych towarów służyły też samym wolontariuszkom. Dzięki automatycznemu zadawaniu pytań, braniu towarów i wkładaniu ich do toreb i siatek budowały sobie tarczę, która dawała im dystans, oddzielała je od doświadczeń tych wszystkich osób, które przyszły do punktu. Być może dzięki działaniu „na autopilocie” były w stanie to robić, ponieważ nie zastanawiały się, tylko działały. Może gdyby poświęciły więcej czasu każdej osobie, chciały odpowiedzieć za każdym razem na indywidualne potrzeby, zbyt szybko by się wypaliły?

Być może to, co niektórzy mogliby nazwać „uprzedmiotowieniem” osób uchodźczych, pozwalało pomagaczom udzielać im wsparcia i wytrwać w tej roli. Działali jak trybiki w maszynie, nie czując nawet zmęczenia, które przychodziło dopiero później i czuli je w całym ciele. Bo dźwigali, rozkładali, układali, rozpakowywali pudła z darami, pakowali siatki dla uchodźców. Porządne zmęczenie pozwalało zasnąć po powrocie ze swojej zmiany i zbyt mocno tego nie przeżywać. Następnego dnia znów rzucali się w wir: „Działanie pewnie pomaga też przetrwać” (Aleksandra).

Spotkanie z uchodźcą

Pierwsze skojarzenia z osobami uchodźczymi były w dużej mierze stereotypowe i wynikały z braku codziennego doświadczenia, szczególnie kontaktu z uchodźcami na taką skalę. Ale też z przekonania, że skoro jakaś osoba uciekła przed wojną, to można jej dać cokolwiek, a punkty zbiórek i wydawania odzieży można traktować jako miejsca, gdzie odda się niepotrzebne i nieużywane rzeczy. Być może w innym wypadku zostałyby wystawione pod śmietnikiem.

„Rzeczy dawane uchodźcom musiały iść na «zwałkę»”, ponieważ do niczego się nie nadawały”. (Marian)

W punktach zbiorów znajdowano np. manekiny, zniszczone buty, używaną bieliznę.

„Niektórzy sobie chyba wyobrażają, że taki człowiek ma być jak dziad proszalny w worku jutowym jakimś”. (Paweł)

W punktach recepcyjnych i na wydawkach wiele razy dochodziło do konfrontacji tego stereotypowego wyobrażenia z rzeczywistością.

„Ludzie będą zapłakani, w strojach ludowych, no miałam taki stereotyp, ale tak nie było, tak? To były osoby, które były totalnie zamknięte, które nie chciały nic (...), ja widziałam, że one się strasznie krępują (...). Ale to, co było dla mnie niesamowite, to to, że ci ludzie wyglądali tak jak ja. Były to osoby dobrze ubrane, bo to pierwsza fala była, a dokładnie kilka dni po. Osoby najbardziej ogarnięte życiowo, bo się zapakowały i wyjechały, tak?”. (Ola)

„Tutaj przyjeżdżają rodziny z reklamówką, z dzieckiem pod pachą i nie mają nic, i jadąc gdzieś dalej, muszą grzebać w używanych ciuchach od obcych ludzi, montować sobie czy organizować walizki stare, też, które ktoś wyrzucił, i gdzieś po prostu jechać dalej w Europę z tym całym majdanem używanym, oddanym, i takim trochę, może nie tyle uwłaczającym godności, ale... No ale to nie jest życie po prostu, które sobie ktoś mógł wymarzyć”. (Ewelina)

Spotkaniu z uchodźcami towarzyszyła też oczywiście ciekawość.

„I też było tak, powiem szczerze, i to tak bardzo tak egoistycznie, że ja chciałam zobaczyć uchodźcę. (...) z takiej czystej, z czystej, bardzo niskiej, ludzkiej... chciałam zobaczyć jakby, o co w tym chodzi”. (Ola)

I wtedy przychodziła taka myśl, że przecież wolontariusze mogliby być na miejscu tych osób.

„Widziałam kobietę, która mogłaby być moją matką (...) i potem sobie wyobraziłam, że (...) jeżeli ja bym uciekła z mamą, to mój brat, który jest w wieku poborowym i ma tylko jedno dziecko, to on by musiał zostać”. (Ola)

Bezpośrednie spotkanie z uchodźcami uświadamiało pomagaczom niepewność własnego położenia. To zresztą jeden z często powracających motywów pomagania – gdyby doświadczenie wojny stało się moim udziałem, też chciałabym, aby ktoś mi pomógł. Niewątpliwie znaczenie ma też bliskość terenów objętych wojną. Wcześniej walki zbrojne były daleko od granic Polski i doświadczałyśmy jej tu za pośrednictwem mediów. Przepuszczanie sytuacji uchodźczej przez filtr własnych doświadczeń oraz emocji i wyobrażeń skłaniało wolontariuszy do poszukiwania odpowiedniego sposobu zwracania się i traktowania bieżenców. Stawiali sobie pytanie, jak chcieliby być traktowani w takiej sytuacji.

„Tak jakby się ktoś na mnie rzucał, i mnie żałował, to to nie jest dla mnie okej. I ja też nie chciałam robić tak, że: *O Jezu, jak mi was szkoda, jak mi was żal*, bo to nie o to chodzi, to po drugiej stronie nadal i wciąż był człowiek”. (Ewelina)

W punkcie recepcyjnym – między brakiem a nadmiarem

O ile w miejscach potocznie zwanych wydawkami z perspektywy osoby pomagającej wszystko działało się szybko: ludzie wchodzili, dostawali jedzenie, ubrania, kosmetyki i artykuły higieniczne i wychodzili, to w punktach recepcyjnych sytuacja była zdecydowanie odmienna. Były to zazwyczaj wielkie hale zaadaptowane na miejsca pobytu. Chociaż pierwotnie miały stanowić miejsce pobytu tymczasowego, niestety z wielu przyczyn dla niektórych osób ta tymczasowość trwała miesiącami. Z tego powodu punkty recepcyjne bywały nazywane „przechowalniami” (takie określenie stosowane było przez niektórych aktywistów; Gmiterek-Zabłocka 2022).

Cechą charakterystyczną tych miejsc były rzędy łóżek polowych ustawionych jedno przy drugim, bez zapewnienia prywatności czy też domowej atmosfery. W pierwszym odruchu łóżka polowe kojarzyły się z obozem harcerskim.

„W pewnym momencie mi się skojarzyło z czymś takim, bo akurat na obozach harcerskich były takie łóżka”. (Ewelina)

Skojarzenia z obozem harcerskim wywoływały też aktywności osób zakwaterowanych w punkcie:

„(...) oglądali filmy albo czytali książki, albo gdzieś łączyli się w grupki i rozmawiali, także to było tam takie życie... Jak na jakimś, jak w obozie, w sensie nie mam na myśli obozu koncentracyjnego, tylko taki obóz, nie wiem, harcerski”. (Ewelina)

Tymczasowość miejsca oraz jego prowizoryczność wyrażały się na początku również w tym, że „ludzie nie mieli dresów, piżam, żeby mogli funkcjonować na zasadzie tak bardziej po domowemu” (Renata). Nie dziwi więc, że zwyczajne kapcie były przedmiotem, o który w punktach recepcyjny pytano bardzo często.

„Ja poszłam do Carrefoura, zobaczyłam, co jest w przecenach (...) tę rzecz, którą myśmy wzięły i która była wielkim hitem, to były kapcie. (...) I pamiętam, że to było to, o co te panie, które przychodziły, pytały na tym punkcie”. (Ola)

Innym bardzo pożądanym produktem była bielizna osobista.

„Jak ja pojechałam [do punktu] i pokazałam czyste majtki, to po prostu las rąk wyciągniętych, jakbym położyła sztabkę złota i powiedziała: *Proszę, tu jest złoto, bierzcie, kto chce*. A to były majtki, więc to był towar absolutnie deficytowy”. (Kalina)

Poszukiwane były najbardziej podstawowe produkty – majtki, skarpetki, artykuły higieniczne – rzeczy codziennego użytku, których zorganizowanie na tak dużą skalę stawało się dużym wyzwaniem. Zdarzało się, że brakowało papieru toaletowego, który bywał nazywany towarem luksusowym.

„(...) papier toaletowy, nieszczęsny, który naprawdę, ja to cały czas przywołuję, ale naprawdę to był taki moment, że ja... my nie mogliśmy spać, bo nie było papieru toaletowego, no przecież jak nie będzie papieru toaletowego, to co się zdarzy? To będzie dramat, to będzie katastrofa humanitarna, no jak? Bez papieru toaletowego w dwudziestym pierwszym wieku? Toaleta? No, ale ten papier toaletowy powinien być kupiony przez [zarządcę punktu]”. (Kalina)

W punktach recepcyjnych podejmowano próby udomowienia i oswojenia tej ogromnej przestrzeni, aby, mimo pozostawiania „punktami zbiorowego zakwaterowania”, stały się bardziej przyjazne. W jednym z takich miejsc fragment korytarza zaadaptowano na telewizyjny pokój dla dzieci. Wolontariuszki i wolontariusze ustawili kolorowe pufy, maty, pluszaki. Zamontowali na ścianie wielki telewizor. Była to namiastka bardziej domowej i przytulnej przestrzeni. Czasem najbardziej zaskakujące dary przekazywane do punktów recepcyjnych okazywały się trafione.

„I przyjechało jakieś pianino, więc były osoby, które tam grały”. (Ewelina)

Z jednej strony, w punktach recepcyjnych i wydawkowych brakowało podstawowych produktów, których codzienne bycie pod ręką wydaje się nam tak oczywiste, że się nawet nad tym nie zastanawiamy. Z drugiej – spotykano się również z nadmiarem ofiarowanych rzeczy. Ktoś nagle podarował mnóstwo wędliny, a na wydawce nie było lodówki i każdej osobie trzeba było ją wydać, niezależnie od tego, czy miała ją gdzie przechować czy nie. Innym razem jakaś firma dostarczyła kilka kartonów z produktami, które trzeba wypakować, ewentualnie przechować, a przestrzeń była mocno ograniczona. Niekiedy brakowało też mocy przerobowych.

„Ja zawsze miałam strach gdzieś tam o bezpieczeństwo żywności (...) jak ktoś tam przywoził coś, kiedyś dostaliśmy paletę serów pleśniowych, takich śmierdzących. I jeszcze była mała chłodnia i wchodziło się do chłodni to był taki smród, jakby się ciało rozkładało. No i przez pewien czas nie mogliśmy dojść w ogóle, o co chodzi, dlaczego tam tak śmierdzi, no i w końcu ogarnęliśmy, że to są te sery, no i oczywiście wszyscy... a i okazało się jeszcze, że Ukraińcy nie jedzą takich serów pleśniowych, więc tego nikt nie chciał jeść, to zalegało na tym magazynie, zaraz się przeterminuje, ja tam biłam na alarm, żeby się tego pozbyć, żeby tam za chwilę nie było bomby biologicznej, w tej chłodni”. (Kalina)

Nadmiar dostarczonych produktów spożywczych albo gotowych już posiłków dostarczał dodatkowej pracy – aby nie wyrzucać jedzenia, trzeba było je przewieźć do innego punktu.

„(...) potem na koniec dnia rozwoziliśmy [prowiant] na przykład na Dworzec Centralny czy na Dworzec Zachodni”. (Ewelina)

Wolontariusze i wolontariuszki szczególnie zauważali nadmiar słodczych – cukierków, czekolady, batonów, ciastek. Podczas dyżurów na wydawkach i w punktach recepcyjnych temat słodczych był jednym z najczęściej poruszanych. Osoby dyżurujące dziwiły się, że dzieci ukraińskie dostają aż tak dużo słodczych i obawiały się, że zaraz będą miały próchnicę, bóle brzuchy, problemy zdrowotne.

Z drugiej jednak strony próbowano stawiać się w sytuacji bieżących – przecież te dzieci mają już wystarczająco trudno i jeśli ten baton choć trochę im poprawiał humor, to dlaczego miały go nie dostać? W punkcie wydawczym regał ze słodczymi cieszył się ogromną popularnością zarówno wśród dzieci, jak i osób dorosłych. W punktach recepcyjnych dzieci podbiegały do punktu gastronomicznego, pytając o cukierki, colę i słodzone soki, a wolontariuszki szukając wzrokiem ich matek, zastanawiały się, czy mogą jeszcze częstować i co na to powiedzą medycy.

„Jak mogę uchodźcy wojennemu powiedzieć: nie!? Albo powiedzieć do dziecka: Nie dostaniesz tego piątego lizaka, albo nie dostaniesz coli o godzinie 22, bo medycy mnie zabijają, bo będziesz potem wymiotować w łazience”. (Ola)

Osoby pracujące na wydawkach dostrzegały jednakże niezwykłą moc tych słodkich drobiazków w sytuacjach kryzysowych.

„Były takie sytuacje, na przykład dzieciaki gdzieś tam wpadały w płacz, jakaś taka histeria jak to u dzieciaków, nie? Że nie wiem, coś nie mógł dostać, albo po prostu to miejsce przyprawiało o ten płacz, no to ta Kinder Niespodzianka potrafiła ukoić te nerwy”. (Ewelina)

Czekolady, cukierki, batony, naleśniki z nutellą i inne słodcze stanowiły stałe obiekty trosk pomagaczek. W ich postawie wobec beztroskiego stosunku osób uchodźczych do ciągłego obdarowywania dzieci słodczymi przejawiało się być może poczucie wyższości: jak można dawać dzieciom tyle cukru? Czy te kobiety nie wiedzą o tym, że cukier szkodzi? Dlaczego jedzą tyle słodczych? Jak tak można? Czy pytania, które stawiały

przed sobą osoby niosące pomoc świadczyły o tym, że czują się bardziej postępowe niż ich „goście” ze Wschodu? Czy czuły, że bieżący są jednak mimo wszystko trochę zacofani w swoim podejściu do żywienia dzieci? Podobnie ze słoiczkami z jedzeniem dla najmłodszych. Czy to zdobycz świata zachodniego, do której trzeba przekonać ukraińskie kobiety?

Telefon i zielona kamizelka

W koordynacji zawartości magazynów, spiżarni oraz planowaniu kolejnych dostaw, dyżurów, grafików oraz sposobów pomocy niezbędne okazały się telefony, komputery, komunikatory, aplikacje internetowe oraz arkusze Excela. Smartfon stał się nieodłącznym przedmiotem, którym posługiwały się pomagaczki i pomagacze. Niezależnie od tego, w jakim miejscu pomagali – telefon był ich narzędziem pracy.

Anna mówi o „wiszeniu na telefonie”, byciu w ciągłej gotowości, aby odebrać, sprawdzić WhatsAppa, aby nic nie przegapić:

„(...) cały dzień przed tym kompem. Jak wychodziłam na krótki spacer, to ciągle ten telefon sprawdzałam. Zazwyczaj tego nie, nie robię, jestem taką trochę nietechniczną osobą (...). Tam, na Facebooku, czy coś tam, no, mało takich, takich rzeczy robię, więc, ha, ha, tutaj nagle, co, co wiesz, co parę kroków ten telefon. Patrzę, czy tam nic, nic nie trzeba zrobić. Także to było jednak, taka intensywność tego”. (Anna)

O życiu w trybie gotowości, takim ciągłym czuwaniu wspominają też inne wolontariuszki.

„Ja się budziłam w nocy, jak był telefon, nie?”. (Ela)

„Często to było w nocy. O Boże, na początku to było non stop, przez całą dobę. Łącznie z weekendami. Tak, to był koszmar. Na początku, naprawdę, przez parę pierwszych tygodni wojny, to trwało non stop. Że trzeba było nawet i w środku nocy, jak ten telefon nas obudził, to trzeba było po prostu wstawać. (...) Wie pani, jak dzwoni telefon, no to trzeba odebrać, a jak się odbierze, to się wykona 5 kolejnych”. (Aleksandra)

Telefon pomagał też się komunikować, zrozumieć – dzięki internetowym słownikom udawało się pomagaczkom i pomagaczom porozumieć z osobami z Ukrainy. Na wydawkach brak znajomości języka nie był specjalną przeszkodą, ponieważ interakcje tam polegały na szybkim wskazywaniu, podawaniu, pakowaniu – to były krótkie spotkania. Natomiast w punktach recepcyjnych, szczególnie w tych miejscach, gdzie potrzebne było zebranie i udzielenie jakichś informacji, posługiwanie się językiem ukraińskim albo rosyjskim było niezbędne. Dlatego też bardzo często na stanowiskach kontaktowych znajdowały się (z własnej woli, konieczności lub przypadku) osoby choć trochę znające któryś z tych języków. Gdy tej umiejętności brakowało, z pomocą przychodziły właśnie translatory internetowe. Korzystały z nich również osoby uchodźcze: aby się porozumieć, zebrać informacje i aby w jakiś sposób zagospodarować sobie czas w punkcie recepcyjnym.

„To nie było tak, że oni cały czas tam leżeli na tych łózkach i rozpaczali, bo też widziałam, że starali się jakoś zorganizować swój czas. No ogólnie to był telefon”. (Ewelina)

Oprócz telefonu wyposażeniem osoby pomagającej była przechodnia zielona kamizelka odblaskowa oraz przechodni identyfikator. Kto posiadał te atrybuty, stawał się rozpoznawalny przez osoby uchodźcze, które były przekonane, że ta osoba wie wszystko i we wszystkim pomoże, udzieli wsparcia. Czasem zdarzało się, że wolontariuszka czy wolontariusz przychodzili na swój dyżur w punkcie recepcyjnym, zakładali kamizelkę, przypinali identyfikator i nie znali przydzielonego miejsca swojego dyżuru, ponieważ nie było żadnej koordynacji. Ale dla uchodźców od razu stawali się „mobilnym punktem informacyjnym” (Aga).

Potrzeby specjalne

Do punktów recepcyjnych przyjeżdżały oczywiście osoby ze zróżnicowanymi potrzebami w zakresie wsparcia. Na początku wolontariuszy dziwiły różne rodzaje kanapek, zup i innych potraw – wegańskie, wegetariańskie, bez glutenu, bez laktozy. „Czy to nie jest takie hipsterskie,

warszawskie podejście?” (Ola). Również w tej reakcji przejawiało się stereotypowe podejście do uchodźców. Nie postrzegali ich jako osoby o niejednorodnym stanie zdrowia, statusie ekonomicznym – łatwiej byłoby traktować wszystkich według jednego wzorca oraz udzielać im wsparcia według jednego schematu.

W jednym z punktów recepcyjnych w Warszawie w strefie gastronomicznej znajdowała się oddzielna, mniejsza lodówka z żywnością dla osób z różnymi nietolerancjami pokarmowymi, na różnych dietach. W innym trzeba było zorganizować specjalną żywność dla dziecka chorego na fenylketonurię.

Przyjechało też dużo osób z niepełnosprawnością, niektóre z nich miały niedopasowany sprzęt medyczny, niektóre przyjeżdżały w ogóle bez niego. Osoby dorosłe korzystały z wózków inwalidzkich przeznaczonych dla dzieci. Im też należało udzielić odpowiedniego wsparcia, zapewnić adekwatną pomoc w tym zakresie.

„I on tak się cieszył z tego wózka [aktywnego, dla osoby dorosłej], bo mówił, że na Ukrainie takiego wózka nigdy nie miał, bo takie wózki są strasznie drogie, i czy on na pewno może go ze sobą wziąć, jak dalej pojadą”. (Aleksandra)

„Też pamiętam dziewczynkę, która, była mama i dziewczynka na wózku i ona miała wózek, od kogoś dostała, wózek był zdecydowanie dla niej za mały. I ona ledwo w nim siedziała. Dałam jej wózek jakiś tam inny, który mieliśmy, i u tej dziewczynki taki uśmiech mega się pojawił. I nagle się okazało, że ona może sama się na nim ruszać. I to było super”. (Karolina)

„Jedna dziewczyna, ja z nią mam cały czas kontakt, od momentu, kiedy jej pomogłam, ona powiedziała, że przez siedem lat nie opuściła mieszkania, dlatego że ma uraz rdzenia kręgowego i trzy inne rzeczy, i ma tetraplegię, ma niesprawne ręce i niesprawne nogi, i w związku z tym ona przez siedem lat mieszkała w domu, w mieszkaniu, z którego nie wyszła, ona przez siedem lat nie otworzyła sama drzwi, przez siedem lat nie zrobiła nic samodzielnie. (...) Oprócz jedzenia, bo to jadła, w sensie, potrafiła zjeść, ale nie, nic nie przygotowała sobie, i powiedziała, że wojna zmotywowała ją do tego, żeby wyszła z domu. [Znajomy] wziął różne wózki, dał jej jeden, żeby

usiadła, usiadła i zaczęła się na nim ruszać. Ona zaczęła się kręcić w kółko, do przodu, do tyłu, mówi, ja tańczę, i w ogóle, wysłali mi film zaraz, po tym, i ja byłam w takim szoku, ja byłam przeszczęśliwa, ja płakałam z radości, bo to było, jak narodzenie się na nowo dla niej, i ona to wprost napisała później, że daliśmy, że daliśmy jej nowe życie”. (Karolina)

W kontekście wspierania osób z niepełnosprawnością charakterystyczny jest wątek mobilnej wydawki, do realizacji której niezbędny był samochód. Wolontariusze jeździli do osób potrzebujących konkretnych przedmiotów, leków, sprzętu, artykułów higienicznych, zawozili całe paczki i pełne kartony.

„Pomagaliśmy też miastu, przekazywaliśmy miastu rzeczy, po prostu, za darmo, z działań, bo, nie wiem, oni mówią, potrzebujemy pięć wózków, mówię, dobra, to już jadę, pakowałam pięć wózków do samochodu i im wiozłam, gdzieś się dowiedziałam, że pieluchy są potrzebne, wsiadałam do samochodu, wrzucałam pieluchy i wiozłam je, no i tak praktycznie przez cały czas, właściwie do tej pory to tak trochę wygląda, jakbym robiła wszystko od początku, prawda?”. (Karolina)

Wyjątkowo poruszająca jest opowieść o kobiecie, która przyjechała do Polski z mężem i synem, obydwaj poruszający się na wózkach. Ukrainka nie prosiła o nic dla siebie. Tak relacjonuje to spotkanie Karolina:

„(...) pytam, czy coś potrzebujesz. – *Ja nic nie potrzebuję*. No więc jak przyjechałam kolejnym razem, miałam już dla niej kilka kremów, jakieś tam kosmetyki. Bo po prostu nie miałam nic innego, więc jej to przywiozłam. Jak zobaczyłam jej ogromny uśmiech, to stwierdziłam: tak, to jest to. Bo w tym wszystkim ona nie myślała w ogóle o sobie, tylko o tym, żeby mąż miał wszystko, co potrzebuje, i syn. No i teraz niedawno dałam, chłopakom dałam handbiki. A ona roweru nie ma. No więc załatwiłam jej rower. Jeszcze nie dostała tego roweru, bo musimy go naprawić, ale będziemy jej przekazywać rower. Bo ona o nic nie prosi, i też to właśnie mnie urzekło w tym wszystkim, że dla niej nie ma to znaczenia, w sensie, ona nie będzie prosiła o rzeczy dla siebie, tylko dla swojego Miszy. (...) miałam taki przygotowany dla niej karton z rzeczami różnymi, ale nie dało się go zamknąć, bo był taki na maksa napchany. I ona mówi: czy mam coś sobie wybrać z tego? Ja mówię: nie, to wszystko jest dla pani.

I takie wielkie oczy, przytuliła mnie i mówi, że niemożliwe. Ja mówię: no nie, normalnie, wszystko dla pani. No i to też, ona nie dla siebie brała rzeczy, tylko dla swojej mamy, więc też dla niej to było takie szalenie istotne”. (Karolina)

Przedmioty, które otrzymywali bieżący byli zarówno produktami pierwszej potrzeby, jak jedzenie, bielizna, leki, artykuły higieniczne, ale również takie, które podnosiły jakość życia. W pomaganiu nie chodziło o „rzucenie ochłapów”, ale o próbę odbudowania poczucia godności i podmiotowości poprzez dostęp do przedmiotów lub usług, które mają zaspokajać realne potrzeby, a nie te potrzeby uznane przez pomagaczy i pomagaczki.

„Jeśli ktoś ma jakieś potrzeby, które możemy mu zabezpieczyć, no to zrobmy no, jeśli ktoś ma potrzebę iść do fryzjera, no to spróbujemy zorganizować tego fryzjera, może się uda, może się nie uda no, nie wiem, ale...”. (Paweł)

W jednym z punktów recepcyjnym hitem były usługi fryzjera, który przyjechał na cały dzień i ostrzygł wszystkie chętne osoby. Zdarzało się, że przedmioty, które miały zaspokajać inne niż podstawowe potrzeby czy też podnosić jakość życia uchodźczyń budziły zawiść u innych osób.

„Niestety spotykam się też z takimi tekstami: po co im handbiki, niech się cieszą, że mają wózki (...). No nie, jeżeli dostaję, po pierwsze, taki sprzęt, to moim obowiązkiem jest przekazanie tego, przekazanie sprzętu dalej osobom z Ukrainy. I jeżeli ja mogę w jakikolwiek sposób poprawić ich sytuację tutaj, to ja chcę to zrobić. To nie mi nad głowę latały bomby, to nie ja widziałam martwych ludzi na ulicach. Więc dla mnie to jest w ogóle nie do pomyślenia, żeby myśleć w taki sposób, na zasadzie, że to oni będą mieć teraz lepiej niż my. I niestety spotkałam się też z osobą, która jest z Ukrainy, która mieszka od lat w Polsce, sama tak się zaczęła zachowywać. No więc powiedziałam, że nie będę z nią rozmawiać, póki nie przypomni sobie, dlaczego ci ludzie tutaj przyjeżdżali teraz”. (Karolina)

Zdarzało się również, że wolontariuszki brały dla siebie nowe markowe ubrania, które zostały podarowane dla uchodźców.

„Zdarzało się, że przychodziły dziewczyny z recepcji, wolontariuszki i mówiły: *Ej, znajdź tutaj coś, ta dziewczyna chciała też takie jeansy (...)* było przyzwolenie (...),

że [niektóre] osoby mogą brać sobie rzeczy z magazynu, jeżeli ich potrzebują. I my [wolontariusze] nie mieliśmy nad tym żadnej kontroli, przywoziliśmy rzeczy, załatwialiśmy rzeczy, ludzie przyjeżdżali, przywozili dla uchodźców rzeczy, i tych rzeczy nie dostawali uchodźcy”. (Ola)

W tym poczuciu zawiści czy zazdrości wyrażanym w twierdzeniu „Niech się cieszą, że mają wózki” lub przywłaszczaniu sobie ubrań przeznaczonych dla uchodźców widoczne jest poniekąd pewne poczucie wyższości oraz ponownie kwestionowanie indywidualnych potrzeb. Znowu pojawiło się przekonanie, że wolontariusze wiedzą najlepiej, co dla uchodźczyń i uchodźców będzie dobre, jakie potrzeby powinny mieć, a które z nich to wymysły i fanaberie. Poza tym uważali, że bieżący nie powinni posiadać lepszych rzeczy od nich. Ich uprzywilejowanie wyraża się również w języku i sposobie mówienia o uchodźcach – moja rodzina ukraińska, moja Ukraina, usamodzielnianie.

Dwa oblicza oznak solidarności

Na początku wojny w Ukrainie, wiosną 2022 roku, noszono przypinki wyrażające solidarność z Ukrainą, na ulicach wisiały niebiesko-żółte flagi i transparenty. Punkty recepcyjne i wydawki również były w ten sposób oznaczone. Ułatwiała to ich odnalezienie oraz, w odczuciu pomagaczy, miało dodawać otuchy. Te oznaki umożliwiały zmanifestowanie solidarności i wsparcia.

„U nas to od razu flagi były szyte, cała szkoła obwieszona, w domu i tak dalej. To potrzeba nam tego było. (...) Oczywiście, że są napisy na samochodach, kocham to, oczywiście, motywujące, na domach potem, jak to było, *idi na chuj*, to tego się też pojawiło dużo, tak? Ale spodziewałam się większej reakcji takiej społecznej ogólnej, nie? Że będzie więcej tego „jesteśmy z wami”. No oczywiście te wszystkie budynki na niebiesko-żółto całe, to tak”. (Ela)

Niekiedy jednak nadmiar tych oznak bywał również męczący, nawet dla osób aktywnie udzielających wsparcia.

„Za chwilę cholery dostanę, bo wszędzie jest Ukraina, wszędzie słyszę Ukrainę, jeszcze mieszkając tutaj, w którymś momencie wszędzie zrobiły się napisy po ukraińsku, i ja zaczęłam się czuć jak za jakiegoś zaboru”. (Klara)

Symbole ukraińskie mogły budzić negatywne uczucia. Tak ogromne zasoby zostały przekazane na pomoc Ukrainie, tak duża była społeczna mobilizacja i tak wiele informacji na ten temat towarzyszyło nam niemal na każdym kroku, że można było odnieść wrażenie, iż jako społeczeństwo nie pomagamy nikomu innemu i zapomnieliśmy, np. o polskich dzieciach, które przecież cały czas potrzebują pomocy.

„Tak bardzo pomagacie Ukraińcom, ukraińskim dzieciom, a moje dziecko umiera”.
(Ewelina)

To słowa mężczyzny zbierającego pod kościołem pieniądze na operację swojej córki. Jeszcze w październiku można było usłyszeć, jak kobieta zbierająca fundusze dla dzieci z domów dziecka nawoływała pod jednym z warszawskich centrów handlowych: „Wspierajmy też nasze polskie dzieci”.

Jednakże oznaki solidarności trafiały do uchodźców.

„Byli [dzieci z Ukrainy] tak bardzo poruszeni, pytali się mnie, dlaczego kwiaty na kampusie są żółto-niebieskie. Tłumaczyłam im, że to nie jest przypadek, że to jest właśnie, że to jest dla was, że tak pokazujemy, że jesteście dla nas ważni, że tak okazujemy swoje wsparcie. Byli nieprzytomnie poruszeni. Poza tym dopiero naprawdę, bardzo długo się zastanawiałam, czy właśnie to okazywanie solidarności poprzez wywieszanie kolorów jest sensowne. Zastanawiałam się, zastanawiałam się na pewno, czy to nie jest jednak forma pokazu. Zorientowałam się, jak bardzo nie, kiedy widziałam reakcję tych dzieciaków. Mówią: *Patrz, to jest Żeleński*. Ja mówię: *Tak, wiem. Znam*”. (Aga)

Z jednej strony, jako pomagacze dobrze czuli się, manifestując swoje poparcie. Uważali też, że wypada je okazywać, nawet w tak prosty sposób jak przypięcie niebiesko-żółtego znaczka do plecaka albo płaszcza. Z drugiej zaś, nieustanna obecność barw ukraińskich, flag i innych oznak solidarności przypominała im ciągle o wojnie, o jej bliskości i o potencjalnym zagrożeniu.

Od przedmiotu do podmiotu

Kluczowa uwaga osób pomagających na wydawkach i w punktach recepcyjnych skoncentrowana była na przedmiotach, zarówno tych codziennego użytku, jak i tych zaspokajających inne niż podstawowe potrzeby. Początkowy automatyzm pomagania, odhaczania kolejnych punktów, regałów, upychania produktów w siatkach i reklamówkach i traktowanie uchodźców jako kolejnych bezosobowych petentów, przypadków do obsłużenia, paradoksalnie przeobrażał się w uznanie ich podmiotowości.

Pomagacze przechodzili więc drogę od przedmiotu do podmiotu w ich postawie wobec osób uchodźczych z Ukrainy. Przede wszystkim na etapie wydawania rzeczy lub przy obsłudze w punkcie recepcyjnym spotkali prawdziwych ludzi. Spotkanie to bardzo często przeczyło stereotypowym wyobrażeniami o osobach uciekających przed wojną – w łachmanach, brudnych, zaniedbanych i chorych. Uchodźcy z Ukrainy stanowili bardzo zróżnicowaną grupę, tak samo jak zróżnicowane jest ukraińskie społeczeństwo.

Pierwszy kontakt dość szybko urealniał figurę uchodźcy i sprawiał, że pomagacz zaczynał dostrzegać w tej jednak dość abstrakcyjnej figurze uchodźcy konkretnego człowieka – osobę z jej indywidualnymi potrzebami, z całym repertuarem jej osobistych zachowań i doświadczeń. Początkowe oceny działania schodziły na dalszy plan, a na pierwszy wysuwały się właśnie wyartykułowane potrzeby i przedmioty – takie, których nawet nie chcieli i nie próbowali dostrzec. Pomagali po swojemu, według własnego uznania. Dopiero, gdy uznali indywidualne potrzeby, mogli pomagać, zachowując godność osoby przyjmującej ich pomoc. Przedmioty uczłowieczyły osoby uchodźcze i zgodnie z tym, co pisał Marek Krajewski (2013), uczłowieczały nie żadne wyszukane przedmioty, ale te najzwyczajniejsze, codziennego użytku.

Rozdział 5. Spotkanie na progu domu

Schronienie i dom

Dom to miejsce fizyczne i metafizyczne. Jest przestrzenią codziennych spotkań, ale także samotności. Bywa azylem. Ośłania przed innymi naszą i naszych bliskich fizyczność i duchowość. Służy intymności: cielesności i duchowości, której nic nie krępuje. W domu chcemy się czuć „u siebie”, tak jak chcemy się czuć we własnym ciele. A jeśli w domu są inni domownicy, to siła więzi pomiędzy nimi odwzorowuje się w bliskości gestów, słów i ciał.

Schronieniem jest każde miejsce, gdzie można się ukryć przed agresją, upałem, rozpaczą, zgiełkiem, bombami. To piwnica, jama wykopana w śniegu, zadaszenie pozwalające przetrwać burzę. Daleko im do bycia domem. Z perspektywy antropologicznej, do pewnego stopnia uniwersalnej, można powiedzieć, że:

„Dom więc jako schronienie musiał zapewniać bezpieczeństwo wobec świata zewnętrznego. Miało ono dwojaki charakter. Przede wszystkim musiała być ochrona rzeczywista i fizyczna przed niesprzyjającymi warunkami klimatycznymi. Musiała to być również ochrona w sensie psychicznym, umożliwiającą odseparowanie się od reszty świata i ludzi, która tworzyła barierę dającą człowiekowi poczucie odrębności, prywatności, swojskości i samotności. Schronienie tworzyło przestrzeń swoją, własną, prywatną” (Zadrożyńska 1992, s. 38).

Dom zaspokaja potrzeby swoich mieszkańców – domowników. Wielu codziennych funkcji domu nie da się zauważyć, dopóki nie zostaną zakłócone. To może być śmierć, rozwód lub inny głęboki kryzys, jak kradzież czy wyniesienie mebli przez komornika. Także, a może przede

wszystkim, kiedy rujnuje go wojna. Dom ma chronić przed obcymi, ale zdarza się, że daje obcym schronienie.

„Przestrzenią człowiekowi najbliższą jest dom. Wszystkie drogi człowieka przez świat mierzą się odległością od domu. Widok z okien domu jest pierwszym widokiem człowieka na świat. Człowiek zapytany, skąd przychodzi – wskazuje na dom. Dom jest gniazdem człowieka. Tu przychodzi na świat dziecko, tu dojrzewa poczucie odpowiedzialności za ład pierwszej wspólnoty, tu człowiek rozpoznaje główne tajemnice rzeczy – okna, drzwi, łyżki – cieszy się i cierpi, stąd odchodzi na wieczny spoczynek. Mieć dom znaczy: mieć wokół siebie obszar pierwotnej swojskości. Ściany domu chronią człowieka przed srogością żywiołów i nieprzyjaźnią ludzi. Umożliwiają życie i dojrzewanie. Mieszkając w domu, człowiek może się czuć sobą u siebie” (Tischner 1990, s. 197).

Próba dla gościnności domu – swoistym kryzysem, choć lepszym określeniem byłoby „wyzwanie” – jest przyjęcie pod dach obcego. Mowa o sytuacji, kiedy dobrowolnie udzielamy komuś schronienia i gość lub goście mogą być domownikami, jak część ukraińskich uchodźców, których wojna wygnała z własnych domów. Jak zostali ugoszczeni? Czy chciano im zapewnić takie same prawa jak gospodarzom? Te i inne pytania będą nam towarzyszyć, kiedy sięgniemy do relacji pomagaczek i pomagaczy, którzy przyjęli pod swój dach bezdomnych uchodźców.

Podstawą gościnności, w różnych jej odmianach kulturowych, jest milczące porozumienie, którego fundamentem jest zaufanie. Pomiędzy gospodarzem a gościem zostaje zawarta niepisana umowa, dotycząca domu jako przestrzeni wspólnej. Bez paragrafów i podpunktów, porozumienie to mówi tylko tyle, że współobecni – zasiedziali i nowi – funkcjonują zgodnie w jednej przestrzeni. Kwestia dziesiątek spraw szczegółowych, takich detali jak: czyja-to-szczotka-do-mycia-zębów, zostaje chwilowo odłożona na później. Porozumienie co do współdzielonej przestrzeni domowej ma charakter założycielski, fundując szczególny rodzaj wspólnoty, obejmującej kilka-kilkanaście osób. Nie reguluje ani jednej konkretnej sprawy. To

milczące i znaczące porozumienie jest warunkiem możliwości zgodnego współ-życia swoich i obcych pod jednym dachem.

„Dom-schronienie tworzy (więc) dla mieszkających w nim ludzi centrum świata. Wszystko na zewnątrz tej zamkniętej przestrzeni prywatnej można określić względem niej. Odległość zatem od owego centrum wyznaczać będzie stopnie bezpieczeństwa, a każde oddalenie staje się znakiem zagrożenia i obcości. Oddalanie się możliwe jest więc wówczas, gdy otoczenie nie jest zagrażające” (Zadrożyńska 1992, s. 38).

Gospodarze goszczący uchodźców z Ukrainy mają świadomość, że „tamte domy”, jeśli nawet nie zostały zrujnowane, przestały być schronieniem. Nie są już centrum osobistego świata, ale pozostają punktem odniesienia na „mapie bezpieczeństwa” pozwalającym wierzyć w powrót do domu. Dla uchodźców ucieczka z własnych domów była tragedią. Wystarczy sobie wyobrazić, że wektor bezpieczeństwa odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, skoro czuli, że im dalej od domu, tym bezpieczniej. Pomagacze zdawali sobie sprawę z tej sytuacji.

Gospodarze wolontariusze szybko zrozumieli, jak ważne jest, aby udzielenie schronienia pozwalało uchodźcom czuć się jak u siebie. W zebranych przez nas relacjach odnajdziemy również nieliczne opowieści o gospodarzach, którzy nie kierowali się empatią, tylko osobistymi korzyściami, różnego typu, w tym chęcią szybkiego zarobku. Na przykład właściciel domu liczył na to, że gość lub goście będą „odpracowywać czynsz”, czyli wykonywać zadania na ustalonych z góry lub niewypowiedzianych wprost warunkach. Ktoś liczył na to, że goście włączą się w sprzątanie, gotowanie, zakupy albo w opiekę nad dziećmi czy wyprawianie zwierząt.

W naszych rozmowach z pomagaczkami odnaleźliśmy wątki korzyści, jakie mogą odnieść osoby przyjmujące uchodźców pod swój dach. Na pewno w ogólnej skali nie zabrakło przypadków kalkulacji, która miała zarówno pozytywny charakter (Czy podołam? Czy wystarczy pieniędzy?), jak też negatywny (Ile da się zarobić? Jak się ich pozbyć

jak najszybciej?). W naszym badaniu wszakże dotarliśmy przede wszystkim do ludzi, których empatia i ofiarność zadziwi każdego, kto nie miał okazji sam tego przeżyć.

Przekroczenie progu

Zajmujemy się domami, do których drzwi wejściowe zostały szeroko otwarte przed obcymi. Przyglądamy się gościnności traktowanej jako proces, którego charakterystyka daleko odbiega od typowego obrazu przyjmowania gości pod swój dach. Uchodźca z toczącej się opodal wojny niesie ze sobą swój osobisty dramat i dotyczący nas samych „podmuch tej wojny”. Kontakt z taką osobą jest sytuacją niecodzienną, niezwykłą. Dla uchodźcy znalezienie gościny jest szansą na normalność, czyli coś co przypomina właśnie utraconą zwyczajność i codzienność. Bezdomni bieżący nie są zwykłymi podróżnymi chcącymi zatrzymać się na chwilę wytchnienia. Potrzebują czegoś więcej, co odczuwa się przy pierwszym kontakcie. Uciekające przed wojną kobiety, mamy, babcie, z dziećmi albo zatrzymają się w końcu w nowym domu, na nie wiadomo jak długi czas, i będzie to Poznań albo Sydney, albo ich wędrówka zatonczy koło, aby kiedyś wrócić do swojego domu.

„Zawsze gdzieś myślę, że jak dom jest dla nas dobrym, bezpiecznym miejscem, to zawsze mamy też takie odwołanie, że jak będzie w domu, to będzie okej. A tu się nagle okazuje, że oni tych domów nie mają, nie mają dokąd wrócić. I to jest myślę, że chyba nikt z nas nie wyobrażał sobie, że w dzisiejszym świecie może być taka sytuacja, że, no jak to? Można nie wrócić do tego domu. Że szybciej wyobraziłam sobie pandemię jako współczesną wojnę niż to, że wjadą czołgi i będą latały bomby w powietrzu”.

(Klara)

Ta dramatyczna odyseja niesie ze sobą trudne do opisanie emocje, które dzielą z wędrowcami osoby niosące pomoc. Zrozumienie doświadczenia bieżących wymyka się wiedzy potocznej, skoro jako gospodarze nie mamy w swojej biografii punktu odniesienia, jakie miało w Polsce wielu naszych przodków w czasach wojen światowych i jeszcze wcześniej.

Tym samym wzajemna przekładalność perspektyw, w ujęciu Alfreda Schutza, nie działa lub działa w bardzo ograniczonym sensie. Jaki zatem jest warunek możliwości udzielenia pomocy przez gospodarzy domów otwieranych na oścież przed obcymi? Wydaje się, że ma on charakter odroczonego porozumienia, którego fundamentem jest gotowość do pokonywania progów w takim sensie, jak to rozumieją psychoterapeuci. Zarówno uchodźcy, jak gospodarze mierzą się z pokonywaniem progów, które oddzielają znane od nieznanego.

„Próg jest centralnym pojęciem w psychologii procesu. Strukturalnie oznacza granicę pomiędzy procesem pierwotnym a wtórnym, jest granicą tożsamości – oddziela znane od nieznanego. (...) Każdy próg oznacza mierzenie się z niewyobrażalną sytuacją, gdzie z jednej strony mamy tendencję do zachowania status quo, niechęć do wychodzenia poza bezpieczną, dobrze znaną niszę i strach przed niewiadomą, nieznaną rzeczywistością, a z drugiej zaś tendencję do rozwoju, poszerzania obszaru psychicznego funkcjonowania, czy też poczucie, że w tej wersji siebie, w jakiej funkcjonujemy, już nic ciekawego nas nie spotka lub że bez dopływu czegoś nowego nie będziemy mogli rozwiązać życiowych trudności” (Teodorczyk 2016, s. 31).

Tak mówi terapeuta, który opierając się na koncepcjach Arnolda Minella i Carla Gustava Junga, pomaga ludziom, aby dobrowolnie zbliżyli się do progu. Pacjenci szukający pomocy mają poczucie, że muszą się zmienić, aby uniknąć głębszego kryzysu, aniżeli ten, w którym się znaleźli. Terapeuta stawia sobie zadanie, aby razem z nim i z własnej woli wkroczyli w obszar nieznanego.

Sytuacja uchodźców wojennych jest całkowicie odmienna. W przeciwieństwie do pacjentów „procesowych”, bieżący zostali przemocą wrzuceni w nieznanne. W związku z tym szukają drogi wiodącej dokładnie w przeciwnym kierunku. Potrzebują domu, czyli powrotu do tego, co jest im znane. Tyle że ich dom albo został zniszczony, albo stał się obcy, splądrowany, ograbiony, zaminowany.

Tak w przypadku uchodźców, jak dobrowolnych uczestników psychoterapii, mamy do czynienia z doświadczeniem kryzysu psychicznego, czyli z głębokim zranieniem. Terapeuta chce, aby taka osoba przekroczyła próg i wyszła na zewnątrz metafizycznego domu, który można określić jako „dom zły”. Ma się skierować w nieznane, o własnych siłach. Im dalej od złego domu, tym lepiej. W sytuacji bieżących „dom dobry” to powrót do znanego w każdym możliwym sensie, czyli czegoś co przypomina „mój dom”. Zapewne to przychodzi trudno, jeśli chodzi o dom w sensie fizycznym, ale jest możliwe jako dom w sensie metafizycznym, czego warunkiem koniecznym jest gościnność.

Dwojakiemu znaczeniu domu, fizycznemu i metafizycznemu, odpowiada dwojake znaczenie progu. Uchodźcy wojenni znajdują godne schronienie, kiedy przekraczają próg domu, rozumiany fizycznie i metafizycznie. Cóż to oznacza dla gospodarzy? Po pierwsze, całkiem nowe doświadczenie udzielenia gościnności, która nie ma precedensu w ich biografii. Po drugie, w konsekwencji, konieczność przekroczenia własnego progu, po to, aby znaleźć siły i motywację i zacząć funkcjonować w nieznanym obszarze. W końcu, po trzecie, gospodarze stają się domorośliymi terapeutami dla zdrowionych gości i dla siebie samych. Jedni i drudzy spotykają się na progu gościnnego domu, nie mając pewności, czy jest to kontrakt terminowy. Na jak długo? Na jakich warunkach?

Trwale bezdomny uchodźca doświadczył przemocy, do której nie jest się przygotowanym. Jej nagłość i rozległość zwielokrotnia traumę. Uchodźca wojenny stracił fizyczny punkt oparcia, ale zachował metafizyczny punkt odniesienia, pozostający w jej lub jego wspomnieniach, w biografii. Tę skumulowaną traumę, można porównać i tylko porównać, do śmierci kogoś bliskiego. Także, a może przede wszystkim, do śmierci własnej, w sensie psychicznym i społecznym. Utrata wszystkiego oznacza zasadnicze zagrożenie dla tożsamości. Ostatecznie szanse na pomoc, podobne do pomocy psychoterapeuty, są znikome, żeby nie powiedzieć żadne. Dostarczają ją najczęściej bliscy, ale w sytuacji wojny, mogą być w podobnej sytuacji.

Pomoc udzielona przez wolontariuszy w punktach recepcyjnych, w noclegowniach, w miejscach wydawań potrzebnych rzeczy, była absolutnie konieczna i trudno ją przecenić. Jej charakter można opisać jako bytowy. Nade wszystko liczyło się ciepło, jedzenie, schronienie, ubranie i higiena. Także – życzliwość. Nieliczne momenty terapeutyczne (o charakterze progowym) pojawiały się wtedy, kiedy pojawił się wyłom w obsłudze nastawionej na jak największą liczbę ludzi. To mogła być chwila uwagi ze strony kogoś na wydawce i nawet krótka rozmowa. Albo podanie dziecku lekarstwa i zabawki w odpowiednim momencie.

Taki kontakt zindywidualizowany, osobisty, czyli wyjście poza ramy utypowań w sensie Schutza, nie mógł zdarzać się często, zważywszy ile osób musiało mieć zapewnione potrzeby bytowe. Takie momenty, do których wracają nasi rozmówcy, miały moc „nietrwale terapeutyczną”, jeśli tak można powiedzieć. Znacznie większa szansa na powrót do życia w sensie osobistym i społecznym pojawiała się w momencie przekroczenia progu gościnnego domu.

Trzeba tu mocno podkreślić dwa momenty o charakterze progowym.

Pierwszym z nich jest szansa na odzyskanie godności, która pojawiała się na każdym etapie exodusu. Przy czym jest o to łatwiej w późniejszej fazie wędrówki niż na początku. Bowiem na początku jest przecież ucieczka z terenów ogarniętych wojną, ponieważ, zatłoczone pociągi i dworce, całe dni spędzone w kolejkach na granicy, gdzie nie było szans na zadbanie o higienę. Także głód i zimno strącały tysiące ludzi poniżej poziomu bytowego. Szacunek do samego siebie, szacunek dla innych, nadzieja na szacunek innych – zeszyły na dalszy plan.

Drugi moment, aby kolejny raz odwołać się do języka psychoterapii, to szansa na odzyskanie, choćby częściowe, statusu społecznego, który został utracony i zastąpiony poczuciem bycia częścią wędrujących mas, anonimowych tłumów, w których wszyscy stają się podobni do siebie. Chodzi przede wszystkim o tych bieżących, którzy nie podróżowali własnymi samochodami i dźwigali niewielki dobytek i skromne oszczędności. Myśląc o przymusowym, a nie dobrowolnym przekroczeniu metafizycznego progu, trzeba sobie wyobrazić fazę „bycia nigdzie”:

„Jednostka musi najpierw doświadczyć fazę wyłączenia ze swojego dawnego świata, i to ze wszystkimi tego konsekwencjami, aby następnie wejść w fazę bardo, fazę pozbawienia statusu. W tym czasie jednostka nie jest już tym kim była, ale jeszcze nie jest tym kim będzie” (Teodorczyk 2016, s. 37-38).

Tym stwierdzeniem ponownie terapeuta pomaga nam zrozumieć, że podobną rolę, choć w wędrówce od nieznanego do znanego, mieli gościnni gospodarze udzielający domowego schronienia uchodźcom.

Gościnność

Aby oddać niezwykle charakter relacji, która nawiązała się pomiędzy wolontariuszami udzielającymi schronienia i wojennymi bieżącymi z Ukrainy, nie wystarczy sięgnąć do licznych badań i opisów związanych z kulturowo obramowanymi rytuałami gościnności (patrz: Pisarek 2014; w pracy tej autor dokonuje szerokiego przeglądu nie tylko badań, literatury przedmiotu, ale także analizuje historyczne zmiany, jakie przechodziło pojęcie gościnności w Polsce).

Gościnność jest fenomenem wielu „domów dobrych”, czyli otwartych przed zupełnie obcymi ludźmi. „Nie należy zakładać niczego znanego, określonego – aby czyste wydarzenie przyjmowania innego było możliwe, nie może być narzucany żaden kontrakt” – jak pisze Jacques Derrida. I dalej, kiedy rozwija temat gościnności: „(...) prawo gościnności (...) prowadzi do sytuacji, w której zapraszający i przyjmujący gospodarz staje się gościem swojego własnego gościa” (Derrida 2006, s. 261).

Jeśli dobrze czujemy się w cudzym domu, to mówimy, że jest gościnny. Gościnność to rodzaj tajemnicy, klucz do wielu doświadczeń na styku swojskości i obcości. Stąd jest tematem zajmującym tak filozofów, jak wytrwałych badaczy, których znajdziemy najwięcej w środowisku etnologów i socjologów. Wiele wskazuje na to, że fenomen gościnności jest soczewką, w której można na raz zobaczyć i zrozumieć własną i inną kulturę.

Czy myśląc o granicach gościnności, natrafiamy na podobieństwo do relacji rodzinnych, zakładających w ich najlepszej wersji szczerść, otwartość, uczciwość, prawdomówność i wysoką temperaturę emocjonalną? Wbrew pozorom gościnność nie musi oznaczać włączenia obcego w krąg rodzinny, choć rodzinna atmosfera pozwala gościowi czuć się jak w domu. Mówimy tak, kiedy nie odczuwamy barier i kiedy czujemy troskę, ciepło, serdeczność, zaufanie, bezpośredniość, szczodrość. Z domowym klimatem bez rytuałów kontrastuje wiele zdefiniowanych kulturowo ceremoniałów. Owe zasady udzielania gościny są wysoce skodyfikowane i odnajdziemy je w kulturach całego świata.

Tymczasem proces, który śledzimy w tym szczególnym przypadku, ma zupełnie inną naturę. Jest żywiołowy, niezaplanowany. Jest przesycony emocjami i wartościami. Frapujące jest w nim to, że nie daje się opisać wyłącznie, czy nawet przede wszystkim, w kategoriach racjonalnego działania. Naszą analizę kierujemy zatem w stronę wartości i emocji.

„Jak raz powiedziałam: Moja ukraińska rodzina, po czym naprawdę prawie się wałęsałam po rękach i mówię sama do siebie: Zuza, po pierwsze to nie jest żadna twoja rodzina, przecież ty ich znasz od dwu i pół miesiąca, a po drugie to brzmi tak strasznie. O nie, o nie, po prostu będę pilnować się tysiąc razy, zanim powiem: Moja ukraińska rodzina. I zawsze muszę chwilę pomyśleć i wtedy mówię coś takiego, że rodzina, której udostępniam mieszkanie, albo moi ukraińscy goście, ale naprawdę muszę tak, bo pierwsze co przychodzi na myśl, to właśnie moja ukraińska rodzina”. (Zuza)

Gospodarze chcą, aby obcy-goście poczuli atmosferę zbliżoną do rodzinnej. Wiedzą, że prawdziwe schronienie zapewnia podwójne bezpieczeństwo: obiektywne, czyli dom w sensie fizycznym, oraz subiektywne, czyli dom w sensie metafizycznym. Zaczyna się od posiłku, kąpieli, czasami prania, aby mogła nastąpić cała reszta, której zapewnienie wymaga czasu służącemu upewnieniu się, że umowa o zaufanie działa. Na poczucie bezpieczeństwa trwale bezdomnych gości składa się wiele czynników, a wśród nich jeden, nieoczywisty i bardzo trudny do praktycznej realizacji. Jest to perspektywa gościny bezterminowej. Jeśli domownicy

decydują się przyjąć kogoś pod swój dach bezterminowo – pytanie o horyzont czasowy przychodzi często później – to zdają się na niekontrolowany bieg wydarzeń. Ryzykują, że nieliczenie się z kosztami szybko znacznie przeszkadzać umowie bezterminowej.

W naszych wywiadach odnotowaliśmy obecność dwóch skrajnych postaw, a także stanów pośrednich. Część gospodarzy kierowała się odruchem serca, impulsem, któremu trudno się oprzeć. Inni chcieli podjąć dobrze wyważoną decyzję, np. zakreślając horyzont czasowy udzielanej gościny. Nieliczni chcieli wykorzystać gości dla własnych celów.

W modelu idealnym goszczenia przybyszów, co nazywamy „domem dobrym”, tym co decyduje o bezpiecznym schronieniu, jest podwójna otwartość: wspólnej domowej przestrzeni i nieokreślonego z góry czasu pobytu. Przy czym, a jest to czynnik, którego nie wolno przeoczyć, z czasem musi się pojawić kwestia, którą nazywamy kalkulacją.

Wolontariusze byli świadomi, że uchodźcom można i należy stworzyć namiastkę domu. Wiedzieli, że chodzi o coś więcej niż odpowiednie warunki pobytu zapewniane przez hotel, w którym się mieszka, dopóki ma się pieniądze. Goście często nie mieli pieniędzy, więc trzeba ich było jakoś utrzymać z własnych środków. Wielu z nich próbowało z własnej inicjatywy włączyć się w utrzymanie domu. Oczywiście, nie wszyscy. Domownicy, którzy zdecydowali się wpuścić obcych do swojego domu, zwykle zignorowali ostrzeżenie, które pobrzmiewa w tym powiedzeniu.

Działanie impulsywne oraz imperatyw moralny oddalały na dalszy plan pytanie, na jak długo trzeba zapewnić uchodźcom dom i jakie będą związane z tym koszty. Obok kwestii materialnych były także koszty psychiczne, skoro dzielenie się swoją prywatną przestrzenią oznaczało ograniczenie własnych potrzeb i nawyków. Pomagaczki i pomagacze, którzy bez wahania sięgnęli po swoje zwykle niewielkie zasoby finansowe i ograniczyli swoją przestrzeń życiową, uważali, że działają w sytuacji nadzwyczajnej, w sytuacji wyższej konieczności.

W naszej analizie będziemy mówić o schronieniu, które nie jest domem, ale dzięki gospodarzom ma wszelkie znamiona domu. Szukamy klucza dla opisu różnych procesów budowania wspólnej przestrzeni

emocjonalnej pomiędzy gospodarzami i gośćmi. Konkretnie przestrzenie są ukształtowane na różne sposoby, jako że różni są domownicy, goście, miejsca schronienia i dynamika wzajemnych relacji.

Weronika opowiada, jak wróciła do domu, w którym byli już goście:

„Mąż chciał im chciał podać ten polski barszcz z uszkami, a ona go tak zatrzymała i mówi: *Co ty robisz, przecież pielmieni się je osobno*, ha, ha. No i on próbował ją przekonać, że u nas to się jednak je razem, i to nie do końca jest pielmieni, i nie do końca to jest barszcz ukraiński. No, ale jak przyszłam, to się tam przytuliłyśmy, pogadałyśmy przy herbacie. One powiedziały, a myślałam, że będą, będą spać długo... czekały na mnie, ale jak ja tylko przyszłam i się przywitały, już w domu były od dwóch, trzech godzin, już się zdążyły umyć, one powiedziały, że tak długo jechały, że one teraz by chciały pojechać do jakiegoś parku, bo brakuje im ruchu i świeżego powietrza. Więc ja je odprowadziłam na tramwaj, pokazałam im, gdzie jest tam park, żeby tam sobie pochodziły, były do wieczora, może też chyba potrzebowały takiej przestrzeni”.

(Weronika)

Początkiem budowania zaufania są proste gesty. Jednoznaczne, wyraźne i pozbawione podtekstów. Nie są to podwójne sygnały, o których mówi Arnold Mindell.

„Jeśli na przykład starasz się wyglądać na zadowolonego, a jesteś nieszczęśliwy, to wysyłasz podwójny sygnał. Zamierzonym sygnałem może być uśmiech, a podwójnym to, że zwieszasz głowę i mówisz cicho. (...) Podwójne sygnały ujawniają najgłębsze uczucia, doświadczenia duchowe i nieuświadomione poczucie mocy lub rangi” (Mindell 1998, s. 43-44).

Aby powstał fundament zaufania, konieczna jest konwersacja gestów, interakcja symboliczna, która buduje łańcuch odwzajemnionego zaufania, którego początkiem był gest-symbol ze strony gospodarzy wobec obcych. Interpretując ten proces w duchu behawioryzmu społecznego George’a Herberta Meada, napotykamy pewien problem. Oto bardzo często w sytuacjach budowania przez strony podstawy „domowego kon-

traktu” oddziela je od siebie bariera językowa. Tymczasem, jak pisze jeden z najlepszych polskich znawców tej problematyki, koncepcja Meada cierpi na „językocentryzm”, ignorując odkrycia współczesnej nauki:

„Komunikacja niewerbalna została przez Meada zmarginalizowana jako element komunikacji. Tylko gesty wokalne przynależące do języka pełnią ważną rolę w wywoływaniu identycznej reakcji u odbiorcy, jak i nadawcy komunikatu” (Konecki 2005, s. 7).

Krzysztof Konecki proponuje wyjście poza językową wykładnię interakcjonizmu i przypomina pojęcie harmonizowania, które wydaje się dobrze odpowiadać procesowi, który nas interesuje i który nazywamy spotkaniem na progu domu:

„Jednak kształtowanie więzi społecznej może zachodzić przy pomocy innego procesu niż tylko komunikacja stricte symboliczna. Spotkania społeczne, a także więź społeczna, może wykształcać się dzięki procesowi, który za T. Scheffem (1990) nazwiemy harmonizowaniem (attunement). E. Goffman (1963), gdy mówił o efektywnym spotkaniu społecznym (social encounter) miał na myśli «pojedyncze zogniskowanie myśli i wizualnej uwagi». T. Scheff nazywa to zjawisko harmonizowaniem, dodając do niego wymiar emocjonalnego dopasowania działających jednostek. Harmonizowanie będzie zatem «zestrajaniem» intencji, wzajemnym zrozumieniem nie tylko o charakterze poznawczym, ale również emocjonalnym, w którym niebagatelną rolę pełni ciało i komunikacja niewerbalna (dotyk, zapach, spojrzenie, wzajemne wpatrywanie się w siebie, ruch ciała, zaczerwienienie twarzy itd.). «Harmonizowanie» to raczej empatyczna intersubiektywność, lub odczytywanie umysłu (mind reading; Scheff 1990: 7, 199)” (Ibidem, s. 18).

Wszystkie sytuacje gościnności, o których rozmawialiśmy, zostały zbudowane na gestach oznaczających zaufanie dobrych gospodarzy do obcych. Odwzajemnienie zaufania podlegało tej samej logice. Na pozawerbalne interakcje symboliczne będące podstawą i fundamentem więzi

składały się z pozoru nieistotne drobiazgi. Ten proces nie miał planu ani nie stosował się do żadnych „praw dynamiki”. Każda ze stron tej interakcji zakładała jakieś znane im dobro, którego nie można inaczej nazwać aniżeli „dobrym domem” lub po prostu „domem”.

Najbardziej uważni goście starali się nie naruszyć miru domowego. To pojęcie wywodzące się z artykułu 193 Kodeksu Karnego stwierdza, iż: „Kto wdziera się do cudzego domu, mieszkania, lokalu, pomieszczenia albo ogrodzonego terenu albo wbrew żądaniu osoby uprawnionej miejsca takiego nie opuszcza, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku” (Kodeks Karny 1969, art. 193) i odsyła do idei kontraktu, zawiązanego w naturalny sposób pomiędzy troskliwymi pomagaczami i uchodźcami. Sednem tej umowy jest odwzajemnione poszanowanie własnych i odrębnych światów.

W analizie przebiegu całego procesu, zapoczątkowanego spotkaniem na progu, będziemy posługiwać się kilkoma kierunkowymi pytaniami. Chodzi o to, aby skierować naszą uwagę na niecodzienne doświadczenie gościnnych gospodarzy. Rekonstrukcja etapów goszczenia musi, oczywiście, uwzględniać historie bieżących. Proces ten nie należy tylko do czasu przeszłego, ale biegnie w przyszłość. Może trwać miesiąc lub znacznie dłużej. Jest przesycony emocjami, w których czasami z trudem odnajdują się niosący pomoc i ją przyjmują. Jest to proces na wskroś dramatyczny, bowiem nie ma dobrego zakończenia, którym byłby powrót uchodźców do własnego domu w Ukrainie.

Po pierwsze, na czym oparte jest wyjściowe **zaufanie**, którym gospodarze obdarzają uchodźców? Czy i jak bywa odwzajemniane, zakładając, że jest to proces mający różne fazy i różną długość. Czy zdarza się wówczas coś nowego, spodziewanego, swoisty punkt zwrotny budujący lub destrukcyjny dla wzajemnego zaufania?

Po drugie, jak przejawia się **troska** okazywana przez pomagaczy? Co się na nią składa? Chodzi przede wszystkim o jej przejawy, które mogą być zarówno praktyczne, jak symboliczne, o dużym ładunku emocjonalnym, podtrzymującym lub osłabiającym wzajemność. Warto tu za Martinem Heideggerem potraktować sumienie jako „zew troski”: „Zew nigdy

nie bywa przez nas samych ani planowany, ani przygotowywany, ani wedle naszej woli realizowany. «Coś» wzywa (*Es «ruft»*) wbrew oczekiwaniom, nawet wbrew woli. Z drugiej strony zew bez wątpienia nie nadchodzi od innego, który wraz ze mną jest w świecie. Zew idzie ze mnie, a przecież przeze mnie” (Heidegger 2010, s. 359).

Po trzecie, jak obie strony dają sobie radę z **lękiem** wyniesionym przez uchodźców z wojny i ucieczki. Wszakże również gospodarze przechodzą różne stany, począwszy od strachu, który bywa pierwszą reakcją na ich /naszą wojnę. Lęk przyniesiony przez gości do nowego domu, zakłócający jego mir, to także doświadczenie, z którym muszą dać sobie radę domownicy.

Po czwarte, czy ma miejsce **solidarność** wśród pomagaczy i jak dalece ona sięga, kiedy udostępniają bieżącym swoje domy? Czy współpracują ze sobą, czy też raczej skupiają się na swoich nowych domownikach?

Po piąte, jak i kiedy zaczyna działać racjonalna **kalkulacja**, której już nie przesłaniają emocje? W jakim momencie się włącza tryb racjonalnego działania? W jaki sposób po wspólnym zamieszkaniu zawiązuje się dobrowolny kontrakt – domyślny bądź domówiony – który nakłada konkretne zobowiązania na gospodarzy i uchodźców. Jakie są elementy tego kontraktu w warunkach niepewności co do przebiegu wojny?

Po szóste, jakie znaczenie ma **niepewność**, która wypiera nadzieję, że wojna się szybko skończy i będzie można wrócić do siebie? Jakie są metody na przewyciężanie stanu zawieszenia? Czy dochodzi do kalkulacji szans? Jak przebiega swoista „systematyzacja”, czyli planowania i uzgadniania planów pomiędzy gośćmi i domownikami? Czy dochodzi pomiędzy nimi do uzgodnień, krótko- lub długofalowych planów?

Po siódme, w jakim momencie pojawiają się trudności odbierane jako **frustracja**, przejawiająca się zmęczeniem, zniechęceniem, biernością? Kiedy się pojawia, w jakich momentach? Czy jest to próba dla relacji zbudowanej w procesie pomagania, wymagającym dzielenia się przestrzenią domową i ponoszenia licznych niedogodności, a także nowych obowiązków. Czy dochodzi do otwartych konfliktów? Jak obie strony

próbują zredukować przestrzeń konfliktu, która się otwiera, czasami zupełnie niespodziewanie? W jaki sposób chronić swoje zdrowie, prywatność, aby nie wypalić się, niosąc pomoc?

Rodzaje schronień

Przyjrzyjmy się schronieniom, z których skorzystali przybysze, kiedy zamieszkali bądź z goszczącymi ich gospodarzami, bądź samodzielnie, za ich przyzwoleniem. Obraz początków, trudnego okresu szukania domu, musi uwzględniać rolę permanentnego sieciowania, bez którego nie byłoby zorganizowanej oddolnie efektywnej pomocy na gigantyczną skalę.

Choć kwestia ta stanowiła kluczowe znaczenie w interesującym nas procesie, sprawą tą zajmujemy się w innym miejscu. Warto jednak pamiętać, że nie udałooby się załatwić setek spraw bez krążących w sieci informacji, dzielenia się nimi i tworzenia grup służących rozwiązaniu konkretnych problemów. Stacjami węzłowymi tej sieci były operatywne grupy i jednostki, organizacje pozarządowe, punkty recepcyjne, wspólnoty sąsiedzkie, grupy facebookowe, różne instytucje szczebla lokalnego, małe i duże firmy, restauracje, hotele i wiele innych podmiotów, których imienna lista byłaby bardzo długa. Szczególna uwaga należy się takim zorganizowanym grupom jak organizacje pozarządowe i spontaniczne inicjatywy obywatelskie, które zawiązały się w Polsce po 24 lutego 2022. Sprawie tej poświęcony jest artykuł Pawła Kuczyńskiego, Małgorzaty Lateckiej i Irminy Szczepaniak (2023, w druku).

Co ważne, sieciowanie miało postać hybrydową, kiedy przenikały się tradycyjne więzi, powstałe w kręgach rodzinnych, przyjacielskich i sąsiedzkich, z nowymi więziami, zadzierzgniętymi w przestrzeni cyfrowej. Metafora wojenna, skoro schronienie jest bliskie znaczeniowo schronowi, może być w tym sensie myląca, że w sytuacji zagrożenia schronieniem bywa osłonięte zbocze góry, a nie betonowa fortyfikacja. Jeśli chcemy przyjrzeć się, w jaki sposób gospodarze różnych pomieszczeń udzielali schronienia, warto zwrócić uwagę na to, jaki aspekt wydawał się im ważny, kiedy opowiadali o tym w wywiadach. Dla jednych pomagaczy

kluczowe było zapewnienie ciepła i miejsca do spania, dla innych na pierwszy plan wyłoniły się inne kwestie.

Nie bez znaczenia jest, oczywiście, jakimi lokalami dysponowali wolontariusze – gospodarze schronień. Czy były to mieszkania do wspólnego zamieszkiwania z uchodźcami, czy niezamieszkane lokale oddane w całości do dyspozycji gościom. Nieco inna sytuacja, zdaje się, że bardziej komfortowa dla obu stron kontraktu, miała miejsce, jeśli w grę wchodziły domy jednorodzinne, najczęściej na wsi, a nie w mieście. Szczególny rodzaj schronień stanowiły przestrzenie prywatności. Nie były to lokale mieszkalne ani zbiorowe noclegownie. Salkę fitness lub klubokawiarnię trzeba było przystosować, doposażyć, biorąc pod uwagę konkretne potrzeby gości, a najczęściej mgliste wyobrażenie tych potrzeb. W takich przestrzeniach mogło na początku nie być łóżek czy lodówek, ale nie powinno zabraknąć łazienki i toalety.

Każde schronienie wymagało pewnej adaptacji. Nawet wtedy, kiedy do mieszkania wprowadzała się jedna osoba – nie mówiąc o rodzinie – celem wspólnego zamieszkania, trzeba było przeorganizować „zasady ruchu”. W niewielkich często pomieszczeniach, należało opróżnić szafy, aby było miejsce na nowe przedmioty i ubrania, tak aby goście mieli do nich łatwy dostęp i aby sobie nawzajem jak najmniej przeszkadzać. Jakaś forma odseparowania była potrzebna obu stronom. Zapewnienie gościom intymności nie było łatwe i płaczu dochodzącego przez ścianę trudno było nie usłyszeć. Pomimo że gośćmi byli całkiem obcy ludzie, gospodarze rzadko myśleli o jakiejś formie kontroli lub nadzoru. Wręcz przeciwnie, co warte podkreślenia, gościnność miała całkiem nowe oblicze, jeśli w tle umieścimy rytuały, których w Polsce nie brakuje. Brak podejrzliwości dawał o sobie znać na różne sposoby, a dowodem naczelnym jest zostawienie komuś kluczy do mieszkania, które jest nierzadko życiowym dorobkiem.

Z drugiej strony, we wspólnie zamieszkiwanych przestrzeniach, w mieszkaniach lub domach, duże znaczenie miały także miejsca spotkań, dzięki którym dom stawał się obszarem wspólnym, w którym goście i gospodarze rozmawiali o wszystkim, wspominali, planowali, dzielili się swoimi

problemami, małymi i dużymi. Takim sprzyjającym spotkaniom pomieszczeniem zwykle jest kuchnia, otwarta na salon lub nie, a także miejsce odpoczynku w sąsiedztwie telewizora, komputera lub ekspresu do kawy.

„Jak przyjechały panie z Kijowa, to siedziały i płakały, wszystkie razem. I też moja mama mnie poprosiła, czy bym mogła być na którymś obiedzie, bo już nie daje rady, tak ją mocno już to przerasta, że po prostu, żeby ktoś jeszcze z nimi pogadał. No i tam, było dużo takiej wdzięczności, miłości. Powiedzmy, w powietrzu”. (Jagoda)

Udzielanie pomocy uchodźcom w małych miejscowościach wyglądało zupełnie inaczej niż w dużych miastach. Wieś lub miasteczko, zwykle będące drugim lub trzecim miejscem postoju bieżących, miało ten walor, że można było wreszcie zatrzymać się tam na dłużej.

Ruch pomocowy na początku koncentrował się w miejscach, gdzie przecinały się szlaki komunikacyjne, prowadząc w głąb kraju lub zagranicę, a więc w metropoliach. Dworce z trudem pełniły rolę przepełnionych legowisk na kamiennych posadzkach. Znacznie lepsze warunki zapewniały zbiorowe noclegownie wyposażone w łóżka: duże hale sportowe lub targowe. Znalezienie gościnnego mieszkania lub domu – w Polsce lub gdzie indziej – kończyło pełną cierpienia wędrówkę w poszukiwaniu „własnego miejsca”. Miasto, miasteczko lub wieś zapewniają odmienne warunki życia. Na wsi, gdzie o dodatkowe metry kwadratowe jest łatwiej, można było liczyć na dłuższy pobyt, ale trzeba było wziąć pod uwagę trudności w znalezieniu pracy.

Odnaleźliśmy różne rodzaje schronień, od domopodobnych przestrzeni prywatności aż po schronienia w pełni domowe, gdzie obcy zamieszkaliby razem z domownikami.

Schronienia domopodobne, bez domowników

Schronienia domopodobne o różnym charakterze stanowiły spory odsetek wszystkich miejsc. Ciepło, miejsce do gotowania, do spania, stół, łóżko, szafa – te słowa definiują najistotniejsze potrzeby przybyszów w tym

pierwszym dramatycznym okresie po opuszczeniu domu rodzinnego. Po długiej podróży była możliwość ogrzania się i wyprania swoich rzeczy. Okazało się, że w podwarszawskiej gminie, zarówno ksiądz proboszcz, jak wójt mają wolne pomieszczenia, które nie wymagały wielkich prac adaptacyjnych.

Salka u księdza

„To był dzień, w którym skończyliśmy remont organistówki, i za trzy dni już wprowadzili się Ukraińcy. To jest mieszkanie trzypokojowe, tuż obok plebanii. Pierwsi uchodźcy dotarli do nas w poniedziałek w nocy. Nie wiem, kiedy wojna wybuchła, jaki to był dzień tygodnia, w każdym razie my w piątek skończyliśmy remont, a w poniedziałek już mieszkali. Teraz zostało sześć osób. Mieszkało siedemnaście, więc tam było bardzo ciasno. Że tak powiem, jedni na drugich. Wyłącznie kobiety i dzieci. Niektórzy byli z okolic Lwowa, inni byli z Kijowa. Ja tam do nich nie wnikałem za bardzo. Zajmowała się tym pomoc społeczna gminna. Ja tylko obiecałem, że będę im palił, że będą mieć ciepłą wodę. Prąd, ogrzewanie, to im daję. Myśmy tylko ścianki działowe postawili, i pomalowali to wszystko. Kuchnia była wyposażona. Dałem im swoją kuchnię gazową. Pytało się mnie szereg osób, czy czegoś nie potrzebują, czy czegoś im nie przywieźć. Jedna pani, tam, z jakąś torbą przyszła, z jakimiś słoikami, z czymś tam. Potem druga. Potem inna warzywa przywiozła, i ktoś tam inny znowu jakieś paczki. Więc tego było na początku bardzo dużo”. (Karol)

Do pomocy włączyli się mieszkańcy gminy, przynosząc różne potrzebne rzeczy. W tej samej gminie wykorzystano tak zwane pokoje nauczycielskie, które wystarczyło doposażyć w pewną liczbę sprzętu AGD i mogły pełnić rolę pełnowartościowych mieszkań.

Pokoje nauczycielskie

„Mieliśmy kilka mieszkań, które były mieszkaniem tak zwanymi nauczycielskimi, czyli mieszkania przy szkołach, które były dla nauczycieli. Jak już przestali tam nauczyciele mieszkać, nigdy tych mieszkań nie zmieniliśmy na mieszkania socjalne. Więc te mieszkania zostały u nas, w naszym zasobie, jako tak zwane rezerwowe, bo jakiś

pożar i ktoś nie ma gdzie mieszkać. I w tych mieszkaniach zaczęliśmy ich lokować. Wszystko tam zapewniliśmy. Mieliśmy cztery takie mieszkania. Sprzęt na bieżąco organizowaliśmy. Firma, która zajmuje się odzyskiem, recyklingiem, miała jakieś lodówki, pralki, które nam dała, coś dokupiliśmy”. (Marian)

Nie wszędzie, a mówimy cały czas o tej samej gminie w okolicach Warszawy, stosunki z przybyszami ułożyły się równie dobrze. W przypadku dziewięcioosobowej rodziny, która dostała lokum w lokalu w ośrodku dla harcerzy, okazało się, że najlepszym rozwiązaniem dla nich będzie hotel.

Ośrodek harcerski

„W ośrodku harcerskim była rodzina z siódmką dzieci. Matka, ojciec i siedmioro dzieci. No i ponieważ kończy się harcerzom działalność, i z pierwszym czerwca muszą się wyprowadzić, no, a oni szukali miejsca. My im tutaj nie bardzo mogliśmy tyle miejsca zapewnić. No i kiedyś pojechał do nich ktoś z naszego ośrodka pomocy społecznej i okazało się, oni nic... ani nie sprzątają, uważają, że wszyscy za nich powinni wszystko zrobić. Więc nie chcieliśmy sobie brać na barki tego typu ludzi. Dostali dwa pokoje, a dziewczyny z pomocy OSP, które różne rzeczy już widziały, powiedziały, że takiego bałaganu, to jeszcze nie widziały w życiu. No więc oddaliśmy ich w dobre ręce. Załatwiliśmy im pobyt w hotelu opłaconym przez wojewodę”. (Marian)

Jeśli porównamy warunki na wsi z możliwościami, które przybyszom zapewnia miasto, to najważniejsza dla uchodźców jest szansa na dorywczą pracę. Ponadto w dużych miastach istnieje nieporównywalnie większy wachlarz możliwości, jeśli chodzi o lokale, które przejściowo mogą pełnić rolę mieszkań. Warto pamiętać, że miasta nie otrzęsły się całkiem z kryzysu wywołanego pandemią wirusa COVID-19, która doprowadziła do upadku różnych biznesów gastronomicznych i hotelarskich. Wczesną wiosną, kiedy daleko było do sezonu wakacyjnego, okazało się, że lokalami domopodobnymi, podobnymi do mieszkań bez domowników, mogłyby być np. klubokawiarnia i sala fitness.

Klubokawiarnia

„Kolega z mojego zespołu pracuje w, nie wiem, jak to nazwać, kawiarni? Klubokawiarni. To jest takie miejsce, ten, gdzie też są imprezy i dosłownie nad tą klubokawiarnią jest duża przestrzeń, pusta, w której czasami są jakieś, nie wiem, warsztaty, czy coś tam. Więc to nie jest nic specjalnego, ale właśnie wpadł na to, że, no że ta przestrzeń nie jest często wykorzystywana, jest wynajmowana raz na jakiś czas no i już właśnie się zapytał i udostępniono ją. (...) w dwa dni chłopaki ogarnęli materace od harcerzy, zrobiliśmy na, zbiórkę pościeli na grupach takich lokalnych. I masa ludzi się odzywała. Masa, masa, także potem mieliśmy tej pościeli tyle, że nie wiadomo, co było, co z nią zrobić. I też ludzie przynosili, no wszystko. Słodczyce, pampersy, wszystko przynosili, mimo tego, że tego nie potrzebowaliśmy. Ale stwierdziliśmy, że bierzemy wszystko, a potem po prostu przekażemy to. A, to było jeszcze, podłączyliśmy się pod organizację taką uchodźczą”. (Jagoda)

Sala fitness

„Wtedy nasz, prezes naszego zarządu, wspólnoty mieszkańców, właśnie rzucił taki temat, że, że chcą zagospodarować naszą przestrzeń, taką fitness, mamy siłownię w bloku, żeby tam w jakiś sposób po prostu pomagać. Na początku jeszcze nie było wiadomo, jak ta pomoc ma wyglądać, ale rzucił taki temat, że on by właśnie chciał, żeby pomóc, z racji, że mieszkamy blisko dworca, więc też tam, no, dużo tych uchodźców przyjeżdżało i uznał, że to jest taki nasz, nasz taki, bardzo pozytywny jakby aspekt właśnie tej lokalizacji. I zwołał takie spotkanie, że kto jest chętny, to zaprasza tych mieszkańców na takie spotkanie, właśnie na dół, na tą siłownię, żebyśmy mogli wspólnie zastanowić się, w jakiej formie możemy pomóc, kto, w jakim zakresie, jakie mamy po prostu możliwości, takie sąsiedzkie”. (Gosia)

Patrząc z perspektywy uchodźców, w początkowym okresie zamieszkanie na wsi nie wydawało się dobrym rozwiązaniem. Wśród naszych rozmówców był właściciel gospodarstwa agroturystycznego, który pamięta moment rozczarowania, kiedy przyjechali pierwsi uchodźcy i nie zdecydowali się zostać, choć warunki lokalowe były dobre. Z czasem zamieszkanie na wsi okazało się korzystnym rozwiązaniem z kilku powodów.

Jednym z nich na pewno był łatwiejszy niż w mieście dostęp do lekarza, urzędu gminy czy okienka bankowego.

Dwa przypadki opisane poniżej – dom na wsi i mieszkania w mieście – należały do rzadziej spotykanych, kiedy właściciele nie mieszkali razem z przybyszami.

Schronienia bez domowników – domy i mieszkania

Dom poza miastem

„To jest dom całoroczny, ale wykorzystywany jako weekendowy, bo mieszkamy w mieście. Dałem ogłoszenie w języku angielskim, uprzedzając, że wszystko jest, ale nie ma wygód. Zadziałał kontakt ze znajomą wolontariuszką z Krakowa, która przekazała mnie w ręce nieznaney mi osoby. Ta z kolei wskazała mi skontaktowała mnie z siedmioosobową rodziną ukraińską (...). Ich pierwsze pytanie, kiedy weszli do naszego domu, aby się rozejrzeć: czy tu jest Internet? Byli sami, bo dzieci zostawili komuś pod opieką [w mieście]. Zostawili bagaże i następnego dnia przyjechali wszyscy razem. Zaopatrzyłem lodówkę, ale prosili, abym większość rzeczy zabrał dla siebie. Dałem im klucze”. (Piotr)

Mieszkanie w mieście

„Mam mieszkanie [w Warszawie], dwupokojowe. Mieszkalam tam z koleżanką, i wyniosłyśmy się we dwie do mojego chłopaka, żeby tamto mieszkanie zostawić. On mówił, że na kanapę weźmie ludzi. Moja koleżanka też mówiła, że weźmie na kanapę ludzi. Więc stwierdziliśmy: dobra, to wszyscy my się weźmy na kanapę. Najpierw od razu przyjęłyśmy młodą mamę ze swoją mamą i z córką malutką, dwuletnią. I była oprócz tego jakaś koleżanka z jeszcze małą córką”. (Helena)

„To znaczy, ja mówiąc o tym, że jestem osobą uprzywilejowaną, miałem na myśli różne rzeczy, ale między innymi to, że mam w zasadzie puste mieszkanie w Warszawie. Ja wyprowadziłem się kilka lat temu z Warszawy, przyjeżdżam do Warszawy pewnie raz na miesiąc, raz na półtora. Przecież ta fala uchodźców zaczęła się w pierwszych godzinach wojny, prawda? Nie pamiętam teraz tego dokładnie, ale pamiętam,

że ja przyjechałem do Warszawy, dzień po wybuchu wojny, z taką świadomością, że przyjeżdżam sprzątać mieszkanie po to, żeby udostępnić je osobom, o których już wiedziałem, że przyjadą. Czyli to musiało postępować bardzo szybko, prawda? Stąd myślę, że ta moja... Że to, co powiedziałem, to jest tak trochę *post factum*, ale to, co powiedziałem o tym, że od razu miałem poczucie, że trzeba będzie komuś pomóc, jest chociażby tym falsyfikowane, prawda? Że dzień później jechałem do Warszawy sprzątać mieszkanie, a jechałem dlatego, że wcześniej ogłosiłem... Znaczący, w odpowiedzi zresztą na jakiś post na Facebooku napisałem, że mam takie mieszkanie i że chętnie je udostępnię i zaraz potem ktoś do mnie zadzwonił, prawda?”. (Ignacy)

„Ja tak naprawdę już miałam tą gotowość w sobie, żeby zaoferować komuś swój dom. Już właściwie od czwartku, od czwartku o tym myślałam, ale no mieszkam z moją dziewczyną, więc, a jej tam nie było, więc najpierw do niej zadzwoniłam i powiedziałam: *Pomyśl o tym, czy to dla ciebie jest ok i jak ty to widzisz i chciałabym...*, a jeszcze myślałam, że wtedy w poniedziałek, jak wrócę, to o tym porozmawiamy, i mówię: *Dobra, to mamy te cztery dni, ja sobie to przemyślę, ty sobie to przemyśl i pomyśl, czy, czy, czy masz taką gotowość w sobie na to, że to mieszkanie, w którym, to moje mieszkanie zaoferujemy komuś, a my się przeniesiemy do jej mamy mieszkania*”. (Zuza)

Schronienia z domownikami – domy i mieszkania

Najtrudniejsze okazały się decyzje przyjęcia uchodźców pod własny dach, po to aby wspólnie zamieszkać. Decyzje o współzamieszkiwaniu nie były łatwe, choć dom jednorodzinny – zwłaszcza na wsi, jak pokazują dwa poniższe przykłady – dawał możliwość oddzielenia stref używanych przez gości i domowników, o co trudniej w typowym mieszkaniu.

Dom wspólnie zamieszkany

„No i dowiedzieliśmy się właśnie od córki, że ma znajomego, który z kolei ma znajomą, która z kolei jest wolontariuszką, która z kolei może nam taką rodzinę, że tak powiem, przywieźć do domu. Także to tak w ten sposób wyglądało, to nie było jakieś działanie typu, że dostajemy przydział, albo prosimy o przydział, tylko po prostu

ludzie z dobrego serca dzwonili i opowiadali jakie, jakie są to osoby, czy z małymi dziećmi, czy z dużymi dziećmi, dorosłymi, bo warunki, bo są takie, że są schody, więc dzieci małe, i są duże psy, dzieci małe mogłyby czuć się niebezpiecznie, rodzice tych dzieci tym bardziej. Więc dopasowaliśmy do warunków mieszkaniowych wiek dzieci, no i tak, taką rodzinę mamy właśnie z Kijowa”. (Krzysztof)

„Byliśmy na granicy i w pewnym momencie było więcej osób, niż mogliśmy przyjąć [do lokali w dyspozycji gminy i księdza]. Nie mieliśmy tu dla nich miejsc zapewnionych i z granicy dzwoniłem do żony, czy weźmiemy dwie rodziny i mam do tej pory te rodziny w domu. I fajnie się żyje. Jedna kobieta z dwójką dzieci wyjeżdżają teraz pierwszego czerwca, już mają bilety wykupione. I mówię, no, smutno będzie w domu bez nich. Mamy wspólną lodówkę, oni coś tam kupują. Moja żona nieraz gotuje obiad, nieraz one gotują. Na początku to były podwójne obiady. Ja mówię: *Ja nie dam rady tak jeść*”. (Marian)

Wspólne przebywanie w mieszkaniu domowników i uchodźców było obciążone ryzykiem narastających problemów, kiedy okres gościny się wydłużał. Zanim wolontariusze zdecydowali się na taki krok, przeprowadzali analizę swojej sytuacji i zastanawiali się, z czego muszą zrezygnować. Z jednej strony podejmowali decyzje pod wpływem silnych emocji, a z drugiej usiłowali zachować chłodny osąd sytuacji, co czasami prowadziło do podjęcia decyzji, aby jednak nie zapraszać przybyszy z Ukrainy do swojego, nierzadko małego, mieszkania. Zdarzało się też, że nie było żadnego planu, tylko zgoda na dwie osoby, nie więcej. I to bez zwieźcia domowego.

Wspólne mieszkanie

„I myśmy im jakby z góry powiedzieli, że to są ich miejsca i my odstawimy swoją sypialnię, do której jest od razu przejście, bo ona jest połączona z jedną z łazienek, którą mamy. Z dwóch powodów. Po pierwsze, dla nas nie jest problemem, żeby się na jakiś czas przenieść do salonu, a po drugie, jest to trochę taka bezpieczna przestrzeń dla tej rodziny, tak? Nie muszą wędrować po całym mieszkaniu do łazienki, tylko ze swojego pokoju, od razu idą sobie do swojej łazienki. No, no i przyjechali”. (Dorota)

„To znaczy chyba się nastawiliśmy po prostu tak... Że mamy bardziej warunkowo, że mamy jedno łóżko, jeden pokój, więc to musi być ktoś, kto będzie się czuł komfortowo, śpiąc na tym samym łóżku, i że możemy przyjąć dwie osoby, no i, i raczej bez zwierzęcia, bo mamy psa, który agresywnie reaguje na inne zwierzęta. No i w sumie chyba tyle, jakoś nie planowaliśmy”. (Weronika)

Emocje i wartości

Uchodźcy wierzą, że mają gdzie wrócić, nawet jeśli ich domy zostały zniszczone. Inaczej niż osierocone dziecko, które jedynie może trafić do placówki opiekuńczej albo do rodziny zastępczej. Kiedy będzie miało nową rodzinę, która je przygarnie, to będzie miało „nowy dom”. Dla rodzin uchodźczych ich domy istnieją nadal, nawet jeśli trzeba je podnieść z ruin. Jeśli rozpoczną na dobre nowe życie z dala od Ukrainy, to nie zapomną, że jest takie miejsce, które nazywali swoim domem.

Z perspektywy gościnnych gospodarzy domów w Polsce najważniejsze jest zapewnienie uchodźcom schronienia, w którym będą czuli się jak u siebie. Choć nowi domownicy nie znajdą w nim ani jednego znanego sobie mebla i będą mieszkać pod jednym dachem z obcymi ludźmi, to ma być dla nich dom. Co najlepszego mogą im zapewnić gospodarze? Czy chodzi o gościnność? Czy o rodzinność? Czy może coś innego?

Na pewno w pierwszej fazie wędrówki uchodźcy szukają jakiegokolwiek miejsca, gdzie można się bezpiecznie zatrzymać, przerywając marsz, jazdę przepełnionym pociągami, autobusem lub samochodem. Będzie nim niekomfortowa przestrzeń dworca albo noclegownia, inne jakieś schronienie, ale nietrwałe. Prawdziwe schronienie, czyli dom, przywraca godność, z której odarła ich ucieczka przed wojną, kiedy stali w niekończących się kolejkach, otrzymywali, albo nie, darmowe posiłki od przypadkowych ludzi lub w naprędce zorganizowanych punktach wydawania posiłków, które trudno nazwać jadłodajniami. Trzeba pamiętać, że wędrówkę podjęli ludzie, którzy jeszcze przed chwilą mieli swoje sypialnie, łazienki, kuchnie, biura, warsztaty, miejsca wakacyjne, szkoły,

kina i wiele innych rzeczy. Nie doświadczyli upokorzenia, głodu, jałmużny i sytuacji, kiedy nie można się umyć przez kilka dni, wyprać swoich rzeczy.

Bezradność ustępuje, kiedy poczuujemy grunt pod nogami. Kiedy posadzkę na dworcu zamienimy na drewnianą podłogę. Kiedy z łóżka polowego lub szpitalnego przeniesiemy się do łóżka z własną pościelą. Kiedy ktoś potraktuje nas dobrze i możemy liczyć, że tak zostanie na dłużej.

Zaufanie

Przyjęcie nieznajomych pod swój dach wymaga „momentu zaufania”. Zaufanie było niejako wbudowane w sam akt zaproszenia, które jest skierowane do nieznajomych. Przecież trudno sobie wyobrazić sytuację, że gospodarze domu – otwartego dla uchodźców bez stawiania żadnych warunków – odmówią pomocy komuś, ponieważ będzie budził wątpliwości swoim wyglądem lub zachowaniem. Na pewno miały miejsce i takie przypadki. W wywiadach ich nie przytoczono. Odnotowaliśmy natomiast relacje domowników, którzy byli przygotowani i poczuli rozczarowanie, kiedy uchodźcy zrezygnowali tuż po zrobieniu wizji lokalnej. Nie skorzystali, widząc, że czegoś brakuje.

W wywiadach nie przewijał się temat zaufania lub jego braku. Nasi rozmówcy nie mówili o zaufaniu, które dało o sobie znać, skoro podjęli decyzję, aby udostępnić dom lub mieszkanie. Najlepiej oddaje to powiedzenie: „To się rozumie samo przez się”.

Odwzajemnienie

Goście podejmowali próby wyrażenia swojej wdzięczności. Przybierało to różne formy i miało charakter drobnych upominków, gestów. Przykładowo, w czasie pierwszej wizyty, kiedy spotkały się rodziny gospodarzy i gości w pełnym składzie, Artem poszedł do samochodu, aby przynieść w prezencie orzechy, które przyjechały do Polski całą drogę z Buczy. Kiedy

indziej rodzina Marii znalazła w gminnym sklepie sieciowym słodycze z ukraińskimi napisami i podarowała je dzieciom gospodarzy. Przy każdym spotkaniu był obfity i różnorodny poczęstunek i ciasta własnej roboty.

„Była taka jedna, dziwna sytuacja, znaczy dla mnie dziwna, że ta rodzina, którą goszczę, ona chyba chciała ewidentnie podziękować mi za tą pomoc, chociaż ja nigdy, ja w ogóle nie oczekuję, żeby ktokolwiek dziękował, nie, nie, to zupełnie nie, ale oni i to zrobili tak na swój sposób, bo oni mi kupili jakąś bransoletkę taką, czy coś, i tak w pudełku i tak, jak przysłałam do nich, to mi tak wręczyli i ja oczywiście podziękowałam, ale mówię: *Daria, nie wydawaj na mnie pieniędzy*, mówię: *Te pieniądze wam się...*, a to jeszcze były te początki, jak oni w ogóle nie zarabiali, mówię: *Daria, to ty trzymaj te pieniądze, wy potrzebujecie i wy będziecie potrzebowali...*”. (Zuza)

Troska

Troska to kluczowa wartość i wiodące uczucie towarzyszące gospodarzom udzielającym pomocy uchodźcom i uchodźczyniom. Daje się opisać na tyle sposobów, ile było jej przejawów w gościnnych domach. Mieści się w niej wiele stanów emocjonalnych: współczucie, czułość, empatia. Troska bywa praktyczna, kiedy polega na załatwianiu wielu spraw, na pomocy materialnej, na rozmowach o przyszłości. Jej przejawy stanowiło pomaganie w nawiązywaniu kontaktów z sąsiadami, branie na siebie odpowiedzialności za wiele większych i mniejszych problemów, z którymi borykali się goście. Troska to także wspieranie procesu usamodzielnienia uchodźców, którzy w końcu muszą stanąć na nogi.

„Bo oni naprawdę przyjechali, nie mieli niczego, łącznie z tym, że te dzieci w piżamkach do nas przyjechały, a to był luty, one miały piżamki na sobie, więc pierwszy tydzień to było naprawdę, jakby tak to odczuwam, pierwszy tydzień to było zdobywanie jedzenia dla nich wszystkich i ubrań dla nich wszystkich, więc była zbiórka u nas w pracy”. (Zuza)

Troska przekładała się na opiekuńczość i chęć zapewnienia gościom poczucia bezpieczeństwa. Empatia podpowiadała pomagaczom, że nie ma

nic ważniejszego niż domowa, rodzinnej atmosfera, choćby jej namiastka. Równocześnie, a może nawet w pierwszej kolejności, chodziło o potrzeby tak podstawowe, jak jedzenie, higiena czy ubrania, o które było względnie łatwo, bowiem wszędzie pomagacze organizowali zbiórki do tego stopnia skuteczne, że w pewnym momencie było za dużo ciuchów. Początek życia domowego był niezwykle ważny. Po pierwsze trzeba było pomóc uchodźcom wszystko „ogarnąć”, a po drugie dać poczucie, że nic im już nie grozi. Potrzebna była opiekuńczość i wzięcie za nich odpowiedzialności.

„No więc, to było bardzo angażujące na początku. Ja też być może z lekką przesadą, ale postanowiłem, że no chciałbym im pomóc we wszystkim, w czym mogę. W związku z tym, myślę, że półtora miesiąca spędziłem, po prostu zajmując się ich sprawami. Tak, no więc to było... Wypełniło się moje zaangażowanie w tę sprawę. Miało oczywiście różne etapy. Potem wyjechałem na wieś. Tam okazało się, że we wsi obok też są osoby z Ukrainy. Ostatnie dwa dni spędziłem z jedną z tych pań z kolei, którą zawiozłem na granicę, po coś tam. Ale pierwsze półtora miesiąca, no to było po prostu najpierw udostępnienie mieszkania, a potem jakby organizowanie im życia tutaj”.
(Ignacy)

„No to są, no ja też mam takie poczucie, że jeśli ja im ten dom zaoferowałam, no to jestem w pewnym sensie za nich odpowiedzialna, w sensie za to, żeby im się nie działo krzywda i żeby mogli sobie tutaj poradzić na miejscu”. (Zuza)

Przychodził jednak moment, kiedy – kierując się właśnie poczuciem odpowiedzialności – trzeba było, krok po kroku, przenieść na nich odpowiedzialność za własne życie. Na początku za drobne sprawy i stopniowo za coraz ważniejsze, aż do momentu rozstania i pełnego usamodzielnienia.

„Ja ich zapewniałem, że nawet jak wyjadę, to chętnie będę im pomagał, że mogę w czymś pomóc telefonicznie, a mogę kogoś poprosić, żeby mnie zastąpił w czymś. W dniu, w którym wyjeżdżałem, Wiktor, siedemnastoletni chłopak, który jest w moim mieszkaniu, zrobił sobie coś w nogę. Następnego dnia się okazało, że sobie ją złamał, więc organizowałem jakiegoś tam, nie wiem, lekarza, transport i tak dalej. Okazało się, że się da przecież, prawda? Więc to nie jest tak, że z dniem wyjazdu moja rola się

skończyła. Natomiast no tak, jakby na pewno jest ograniczona, na pewno na to starałem się ich przygotować, no i w końcu to jakoś przeprowadziłem, prawda? Myślę, że to też trwało. Trwało pewnie ze trzy tygodnie, takiego mówienia, że wyjadę za pięć dni, za tydzień i przekładania tego o kolejne”. (Ignacy)

„Mówię, że: *Ty musisz pójść, ja umówiłam ci spotkanie, ty musisz pójść i dowiedzieć się co i jak*, i tak właśnie robiłyśmy. Wszystkie sprawy takie tego typu, że ja właśnie robiłam ten pierwszy krok, umawiałam spotkanie, rysowałam mapkę, wysyłałam mapkę, jak dojeść, czy to do dentysty, bo trzeba było dentystę też znaleźć, czy na jakieś dodatkowe zajęcia dla tych, dla tych dzieci, bo też takie znalazłam im takie zajęcia dodatkowe, żeby też nie siedziały w domu, jak jeszcze szkoły nie ruszyły, i mówiłam: *Dobra, ja zrobiłam ten pierwszy krok, teraz wy musicie zrobić, teraz wy musicie pójść i tam powiedzieć, że no, że tam w takiej i takiej sprawie jesteście*”. (Zuza)

Trauma

Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy nagle opuszczamy dom, który przestaje być bezpiecznym schronieniem dla ludzi, zwierząt i rzeczy. Mamy jeden dzień, a może tylko kilka godzin na spakowanie się i porzucenie dorobku swojego życia.

„Domy to niezwykle skomplikowane składnice. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu okazało się, że wszystko, co się dzieje na świecie – wszystko, co zostało odkryte lub stworzone, wszystko, o co zażarcie się walczy – w ten, czy w inny sposób koniec końców łąduje w domu” (Brynson 2013, s. 13).

Porzucamy dom, jeszcze niedokończony albo całkiem nowy lub bardzo stary, w którym mieszkały kolejne pokolenia. Takim domem mogło być też mieszkanie, na które trzeba było wziąć kredyt spłacany w niemałym trudzie, aby również kupić meble i sprzęty. Rosyjski żołnierz lub najemnik, który wchodzi do takiego intymnego miejsca, weźmie z niego, co się da, a dom spali lub zdewastuje.

Sposobem na oswajanie lęku jest przywracanie normalności. Domownicy robią to w granicach swoich możliwości. Zaczynają od tego, że swój

dom czynią całkowicie otwartym. Nie można zrobić więcej, niż oddać klucze do domu nowym domownikom. Chodziło o to, aby goście-domownicy mieli poczucie, że mogą czuć się jak u siebie, ale także, że mogą liczyć na wszelką pomoc. Otwartość polegała na zapewnieniu braku kontroli i nie rozliczaniu za pobyt, tak jak to się dzieje w przypadku najmu. Nie było potrzeby umowy na piśmie, kaucji i przywołania ogólnie obowiązujących zasad. A więc goście nie czuli się najemcami, tylko uzyskali wszelkie prawa jako nowi gospodarze.

„Bo naprawdę, te ich rany, ale przede wszystkim rany psychiczne, to... Myślę, że bardzo, bardzo dużo złego ich musiało spotkać przy próbie po prostu wyjazdu z Ukrainy”.
(Klara)

„Więc pięć osób. Same kobiety. I były dwa albo trzy tygodnie i się rozjechały. Ja im kupiłam bilety do Gruzji i do Włoch. Teraz mieszkają tam dwie siostry. Jedna ma ze sobą syna siedmioletniego, a oprócz tego, dwudziestoletniego syna na Ukrainie, więc jest w kompletnej rozsypce. Jej siostra ma bliźniaki malutkie. I do tego mama tych dwóch sióstr”. (Helena)

Lęk, niepokój, smutek gości stawały się udziałem pomagaczy, szczególnie mocno, kiedy oddzieleni byli tylko ścianą. Uchodźcy przywożą ze sobą głęboką traumę, którą była najsilniej odczuwana przez pierwszą linię pomocy, czyli pomagaczy pracujących dzień i noc w punktach recepcyjnych, na dworcach i w noclegowaniach. Ta trauma nie mijała, kiedy bieżący znajdowali wyczekiwane schronienie. Wnosili ją ze sobą do swoich nowych domów.

„Dwie siostry z dziećmi, łącznie sześć osób. Są z Pawłogradu, czyli ze wschodu samego, więc one dopiero się teraz trochę pogodziły z tym, że nie wrócą. Znaczą, pogodziły, zrozumiały, że nie wrócą za szybko. Bo wcześniej to była mowa tylko o tym, że wrócą. Jedna z nich tylko jest tak ogarnięta, widać to po prostu. To jest mama malutkich bliźniaków, ona jest super. Taka straszna, straszna więc mi się z nią zawiązała i ona właśnie nie do końca wie, co robić, ale chce jechać dalej. Na początku wszystkie miały jechać dalej, ja im próbowałam załatwić wyjazd do Norwegii i się prawie udało. I wtedy powiedziały, że nie, bo nie znają języka. Tu znają język, tu sobie jakoś ułożą.

Nie mają żadnych planów. One są w rozsypce wszystkie. Nie są w stanie być w tym jednym mieszkaniu razem, pomimo że to siostry. Wiedzą wszystko. Wiedzą, kiedy co wybuchło, kiedy ich tory kolejowe, a kiedy sklep, do którego chodziły, a kiedy ich sąsiada zabili. Są w ciężkiej formie. Ja się boję, że się rozdziela”. (Helena)

Solidarność sieciowa

Poziom zaangażowania wolontariuszy we wsparciu podczas długoterminowych pobytów był bardzo różny, ale rodziny i znajomi osób goszczących przybyszów, próbowali się jakoś włączyć, odciążyć kogoś, kto „wziął sobie to na głowę”.

„Z kim nie rozmawiałem, ze znajomych, to proponowali mi jakąś pomoc. Myślę, że w części dlatego, że sami właśnie mieli potrzebę zaangażowania, w sensie tego, że widzieli, że jestem tym po prostu przytłoczony, prawda? Że... No, tak było, że ja, nie wiem, chodziłem spać o pierwszej w nocy, budziłem się o szóstej i robiłem, załatwiałem sprawy wyłącznie ich, prawda? Przez pierwsze pewnie dwa, trzy tygodnie, to było rzeczywiście z taką intensywnością. Więc moi znajomi pewnie to widzieli. Deklarowali mi jakąś pomoc, ja z niej nie korzystałem nigdy, poza sytuacją, w której nagle Basia wzięła część spraw w swoje ręce, po prostu, prawda? Deklarując też i dalszą pomoc, z której też chyba, jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie skorzystałem”. (Ignacy)

Zdarzało się, że decyzja o udostępnieniu mieszkania była odkładana z rozmaitych względów. Jeśli nawet w końcu nie okazała się pozytywna, to można było liczyć, że zaangażowanie pomagaczek i pomocaczy zostanie przeniesione na inne formy pomocy. Mogła to być zrzutka pieniędzy na zaopatrzenie, wożenie samochodem albo gotowanie. Małe grupy wspierały gospodarzy mieszkań dla uchodźców, choć się o to zwykle nie ubiegali.

„Ja się zaangażowałam bardzo szybko, pamiętam, że z tatą o tym rozmawiałam, rozmawiałam, opowiadałam mu, i tak rozmawiałam o tym z tatą i on najpierw się tak, nie wiem, czy to musiał przetrwać w głowie, czy co, ale nie, nie, jakoś nie mówił, że się chce jakoś zaangażować, nie mówił też, że w jakikolwiek sposób chce pomóc, a ja

też uważam, że każdy, no każdy robi to, co tam uważa za słuszne, ale potem, aha, potem się okazało, że jego brat, czyli mój stryj, przyjął pod swój dach tam ileś osób, nawet rodzin, tam chyba nie wiem, z dziesięć osób, z dwie rodziny, czy trzy ukraińskie, jak tylko mój tata się o tym dowiedział, to on bardzo szybko też, bo mój tata mieszka w Warszawie, ale ma jakby mieszkanie, które wynajmuje w Toruniu, ono stało puste, bardzo szybko po prostu powiedział: *To powiedz mi, jak tu, jak tu można pomóc, co tu trzeba zrobić, jak tu zaprosić kogoś do mieszkania?*”. (Zuza)

„Nie, w tej grupie [na Messengerze] nie. Chyba raczej w rodzinie. To też jest tak, że jak na przykład, nie wiem, dziewczyny ze szkoły usłyszały, że ktoś u mnie mieszka, no to od razu tam powiedziały: *Dobra, to daj znać. Jakby co, to coś możemy gotować.* Także nie. Znaczą, w tej grupie nie. Ja to w ogóle nie lubię na Facebooku się udzielać za bardzo, w związku z czym, tam się nie odzywałam. Chyba my tak dla siebie wewnętrznie byliśmy wsparciem”. (Dorota)

Kalkulacja

Temat pieniędzy wracał w wielu rozmowach z pomagaczami, bowiem goszczenie kogoś w domu wymagało systematycznego finansowania. Wiele rodzin ukraińskich nie miało żadnego źródła dochodów i jedynym źródłem pieniędzy były zapomogi z budżetu państwa, pieniądze od pomagaczy lub jakieś zasoby rodzinne, na przykład oszczędności. One jednak mogły starczyć tylko na określony czas.

„Jak myśleliśmy z Arturem, żeby wziąć osoby z Ukrainy, które uciekają przed wojną, nie myśleliśmy o tym, żeby brać za nich pieniądze. Bo wiemy, że państwo polskie daje. O tym nie myśleliśmy w ogóle, nawet tego nie wiedzieliśmy. Później dowiedzieliśmy się, ale rodzina, która mieszkała tutaj miesiąc, to my nie braliśmy za nią pieniędzy. Ale myślę tak, jeżeli państwo daje, to może nawet i należy wziąć, chociaż niektórym państwo zabiera, a niektórym daje. Nie wiem, czy to jest sprawiedliwe, czy nie, nie wiem. Ale teraz czwarta rodzina to trzeba wziąć. Ja myślę, że trzeba”. (Polina)

Dla wolontariuszek i wolontariuszy pieniądze na utrzymanie jednej lub dwóch osób mogły okazać się niewystarczające, zwłaszcza kiedy pojawiały się niecierpiące zwłoki wizyty i badania lekarskie albo potrzebny był specjalistyczny sprzęt dla osób z niepełnosprawnościami czy przewlekłymi chorobami.

„Ale jeżeli ktoś wyliczył, że czterdzieści złotych dziennie wystarczy na osobę, a nie był na rynku, tak zwanym bazarku i nie kupował, na przykład, dzieciom owoców, czy miodu, czy podstawowych warzyw, to nie wie, jakie są ceny”. (Krzysztof)

Niepewność jutra

Z upływem miesięcy, w połowie roku 2022, a na pewno w końcu lata było jasne, że goszcząc u siebie uchodźców, trzeba było mieć już jakiś plan. Znać odpowiedź na pytanie: co dalej? Właściciel gospodarstwa agroturystycznego w okolicach Warszawy był świadomy, że jego podopieczna zostanie na dłużej. Tym bardziej że nie mogła na nikogo liczyć w Ukrainie. W Polsce miała zapewniony dach nad głową dla siebie i swoich dwóch córek, z których jedna była niepełnosprawna.

„Ale też na przykład z góry powiedzieliśmy, że mogą zostać miesiąc, chociaż my powiedzieliśmy, że po tym miesiącu mogą zostać jeszcze kolejny miesiąc w razie czego, tylko chcieliśmy, bo na początku jakby tej pierwszej pani powiedzieliśmy coś, co jest chyba niebezpieczne, chociaż zawsze się mówi, zawsze tak było, że *Określ swoje zasady*, ale to jest, i ja o tym wiedziałam, ale to jest trudne. Że powiedzieliśmy *Czuj się jak u siebie, porozmawiamy o tym planie później*, nie? I, co dla niej może oznaczało, że może mieszkać pół roku, na przykład. A dla nas po tygodni: *Jaki masz plan? Żebyśmy weszli w to działanie, żebyśmy ci pomogli*, nie? No, nie wiem, ale, Boże, to tak brzmi z boku strasznie, ale my naprawdę jakby, ha, ha, nie wiem, ja nie czuję, żebym jakoś naciskała, to był po prostu taki, brak może jakiegoś takiego zrozumienia, że... I ona w pewnym momencie poczuła się zestresowana, ale nam o tym nie powiedziała”. (Weronika)

Frustracja

Źródeł pojawiającej się niejednokrotnie frustracji, po obydwu stronach – gospodarzy i gości, jest wiele. Uchodźcy doświadczali tylu cierpień, że trudno opisać, co może być dla nich źródłem niezadowolenia, wiążącym się z nowym domem. Jeśli znaleźli schronienie, to podejmują wysiłek przystosowania się, znalezienia pracy, szkoły dla dzieci, opieki medycznej. Nie zawsze się to udaje i sporo zależy od pomocy gospodarzy. Ci jednak z czasem zaczęli odczuwać utratę sił. Moment wyczerpania przychodził zaskakująco szybko. Koszty autentycznej, spontanicznej gościnności okazywały się wysokie, zwłaszcza wtedy gdy zamieszkiwano razem, dzieląc niewielkie mieszkanie i codzienne problemy.

Niektórzy nasi rozmówcy byli świadomi, że nie zadbali o swoje potrzeby, choć refleksja ta przyszła zbyt późno. Na początku marca mogło się wydawać, że udzielenie schronienia, to kwestia kilku miesięcy, „bo wojna się skończy”. Tymczasem w połowie roku 2022 wiadomo było, że tak się nie stanie. Przedłużająca się faza niepewności i zawieszenia niekorzystnie wpłynęła na wszystkich tych, którzy założyli, że „jakoś to będzie”, „jakoś damy radę”. W takiej sytuacji rozmowy o wyprowadzce nie były komfortowe. Jednak tematu nie dało się odsuwać w nieskończoność i stale powtarzać frazy „Czuj się jak u siebie, porozmawiamy o tym planie później”.

W skali ogólnopolskiej mieliśmy do czynienia z konsekwencjami wielkiego wydatku energii społecznej. Nastąpił spodziewany kryzys ofiarności. Szeroko otwarte drzwi, spontaniczna gościnność bez granic może zostać określona jako „łatwopalność” polskiego społeczeństwa, jak to określiła jedna z pomagaczek. Pozostaje faktem, że wielu uchodźców miało dzięki temu poczucie znalezienia domu, czyli powrotu do „znanego”. Kolejny etap to życie na obczyźnie albo powrót do Ukrainy, nieraz wbrew wszystkiemu. Nasz projekt tak daleko nie sięgał, ale można powiedzieć, że w końcu tragicznego roku 2022 nadal wszystko wydaje się możliwe. Także to, że Ukrainę, której infrastruktura energetyczna jest

stale niszczona przez Rosję, opuści kolejna grupa uchodźców szukających miejsc, gdzie można przetrwać zimę.

Nieunikniony moment wyczerpania spowodowanego wysoką temperaturą zaangażowania musiał przyjść wcześniej czy później. W jakiś sposób należało pochylić się nad rozwiązaniem problemu, bowiem ryzyko było obosieczne. Wolontariusz-gospodarz zaniedbywał siebie, swoje relacje, obowiązki rodzinne i zawodowe. Taki stan mógł doprowadzić do niespodziewanego pogorszenia kontaktów z gośćmi, którzy mogli nie być do tego przygotowani. Dla osób bezgranicznie pochłoniętych pomocą innym moment ten mógł nadejść bardzo szybko.

„Nie umiem tak dbać i stawiać na swoim, prawda? W związku z tym, na prawie wszystkie te oczekiwania się zgadzałem, a potem czymś to odchorowywałem. Ponieważ ja swojego życia, przez te półtora miesiąca, nie miałem, w dużej mierze z własnego wyboru, ale w którymś momencie to było już nie tylko z własnego wyboru, ale też z nieumiejętności odmowy, prawda? (...) Przez te półtora miesiąca nie widziałem się z nikim, poza Valerią i jej rodziną, z żadnym z moich przyjaciół, prawda? Bo nie miałem na to czasu. W dużej mierze z mojego wyboru, ale też jednak w jakimś momencie miałem wrażenie, że być może mojego uczestnictwa w ich życiu, mogłoby już być trochę mniej, prawda?”. (Ignacy)

„Bardzo szybko poczułam się bardzo zmęczona, bo, znaczy to jest tak, że ta pomoc, pewnie, gdybym zwróciła się do kogoś, tylko to są, no przecież nikt nie załatwi za nich numeru PESEL, albo nikt nie powie im, jak dojść do banku”. (Zuza)

Napięcia pomiędzy przybyszami i pomagaczami narastały z upływem czasu. Zdarzały się także pomiędzy „swoimi”. Wielu zasiedziałyich Ukraińców angażowało się w pomoc swoim rodakom. Ich możliwości przyjęcia kogoś pod dach były nader skromne, ale mieli już jakieś swoje miejsce w Polsce: pracę, jakieś lokum, kontakty, czasami znajomość języka. Przybysze tego wszystkiego nie mieli i mogli uważać, że dotknęła ich jeszcze i ta niesprawiedliwość.

„No, w ogóle ta rodzina, która teraz mieszka, czwarta rodzina, z Czernihowa, ona, mama, Anastasiia ma na imię, powiedziała mi tak, że *ty, Polina, jesteś z Wołynia i na*

Wołyniu jest cisza i spokój. Czyli w jej głosie ja usłyszałam, że ona mi robi jakieś wyrzuty, że coś zarzuca. Siedzieliśmy na ławce na dworze i ona mówi, że *ty masz wszystko, a ja zostawiłam, musiałam zostawić swój dom, swojego męża, swoją mamę, psa i kota i nawet nie wiem, czy będę mogła wrócić do domu.* Ja tak myślę, że jakieś pretensje mają do tych osób, które mieszkają w tych miejscowościach, gdzie nie ma wojny, gdzie jest cisza, gdzie jest spokój. I ona mi mówi, że *ty musisz mi pomóc*". (Polina)

Koszt, z którym wielu gospodarzy nie liczyło się w pierwszym okresie pomocy, to nadwyreżenie relacji budujących atmosferę domu: rodzinnych czy partnerskich. Nie zawsze wszyscy domownicy dzielali to samo zdanie co do zasad pomagania. Powrót do domowej równowagi, tego „co było wcześniej”, mógł okazać się trudny. Jego warunek stanowiła wyprowadzka gości.

„I się okazało, że ona – moja partnerka – chyba inaczej to sobie wyobrażała, więc myślę, że... Chyba nadal trochę jesteśmy w takim stanie, że to się odbija na relacji. Że nie możemy dojść do takiego ładu ze sobą. Ciekawa jestem, czy jak oni się wyprowadzą, czy to wróci na jakieś takie swoje tory, co będzie. Myślę, że (...) że na wielu relacjach małżeńskich, partnerskich się może to odbić. Że tu może być duży problem z tym, że część osób poszła w taką bezkrytyczną pomoc, część nie poszła w bezkrytyczną, część w ogóle żadną nie poszła, i myślę, że to trochę tak jak z pandemią, która też ludzi podzieliła, to będzie podobnie i tutaj”. (Klara)

Rozdział 6. Oswajanie *orbis exterior*

Przebywanie pod wspólnym dachem, tak jak wszystkie omówione dotąd sposoby pomagania, jest tylko jednym z rodzajów – i zarazem etapów – tego zjawiska. I tak jak we wszystkich innych rodzajach niesienia pomocy towarzyszą temu szczególne emocje i pojawiają się nowe sposoby doświadczania cudzej cielesności. Przy czym wśród tych nowych przeżyć są też stale obecne monitorowanie, moderowanie oraz ciągła autorefleksja nad trafnością czy słusnością podejmowanych działań.

Relacjonowane w wywiadach działania i obserwacje są więc niejako zanurzone w rozważaniach o własnym doznawaniu, a te zachowania i reakcje poddawane są nieustannej analizie i ocenie. Sprawia to, że badanie aktywności podejmowanych przez pomagaczy wymaga równoległego uwzględniania ich ulegających modyfikacji perspektyw, zmieniających się odczuć, a więc bynajmniej nie trwałych i nie jednoznacznych współczynników humanistycznych. W uzasadnianiu swoich decyzji, objaśnianiu skrajnych emocji, usprawiedliwianiu uświadamianych (nieraz z dezaprobatą) doznań czy tłumaczeniu motywacji osoby pomagające odwołują się do bardzo wielu uwarunkowań – osobowościowych, sytuacyjnych, ale też do historii oraz kultury i specyfiki charakteru narodowego.

Ten polifoniczny, pełen sprzeczności i podlegający ewolucji proces złożony z aktywności fizycznej i jednoczesnego zagłębiania się w wewnętrzne przeżycia zasługuje na wielowymiarowy, niejako partyturowy zapis, gdyż tylko taki może oddać całą złożoność i dynamikę zjawiska. Tę użytą w odniesieniu do wcześniejszych etapów pomagania metodologię trzeba także zastosować, przystępując do analizy kolejnego, końcowego etapu, a więc do rozpatrzenia zachowań podejmowanych z intencją przywrócenia uchodźców światu zewnętrznemu wraz z towarzyszącymi im doznaniem i odczuciami.

Analogicznie jak miało to miejsce na każdym poprzednim etapie (na granicy, w punkcie recepcyjnym, w ośrodkach dla uchodźców), również

przyjęcie do siebie do domu osób z Ukrainy motywowane było zapewnieniem im azylu przed światem zewnętrznym, który tak brutalnie wtargnął w ich życie prywatne, ale nie oznaczało stworzenia w pełni izolowanej enklawy, ani tym bardziej możliwości pozostania w niej na zawsze. Chodziło tu raczej o zapewnienie najbardziej dogodnych warunków dla odreagowania stresu, o odbudowanie poczucia bezpieczeństwa, ale – co najważniejsze – o umożliwienie odzyskania samodzielności, a więc ponownego włączenia w *orbis exterior*.

W tym złożonym przedsięwzięciu pomagacze stają się wszechstronnymi „ogarniaczami życiowymi”: z jednej strony udzielają pomocy materialnej i niezbędnego wsparcia psychicznego, ale z drugiej strony muszą w imieniu ukraińskich gości bezustannie kontaktować się z szerszym otoczeniem, zwłaszcza z instytucjami, i stopniowo uczyć tego samego swoich podopiecznych.

Tę dwoistość sytuacji dobrze ilustrują fragmenty zaczerpnięte z jednego z wywiadów. Przede wszystkim, jak opowiadają rozmówcy:

„Staramy się dawać, nazwijmy to, pomoc psychologiczną, to znaczy nie stawiamy między nami barier, rzeczywiście staramy się, żeby oni tu czuli się jak u siebie w domu. Marija na początku płakała co chwilę, chociaż starała się to ukrywać, bo jest to taka osoba – i dobrze wychowana, i taka starająca się nie stwarzać problemu. Z czasem zauważyłam, że jest po prostu coraz większe poczucie bezpieczeństwa i taka naturalność u nich. Że bardziej się otwierają. Myślę, że teraz jest już dużo lepiej. W którymś momencie jakby odpuścili. Poczuli się jak u siebie, rzeczywiście. Dzieci się stały bardziej normalne, jak się śmieją, to się śmieją. Dzieci się tu bardzo dobrze odnalazły, odnalazły się w szkole. My mamy z nimi fantastyczną komunikację i myślę, że oni tutaj też bardzo dobrze się czują”. (Elżbieta)

Ale jednocześnie oczywiste jest, że należy zadbać o możliwie szybkie załatwienie:

„Wszystkich spraw urzędowych, wszystkich PESEL-i, wszystkich możliwych działań, które są dla tych osób przewidywane. Więc załatwiliśmy to naprawdę bardzo szybko,

w zasadzie w ciągu tygodnia, łącznie ze szkołą. Dzieci były zapisane do szkoły, z obiadami, wszystkie PESEL-e, wszystkie 500+, wszystko, co się po prostu dało”. (Elżbieta)

Ta druga strona goszczenia u siebie zasługuje na osobną analizę, co jednak wymaga dokonania kilku operacji kompozycyjnych i koncepcyjnych. Oto bowiem na tle scharakteryzowanych już zjawisk składających się na ogólny fenomen i proces pomagania uchodźcom z Ukrainy, a nawet w obrębie pewnej formy tej pomocy, jaką jest przyjmowanie obcych ludzi pod swój dach, trzeba będzie wyodrębnić i opisać tylko jeden z aspektów tego „goszczenia”, a mianowicie owo tytułowe „oswajanie *orbis exterior*”, mediowanie ze światem zewnętrznym.

Tyle, jeśli chodzi o ustalenia tematyczne, o wyznaczenie zakresu poniższych rozważań. A co z kwestiami warsztatowymi: z aparaturą pojęciową, która dostarczy „rusztowania” dla prowadzonych rozważań? Co wreszcie z teorią, która choć – zgodnie z powyższymi założeniami – powinna wyłonić się na końcu gruntownej analizy materiału, to jednak – z uwagi na fakt, że badacz nie jest nigdy *tabula rasa* – nierzadko pojawia się dużo wcześniej, interweniując już w proces gromadzenia, opisu i analizy danych?

Zaczynając od pojęć i terminów (z pełną świadomością, że nawet one nie są neutralne, ponieważ zawsze odsyłają do ogólniejszych założeń), warto wymienić tu kilka kategorii, które pozwolą w badanym wycinku rzeczywistości wydzielić pewne jej obszary wraz z przynależnymi im elementami, a także wskazać podstawowy mechanizm łączący te heterogeniczne elementy w jeden – płynny, czasem chaotyczny, a czasem bardziej skoordynowany, raz nacechowany brakiem, a za chwilę nadmiarem – podsystem ogólniejszego zjawiska. Tym najważniejszym mechanizmem, najogólniejszą zasadą funkcjonowania zarówno całego systemu, jak i jego części, wydaje się właśnie „oswajanie” polegające w istocie na ustawicznym pośredniczeniu, mediowaniu między *orbis interior* a *orbis exterior*, zaś wskazany podsystem jest oczywiście składową całego systemu, który można nazwać „uniwersum pomagania”.

Uniwersum pomagania – ontologia

Uniwersum pomagania to system otwarty, stanowiący jednak spójny zbiór, całość złożoną z nader różnych elementów o rozmaitych właściwościach. Elementy te pojawiają się na wszystkich etapach pomagania, ale na każdym z nich funkcjonują nieco inaczej. Są to przede wszystkim zasoby: po pierwsze ludzie (*res corporales* – jak to określała starożytna systematyka Gaiusa z Hierapolis, przejęta następnie przez Kościół i średniowieczne instytucje świeckie), którzy mają chęci bądź potrzeby, są w posiadaniu określonych informacji lub ich poszukują, dysponują pewną liczbą określonych dóbr, czasu, sił fizycznych i energii psychicznej w przeciwieństwie do tych, którzy cierpią na ich deficyt.

W dalszej kolejności trzeba wskazać zbiór rzeczy i miejsc (*res incorporales*) o określonych właściwościach: domy i mieszkania dające schronienie, odzież okrywająca ciała, produkty spożywcze i lekarstwa podtrzymujące funkcjonowanie organizmów, a także narzędzia, które pozwalają komunikować się, przysyłać wiadomości i koordynować działania (telefony, Internet, tabele w Excelu) albo też umożliwiają przekazywanie ludzi z granicy do ośrodków lub prywatnych domów (samochody osobowe, ciężarówki, pociągi i samoloty) oraz dostarczanie przedmiotów, w które muszą oni być zaopatrzeni.

Wreszcie są to działania (*actions*) – sposoby posługiwania się wszystkimi wymienionymi zasobami. Działania te w głównej mierze polegają zaś na pośredniczeniu, inaczej – mediowaniu.

Ludzie

Zgodnie z pokutującym wciąż w naukach społecznych przesądem, zwanym też zabobonem, zacząć trzeba od *res corporales*, czyli od ludzi i ich atrybutów: motywów, postaw, opinii, emocji, energii psychicznej i fizycznej. „Człowiek żyje wprawdzie w przyrodzie, ale do przyrody nie należy. Jest czymś wyniesionym ponad wszystko inne” Bocheński 1992, s. 56).

Ludzie „z pierwszej linii frontu”, a więc wolontariusze zaangażowani w pomaganie – co dokładnie przeanalizowano we wcześniejszych częściach opracowania – uznają swoje zaangażowanie za oczywistość („Taki naturalny odruch” – Aleksandra; „Robiłam to z potrzeby serca” – Beata; „Chęć niesienia pomocy” – Anna; „To było oczywiste, że trzeba coś zrobić” – Jagoda). Bezwarunkowość, bezrefleksyjność, a nawet pewien automatyzm tej decyzji jest cechą uderzającą na pierwszym etapie udzielania pomocy – na granicy, na dworcach, na wydawkach, na infoliniach i na platformach internetowych.

Siła tego imperatywu kategorycznego jednak słabnie z upływem czasu, a powodem jest po prostu wyczerpanie („Na początku to było non stop, na takiej adrenalinie się działa” – Aleksandra; „To jest przyjemnie pomagać, taki zastrzyk oksytocyny” – Ewa; „Ja na początku miałam trzy fronty” – opowiada osoba działająca na dworcu, goszcząca uchodźców u siebie w domu, a dodatkowo organizująca kontakt z zagranicą; „Rozchorowałam się, ponieważ ewidentnie mój organizm powiedział: hola, hola, hola, tak się nie da żyć przecież, musisz uspokoić się troszeczkę” – Zuza; „Wszyscy bardzo zachwycają się, jednak jest to dość trudne, ale teraz skala nas przerosła” – Inna).

Lecz zdarza się i tak, że wybrana forma pomagania nie od razu okazuje się tą najbardziej odpowiadającą osobistym predyspozycjom i trzeba szukać innych.

„Chcę pomagać, ale żeby mnie nikt nie widział, nie chcę tych wszystkich podziękowań, dla mnie to niepotrzebne, chciałabym, żeby nie wiedzieli, że pomagam”. (Milena)

„Zgłosiłam się do różnych baz, zgłosiłam się do bazy Fundacji Ocalenie, że jestem gotowa być w transporcie. Zgłosiłam się do zbiórek. Potrzebowałam jakiegoś bardzo konkretnego, stricte fizycznego działania. Przeprowadziłam jeszcze ze sobą dialog wewnętrzny, czy jestem gotowa na to, żeby zaprosić uchodźców do siebie do domu. I stwierdziłam, że nie jestem gotowa akurat na to rozwiązanie, więc wymyśliłam inne formy, właśnie takie, jak chociażby transport czy zbiórki, które mogłyby w tym momencie odpowiadać na potrzeby osób potrzebujących i jednocześnie nie przekraczać moich granic”. (Aga)

Dodatkowym czynnikiem zmuszającym do większej rozważliwości przy wyborze sposobu aktywności jest więc ocena własnego potencjału, z kolei specyfika poszczególnych sposobów działania buduje ich hierarchię wraz z określonym wartościowaniem. Wrzucenie czegoś do puszki jest uznawane za najprostszą i najłatwiejszą reakcję. Dużo trudniejsza jest praca wolontariusza organizującego ewakuację albo udzielającego się w punkcie recepcyjnym, np. na dworcu. Nawet jednak ta działalność, choć „jest to praca na full time, na pełen etat, 24/7” i oznacza stres, frustracje, depresję, a nawet może prowadzić do „wypalenia” i „załamania”, to jednak nie oznacza ryzykowania życia, jak w przypadku osób jadących na Ukrainę i przywożących stamtąd uchodźców.

Zupełnie szczególnym rodzajem aktywności jest natomiast przyjmowanie obcych ludzi do własnego domu i nie tylko dlatego, że pociąga za sobą codzienne uciążliwości i skrupowanie w sferze traktowanej jako najbardziej prywatna i intymna („To było dla nas wyzwanie emocjonalne. Oddaliśmy część swojej przestrzeni, ale też część swojego życia i obcy ludzie wkroczyli na nasz teren” – Dorota) czy dodatkowe zobowiązania („Poczułem się za nich jakoś odpowiedzialny, że muszę wziąć ich pod swoją opiekę” – Ignacy). Owa odpowiedzialność oznacza nie tylko poczucie powinności zapewnienia gościom rzeczy elementarnych – dachu nad głową i wyżywienia, wsparcia psychicznego i poczucia bezpieczeństwa, ale też nierzadko zaopatrzenia ich w odzież, a w nagłych przypadkach zapewnienia pomocy lekarskiej.

Do tego dochodzi jeszcze jeden obowiązek – wzięcie na siebie roli pośrednika, mediatora ze światem zewnętrznym. Pewnie dlatego goszczenie uchodźców jest uznawane za „Najtrudniejszą formę pomocy” (Zuza), ponieważ zakłada nie tylko bardzo wyczerpującą pracę emocjonalną i organizacyjną w zaciszu domowym, ale też wyłożoną aktywność w świecie zewnętrznym – w otoczeniu społecznym oraz instytucjonalnym.

Z tych właśnie powodów osoby, które zdecydowały się na ten krok, musiały dokonać szczególnie wnikliwej oceny nie tylko będących w ich dyspozycji zasobów materialnych, ale przede wszystkim swojej odporności psychicznej i zasobów czasu wolnego (wzięcie urlopu z pracy na

kilka tygodni okazywało się najczęściej niewystarczającym rozwiązaniem). Oczywiście, zdarzały się też lekkomyślne decyzje, skutkujące już po krótkim czasie ogromną frustracją i koniecznością rezygnacji, ponieważ „Ludzie już się wypstrykali z tej energii i się zmęczyli” (Jagoda), ponieważ „Pootwierali domy, bardzo często nie myśląc, jakie są tego konsekwencje” (Ela), a potem dopiero: „Niech mi Pani weźmie ich z domu, bo ja oszaleję. Ja nie wiem, na co ja się dałam namówić. Przerosło nas to, nie dajemy rady” (Ela).

Takie sytuacje są przestrogą przed pochopnym krokiem i skłaniają do gruntownego namysłu, który może prowadzić do zmiany planów.

„Strasznie mnie wkurzają takie fizjologiczne różne rzeczy, a jak się mieszka z obcymi ludźmi pod jednym dachem, no to siłą rzeczy ta fizjologia po prostu jest”. (Ewa)

Nie należy pomijać ani bagatelizować takich świadectw, ponieważ przypominają one, iż w relacjach społecznych liczą się nie tylko abstrakcyjne wartości, zasady i normy, ale też doznania sensoryczne. Zatem dzieje się dokładnie tak, jak w szkicu *Socjologia zmysłów* pisał Georg Simmel: „Kwestia społeczna poza swym wymiarem etycznym to także kwestia nosa” (Simmel 2006, s. 201) – nosa, ale również wzroku, dotyku czy smaku...

Przypadki gruntownie przemyślane – i to pod każdym względem, ponieważ z punktu widzenia zarówno możliwości finansowych czy materialnych, jak i własnej wrażliwości – rokują lepiej, i to dla obu stron: dla goszczących i dla gości, jak w przypadku Elżbiety:

„(...) pomagam tyle, ile mogę i czuję się z tym spokojna. Obie strony dają sobie pewien zakres prywatności. Mam pokój, w którym mogę się zamknąć”. (Elżbieta)

Z przytoczonych wypowiedzi widać dobrze, iż branie na siebie roli gospodarza, z czym zazwyczaj wiąże się funkcja „ogarniacza życiowego”, jest stosunkowo bardziej wy kalkulowane niż spontaniczne. Mówiąc innymi słowami, choć wynika z odruchu serca, to jednak powinno być podporządkowane dwóm zasadom: ekonomii i etykietce pomagania.

Ekonomia pomagania nakazuje dobrze się rozeznąć w swoich możliwościach i przyzwyczajeniach, ponieważ przyjęcie obcych ludzi do własnego domu oznacza (choć nie w każdej sytuacji, ponieważ bywa i tak, że „Jakby oni nie siedzą nam na głowie – mają niezależne wejście, mają swoją kuchnię, swoją łazienkę. To nie jest codzienność razem” – Justyna), to jednak najczęściej dzielenie się swoją prywatnością, a to „Nie dla każdego jest do przełknięcia” (Anna).

Dlatego tak ważny jest namysł i autorefleksja.

„Żeby pomóc, trzeba to robić z sensem”. (Elżbieta)

„Zrobiłam tylko to, co nie przekracza mojej granicy komfortu”. Weronika

Trzeba też umieć dokonać wyboru odpowiedniego typu ludzi, w przeciwnym wypadku sytuacja może okazać się wysoce niekomfortowa.

„No bo różny tryb życia ludzie prowadzą. Nie każdy jest gotowy na przyjęcie malucha”. (Dorota)

„Jestem relatywnie mało «dzieciowa». Po prostu nie mogę. Nie moja para kaloszy. To chciałam wykorzystać jakoś inaczej ten swój zasób energii”. (Aga)

„Super, serce mieć. Ale za Chiny! Jak to jest matka z demencją, a do tego syn psychicznie chory na wózku i płacz: *Pani mi do łazienki nie wchodzi, nie ma jak się umyć, ojciec nie kąpany od dwu tygodni*”. (Ela)

Etykieta pomagania jest nie mniej ważna, wymaga bowiem delikatności i taktu od obu stron. „Było trochę napięcia. No bo ani my nie wiedzieliśmy, jak się zachować, oni też nie wiedzieli jak” (Dorota). Z jednej strony pragniemy przecież gościom okazać ciepło, spędzać z nimi czas, ale z drugiej trzeba „być jak najmniej inwazyjnym” (Ewelina), nie należy „przytłaczać ich swoją obecnością. Może chcą pobyć sami. Chciałem im trochę przestrzeni zostawić” (Ignacy); goście powinni więc poczuć się „jak członkowie rodziny”, ale jednocześnie trzeba „dawać im prywatność, żeby sobie nie wchodzić na głowę” (Elżbieta), gdyż oni też potrzebują „swojej przestrzeni” (Dorota).

Dużo kontrowersji wzbudza również podział ról: kto ma gotować, prać, sprzątać, za czyje pieniądze będą robione codzienne zakupy, no i jak reagować w przypadku naruszenia nieustalonych, ale oczywistych, jak się zakłada, reguł współżycia.

„Trudno się z tym dogadać. Ja robię jedne zakupy i one sobie stamtąd biorą, jak chcą sobie coś innego ugotować. Znaczą niekiedy to ja gotuję, no to więcej gotuję i im daję. Dzisiaj kupiłem jakieś kurczaki, no to muszą sobie same zrobić, ale dla mnie już nie muszą robić, broń Boże. Ale trudno im dogodzić. Wczoraj ugotowałem zupę rybną, no to jedna zjadła, druga nie. Bardzo mięsożerni oni wszyscy są”. (Jan)

„Najpierw z początku byłam zła, bo przyjechała obca osoba i chce rządzić w moim domu. Mówi: to nie tak, wanna nie taka, pralka nie taka, suszarki do włosów nie miałam, też – nie powiem, że zarzuciła, ale jakoś tak”. (Polina)

Etykieta pomagania dotyczy też zakresu ingerencji, na przykład nie należy zbyt wiele narzucać gościom, jeśli chodzi o ich osobiste kontakty czy sposób spędzania wolnego czasu. Te obszary pozostawiane są najczęściej do wyłącznej ich dyspozycji.

„Nadal robię ten sam błąd, bo ja oczywiście znajduję im milion atrakcji, żeby nie siedzieli w domu. Dzwonię do tej Darii, mówię: *Daria, kajaki, coś tam* i dopiero jakiś czas temu uświadomiłam sobie, że oni mogą być zmęczeni, oni pracują przecież ciężko. Że to ja bym chodziła na te wszystkie atrakcje kulturalne, ale że oni niekoniecznie chcą chodzić. Czyli mogę im powiedzieć, że jest taka możliwość, dać im informację, ale co oni z tym zrobią, to już jest ich sprawa”. (Zuza)

Chociaż niejednokrotnie czynione są wysiłki mające na celu integrację gości z otoczeniem, lepsze poznanie się lub zorganizowanie im wolnego czasu.

„Raz spotkanie wspólnie zrobiliśmy, żeby te dziewczyny się poznały, to zawsze im będzie rażniej; tutaj też dużo zajęć dla dzieci robię i mam nadzieję, że one [dzieci Ukrainki przyjętej na kwaterę] będą mi towarzyszyć w tym. A nie tylko będą siedzieć i gapić się w komórkę, jak to młodzież w tym wieku. Że je trochę wyciągnę i że znajdę więcej kontaktu. Już tam jedną wziąłem gdzieś na ognisko, a to [mój syn] do [pobliższej miejscowości] wziął”. (Jan)

Zdecydowanie inaczej rzecz się ma ze sprawami dotyczącymi załatwiania formalności albo poszukiwania pracy. Tutaj w większości przypadków stanowisko gospodarza jest jednoznaczne i o wiele bardziej stanowcze: goście powinni się wykazać możliwie dużą samodzielnością. Dlatego nierzadko sam ogranicza się do pozyskiwania informacji czy umówienia spotkania, a następnie będzie oczekiwać, by osoby, których to dotyczy, próbowały same zadbać o swoje sprawy. W takich przypadkach pośredniczenie staje się raczej inicjowaniem i zachętą, niż prowadzeniem za rękę i wyręczaniem we wszystkim.

Rzeczy

Ekonomia pomagania i etykieta pomagania dotyczą też przedmiotów (*res incorporales*) znajdujących się w domu, gdzie przyjęto uchodźców. Podobnie jak w punktach recepcyjnych, na dworcach i na wydawkach, w takim gościnnym domu może być czegoś za mało (zwłaszcza odzieży, ponieważ „W tych węzłkach nie ma za dużo” – Wiera), ale przecież zawsze można „skołować te ciuchy”, to znaczy pobrać z punktu pomocy lub dokupić; potrzebne elementy wyposażenia, np. biurko dla dziecka też można nabyć i to nawet w odpowiednim do wieku dziecka rozmiarze; trudniej bywa z zapewnieniem basenu ogrodowego lub rowerka, zwłaszcza jeśli koniecznie ma być w kolorze różowym.

W miejscach publicznych, gdzie udzielana jest uchodźcom pomoc, a zbiórki nie zawsze są koordynowane, raz czegoś brakuje, ale innym razem pewnych produktów jest w nadmiarze.

„Sprzętu było po kokardę”. (Ela)

„Stosy żarcia”. (Aga)

„Mieliśmy za dużo ciasteczek, za dużo tej pościeli, za dużo tego dobra”. (Jagoda)

„Jedzenie było wyrzucane, wylewane, już tego jedzenia było tyle, że uchodźców jeszcze tyle nie było”. (Inna)

Natomiast w prywatnych domach z reguły nie gromadzi się zbyt dużo zapasów codziennych produktów, zwłaszcza artykułów spożywczych. W przypadku żywności zazwyczaj preferuje się więc najczęściej podział na produkty nabywane dla gospodarzy i dla gości, nawet jeśli zdarza się wspólne czy naprzemienne gotowanie posiłków.

„Raz Marija gotuje, raz ja gotuję, nie ma czegoś takiego, że ktoś komuś służy”.
(Elżbieta)

Jak się wydaje, o wiele trudniejsze bywają sytuacje, gdy sprzęt i inne rzeczy należące do gospodarzy nie są gościom ofiarowane na własność ani nawet pożyczone (bo tylko w tych przypadkach dany przedmiot „z mojego staje się twoim”, czyli *mutuum – ex meo tuum*), a jedynie używane do użytkowania (*ususfructus*, według precyzyjnych, a dziś już zartowanych, więc nic dziwnego, że budzących nieporozumienia, rozróżnień Izydora z Sewilli), ponieważ wtedy ich uszkodzenie bądź zniszczenie musi budzić negatywne emocje.

W jednej z relacji punktem spornym okazały się nietrwałe sprzęty w udostępnionym mieszkaniu i popsucie komputera:

„Tam jest 6 osób na 36 metrach i zdawałam sobie sprawę, że tam coś może się zepsuć, ale zauważyłam, że oni po prostu bardzo dużo niszczą rzeczy, że tam podłogę porysowali, a jeszcze ktoś usiadł na jakimś meblu i go w ogóle rozwalił, że np. zepsuł się komputer i oni nie powiedzieli mi, że się zepsuł...”. (Zuza)

Inna z opowiedzianych historii pokazuje złożoność doświadczeń związanych z dzieleniem wspólnej przestrzeni oraz rzeczy nieprzekazanych jako dary, ale jedynie wspólnie używanych. Codzienne życie pod jednym dachem obfituje w takie spięcia, a ich rozładowanie angażuje wiele osób i przebiega etapami, z których każdy nasycony jest silnymi emocjami.

„Było kilka trudnych sytuacji. Nasze dzieci bardzo dbają o swoje rzeczy. Jak im się zdarzy zniszczyć jakąś rzecz, no to dbają, żeby ją naprawić, a ten chłopiec, który był u nas, nie ma takich nawyków. I było kilka takich sytuacji, że on poniszczył jakieś zabawki Tomkowi. Z jednej strony Tomek wie, że są to nasi goście. Z drugiej strony

jest nadal tylko dzieckiem i to są jego rzeczy i on je wszystkie oddał z otwartym sercem, ale oddał je z myślą, że nadal są jego, a nie że zostanie to zniszczone. No, dla Tani to było trudne. Poważną rozmowę miała z tym swoim synem. Ona go tam wzięła, obsztorcowała. On potem przyszedł przeproszać, więc ja jej mówię: Tania, wiemy, że to było niechcący. Ona mówi, że ona wie, ale ta jego bezmyślność, on też się musi nauczyć. No i ustaliła z nim, że on przyjdzie, przeprosi naszego syna. No i on przyszedł, przeproszał, przeproszał i nie wiem, czy to jego był pomysł, czy jej, że on w zamian za to odda jedną ze swoich zabawek Tomkowi, żeby Tomek sobie wybrał. No i jak on to powiedział, to Tomek natychmiast powiedział, że nie, że on nie chce żadnej zabawki. A potem wieczorem siedział i wył, że jak to możliwe, że on wziął ze sobą tylko trzy zabawki, a przyszedł do niego... [żeby jedną z nich oddać]". (Dorota)

Mediowanie

Poczucie odpowiedzialności jest często deklarowane przez pomagaczy udzielających gościny.

„Skoro im zaoferowałam dom, to jestem za nich odpowiedzialna, jestem za nich odpowiedzialna w sensie, żeby im się nie działa krzywda i żeby mogli sobie tutaj poradzić na miejscu”. (Zuza)

Podobnie często wskazywane są nieporozumienia wynikłe ze wspólnego korzystania z jednej przestrzeni albo używania tych samych przedmiotów.

„Chce się pomagać, a jednocześnie ma się dosyć tych ludzi”. (Jagoda)

Do tego dochodzi także całe to zmęczenie codziennymi uciążliwościami, tęsknota za własnym domem i obawy, że może „nigdy nie wrócę do niego” – Zuza; marzenie o tym, że „znów mogę wejść do mojego pokoju, położyć się w moim własnym łóżku, zrobić mój codzienny wielki bałagan i nie spinać się z tym wszystkim” – Dorota.

Jednocześnie pomagacze przekonująco tłumaczą, dlaczego rola gospodarza obejmuje także wiele działań wykraczających poza *orbis interior* i sprawia, że jego najszerzej rozumianym zadaniem jest bycie całościowym

„ogarniaczem życiowym” (Zuza) w odniesieniu do osób przyjętych pod swój dach.

Wprawdzie sprawę stawia się najczęściej następująco:

„Dostały dziewczyny dwa pokoje u nas w domu, w którym mieszkamy. No i powiedzieliśmy im, że mogą mieszkać, ile chcą, że dostaną jeść – i tyle. A jak długo to będzie trwało, no to nikt nie wie”. (Jan)

Oczywiste jest, iż ten czas goście powinni przeznaczyć na zdobycie pracy i usamodzielnienie się. Najważniejsza bodaj funkcja „ogarniacza życiowego” polega więc na mediowaniu ze światem zewnętrznym, czyli na torowaniu uchodźcom drogi przez i ku *orbis exterior*, z racji tego że prędzej czy później będą musieli do niego wrócić.

Już na początku trzeba zaznaczyć, że w ogólnym sensie tego słowa pojęcie mediowania nie odnosi się tylko do działań podejmowanych przez udzielających gościny, ponieważ dotyczy wszelkich rodzajów aktywności związanych z szeroko rozumianym pomaganiem. Do tej formy działań należy decyzja o udostępnieniu numeru swojego prywatnego telefonu na jakimś forum organizującym pomoc dla uchodźców i w konsekwencji pozyskiwanie i przekazywanie dalej informacji (Aleksandra). Za mediowanie można też uznać przyssanie się do komputera w roli ogniwa większej sieci pomagających (Ewa) albo wiszenie na telefonie („Rano wstaję, odpalam telefon” – Ela). Podobnie jak korzystanie z Messengera, WhatsAppa, „wrzucanie na fejsa”, tworzenie grup, infolinii i portali, wypełnianie tabel w Excelu.

Mediowanie lub inaczej pośredniczenie oznacza zatem zawsze zgodę na „usieciovienie” z wszelkimi tego pozytywami (dostęp do innych, ich informacji oraz zasobów), ale też negatywami (udostępnienie swoich danych, swojego czasu, kontaktów, dóbr), a więc: wejście w sieć powiązań, zaangażowanie się w znalezienie odpowiedniej grupy i wzięcie na siebie funkcji łącznika, rzecznika i reprezentanta uchodźcy, całej rodziny uciekinierów lub nawet większej grupy osób w potrzebie, np. niepełnosprawnych.

Tak relacjonują to nasi badani:

„[Chodzi tu o] (...) uruchamianie sieci znajomych, którzy po prostu nawzajem mogą sobie pomagać”. (Jagoda)

„Każdy zna kogoś, kto może znać kogoś”. (Paweł)

„Mam znajomych, którzy mają znajomych; pani Grażyna dała mi kontakt do Weroniki, a Weronika to jest znajoma mojej znajomej i ona mi przekazała kontakt do kilku osób”. (Oksana)

„[Ta] (...) sieć kontaktów pomaga”. (Karolina)

„[Nawet jeśli] (...) piszesz do osób, których nie znasz, ale są po poleceniu, pytasz, czego potrzebują, w Charkowie, w Czerkasach, jeszcze gdzieś. I po prostu nagle pojawiają się ciężarówki, ktoś tam jedzie, ktoś coś zawozi. Mnóstwo nieznanych ludzi”. (Oksana)

Sieć zatem działa: łączy ludzi (pomagaczy z innymi pomagaczami i z potrzebującymi pomocy), przekazuje informacje (od tych, którzy je posiadają, do tych, którzy na nie czekają), służy także gromadzeniu i przemieszczaniu rzeczy (zmieniają one swoje miejsce i od osób dysponujących nimi trafiają do osób, którym są niezbędne), jednym słowem – uruchamia i mobilizuje wszelkie zasoby materialne i niematerialne.

Mediowanie realizowane przez osoby udzielające gościny jest zatem tylko fragmentem ogólnego zjawiska, a jego wyjątkowość polega na tym, iż to, co robią wolontariusze jako wyspecjalizowane elementy większej sieci, z których każdy odpowiada tylko za określone sprawy, w tym przypadku oznacza jednoosobową wielofunkcyjność, w dodatku nakierowaną na zaspokojenie wszystkich potrzeb gości.

Oczywiście także mediatorzy dysponują jakąś siecią powiązań, która ułatwia im zadanie. Najczęściej jest to rodzina gotowa do wsparcia w nagłej sytuacji lub do przejęcia na dłużej części obowiązków. Może to być przyjęcie przez rodziców na powrót do domu dorosłego dziecka, które oddało uchodźcom swoje mieszkanie, albo sfinansowanie przez córkę wizyty u specjalisty i badań w prywatnej służbie zdrowia dla Ukrainki mieszkającej u jej rodziców. Badani wspominali o dostarczaniu posiłku dla gości albo zaproszeniu wszystkich na śniadanie czy obiad do

brata. Oczywiście było obdzwanianie znajomych w związku z jakimś konkretnym zapotrzebowaniem: na gotówkę, sprzęt rehabilitacyjny, recepty czy konieczny kontakt z instytucją lub wskazaną osobą.

Istotnymi węzłami sieci są też przyjaciele i koledzy z pracy („Z kim nie rozmawiałem ze znajomych, to proponowali mi jakąś pomoc” – Ignacy), a także sąsiedzi skłonni do zorganizowania składki i zrzutki na jakieś nieprzewidziane potrzeby.

Niemniej główny ciężar tak goszczenia, jak i mediowania spoczywa na barkach gospodarzy, a złożoność tego drugiego zadania dobrze ilustruje choćby samo wyliczenie instytucji, które trzeba odwiedzić.

Według metodycznej relacji jednego z rozmówców, wszystko zaczyna się od wizyty w najbliższym urzędzie miejskim (w przypadku Warszawy był to Stadion Narodowy), aby wyrobić przybyszom numer PESEL. Na szczęście otrzymanie numeru identyfikacji osobistej trwa zaledwie 5 dni. Następnie trzeba pomóc w założeniu Profilu Zaufanego i konta bankowego – zajmuje to kilka godzin. W tych wszystkich czynnościach obecność gospodarza jest przydatna, a nawet niezbędna, ponieważ ważne jest nie tylko to, by gościa dowieźć na miejsce, ale też wypełnić za niego dokumenty (chodzi tu o barierę językową – nawet jeśli osoba z Ukrainy potrafi porozumieć się po polsku, w urzędach pozatrudniano tłumaczy, to najczęściej pisze ona tylko cyrylicą).

Ten pierwszy etap zapewniający uchodźcy znalezienie się w „systemie” jest zdaniem mediatorów stosunkowo najłatwiejszy i przebiega w miarę sprawnie. To „ulica dwukierunkowa” (Krzysztof), ponieważ wszystko jest ogólnie uregulowane, a urzędnicy współpracują i można nawet założyć „jakiś rodzaj życzliwości ze strony urzędników” (Elżbieta).

Ale zaraz potem zaczyna się drugi etap – pozyskanie należnych środków, zwłaszcza pieniędzy – a to jest już „ulica jednokierunkowa”. I tak do ZUS-u nie sposób się dodzwonić, a jeśli już przyjechało się na miejsce, to nikt nie umie udzielić odpowiedzi, kiedy uchodźca otrzyma na swoje dziecko kwotę z programu „500+”. Pojawia się ona na koncie dopiero po 3 miesiącach. Do tej pory gospodarze utrzymują swoich gości, kredytując

w ten sposób państwo. Przysługujący z MOPS-u zasiłek na każde dziecko (120 zł) i „kwota na start” (300 zł) też dociera z opóźnieniem.

Szkoła deklaruje wydawanie obiadów dla uczniów z Ukrainy przez 3 miesiące, ale zdarzają się przypadki, że personel szkolnej kuchni nic o tym nie wie, więc niezbędna jest interwencja pomagacza-mediatora. Zdarza się też tak, że obiady są mało kaloryczne i monotonne, na przykład co drugi dzień podawany jest ryż ze śmietaną.

Zadeklarowana z funduszy ONZ pomoc finansowa na okres trzech miesięcy też się opóźnia: choć odpowiedź miała nadejść po 2 tygodniach w formie SMS-a, nie nadchodzi, trzeba dzwonić, tam odpowiadają, żeby czekać itd. Bywa też tak, że Okręgowy Ośrodek Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem w siedzibie gminy oferuje bony Sodexo (na artykuły spożywcze i ubrania – do nabycia w miejscowym hipermarkecie). Tyle tylko, że bonów nie starcza dla wszystkich: szybko się kończą i nie pomagają tłumaczenie, iż zapotrzebowanie zostało zarejestrowane prawidłowo, ponieważ przed upływem podanego terminu.

Kontakt z instytucjami to niejedyna aktywność realizowana przez mediatora. W wielu przypadkach dochodzi do tego konieczność szukania specjalisty (bo gość został pogryziony przez psa, skaleczył się, złamał nogę lub odnowiła mu się jakaś dolegliwość) albo dobrowolnie zadeklarowane regularne dowożenie dziecka na basen lub zajęcia sportowe.

Czasami niektóre wymagania bywają kwalifikowane jako zbyt wygórowane, więc nie spotykają się już z takim zrozumieniem i rodzą frustrację:

„Oczekiwanie, że ja im pomogę, jako mężczyzna, pomogę im we wszystkim i wszystko za nich zorganizuję. Że ja z nimi pójdę, że ja zaprowadzę Valerię do pracy, że ją zaprowadzę drugi raz do pracy, mimo że już raz jej drogę pokazałem, że zaprowadzę Valerię trzeci raz do pracy, a że czwarty raz pójdę z nią wieczorem na kurs polskiego, bo wieczorem w Ukrainie to kobiety same nie chodzą po ulicy. (...) Początkowo na wszystko się zgadzałem, a potem to odchorowywałem; były to kolejne oczekiwania, których nie umiałem spełnić, w którymś momencie zaczęło mnie to przerastać”. (Ignacy)

Niezależnie jednak od stopnia obciążenia mediatora prędzej czy później budzi się gorzka refleksja („Swojego życia przez te półtora miesiąca nie

miałem” – Ignacy), a nawet pretensje pod adresem przybyszy ewidentnie nadużywających uczynności gospodarza.

„To jest na tej zasadzie, że samochód mój się zrobił jako taryfa: zawieź, przywieź, podaj, przynieś. To jest tak: załatw lekarza, zadzwoń tam, pojedź tam, zawieź tam, no więc potrzeby mojej rodziny jakby odeszły na drugi plan. I to jest takie a’ la poświęcenie, tylko nie wiem, czy ono jest zupełnie potrzebne, dlatego że ja się wypalam od środka, a reszta to i tak tylko: daj, daj, daj”. (Wiera)

Poza mediowaniem całościowym częstym zjawiskiem jest również mediowanie częściowe, polegające na zainicjowaniu jakiegoś działania i przekazaniu go do finalnego zrealizowania osobom zainteresowanym. Ta forma bywa nie mniej uciążliwa i czasochłonna, ale ma istotny wymiar edukacyjny i wychowawczy, więc przynosi „życiowej ogarniaczce” dużo większą satysfakcję niż wyręczanie we wszystkim podopiecznych.

„Starałam się we wszystko ich angażować. (...) Daria jako jedyna jest taka odważna, taka gotowa do działania. Reszta jest bardzo wycofana. Więc robiłam tak, że mówiłam: *Daria, tu jest przedszkole*, albo – *tu jest szkoła*. I na mapie, na Google Maps jej rysowałam, jak tam dojść od nas z domu. Wysyłam i mówię: *Ja tu załatwiłam to miejsce, masz przyjść jutro tam na 9.00, ale ty musisz tam pójść, bo to jest twoje dziecko*. I tak właśnie robiłyśmy. Wszystkie sprawy tego typu, że ja właśnie robiłam ten pierwszy krok, umawiałam spotkanie, rysowałam mapkę, wysyłałam mapkę, jak dojść. Czy to do dentysty, czy na jakieś dodatkowe zajęcia dla tych dzieci, żeby nie siedziały w domu. I mówiłam: *Dobra, ja zrobiłam ten pierwszy krok, teraz wy musicie tam pójść i powiedzieć, że w takiej i takiej sprawie jesteście*”. (Zuza)

Jeżeli podjęte starania przynoszą oczekiwany efekt, pomagaczka może podsumować swoje wysiłki z wyraźną ulgą:

„Taka jest prawda, że oni sobie na pewno poradzą, że mają te prace, że finansowo sobie poradzą, te dokumenty wszystkie dla nich załatwiłam i tłumaczę im, co jak funkcjonuje i że te dzieci do szkoły chodzą. Tak się cieszę, że oni są tacy postawieni na nogi”. (Zuza)

Ogarnięta Tania i nieogarnięta Sofiya

Mediowanie częściowe czasem przynosi oczekiwane rezultaty, choć zależy to od wielu czynników. Niekiedy osoba wymagająca pomocy jest sama z siebie samodzielna, dobrze zorganizowana i „mocno zebrana w sobie” (Dorota).

„Myśmy nie wspierali rodziny takiej strauumatyzowanej. Oni nawet jak potrzebowali jechać do kantoru czy gdzieś, robić sobie jakieś badania, to ona [Tania] była na tyle ogarnięta, że mówi tak: *Dobra, podaj mi adres, ja sobie wstukam w gps-a, znajdę autobus. My sobie pojedziemy, w ogóle nie zwracaj sobie nami głowy*. Bo ja miałam na początku takie wyrzuty sumienia, że my idziemy do pracy, dzieci idą do szkoły, a oni siedzą w domu i ja nie jestem ich cały czas w stanie wspierać. Ale oni akurat byli taką rodziną, która wcale tego wsparcia tak bardzo nie potrzebowała”. (Dorota)

Często jednak bywa i tak, że propozycje nie są podejmowane, a oferowana praca nie jest akceptowana. Rodzi to oczywiście wzajemne animozje i pretensje.

„Powinni być bardziej niezależni”. (Ignacy)

„Starałam się we wszystko ich angażować, żeby zaczęli czegoś szukać, oni są tacy niewspółpracujący”. (Zuza)

„Mielśmy pomysł, że mogliby sobie dorabiać, robiąc jakieś gadżety, które można by sprzedawać. Tutaj jest ośrodek dla niepełnosprawnych. Dwie moje koleżanki to prowadzą i mają fajnych instruktorów plastycznych, i poprosiłem, czy mogliby nauczyć te Ukrainki bądź ich dzieci. Tylko ciągle nie można zebrać tych dziewczyn. Nie ma jakiejś euforii. Jeśli chodzi o pracę, to ja mam tutaj dwie Ukrainki, no i tę naszą Sofiyę. Ale ona nie bardzo chciała sprzątać u mnie. Znaczy ja, bo ona chciała bardzo pracę, od razu. No to poszedłem z nią, pokazałem, co się robi. No ale ona mówi, że ona może wszystko sprzątać, ale nie chciałaby kibli sprzątać. Ja mówię: no wiesz, możesz nie sprzątać, ale ja nie będę ciebie brał do sprzątania całej reszty. Zresztą dobrze się stało, bo ona się nie nadaje do roboty. To nie jest gospodyni. Ona ma kłopoty z gotowaniem obiadów dla siebie i dla tych dziewczyn. No więc Sofiya jest nieogarnięta. I tyle”. (Jan)

Brak aktywności ze strony podopiecznych prowadzi więc niejednokrotnie do bardziej zdecydowanych działań ze strony gospodarza. Stara się on wyrzucić presję na gości, aby wykazali się większą inicjatywą, np. przez rezygnację z pobierania należnych pieniędzy na ich utrzymanie.

„Ja chcę, żeby nasza rodzina sama im pomogła. Wychodzę z założenia, że ja ich i tak utrzymam, a Sofiya, do cholery, niechże szuka pracy, żeby se zarobić. Jak ja Sofiyi oddam te 1300 zł, to ona już nigdzie nie poszuka roboty. To jest dla jej dobra”. (Jan)

Przypadki, które kończą się pozytywnie, są źródłem ogromnej satysfakcji i ulgi dla pomagaczy. Niepowodzenia stają się przyczyną frustracji podszytej obawami, kiedy i czy w ogóle goście staną na nogi i pójdą na swoje, czyli wyprowadzą się.

Niezależnie od sukcesu bądź porażki mediatora w przygotowaniu goszczonych u siebie ludzi do samodzielnego funkcjonowania, jego wysiłki nakierowane na osvajanie *orbis exterior* wydają się być ostatnim etapem procesu pomagania rozpoczynającego się na granicy albo nawet jeszcze wcześniej – podczas ewakuacji z Ukrainy. Ten złożony i wielowymiarowy proces, angażujący ludzi oraz rzeczy i funkcjonujący dzięki tworzeniu sieci umożliwiających mediowanie, na pierwszym etapie analizy wymagał opisu wyznaczonego przez kilka roboczych rozstrzygnięć o charakterze tematycznym i kompozycyjnym. I takie prowizoryczne, porządkujące kategorie zostały już wcześniej zaproponowane (redukcja indywidualizująca, redukcja konkretyzująca, uniwersum pomagania złożone z *res corporales*, *res incorporales*, *actions*, ekonomia pomagania, etykieta pomagania).

Zupełnie inne problemy wiążą się jednak z poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie teoretyczne – o specyfikę świata, jaki wyłania się z opisu dokonanego według takich zasad. Ontologia tego świata jest niewątpliwie heterogeniczna (gdyż zawiera elementy niejednorodne), ale też relacyjna i dynamiczna. W jego obrębie dokonuje się przemiana jednostek, włączonych dotąd w inne konfiguracje, w części nowego układu, nowego świata społecznego, który narzuca im rolę mediatora: pośrednika, a zarazem przekaznika informacji, dóbr materialnych (wody, żywności, leków,

odzieży) i niematerialnych (przede wszystkim uczuć, gestów, spojrzeń). Krążenie tych dóbr nie tylko zaspokaja potrzeby, ale również łączy – niczym wymiana *kula* – wszystkich uczestników.

Cyrkulacja rzeczy i emocji pozwala zatem łagodzić lub nawet likwidować najbardziej dolegliwe deficyty (i na to jest w głównej mierze nakierowana), ale – co ciekawe – sama też dostarcza nie byle jakiej gratyfikacji osobom zaangażowanym w mediowanie. Poczucie spełnienia obowiązku, satysfakcja z wykonania zadania, świadomość, że osoby, za które wzięto się odpowiedzialność, wyszły już z traumy, pokonały swoje lęki, są bezpieczne, zaopiekowane, a nawet stają na nogi, wywołuje u wielu pomagaczy zaskakującą reakcję. Podziękowania za udzieloną pomoc budzą w nich samych uczucie wdzięczności.

„A ty w tym momencie jesteś wdzięczny, że ten człowiek przychodzi w twoje życie i że ty możesz pomóc, że mogłeś być potrzebny”. (Lena)

„Byłam wdzięczna i szczęśliwa, że mogę im w ten sposób pomóc, to była moja wielka potrzeba, żeby coś zrobić”. (Aga)

„Strasznie jest mi miło, że ich spotkałam w swoim życiu, że się z nimi poznałam i stali się częścią naszego świata”. (Dorota)

Jednak równocześnie budzą się też wątpliwości i powstają skrupuły.

„Lubię pomagać ludziom, przynosi mi to uczucie spełnienia. Może to jest trochę egoistyczne nawet?”. (Lena)

Dobroczynność prywatna i ustawowa

Kwestia emocji (i innych atrybutów aktorów, owych *res corporales* powołujących do życia społeczny świat pomagania) wydaje się kluczowa nie tylko jako zasada animująca całe to uniwersum, ale też dlatego, że nadaje mu bardzo specyficzne cechy, które można powiązać z ogólnie znanymi charakterystykami polskiego społeczeństwa.

Pomagać można przecież na różne sposoby. W swoim stosunkowo mało znanym tekście pod tytułem *Raport o pauperyzmie* Alexis de Tocqueville wskazywał dwa podejścia w praktykowaniu dobroczynności. Pierwsze „skłania każdego człowieka do niesienia ulgi, stosownie do posiadanych środków, w nieszczęściach, które znajdują się w jego zasięgu. Jest taka stara jak świat; zaczęła się wraz z ludzką niedolą; chrześcijaństwo uczyniło ją jedną z cnót boskich, dając jej miano miłosierdzia”. Druga odmiana dobroczynności – „mniej instynktowna, bardziej przemyślana, mniej entuzjastyczna, a często skuteczniejsza, pobudza samo społeczeństwo do pochylania się nad niedolą jego członków i do systematycznej troski o łagodzenie ich cierpień. Narodziła się z protestantyzmu i rozwinęła dopiero w społeczeństwach nowoczesnych” (de Tocqueville 2009, s. 50).

Nie ulega wątpliwości, że badania nad pomagaczami AD 2022 pokazują głównie ten pierwszy z omawianych przez Tocqueville’a modeli, a więc dobroczynność prywatną, inaczej – indywidualną. Najwcześniejsza reakcja na wojnę na Ukrainie i pojawienie się setek tysięcy, a potem milionów uchodźców zza wschodniej granicy, była przecież reakcją pojedynczych osób kierujących się uczuciem zaskoczenia i strachu.

„To jest tak strasznie bliskie, większość z nas poczuła się zagrożona”. (Justyna)

Masowo pojawiły się obawy, że to samo może spotkać Polaków.

„Czy my tego nie doświadczymy zaraz?”. (Dorota)

„Jest po prostu strach, że dalej będą państwa bałtyckie, a później do Polski może też dojść”. (Inna)

„Ja sobie wyobrażałam właśnie, o, moją gwiazdę [córkę], jak bym miała wziąć ją za rękę i iść”. (Ania)

Nierzadko wśród badanych odzywało się poczucie winy z powodu wydarzeń na granicy białoruskiej.

„Dwie przeciwstawne rzeczy, tam: «Nie wpuszczamy was, wyrzucamy dzieci, kobiety», a tutaj: «otwieramy granice, wpuszczamy bez żadnych dokumentów»”. (Inna)

Ciekawy był również przypadek hipertrofii jaźni odzwierciedlonej:

„Nie muszę za granicą wstydzić się, że jestem Polką”. (Karolina)

Jednakże dominujące reakcje świadczą o odruchach ludzkiej solidarności i empatii:

„Po prostu szkoda mi tych ludzi, którzy tam cierpią”. (Paweł)

„Stawiasz siebie na miejscu tego człowieka i rozumiesz, bo co byś ty zrobiła? Byłabyś taka sama zagubiona”. (Lena)

Zmotywowani tymi czy innymi względami ludzie gorączkowo szukali informacji i kontaktów, budowali własne sieci współpracy, bazując głównie na relacjach rodzinnych, sąsiedzkich i przyjacielskich, ponosili ogromne koszty finansowe i emocjonalne, narzekali na chaos i wypalenie, a gdy skala zjawiska ich przerosła i okazywało się, że dobre chęci to za mało, oczekiwali jak najszybszego włączenia się „większych graczy”, którzy będą potrafili wszystko skoordynować i zapanować nad chaosem.

Uczestnicy tych działań mieli jednocześnie świadomość, że gdyby nie ich natychmiastowa reakcja, los uchodźców byłby dużo gorszy.

„Żeby nie osoby prywatne, to ci ludzie po prostu by nie przetrwali. Bo żeby liczyć na państwo, to oni by poumierali z głodu”. (Wiera)

„Obywatel Ukrainy w Polsce nie może liczyć na pomoc organizacyjną państwową czy pozarządową, jedynie na pomoc obywateli i wolontariuszy”. (Krzysztof)

Indywidualne zaangażowanie to tylko jeden z rysów pomagania. Drugim jest aktywność i brak planu, spontanicznie podejmowana aktywność, działania realizowane zgodnie z naczelną zasadą każdego romantycznego zrywu.

„Siłami mierzonymi na zamiary, a nie zamiarem podług sił (...). Takim trybem powstańczęm – wojna jest, trzeba działać”. (Dorota)

„Metoda na «jakoś to będzie»”. (Paweł)

„Nastawienie zadaniowe”. (Ignacy)

„Nie myślę, nie analizuję, jest zadanie, jest wykonanie”. (Ela)

„To było bardzo naturalne, nie za bardzo nad tym myślałam”. (Janka)

Ze względu na to, jak są interpretowane i uzasadniane przez pomagaczy owe odruchy dyktowane uczuciem, a więc niejako naturalne, instynktowne, przybierają zatem postać emocji abstrakcyjnych, „blankietowych”, analizowanych na początku XX wieku przez Leona Petrażyckiego. W świadomości rozmówców poczucie powinności moralnej staje się tutaj tak silne, że przybiera postać nakazu motywowanego wychowaniem w domu rodzinnym, specyfiką kultury polskiej, wartościami chrześcijańskimi i zaczyna funkcjonować jak wewnętrzny głos, niemal rozkaz albo „norma imperatywna” powiązana z konkretnym „wyobrażeniem akcyjnym” (Petrażycki 1985, s. 239). Tłumaczyłoby to siłę i kategoryczność tego imperatywu, a zarazem jego nieokreśloność, pozwalającą wybrać najodpowiedniejszą formę realizacji (praca na infolinii, wolontariat w punktach recepcyjnych, na zapleczu lub na wydawkach, pomoc przy transporcie czy goszczenie w domu).

Trzecią cechą dobroczynności prywatnej, podejmowanej przez pomagaczy, jest jej wyprzedzający charakter i jednocześnie maksymalizm. W wielu przypadkach pomaganie zaczyna się od telefonu do znajomej osoby z Ukrainy (kosmetyczka, sprzątaczką) i pytania, czy może planuje sprowadzić tu rodzinę, czy czegoś nie potrzebuje.

Maksymalizm przejawia się natomiast w ambicjach, aby osobom, nad którymi roztoczono opiekę, zapewnić jak najlepsze warunki i zaspokoić możliwie wszelkie ich potrzeby, zarówno te podstawowe, jak i nie najbardziej palące.

„W sumie miałem pod opieką chyba 14 osób w dwu różnych mieszkaniach. No więc to było bardzo angażujące na początku. Ja też, być może z lekką przesadą, ale postanowiłem, że chciałbym im pomóc we wszystkim, w czym mogę. To było najpierw udostępnianie mieszkania, a potem organizowanie im życia tutaj”. (Ignacy)

„Jest trochę tego szalu, no ale dziecko będzie mieć ten rowerek. A że ja na zbity ryj będę lecieć? Trudno”. (Anna)

Dlatego, chociaż zarówno decyzja zaangażowania się w pomaganie, jak też sposób realizowania wybranej formy działania wynikają z poczucia ogólnoludzkiej solidarności i tłumaczone są oczywistymi względami moralnymi, to jednak wydaje się, iż odpowiedniejszym określeniem charakteru i rangi dokonywanych czynów jest „supererogacja”. Pojęcie to odnosi się do uczynków wykraczających poza jakiekolwiek zobowiązania moralne, niemieszczących się w żadnej deontologii, których wypełnianie związane jest ze znacznymi kosztami, a nawet ryzykiem dla podmiotu decydującego się na taki krok. Dlatego nie można ich wymagać – ich niewykonanie nie powinno pociągać za sobą dezaprobaty czy tym bardziej napiętnowania, natomiast ich spełnienie stanowi nadzwyczajną zasługę, jest bowiem dokładnie tym, co nazywa się czynem chwalebnym.

Jak pisze Andrzej Kaniowski, „Problem supererogacji stanowi wyzwanie dla wszelkich teorii etycznych, a w fenomenie supererogacji dochodzi do głosu jakaś głębsza i trudna do pojęciowego wyartykułowania istotna treść moralności i moralnej kondycji człowieka” (Kaniowski 1999, s. 94). Choć supererogacja przysparza problemów filozofom, nie jest czymś aż tak nadzwyczajnym dla przeciętnych ludzi praktykujących ją – choć zapewne nieświadomie – w życiu codziennym. I to nawet w stosunku do przedstawicieli narodu, z którym „mamy wiele ciemnych kart i przykrych” (Piotr). W wyjątkowych sytuacjach nie patrzy się przecież „na zaszłości”, ponieważ „każdy tym ludziom współczuje”, a o czasach minionych „nie mówi się w ogóle” (Walenty).

Czwartym, charakterystycznym rysem pomagania Ukraińcom w Polsce jest nawiązywanie osobistych relacji między pomagaczami a wspomaganyymi, nawet w sytuacji kompletnej bariery językowej pomiędzy stronami.

„Ich podjęto na zasadzie: gość w dom, Bóg w dom. Chleb i sól”. (Anna)

„Ja miałem taką chęć, a pewnie też i potrzebę, żeby nie tylko wyposażać ich w jakieś konkretne sprawy, ale też próbować im pomóc zbudować tutaj jakieś takie poczucie bezpieczeństwa i w miarę dobrze się poczuć, potrzeba zapewnienia im – to zabrzmiało

banalnie – ale jakiegoś takiego ciepła. Jakiegoś takiego przekonania, że są tutaj przyjaźni ludzie, którzy chętnie pomogą, czy ja, czy moi bliscy, czy sąsiedzi. Więc spędzaliśmy po prostu ze sobą dużo czasu. (...) Ja nie mówię po rosyjsku ani po ukraińsku. Oni nie mówią po angielsku, no po polsku przecież też nie, więc w ogóle porozumienie jest dosyć dyskusyjne. Na początku prawie w ogóle się nie rozumieliśmy, więc myślę, że porozumiewaliśmy się głównie uśmiechem albo jakimś takim dobrym spojrzeniem”. (Ignacy)

Wszystko to sprawia, że obcy ludzie zaczynają być traktowani jak członkowie rodziny: „Oni stali się częścią naszego życia” (Dorota), mówi się o nich „Moja ukraińska rodzina” (Zuza), „Druga, przyszywana rodzina” (Ignacy), a to chwilami zaczyna grozić naruszeniem etykiety pomagania, czyli wtrącaniem się w cudze sprawy.

„Jest oczywiście dużo rzeczy, które mnie dziwią. Pamiętam taką jedną sytuację: ten ośmiolatek oglądał wojnę w telefonie, normalnie te sceny, które my w wiadomościach możemy zobaczyć, to on, ośmiolatek, oglądał w telefonie. Krew, jakieś tam ciała. I ja wtedy pomyślałam: *Matko Święta, co on tam ogląda!* I już chciałam zareagować, potem pomyślałam: *To nie jest twoje dziecko, ty nie możesz w to ingerować*”. (Zuza)

Bliskie relacje, jakie kształtują się podczas kilkumiesięcznego mieszkania pod jednym dachem i codziennych kontaktów, faktycznie przeradzają się nierzadko w quasi-rodzinną zażyłość: nie tylko zaczyna się traktować ukraińskich gości jak osoby spokrewnione, ale też wytwarza się więź emocjonalna angażująca obie strony.

„Nie mamy wnuków, mąż się bardzo zaangażował, bardzo pokochał dzieci. (...) Przejmują się naszymi sprawami. Jak nam pies zginął, no to bardzo przeżywali wszyscy. Glieb to się w ogóle popłakał – dziecko – i z Krzyśkiem [mężem] jeździł i szukał tego psa. Marija też z Krzysztofem jeździła w różne tam miejsca, no po prostu rzeczywiście bardzo, bardzo się zaangażowali, bo bardzo pokochali nasze zwierzęta”. (Elżbieta)

Wszystko to potwierdza słusność opinii Tocqueville’a o wyższości dobroczynności prywatnej świadczonej przez indywidualne osoby nad tzw. dobroczynnością ustawową, realizowaną przez instytucje państwa.

Dobroczynność prywatna buduje bowiem cenną więź pomiędzy udzielającym pomocy a potrzebującym tej pomocy.

„Pierwszy z nich, przez sam fakt świadczenia pomocy okazuje zainteresowanie losem tego, którego nędzy postanowił ulżyć; drugi, otrzymawszy wsparcie, którego nie miał prawa wymagać i którego może nie spodziewał się uzyskać, jest skłonny do wdzięczności. Po między tymi dwiema kategoriami ludzi zadzierzguje się więź moralna, a ich wola zbliża ich do siebie mimo odmiennego położenia; inaczej rzecz się ma z dobroczynnością ustawową, która utrzymuje w mocy jałmużnę, lecz pozbawia ją moralności” (de Tocqueville 2009, s. 57).

Badani są świadomi tej specyfiki praktykowanego przez siebie pomagania, szczerą się nią i uważają za najwłaściwszą, choć mocno obciążającą pod względem psychicznym i czasowym. Z satysfakcją też przeciwstawiają bezpośredni charakter nawiązywanych w Polsce relacji z uchodźcami i formalny styl obowiązujący w innych krajach.

„Norwegia jest takim państwem, gdzie rzeczywiście, jak coś się wydarzy, to machina urzędnicza, instytucjonalna, rusza. To zdejmuje odpowiedzialność z ludzi, zostawia właśnie tę lukę – na zasadzie, że ten człowiek, ten uchodźca, on nie przyjechał jako gość i on tutaj jest podejmowany i wszyscy lecą mu pomóc, tak jak było u nas. Tylko on przyjechał i ta machina go mieli, a Norwegowie sobie żyją swoim życiem”. (Anna)

Wszystko to jednak nie przeszkadza im krytykować opieszałość instytucji państwowych, małą sprawność działań organizacji pozarządowych, a zwłaszcza nieudolność i niewydolność „urzędasów”.

Próba podsumowania, czyli poszukiwanie teorii

Wybuch wojny w Ukrainie wywołał w Polsce wiele zjawisk, których zarówno rzetelny opis, jak i ich zrozumienie oraz teoretyczna refleksja nad nimi są prawdziwym wyzwaniem dla socjologii. Wydaje się, że trzeba wyjść poza sprawdzone koncepcje i odważyć się postawić nowe pytania, lub też zadać je w inny niż dotychczas sposób. Nie oznacza to, że należy zrezygnować z klasycznych pojęć i źródeł danych. Trzeba je jednak uzupełnić o nowe spojrzenie. Chcielibyśmy, aby naszą książkę cechowała taka zrównoważona perspektywa interpretacyjna.

W podsumowaniu zacznijmy od pytania o stereotypy narodowe we współczesnym społeczeństwie polskim. Biorąc pod uwagę dane zebrane w ogólnopolskich badaniach sondażowych, trzeba odnotować, że erupcja życzliwości i poczucia solidarności nastąpiła w stosunku do narodu – mówiąc oględnie – niezbyt wcześniej lubianego przez Polaków. Dopiero w ostatnich latach, ale jeszcze przed wybuchem wojny w badaniach CBOS-u, odnotowano wzrost sympatii do Ukraińców. Nastąpiło to na fali ogólnej poprawy postrzegania wielu innych narodów. Pozytywny stosunek do Ukraińców na początku lat dwudziestych naszego wieku był na niższym poziomie niż w przypadku np. Słowaków, Litwinów i Białorusinów, aby w 2021 roku zrównać się z poziomem akceptacji Niemców (w obu przypadkach odsetek takich opinii wynosił blisko połowę tj. 43%) (CBOS 2021, s. 2).

Deklarowane opinie nie są najlepszym miernikiem stosunku do jakiegś grupy narodowej czy społecznej, tym bardziej kiedy pojawiają się nagle wydarzenia historyczne o decydującym znaczeniu dla kształtowania się stereotypów narodowych. Takie wydarzenie miało właśnie miejsce w roku 2022.

O postawach niekoniecznie decydują uświadamiane sądy, lecz raczej nie zawsze uświadamiane przesłanki, do których w badaniach opinii pu-

blicznej trudno dotrzeć. Zarazem, współistnienie deklarowanej antypatii z przejawiającą się w działaniach empatią potwierdzałoby słuszność teorii Freuda, który twierdził, że werbalne rozładowanie niechęci nie sprzyja, lecz – wprost przeciwnie – zapobiega fizycznej agresji, ponieważ obelżywe słowa to mimo wszystko krok ku cywilizacji, ponieważ dopóki ludzie obrzucają się inwektywami, nie sięgają po kamienie. Z czym zgodziłby się także Georg Simmel, gdyż pisał: „Możliwość artykulacji jest jednym z najsilniejszych sposobów stłumienia afektów” (Simmel 1997, s. 27).

Polska tradycja socjologiczna

Tak czy inaczej zaskakująca – nawet dla samych pomagaczek i pomagaczy – powszechna zmiana nastawienia Polaków do Ukraińców zdaje się trudna do wytłumaczenia i zasługuje raczej na interpretację, jaką zaproponował Józef Chałasiński. W kontekście przemian identyfikacji narodowych pisał on tak:

„Gdybyśmy mogli przedstawić sobie wszystkie czynniki tej zmiany, to wtedy nic by już w życiu społecznym nie było dla nas tajemnicą. Ale wtedy z życia społecznego musiałyby zniknąć irracjonalne siły, których genezy w ogóle nie znamy i których działanie tylko w małej części jest dostępne naszej myśli. W poczuciu narodowym, jak w ogóle w zasadniczych podstawach życia społecznego, jest coś, czego nie rozumiemy, co wymyka się racjonalnej, logicznej analizie, co stanowi o zasadniczo irracjonalnym charakterze podstawowych źródeł życia społecznego w ogóle” (Chałasiński 1935, s. 43-44).

Fenomen pomagania uchodźcom z Ukrainy stanowi być może przypadek takiego właśnie irracjonalizmu życia społecznego. Stwierdzenie tego faktu wydaje się słuszniejszym krokiem niż mnożenie pseudowyjaśnień będących niczym więcej jak pozornymi racjonalizacjami.

Warto też zauważyć, iż tak powszechne i entuzjastyczne „otwarcie serc i domów” w Polsce dla uchodźców z Ukrainy nastąpiło w bardzo szczególnym momencie, gdyż dokładnie w tym samym czasie, gdy pandemia trwała w najlepsze, a nawet – przynajmniej według oficjalnej narracji – miała się jeszcze nasilić. Dopuszczane do głosu autorytety medyczne zapowiadały właśnie na przełom lutego i marca 2022 roku istne „tsunami zachorowań”, specjaliści od modelowania matematycznego Uniwersytetu Warszawskiego precyzyjnie wyliczali, iż liczba zachorowań sięgnie 800 tysięcy na dobę (Rakowski 2022), przedstawiciele resortu zdrowia apelowali o utrzymanie reżimu sanitarnego (zasada DDM – dystans, dezynfekcja, maseczka), zaś osobom starszym zalecano, by nie opuszczali swoich mieszkań przez najbliższe kilka tygodni (opinia prof. Andrzeja Horbana, cyt. za: Górski 2021).

Tymczasem, jak mówili złośliwi, 24 lutego 2022 roku pandemia nagle się skończyła, ustąpiła przed wojną, a raczej ten temat został w mediach zastąpiony, „przykryty” nowym tematem. W świetle tych faktów masowy zryw polskiego społeczeństwa – tysiące wolontariuszy przebywających w punktach recepcyjnych, na dworcach i w schroniskach, transportowanie uchodźców z granicy prywatnymi samochodami czy udostępnianie własnych mieszkań obcym osobom – trudno zinterpretować inaczej niż uwolnienie emocji stłumionych dwuletnimi restrykcjami prozdrowotnymi.

Dla niektórych może to być wyraz typowego dla Polaków braku zaufania do władz, skłonności do niesubordynacji, a nawet anarchizmu. Można by ten fenomen nazwać również przejawem „obywatelskiego nieposłuszeństwa”, gdyby nie to, że akurat takie zachowania były w tym momencie polskim władzom bardzo na rękę (Rakowski 2022). Wspomniane zjawisko można też interpretować jako odruch moralny, który osiągnął masową skalę, a wynikał z troski i solidarności, jaką odczuwamy wobec słabszych.

Możliwe jest jeszcze inne wytłumaczenie, które jednakże nie wyklucza poprzednich: ruch pomocy wojennym uchodźcom z Ukrainy miał racjonalne jądro – wiemy i jesteśmy tego pewni, że to jest nasza wojna i oni giną za nas, więc trzeba im pomagać z całych sił.

W polskiej socjologii od dawna przedmiotem analiz i sporów są: problem próżni socjologicznej, społeczeństwa obywatelskiego i kapitału społecznego. Słynna teza Stefana Nowaka, którą należałoby uznać za socjologiczną wersję dziewiętnastowiecznych diagnoz poety, Cypriana Kamila Norwida („Polacy – naród wspaniały, ale społeczeństwo żadne” (Norwid 1971, s. 112), głosiła, że charakterystycznym rysem polskiego społeczeństwa jest swoista próżnia – pustka rozciągająca się między poziomem grup pierwotnych, takich jak rodziny i kręgi przyjaciół, a poziomem identyfikacji narodowych. Miało to stanowić o niezdolności Polaków do budowania relacji pośrednich umożliwiających zbiorowe działania. Sformułowana w latach 70. XX wieku diagnoza Nowaka była następnie przywoływana w okresie transformacji i stanowiła przesłankę krytyki niedostatecznego poziomu obywatelskiego zorganizowania polskiego społeczeństwa oraz kiepskiej jakości jego kapitału społecznego – w znacznej części „wspólnotowego”, nie zaś „stowarzyszeniowego” (Nowak 1979).

Tak się jednak złożyło, iż wkrótce po opublikowaniu badań Nowaka narodził się w Polsce dziesięciomilionowy ruch „Solidarności”, który doprowadził do upadku komunizmu. Kolejnym dowodem zdolności Polaków do mobilizacji i efektywnego działania zbiorowego jest niewątpliwie trwające od 24 lutego 2022 roku „pospolite ruszenie” wielu milionów polskich obywateli nakierowane na pomaganie uchodźcom z Ukrainy.

Co charakterystyczne, także w tym przypadku głównym zasobem umożliwiającym działanie okazał się kapitał wspólnotowy oparty na więziach pierwotnych – rodzinnych i przyjacielskich. Ten najbardziej produktywny w zaistniałych warunkach kapitał społeczny, nad którego poziomem i jakością ubolewano od dawna, dowiódł zatem swej wyższości nad kapitałem stowarzyszeniowym i zarazem pokazał, że jest w zdecydowanie lepszej kondycji, niż to wcześniej zakładano.

Pierwszy impuls i ogromna energia, jaka ujawniła się już w pierwszych dniach wojny w Ukrainie, były bowiem zasługą nie struktur formalnych

(w rodzaju stowarzyszeń, fundacji oraz innych NGO-sów), ale osób prywatnych, które spontanicznie zareagowały na wyzwanie i potrafiły się zorganizować, wykorzystując przy tym swoje powiązania rodzinne, kontakty towarzyskie wśród przyjaciół czy znajomych w miejscu pracy, a nawet w środowiskach rzekomo tak naznaczonych anonimowością i atrofią jakichkolwiek więzi, za jakie zawsze uważano bloki mieszkalne.

Tym samym „familizm”, za sprawą wybitnie westerno-centrycznej koncepcji Edwarda Banfielda kwalifikowany w socjologii zazwyczaj jako amoralny, pokazał swoje zdecydowanie inne oblicze – jak najbardziej moralne, uniwersalistyczne, a nawet zdolne do czynów uznawanych za dokonania nadzwyczajne, chwalebne, ponieważ kwalifikowane w kategoriach supererogacji.

Z tego punktu widzenia potencjał „moralnego familizmu” polskiego pomagania zasługuje na analizę bliższą założeniom i wnioskom zawartym w pracy historyka Antoniego Mączaka niż obiegowym sądom socjologów. Autor ten, dokonawszy celnej i druzgocącej krytyki pracy Banfielda oraz tekstu Elżbiety i Jacka Tarkowskich, którzy przenieśli konstatacje Amerykanina na grunt Polski, wykazał, iż wszelkie zjawiska nazywane dziś klientelizmem, nepotyzmem, mafijnością czy właśnie amoralnym familizmem, nie dość że zawsze stanowiły fundament budowania silnych państw i imperiów (starożytny Rzym, Anglia Elżbietańska, Pierwsza Rzeczpospolita Szlachecka), to zarazem były sposobem ocieplania nadmiernie sformalizowanych stosunków międzyludzkich, nadawania im wymiaru czysto ludzkiego, osobistego, a nie jedynie instytucjonalnego i biurokratycznego (Mączak 2003).

Inną sprawą pozostaje, na ile wystarczający okazał się ten wspólnotowy kapitał, zwany też spajającym i zwykle uznawany za gorszą przesłankę budowania społeczeństwa obywatelskiego, a na ile udało się przy tej okazji zaktywizować kapitał stowarzyszeniowy – łączący, pomostowy. Osobną kwestią jest to, czy taki podział ma sens, skoro, jak przyznaje Robert Putnam, oba rodzaje kapitału „mogą mieć potężne pozytywne efekty społeczne”, a – w dodatku – możliwość ścisłego ich rozdzielenia na poziomie empirycznym wydaje się niewykonalna: „Nie znalazłem

żadnych godnych zaufania wskaźników, które niedwuznacznie rozróżniają «łączenie» i «spajanie» (Putnam 2008, s. 42).

Wszystkie przywołane tu dygresje sugerują, iż w socjologicznym badaniu wcale niejedynym sposobem postępowania musi być odnoszenie faktów do istniejących teorii. Dużo słuszniejsze i bardziej obiecujące wydaje się konfrontowanie uznanych teorii z danymi, które im najwyraźniej zaprzeczają, a nawet je obalają. Stopniowa eliminacja niesłusznych opinii, twierdzeń i koncepcji „oczyszcza” pole refleksji i pozwala łatwiej sformułować nową propozycję – a wszystko to dzieje się jak najbardziej w zgodzie z metodą falsyfikacjonizmu Karla Poppera, który twierdził, że w nauce formułujemy hipotezy, po to by w razie stwierdzenia ich fałszywości można było „dokonywać eliminacji błędu bez eliminacji organizmu”, a więc, by to „nasze hipotezy umierały za nas” (Popper 1992, s. 310).

Wydarzenia, które nastąpiły w Polsce po 24 lutego 2022 roku, zdają się więc falsyfikować słuszność wielu diagnoz na temat naszego społeczeństwa, a także przydatność najczęściej przyjmowanych w socjologii koncepcji (np. tych dotyczących kapitału społecznego). Zdają się natomiast potwierdzać sformułowaną niemal trzy dekady temu diagnozę Adama Podgóreckiego, który pisał: „Społeczeństwo polskie to szczególnie, lecz wciąż niezbadany przykład społeczeństwa obywatelskiego” (Podgórecki 1995, s. 133).

Być może ten szczególnie charakter polskiego kapitału społecznego – mało efektywnego jeśli chodzi o budowanie instytucji i utrzymywanie różnych atrap (stanowiących według Roberta Putnama zaledwie „socjologiczną sztuczną murawę” (2008, s. 181), a nie żywotne formy zaangażowania obywatelskiego), za to trwającego „latentnie” i ujawnianego, krystalizującego się dopiero w razie potrzeby – zależy od opisywanych przez Podgóreckiego „metapostaw”, czyli dyspozycji ukrytych poza sferą uświadamianych opinii i wartości.

Jednym z ciekawszych wątków przewijających się w wypowiedziach badanych było właśnie uświadamianie sobie tych, wcale nieoczywistych motywów, odczuć i reakcji, jakie towarzyszyły pomaganiu, przy czym mówiono tu zarówno o emocjach własnych, jak i o emocjach kierujących

całym społeczeństwem. Można nawet powiedzieć, że doświadczenia zgromadzone w czasie zaledwie kilku miesięcy przyczyniły się do zmiany wcześniejszych autodefinicji: postrzegania siebie, samopoczucia i samooceny na poziomie indywidualnym i zbiorowym.

„Ja się okazałem skuteczny!”. (Ignacy)

„Ile spraw potrafię załatwić!”. (Zuza)

„Nie spodziewałam się, że mamy tyle zasobów”. (Aga)

„Tyle dobra jest w ludziach”. (Gosia)

„Ten kraj zrobił się taki bardziej ludzki”. (Anna)

„Pokazaliśmy, że jesteśmy dobrymi ludźmi”. (Karolina)

I jeszcze jedna uwaga natury ogólniejszej, związana z poruszonymi wyżej kwestiami. Pomaganie Ukraińcom cechuje się złożonymi motywami. Jest pełne niekonsekwencji i sprzeczności. Opis tego zjawiska (zgodnie z procedurą redukcyjną) i jego interpretacja (odwołująca się do indywidualnych i uświadamianych przesłanek), naukowe wyjaśnienia w kategoriach działań zbiorowych czy wreszcie rozważenie zasadności i przydatności wielu uznanych w socjologii koncepcji – wszystko to prowadzi do zasadniczych pytań:

- Na ile społeczeństwo polskie pozostaje, jak twierdził Nowak, luźną federacją jednostek, rodzin i grup przyjacielskich, które dopiero w szczególnych okolicznościach potrafią mobilizować się i łączyć dla realizacji jakiegoś celu, a potem znów wracają do pierwotnego stanu?
- Na ile owe jednostki i grupy są zdolnym do imponujących (ale niesformalizowanych) działań społeczeństwem, choć szczególnym, ponieważ reagującym żywiołowo, w znacznym stopniu irracjonalnym, kierującym się atawistycznymi instynktami, a nade wszystko spojonym pierwotnymi więziami wspólnotowymi?

- A na ile jest już zorganizowanym systemem społecznym: przewidywalnym, nowoczesnym i uporządkowanym według racjonalnych, wykalkulowanych zasad stowarzyszeniowych?

Używając powyższych określeń, sięgamy do przymysłów Floriana Znanieckiego, który w pracy *Rzeczywistość kulturowa* przeciwstawia porządek społeczny, stanowiący pochodną abstrakcyjnych, dogmatycznych schematów rzeczywistości społecznej postrzeganej jako konkretne światy społeczne, serie praktycznych przypadków. Idealizm pierwszego stanowiska i empiryzm drugiego prowadzi go do konstatacji, iż wprowadzić możliwe jest narzucenie „irracjonalnemu” życiu społecznemu stabilnych schematów, ale wówczas ta nowa rzeczywistość w swej racjonalistycznej doskonałości nie będzie już „społeczna w sensie ścisłym”, nie będzie więc podlegała analizie socjologicznej: ponieważ „nie znajdujemy się już na terenie socjologii” (Znaniecki 1991, s. 955, 859).

Z takiego punktu widzenia idealnie uporządkowana rzeczywistość nie składa się już z określonych grup ludzkich (np. narodowych, o historycznie i kulturowo wyznaczonych, wielorakich i chaotycznych powiązaniach oraz charakterystykach) ani z ludzi (gdyż przestają oni być indywidualnymi osobowościami, a stają się wyłącznie wspornikami danego systemu, podstawą, na której zostaje on urzeczywistniony).

Rezerwa Znanieckiego wobec takiej ewentualności jest zarazem przestrogą, by socjologia jako nauka nie przyczyniała się (choćby przez krytyczną ocenę i deprecjonowanie takich zjawisk) do wypierania „społeczeństwa” przez rzekomo bardziej nowoczesne, i efektywne, wszak zorganizowane według formalnych schematów „systemy społeczne”. Rozważenie tej alternatywy – dotyczącej i kształtu rzeczywistości społecznej, i kształtu socjologii jako nauki społecznej – powinno pozwolić na dokonanie trafnej analizy i zarazem oceny zjawiska pomagania, które choć tutaj zaprezentowane jako współzależne serie jednostkowych odruchów, zdolnych do spontanicznego nawiązywania relacji i skutecznego współdziałania, z pewnością zasługuje także na opis w kategoriach ponadindywidualnego, a więc zbiorowego doświadczenia, które określamy jako społeczną mobilizację lub ruch społeczny.

Perspektywa ruchu społecznego

W naszym podsumowaniu dotarliśmy do miejsca, gdzie będzie mowa o ruchach społecznych. Anthony Giddens zauważył, że trudno zrozumieć, dlaczego nauki społeczne poświęcały tak niewiele uwagi ruchom społecznym, gdy tak wielką rolę w XX wieku odegrały rewolucje i konflikty ideologii. Uwypuklił przy tym ważny aspekt tej problematyki: „Ruchy społeczne dają się pojęciowo odróżnić od ruchów demograficznych, migracji itp., właśnie dlatego, że zakładają one wysoki stopień refleksyjnej samoregulacji” (Giddens 2003, s. 251).

Podmiotem zbiorowym w koncepcji ruchów społecznych są aktorzy zbiorowi. Tak nazwiemy „fragmenty społeczeństwa”, które podejmują działania zbiorowe i doprowadzają do zmiany społecznej, nieznacznej lub wielkiej, chwilowej lub długofalowej. Na przełomie XX i XXI wieku znacząco wzrosła liczba projektów na ten temat. Wyraźnie poszerzył się krąg badaczy, którzy doceniają znaczenie tej problematyki, zwłaszcza w kontekście pytań o konflikt i zmianę społeczną, gdy chodzi o problemy o zasadniczym znaczeniu dla obywateli (i dla socjologii). Także w środowisku politologicznym zainteresowanie to rośnie, czego dowodem jest kolejny numer czasopisma naukowego „Teoria polityki” (7/2023), w całości poświęcony polityce pozainstytucjonalnej, czyli m.in. ruchom społecznym.

Nasze opracowanie poświęciliśmy doświadczeniom jednostek, które z niespotykaną ofiarnością zaangażowały się w pomoc emigrantom wojennym z Ukrainy. Opisaliśmy, w jaki sposób pomagaczki i pomagacze towarzyszyli uchodźcom wojennym na różnych etapach ich wymuszonej wędrówki, prowadzącej z kraju ogarniętego wojną do bezpiecznego miejsca, którym stała się dla nich Polska.

W krótkim podsumowaniu chcemy spojrzeć na ten proces z odmiennej perspektywy, niż przyjęta w całej książce. Zanim odejdziemy od perspektywy pierwszoosobowej, od narracji autobiograficznych, chcemy podkreślić znaczenie „spotkania z drugim”, a jeśli ktoś preferuje, to „spotkania z obcym”, który okazuje się „drugim”. Z tej diady wyłania się

całe pole doświadczeń opisywanych w różnych językach psychologii, socjologii i filozofii, odwołujących się do interakcji, jaźni, więzi społecznych, emocji i wartości. Opisywaliśmy te doświadczenia językiem pomagaczy, komentując je na różne sposoby wybrane przez autorki i autora poszczególnych rozdziałów. Słowa, które przytaczamy za księdzem Józefem Tischnerem, napisane w czasach przedinternetowych, w końcu lat 70. XX wieku, oddają to, co w „łatwopalnym społeczeństwie” wydawało nam się najważniejsze, co rozgrywało się w przestrzeni dwuosobowej lub wieloosobowej, cielesnej i materialnej, a nie cyfrowej:

„Nic jednak tak nie daje do myślenia jak spotkanie z drugim. W spotkaniu osiągamy żywą naoczność tragiczności bytu, spotkanie otwiera agatologiczny i aksjologiczny horyzont istnienia” (Tischner 1982, s. 495).

Warto jeszcze wyjaśnić, dlaczego charakteryzując polskie społeczeństwo jako łatwopalne, sięgamy po metaforę ognia. Ogień to żywioł spektakularny i ekspansywny, ale też niebezpieczny, wymagający podtrzymywania, „głodny” materii, która umożliwiłaby mu trwanie. Nawiązanie do metaforyki ognia pozwala opisać zarówno wspaniałość postaw pomagaczy i pomocarek, spojrzeć na nie z podziwem i respektem, jak i zwrócić uwagę na zagrożenia wynikające z siły żywiołu pomagania.

Jeśli mówimy o społeczeństwie łatwopalnym, to nie po to aby odsyłać do zużytej metafory słomianego ognia, co byłoby rażąco niesprawiedliwe. Także nie po to aby powiedzieć, że energia społeczna, uwolniona z taką mocą, spopiela wszystko, obraca się w niwecz. Wręcz przeciwnie, nie wiedząc, jakie będą konsekwencje społecznej, masowej mobilizacji pomocowej, mamy prawo domniemywać, a może tylko przeczuwać, że doświadczenie to, choćby nietrwałe, przyniesie trwałe zmiany o charakterze kulturowym i społecznym. Niekoniecznie jednak będą widoczne szybko i gołym okiem.

Zatem jak rozumiemy łatwopalność?

Po pierwsze, charakterystyka ta wskazuje na łatwość i szybkość uruchomienia procesów pomagania. Sprzyjało temu kilka czynników:

- (1) Zróżnicowana pula powodów dołączenia do ruchu pomocowego opisana przez nas w typologii decyzji o podjęciu tego działania. Były to decyzje motywowane etycznie, społecznie, patriotycznie, emocjonalnie, terapeutycznie, tożsamościowo i materialnie. Poszczególne powody zaangażowania w pomoc nakładały się na siebie i wzmacniały, co sprawiało, że łatwo było dołączyć do ruchu pomocowego.
- (2) Sieciowa struktura pomagania, która sprzyjała efektywnemu działaniu wspólnot pomagaczy oraz angażowaniu się w wiele różnych form pomagania. Sieci pomocy sprawiały, że łatwo było włączyć się w pomoc, która przynosiła wymierne efekty. W sposób płynny można było także zmieniać formy zaangażowania i poszerzać swój udział w ruchu pomagania, co opisaliśmy jako ruchliwość pomagania.
- (3) Mechanizmy zarażania afektywnego w doraźnych, neoplemiennych wspólnotach pomagaczy, w których utrzymywany był i współdoświadczany wysoki poziom entuzjazmu. Atmosfera festiwalu dobra w punktach pomocowych przyciągała pomagaczy i uruchamiała wolę zaangażowania.

Po drugie, łatwopalność jest cechą wskazującą na niebezpieczeństwo związane z ruchem pomocowym – oznacza bowiem ryzyko szybkiego wypalenia w przypadku braku zasobów do podtrzymywania żywiołu pomagania. Tu zidentyfikowaliśmy i opisaliśmy dwa scenariusze rozwoju zaangażowania w tego typu działanie.

Pierwszym jest bardzo intensywne, niekiedy wręcz niepoahamowane czy kompulsywne zaangażowanie, któremu brakuje granic, a w rezultacie prowadzi ono do wypalenia aktywistycznego. Niektóre badane osoby opisywały, że w pewnym momencie wyczerpały swoje siły i możliwości zaangażowania, musiały wyłączyć się z ruchu pomocowego. Symptomy wypalenia występowały zarówno we wspólnotach pomagaczy, jak i wśród indywidualnych osób goszczących uchodźców w swoich domach i mieszkaniach. W tym przypadku łatwopalność oznaczała szybkie spalanie, słomiany zapał, który pojawia się szybko i równie szybko gaśnie.

Drugi scenariusz opierał się na utrzymywaniu wysokiego poziomu mobilizacji poprzez odpowiednie zarządzanie emocjami i pracę emocjonalną podejmowaną przez pomagaczy i pomagaczki, a także przez wytworzenie mechanizmów wspólnotowego podtrzymywania zaangażowania w pomaganie. Aktywność podmiotów pozarządowych i aktorów społecznych odegrała wielką rolę w ustanowieniu pomagania praktyką zbiorową, o której piszemy, wykorzystując teorie ruchów społecznych. W tym przypadku łatwopalność oznaczała błyskawiczne włączenie się w ruch pomocowy, łatwą zapalność, ale nie było to równoznaczne z szybkim tłumieniem żywiołu pomagania, lecz – przeciwnie – z podtrzymywaniem zapału i entuzjazmu, ciągłym wzmacnianiem owego płomienia pomagania.

Wyjaśnienia związane z łatwopalnością przenoszą nas na poziom właściwy dla socjologii i tylko dla socjologii, bowiem mówimy o społeczeństwie. Zmieniamy więc perspektywę z osobowej na stricte społeczną. Wszakże w pierwszych miesiącach wojny na całym świecie ujawniły się miliony ludzi chętnych do pomocy, a więc obywateli i obywaterek, którzy nie szczędzili energii i środków, aby wesprzeć i tych na polach bitewnych, i tych, którzy opuścili swój kraj.

Spółeczeństwa różnych krajów różniły się, jeśli chodzi o poziom mobilizacji pomocowej, tak w kwestii liczby zaangażowanych w pomoc osób, jak i jej intensywność. Im bliżej wschodniej granicy Unii Europejskiej, tym działania pomocowe były bardziej wzmożone, bowiem obywatele tych krajów kierowali się nie tylko odruchem moralnym. Towarzystwa im obawa czy też lęk przed rozszerzeniem się rosyjskiej agresji, co najlepiej oddaje zdanie, które usłyszeliśmy nieraz od naszych rozmówców i rozmówców: „To jest nasza wojna”.

Po upływie roku nawet politycy krajów położonych daleko od pól bitewnych przyznają rację mieszkańcom krajów przyfrontowych, którzy od początku uważają, że obywatele całej Europy powinni opuścić swoją strefę komfortu i zrozumieć, że jest to również ich wojna i nie chodzi tylko o Ukrainę, położoną na wschodnich rubieżach Europy. Jest to ważny temat, który wykracza poza ramy tego opracowania, choć nie jest to sprawa obojętna także dla toku naszej analizy.

Niezależnie od dużych różnic pomiędzy odbiorem wojny w społeczeństwach zaludniających Europę i pomijając prognozy militarne i polityczne, należy podkreślić, że w roku 2022 mieliśmy do czynienia z fenomenem, dla którego nie znajdziemy przykładu w najnowszej historii. Był to globalny ruch pomocowy. Jego bezprecedensowość można określić jednym słowem – nie było jeszcze w historii ruchu społecznego o charakterze globalnym, który w tak błyskawicznym tempie – bo mowa o zaledwie kilku dniach – zaangażował miliony obywateli, którymi nie kierowała żadna organizacja.

O miano pierwszego ruchu ponadnarodowego mogą konkurować takie historyczne formacje, jak proletariatus, feminizm lub alterglobaliści, a obecnie takim ruchem są na pewno obrońcy klimatu. Jednak żadna z tych ponadnarodowych zbiorowych mobilizacji nie osiągnęła tak spektakularnego przyspieszenia i zasięgu jak ruch pomocy Ukraińcom. Zwraca uwagę fakt, że była to właśnie globalna akcja pomocy, która przekroczyła granice wielu krajów w Europie, docierając szybko do USA, Kanady i Australii, a więc sięgając granic Zachodu. Najistotniejszym czynnikiem, którego nie można zignorować w analizie, była błyskawiczna samoorganizacja, całkowicie oddolny charakter akcji pomocowej. Ruch nie potrzebował ani przywódców, ani programów. Nie potrzebował nawet wewnętrznych przeciwników sprzyjających mobilizacji, co również jest swoistym fenomenem.

Globalny sieciowy ruch pomocowy zaczął się i rozwinął bez wsparcia ociążających instytucji państwowych albo niżej usytuowanych ośrodków koordynacji na poziomie województw, departamentów czy landów. Ośrodkami koordynacji, przynajmniej na początku, nie były również liczne organizacje pozarządowe, których rolę – w końcowym rachunku – trudno przecenić. To autonomiczne zjawisko, na wskroś społeczne, powinno przekonać każdego, że generatorem zmian może być społeczeństwo, a nie gospodarka, technologia czy polityka.

Inną kwestią jest to, na ile taka zmiana okaże się trwała w obliczu licznych „determinizmów”. Czy powstaje tzw. społeczeństwo sieci, jak

chciałby Manuel Castells, czy raczej mamy do czynienia z jego przejawem, z natury swojej kruchym, jak mocny płomień, który szybko gaśnie?

Przewidywanie przyszłości nie jest naszym zadaniem, ale można powiedzieć, że globalny ruch pomocowy pokazuje, że społeczeństwo bezsprzecznie bierze swój udział w kształtowaniu historii. Choćby w ten sposób, że wymusza niewygodne dla polityków decyzje polityczne. Jednak w grę wchodzi coś więcej, co najlepiej oddaje powiedzenie: „zmiana społeczna wyprzedza zmianę polityczną”. Choćbyśmy nie znali kierunku tych zmian, warta uwagi jest hipoteza mówiąca, na przykład, że wielkomięjska klasa średnia w odległych od siebie kulturowo krajach miała znamiona „społeczeństwa sieci”.

Trzy rodzaje społeczności

Kluczowy okazał się globalny zasięg mobilizacji społecznej, który nie byłby możliwy bez mediów społecznościowych. Gdyby nie oddolny i sieciowy ruch pomocowy, który jak wir wciągnął obywateli wielu krajów, uchodźcy zderzyliby się z niewydolnością ponadnarodowych i państwowych instytucji, nawet tych wyspecjalizowanych w zapewnieniu pomocy imigrantom. Wolno nam zatem mówić o „społeczeństwie pozbawionym granic” i dopuszczać do głosu nową koncepcję „(...) społeczeństwa sieci, na którą składa się szczególna konfiguracja globalnych, narodowych i lokalnych sieci działających w wielowymiarowej przestrzeni społecznych interakcji” (Castells 2013, s. 31).

Choć sieciowość to czynnik o zasadniczym znaczeniu i warunek konieczny dynamiki intersującego nas procesu, to jest warunkiem niewystarczającym, aby ten ruch się narodził. Modelem mobilizacji zbiorowej nie jest ruch protestu, jak to było w przypadku wielu ruchów, które równie szybko powstały, co upadły, przywołując chociażby tzw. arabską wiosnę. Odmienność omawianego przez nas ruchu jest frapująca. Sieciowość nie miałaby znaczenia, gdyby nie społeczne więzi, które zawiązały się w świecie realnym. Powstał świat transgraniczny, w którym działali podobni do siebie aktorzy społeczni powodowani impulsem moralnym,

etyką troski. Społeczności i wspólnoty zbudowane są na fundamencie wartości moralnych, czego przykładem jest wspólnota akademicka. W sytuacji narodzin takich akcji pomocy, jak np. „Lekarze bez Granic”, wspólnotę buduje gotowość i chęć działania na rzecz potrzebujących, które inicjuje jednostka i realizuje zbiorowość, z jej wydatnym udziałem.

„Idea aktora odnosi się do różnych podmiotów podlegających działaniu władzy: aktorów indywidualnych, aktorów zbiorowych, organizacji, instytucji i sieci. Ostatecznie jednak wszystkie organizacje, instytucje i sieci wyrażają działania ludzi, nawet jeśli w przeszłości działania te zostały zinstytucjonalizowane lub zorganizowane przez określone procesy” (Castells 2013, s. 23).

Pierwszy rodzaj społeczności lub wspólnoty w ruchu pomocowym określamy mianem „tradycyjnej”. Zasiłiła ruch pomocy, dzięki energii czerpanej z bezpośrednich relacji w obrębie rodzin, przyjaciół i innych mocnych kręgów, które tworzą się latami. W związku z tym możemy powiedzieć o tych relacjach, że są to więzi społeczne. Społeczność tradycyjna była jądrem ruchu pomocowego, który zaczął się od niezapośredniczonych relacji o silnym ładunku emocjonalnym. Początek dali ci obywatele Ukrainy, choć nie tylko, którzy pomagali uchodźcom w ewakuacji z bombardowanych terenów, w przemieszczaniu się dowolnym środkiem transportu, w udzielaniu pierwszej pomocy, w przekraczaniu rzeki, na której nie było już mostu. Spoiwem tych więzi było wspólnie podzielane doświadczenie przemocy i zaufanie, które w trudny do wyjaśnienia sposób stało się udziałem innych ludzi, którzy nie zetknęli się bezpośrednio z wojną, czyli pomagaczy, o których traktuje nasza książka.

Wciąganie kolejnych osób do społeczności pomagaczy o charakterze tradycyjnym – w kontakcie twarzą w twarz – odbywało się na zasadzie epidemicznej: „wirus pomocy” przenosił się drogą kropelkową. Działały słowa, spojrzenia, przykłady, zachęty, duma, wstyd. Nie każdy, oczywiście, podlegał zarażeniu. Indywidualna odporność i w tym wypadku miała znaczenie. Trudnym do przecenienia czynnikiem wspomagającym

działanie pomocowe społeczności tradycyjnych był telefoniczny i internetowy obieg informacji, w którym kluczową rolę – jakżeby inaczej – odegrały kanały społecznościowe.

Drugi rodzaj społeczności, którą określimy jako „usieciowioną”, nie był oparty na relacjach bezpośrednich, rodzinnych lub przyjacielskich, czyli tych, które są ugruntowane i mają wieloletnie zaufanie u swojej podstawy. Społeczność usieciowiona jest punktem przecięcia, dwóch pozostałych społeczności i sytuje się pomiędzy wspólnotą powstałą tradycyjnie (którą usieciowiła), a siecią, jako nową formą organizacyjną.

Nie rozstrzygniemy tu pytania, na ile do sieci jako formy organizacyjnej pasuje określenie „społeczność” lub „wspólnota” w powszechnym znaczeniu. Na pewno obie społeczności – tradycyjną i usieciowioną – łączą wspólne wartości, czyli troska, pomoc i solidarność. Co ważne, tę drugą wyróżnia wysoka efektywność. Sieciowy charakter tej społeczności zwielokrotnił skuteczność ruchu pomocowego. „Moment technologiczny” splótł się z „momentem zaufania”, który jest cechą społeczności tradycyjnej. Ta synergia zrodziła kredyt zaufania – niezbędny, aby pomiędzy pomagaczami zawiązały się – zainicjowane sieciowo – nowe więzi, łączące nieznanych sobie wcześniej ludzi niosących pomoc przyszłym z innego kraju.

Rozszerzanie się usieciowionej społeczności dokonywało się zrazu pomiędzy znajomymi, aby szybko objąć Znajomych, w sensie facebookowym. Siva Vaidhyanathan powiada:

„Z różnymi osobami wchodzimy bowiem w różne relacje, na różnych warunkach. Negocjujemy poziom zaufania, ilość czasu, jaki poświęcamy innym, oraz czas trwania relacji. Nie wszyscy znajomi są Znajomymi, chyba że mówimy o Facebooku” (Vaidhyanathan 2018, s. 81).

Przygodny bieg wydarzeń spowodował, że stali się sobie bliżsi, jako że wkroczyli w świat działania offline, motywowani tym samym, czyli troską i gotowi na ryzyko niezapśredniczonego kontaktu z „obcymi”. Decydował moment zaufania wspomagany przez technologię komunikacyjną. Dzięki

mariażowi etyki z technologią społeczności usieciowione działały szybko, tworząc kolejne powiązania, interkonektory, co pozwalało wyjść bardzo daleko poza związki rodzinno-przyjacielskie. Społeczności tradycyjne byłyby dalece niewystarczające, aby udźwignąć zadanie udzielenia pomocy milionom bezdomnych ludzi, którzy uzyskali „pomoc społeczną” w pełnym tego słowa znaczeniu¹.

Warto dodać, że w usieciowionej społeczności pewną rolę odegrały środowiska oparte na trwałych kontaktach bezpośrednich, sprawdzonych w akcjach pomocowych. Mowa o profesjonalnych wolontariuszach mających doświadczenie wyniesione z pracy w organizacjach pozarządowych. Równoległym zjawiskiem, fenomenem o trudnym do przecenienia znaczeniu, była erupcja oddolnych inicjatyw obywatelskich, czyli niewielkie grupy, które można określić jako grupowy wolontariat bez doświadczenia. Na własną rękę, bez jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz i własnymi zasobami, grupy te wykonywały kluczowe zadania, ważne dla opanowania początkowego chaosu. Organizacje pozarządowe i inicjatywy obywatelskie podjęły trud koordynacji żywiłowej pomocy w kluczowych miejscach wędrówki uchodźców: w punktach recepcyjnych na granicy, na dworcach czy w publicznych miejscach noclegowych.

Trzecim rodzajem społeczności, a mówiąc ostrożnie agregatu „o znamionach społeczności”, jest zbiorowość użytkowników mediów społecznościowych, którą określimy jako społeczność globalną. Warto przypomnieć Marka Zuckerberga, które napisał w roku 2012 w swoim liście do inwestorów, inicjując sprzedaż giełdowych akcji: „Na początku Facebook wcale nie miał być firmą. Miał pełnić społeczną misję – sprawiać, żeby świat był bardziej otwarty, i łączyć ludzi” (Cyt. za Vaidhyanathan 2018, s. 173). Wprawdzie liczni krytycy zarzucają Facebookowi „korporacyjne perpetuum mobile”, ale trzeba przyznać, że to flagowe medium społecznościowe na swój sposób potwierdziło idealistyczną wizję swojego twórcy, właśnie w przypadku globalnego ruchu pomocowego uchodźcom wojennym z Ukrainy.

¹ Jak się okazuje, określenie „pomoc społeczna” również podlega renowacji (recyklingowi?). Doświadczenie pomagaczy nadaje jej źródłowe znaczenie: pomocy udzielanej przez społeczeństwo (obywateli).

Warto wracać do pytania, na ile jest zasadne, aby tę zbiorowość opisywać jako społeczność lub społeczeństwo. Można w trybie socjologicznej parafrazy opisać ten byt, tak jak zrobił to Emanuel Castells:

„Sieci stały się najbardziej efektywnymi formami organizacyjnymi dzięki trzem najważniejszym cechom, które sieci przejęły z nowego środowiska technologicznego: elastyczności, skalowalności i żywotności. Elastyczność to zdolność do przekształcania się wraz z ulegającym zmianom środowiskiem oraz zdolność do zachowania celów mimo zmiany poszczególnych elementów, a czasem omijanie punktów blokujących kanały komunikacyjne, by znaleźć nowe połączenia. Skalowalność to zdolność do rozszerzania się lub kurczenia bez spowodowania większych zakłóceń. Żywotność sieci oznacza, że nie mają one jednego centrum i mogą działać w szerokiej skali konfiguracji, by móc odeprzeć ataki na ich węzły i kody” (Castells 2013, s. 35).

Gdyby nie możliwości horyzontalnej komunikacji w sieci, które wykorzystali pomagacze, uchodźcy z pewnością zderzyliby się z niewydolnością ponadnarodowych, państwowych i lokalnych instytucji, nawet tych wyspecjalizowanych w zapewnieniu pomocy imigrantom. Zważywszy na fakt, iż każdy ruch społeczny, z punktu widzenia dziejowego, jest momentem, więc nie ma potrzeby rozstrzygać, czy opisywane przez nas zjawisko należy nazywać społeczeństwem sieci. Zapewne lepiej byłoby mówić o znamionach „społeczeństwa pozbawionego granic”, „(...) społeczeństwa sieci, na którą składa się szczególna konfiguracja globalnych, narodowych i lokalnych sieci działających w wielowymiarowej przestrzeni społecznych interakcji” (*Ibidem*, s. 31).

Pozostaje otwartym pytanie, które stawia sobie wielu autorów, jakie cechy znanego nam społeczeństwa rozpoznajemy w „społeczeństwie sieci”? Nie rozwijając tego kluczowego tematu, warto powiedzieć, w trybie zachęty do dyskusji, że we współczesnej socjologii znajdziemy radykalne stanowisko, mówiące o końcu społeczeństw (jakie znamy). Taki jest pogląd Alaina Touraine’a, który rozumie „koniec społeczeństw”

w określony, właściwy sobie sposób, a mianowicie jako malejącą zdolność do kształtowania historii przez aktorów społecznych. Innymi słowy, stawia pod znakiem zapytania wspomniane wcześniej „samotworzenie się społeczeństwa” (Touraine 2010; swoistym kontrapunktem dla tej książki wydanej we Francji w roku 1973 jest napisana 40 lat później *La fin des societes* – Touraine 2013). Autor dużo uwagi poświęca wykazaniu, że historyczność (*historicite*) – rozumiana jako społecznie wytwarzana – ustępuje miejsca wyobcowanym, bezosobowym, zalgorytmizowanym procesom, czego najdobitniejszym przykładem są globalne finanse i ekspansja wszechobecnych technologii nadzoru (Zuboff 2010).

Skala społecznej pomocy miała wymiar globalny. Pomoc materialna dla migrantów popłynęła z całego świata, a wolontariusze z różnych krajów docierali fizycznie do granicy z Ukrainą, aby fizycznie pomagać uchodźcom na granicy rumuńskiej lub węgierskiej. U podstaw tego zrywu w jego trudnych do opisanego indywidualnych przejawach, znalazł się ten sam motyw troski, niezależny od statusu jednostek śpieszących z pomocą. Towarzyszył obywatelom całego świata, zwłaszcza tym młodszym, którzy manifestują coraz mocniej niepokój o przyszłość, nie pozostawiając tego globalnego zadania jedynie politykom i organizacjom ekologicznym. W tym sensie są ruchem społecznym.

Zbiorowym podmiotem oddolnej mobilizacji na niespotykaną skalę byli obywatele świata komunikujący się dzięki mediom społecznościowym. Kosmopolityzm, zapomniane określenie, stosowane dawniej wobec obywateli świata, zyskało nowe znaczenie, którego definicję warto przytoczyć.

„Na przecięciu wspólnotowości i globalizacji znajdujemy kulturę kosmopolityzmu, czyli projekt dzielenia wspólnych wartości w skali całej planety, a przez to budowania ludzkiej społeczności, która przekracza granice i własną specyfikę w imię nadrzędnych zasad” (Castells 2013, s. 129).

Obywatelskość rozumiana globalnie to przekraczające granice państw narodowych poczucie odpowiedzialności za świat jako całość. Warto,

i wręcz należy, uznać ten rodzaj troski za cechę wyróżniającą nasze czasy. Jest znamieną dla XXI wieku, w którym coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę z zagrożeń dotyczących wszystkich mieszkańców Ziemi, do których na pewno należy wojna nuklearna. Taka zbiorowa tożsamość nowego typu nie jest już tylko domeną intelektualistów i niektórych polityków, myślących dalej niż cykl wyborczy. Obywatelskość w sensie globalnym wyrasta z odpowiedzialności jako odpowiedzi na poczucie wspólnego zagrożenia, którego źródłem jest pandemia, kryzys klimatyczny albo wojna w Ukrainie, której rozszerzanie się oznacza rosnące ryzyko wojny światowej.

Każda z wymienionych społeczności działała nieco innymi metodami, w zależności od zasobów i rodzaju mobilizacji. Można również powiedzieć, że zakreśla inne granice tym, których określa jako „bliskich”. Wspólnota tradycyjna zorientowana jest na „swoich”. Wspólnota usieciowiona włącza do „swoich” także „obcych”. World Wide Web jako nowa forma organizacyjna zorientowana jest „na każdego”, przyznając prawo głosu zarówno obrońcom rzeki Odry, jak i na przykład istotom pozaludzkim. Ale prawo to nie będzie wygenerowane przez sieć i jej mechanizmy, tylko przez określone grupy społeczne. Trzy społeczności działały zarówno online, jak offline. Budowanie więzi społecznych, „spotkanie z drugim”, „spotkanie z obcym” wymaga włączenia trybu działania w świecie fizycznym, a nie wirtualnym. Ten pierwszy jest miejscem zdobywania doświadczenia, które decyduje o odpowiedzialności, tak w sferze moralnej, jak obywatelskiej.

Społeczne akcje pomocowe – skala globalna i lokalna

Niezwykłości tego ruchu to jego zasięg globalny i **jednocześnie** całkowicie spontaniczny charakter, co pozwala określić go mianem ruchu globalnego, opartego o wspólnie podzielane wartości, takie jak solidarność, troska, pomoc. Nie dysponujemy listą oddolnych, obywatelskich ruchów pomocowych, które przekroczyły granice jednego państwa, ale możemy sięgnąć po przykłady, których, nawiasem mówiąc, nie ma zbyt wiele. Ich

wymowę ogranicza fakt, że nie odwołują się do ruchów społecznych, tylko do form zinstytucjonalizowanych, mogących mieć, co prawda, w załączku ruch społeczny.

Wzorcowym transgranicznym i współczesnym ruchem pomocy są „Lekarze bez Granic”, czyli zrazu niewielka inicjatywa obywatelska, która zrodziła się we Francji w reakcji na klęskę głodu w Biafrze w Nigerii. Po upływie ponad 50 lat aktywiści tej organizacji, również w Polsce, zajmują się medyczną pomocą humanitarną, której imponujący zakres obejmuje dostęp do leków i opieki pielęgniarstwa, położniczej i medycznej. Są wszędzie tam, gdzie obywatele biedniejszych krajów są dotknięci epidemiami i pandemiami, klęskami żywiołowymi, przemocą, wykluczeniem, łącznie z procesami migracyjnymi. Ta niewielka organizacja, założona w roku 1971 przez kilkadziesiąt osób i korzystająca w XXI wieku wyłącznie z prywatnych dotacji, jest zdolna w ciągu jednego roku asystować przy setkach tysięcy porodów i leczyć miliony przypadków malarii.

Powstanie tego ruchu zainicjowanego jako reakcja na katastrofę humanitarną, miało u swojego podłoża sprzeciw wobec „neutralności” i biurokratyzacji pomocy płynącej ze strony organizacji nadzorowanych przez UNICEF czy Czerwonego Krzyża. Uważa się, nie bez racji, że środowisko, które powołało do życia „Lekarzy bez Granic” wywodziło się z francuskiego maja 1968 i kontrkultury. Ważny jest też szerszy kontekst, w pewnym sensie, globalny, charakterystyczny dla początku lat 70. XX wieku.

„Do społeczeństw krajów zachodnich zaczęły też docierać wiadomości o klęskach żywiołowych zbierających śmiertelne żniwo w słabo rozwiniętych państwach Południa. Coraz szybszy i pełniejszy przekaz informacji był możliwy dzięki nowym technologiom komunikacyjnym i rozwojowi mediów, ale bezsprzeczne znaczenie miał również fakt, że rosła liczba osób z krajów, z których pochodziły duże organizacje pozarządowe, brała udział w działaniach humanitarnych na terenach dotkniętych konfliktami zbrojnymi i klęskami żywiołowymi. Nie miały wpływu na tych aktywistów

miały zapewne ideały rewolucji kulturalnej z 1968 r. i związane z nią przemiany w społeczeństwach wysoko rozwiniętych. Na fali rewolucji powstały nowe organizacje głoszące hasła odejścia od dotychczas wyznawanych zasad świadczenia pomocy humanitarnej. Doświadczeniem, które ostatecznie uformowało nowe idee, był konflikt w Biafrze oraz jego konsekwencje humanitarne, a ich wyrazem – powołanie w 1971 r. jednej z najpotężniejszych dziś organizacji pozarządowych – Lekarze bez Granic (franc. Médecins Sans Frontières, MSF). Założona przez grupę lekarzy MSF zarzucała członkom humanitarnej społeczności, w tym przede wszystkim MKCK, sztywne trzymanie się zasad neutralności i bezstronności w sytuacjach, gdy zdaniem twórców MSF – dobro ofiar wymagało zajęcia stanowiska. «Buntowniczy humanitaryzm», za który w 1999 r. organizacja otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla, miał być zapewnieniem, że – trawestując słowa przedstawiciela MSF odbierającego wyróżnienie – cisza nie będzie zabijać, nawet jeśli nie ma pewności, że słowa ratują życie. W podobnym duchu powołano do życia także inne organizacje, których ideał było niesienie pomocy «bez granic», np. Handicap International (1982 r.) i Action contre la faim (1979 r.) we Francji czy GOAL w Irlandii (1977 r.)” (Heidrich 2016, s. 187-188).

Porównanie, do którego się tutaj odwołujemy, jest potrzebne m.in. po to, aby pokazać, że tzw. pomoc humanitarna w XXI wieku została tak dalece zinstytucjonalizowana, że globalny ruch pomocy wojennym uchodźcom z Ukrainy jest zjawiskiem o innym charakterze, choć przewrotnie można nadać mu miano „oddolnie zorganizowanej pomocy humanitarnej”. Nie jest to najważniejszy aspekt dla opisu i zrozumienia interesującego nas ruchu, ale warto jeszcze w ten sposób podkreślić jego pozainstytucjonalną specyfikę. Właśnie dlatego, że miał globalny i moralny charakter, nie udałooby się go wtłoczyć w żadne ramy polityczne ani strategiczne, co znawcy zjawiska pomocy humanitarnej uważają za poważne zagrożenie samej istoty pomocy humanitarnej:

„Zmilitaryzowana pomoc humanitarna staje się (tym samym) elementem strategii «zdobywania serc i umysłów» (winning hearts and minds – WHAM) społeczeństwa, nie tylko w rejonie konfliktu, ale także – poprzez budowę pozytywnego wizerunku w świecie – zewnętrznej opinii publicznej. W tych zaś warunkach jej pierwotna funkcja humanitarna zaczyna mieć znaczenie drugorzędne. Zmiana logiki myślenia o pomocy humanitarnej, przejawiająca się w jej postępującej polityzacji i militaryzacji (będącej niejako skrajną formą tej pierwszej), oznacza zarazem, że inne niż dotąd podmioty zaczynają odgrywać wiodącą rolę w jej planowaniu i realizacji w rejonie konfliktu”(Madej 2016, s. 279).

Nie szukajmy więc przykładów w systemie pomocy humanitarnej, aby oddać specyfikę interesującego nas ruchu. Zbliżoną do „ukraińskiej”, oddolną akcją pomocową o znamionach ruchu społecznego jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy działająca w Polsce od roku 1990. Jej niepowtarzalna formuła, łącząca instytucjonalizację ze spontanicznym zrywem, polega na corocznej mobilizacji obywatelskiej, który trwa kilka tygodnie na przełomie grudnia i stycznia. Jest koordynowana przez jednego lidera wspartego przez doświadczony zespół. W roku 2023 WOŚP przeprowadziła doroczną akcję z udziałem 120 tysięcy wolontariuszy, kierowanych przez 1633 lokalne sztaby (WOŚP 2023).

Celem Wielkiej Orkiestry jest zbiórka pieniędzy, które każdego roku są przeznaczane na zakup specjalistycznego sprzętu dla szpitali. Co ważne, WOŚP nie ogranicza się do zbierania pieniędzy „do puszek”, ale jest ogólnokrajowym happeningiem, na który składają się wydarzenia kulturalne, imprezy muzyczne i eventy. Nie brakuje miejsca na zwykłych darczyńców, a obok nich na celebrytów, dużych sponsorów i zaangażowania najważniejszych mediów, w tym stacji telewizyjnej TVN. Organizowane są aukcje, na których można zaproponować najróżniejsze pomysły i przedmioty do wylicytowania. Jest to niezwykła operacja organizacyjno-logistyczna, która szybko wykroczyła poza krajowe podwórko.

Obydwa przykładowe oddolne ruchy pomocowe różni skala działania, poziom specjalizacji, sposób działania, który w pierwszym wypadku ma charakter ciągły, a w drugim – skokowy, choć aktywiści WOŚP włączają się w ważne wydarzenia, jakimi w Polsce była pomoc uchodźcom, głównie z Syrii i Afganistanu, usiłującym przekroczyć polską granicę z Białorusią jesienią i zimą w okresie 2021-2022. Tym, co czyni podobnymi obydwie ruchy pomocowe, jest organizacja koordynowana centralnie. Jeśli nawet nazwiemy je sieciami pomocy, to są to sieci koncentryczne. Tymczasem opisywana w niniejszej publikacji globalna sieć pomocy wojennym uchodźcom z Ukrainy była siecią zdecentralizowaną, która nie potrzebowała organizacyjnego centrum.

Szukając innych przykładów całkowicie spontanicznych i transgranicznych ruchów pomocowych, trafiamy w nieodległej przeszłości, w czasach przedinternetowych, na słabo znane zjawisko czy też proces, który nie był odgórnie koordynowany. Miał na pewno charakter ponadnarodowy, aby nie nadużywać określenia globalny.

Mamy tu na myśli obywatelską akcję protestu i zarazem międzynarodowej pomocy mieszkańcom Polski po wprowadzeniu w naszym kraju stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Rządowi generała Jaruzelskiego chodziło o zdelegalizowanie NSZZ „Solidarność” i w konsekwencji definitywne zlikwidowanie ruchu społecznego, który przyjął formę organizacyjną związku zawodowego i zaczął zagrażać słabnącemu systemowi komunistycznemu w Polsce. Daleko idące ograniczenie praw obywatelskich i represje wobec działaczy „Solidarności” wywołały w wielu miejscach świata masowe akcje protestacyjne, w których wzięły udział setki tysięcy demonstrantów. Najważniejsi liderzy polityczni demokratycznego świata potępiли działania polskiego rządu, które były, oczywiście, uzgodnione z Kreml.

Są to fakty dobrze znane i opisane, zwłaszcza jeśli chodzi o ich kontekst polityczny. „Solidarność”, podobnie jak mur berliński, stały się od tego czasu symbolami wielkiej historycznej zmiany, o znaczeniu trudnym do przeceniania. Znacznie słabiej rozpoznany pozostaje do dzisiaj oddolny i transgraniczny społeczny ruch solidarności z „Solidarnością”,

w którym uczestniczyli spontanicznie obywatele Francji, Niemiec Zachodnich, Stanów Zjednoczonych i wielu innych krajów. Jak napisał w swojej książce Marcin Frybes, socjolog i historyk:

„(...) powstał trwający następnie nieprzerwanie przez kolejnych kilka lat ponadnarodowy ruch poparcia i solidarności z «Solidarnością» i Polską. W latach osiemdziesiątych na fali tego ruchu tysiące ludzi z różnych krajów będzie nie tylko interesować się «Solidarnością» i Polską, ale także – w miarę swoich możliwości – im pomagać” (Frybes 2012, s. 100).

Powrót solidarności

W zakończeniu naszego opracowania nieoczekiwanie dla nas samych wróciliśmy do polskiego fenomenu, którego globalne konsekwencje są niebagatelne, mając na myśli początek rozpadu systemu sowieckiego. Tym fenomenem był ruch społeczny Solidarność, którego sceną był jeden kraj. A sceną ruchu „solidarni z Solidarnością” był cały świat, co nie zmieniło biegu historii Polski, ale było ważnym doświadczeniem dla uczestników tego transgranicznego ruchu. Warto podkreślić, że analizowany przez nas sieciowy ruch pomocowy tak wiele różni od „totalnego ruchu społecznego Solidarność”, jak mawiał Alain Touraine, że odwołanie się do przeszłości ma służyć wydobyciu różnic, a nie podobieństw pomiędzy solidarnością a „Solidarnością”.

Aby podsumować analizę w kategoriach ruchu społecznego, wracamy do pojęcia międzynarodowej, ludzkiej solidarności. Pomagacze na całym świecie odczuli moralne wezwanie. Kierując się odruchem serca, podjęli działania wykraczające poza pożyteczną rutynę zbiórek i akcji charytatywnych. Czynnikiem wzmacniający ten zryw stanowiło poczucie zagrożenia bliską lub odległą wojną, którego intensywność była pochodną położenia geograficznego. Można powiedzieć – ze świadomą przesadą – że działał przez nich „duch historii”, choć się nie dowiemy, do jakiego stopnia zwykli ludzie mieli przeczucie zmian o znaczeniu (jak się okazało), historycznym.

Ludzka solidarność AD 2022 miała, oczywiście, kontury geopolityczne, bowiem wartości, do których należy wolność i troska, stanowią jądro cywilizacji zachodniej. Chodzi o ich wywalczenie, tym razem nie w systemie autorytarnym, w jakim była Polska w roku 1981, ale w ramach porządku politycznego, jakim jest demokracja. Instytucje demokracji są zagrożone przez antywartości, które przyniosła światu rosyjska otwarta agresja wojenna, skierowana szybko przeciwko cywilom w Ukrainie i stale uzupełniana o elementy wojny hybrydowej, zatruwające internetową przestrzeń publiczną dowolnie daleko od Kremla i jego trolli.

Badacze ruchów społecznych, choć często się mylą, wyczekując symptomów nadejścia lepszych czasów, próbują wytropić momenty czy też fazy o znaczeniu przełomowym, kiedy jako ludzie i obywatele aktywnie wpisujemy się w proces historyczny, którego kierunku nie znamy. Wkraczamy w bieg wydarzeń i nie chcemy poddać się biernie temu, co przynosi los. Jak powiada wybitny historyk Timothy Snyder o naszej roli w historii, polegającej na wytrwałym budowaniu ładu instytucjonalnego:

„Instytucja może jednocześnie pielęgnować pewne idee dobra i być od nich zależna. Jeżeli instytucje mają się rozwijać, potrzebują cnót, jeżeli zaś cnoty mają być pielęgnowane, wymagają instytucji. Pytania natury moralnej o to, co jest dobrem i złem w życiu publicznym, nie da się nigdy oddzielić od historycznego badania struktury. To właśnie myślenie w kategoriach nieuchronności i wieczności sprawia, że cnoty wydają nam się nieistotne lub wręcz śmieszne: nieuchronność obiecuje, że dobro już istnieje i będzie się rozwijać przewidywalnie, wieczność zaś zapewnia, że zło przychodzi zawsze z zewnątrz, a my niezmiennie jesteśmy jego niewinnymi ofiarami” (Snyder 2019, s. 25).

Bibliografia

- Amnesty International (2022). *Sytuacja na granicy. Pytania i odpowiedzi*, 4 lutego, <https://www.amnesty.org.pl/sytuacja-na-granicy-pytania-i-odpowiedzi/>.
- Anderson, L. (2014). *Autoetnografia analityczna*. „Przegląd Socjologii Jakościowej” nr 10(3), s. 144-167.
- Andreski, S. (1992). *Maxa Webera olśnienia i pomyłki*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Angrosino, M. (2010). *Badania etnograficzne i obserwacyjne*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Augé, M. (2010). *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Bauman, Z. (2000). *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*. Warszawa: PIW.
- Bocheński, J. (1992). *Sto zabobonów*. Kraków: Phileb.
- Brynson, B. (2013). *W domu. Krótka historia rzeczy codziennego użytku*. Poznań: Zysk i S-ka.
- Castells, M. (2013). *Władza komunikacji*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- CBOS (2021). *Stosunek do innych narodów*. Komunikat z badań nr 30/2021, Warszawa: Fundacja Centrum Badania Opinii Społecznej, https://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2021/K_O30_21.PDF.
- Chałasiński, J. (1935). *Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej ‘Kopalnia’ na Górnym Śląsku*. Warszawa: Dom Książki Polskiej.
- Derrida, J. (2006). *Odpowiedzialność i gościnność*. „Przegląd Filozoficzno-Literacki” nr 2(14), s. 261-267.
- Flick, U. (2010). *Projektowanie badania jakościowego*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

- Frybes, M. (2021). *Amerykańscy i francuscy przyjaciele „Solidarności”. Reakcje społeczne na „Solidarność” we Francji i w Stanach Zjednoczonych w latach 1980-1989*. Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej.
- Fundacja Stocznia (2022). *Gościnne Dworce – obserwacje z I linii*. Raport z badania. Warszawa: Fundacja Stocznia, <https://stocznia.org.pl/projekty/goscinne-dworce-observacje-z-i-linii/>.
- Gibbs, G. (2011). *Analizowanie danych jakościowych*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Giddens, A. (2003). *Stanowienie społeczeństwa. Zarys teorii strukturalizacji*. Poznań: Zys i S-ka.
- Gmiterek-Zabłocka, A. (2022). „Przechowalnie dla ludzi muszą być zlikwidowane”. *Aktywistka zarzuca rządowi bierność*. TokFM.pl 23 października, https://miasta.tokfm.pl/miasta_tokfm/7,185052,29052504,najwieksze-wyzwanie-dla-samorzadow-wyrwanie-ludzi-z-przechowalni.html.
- Goffman, E. (2008). *Zachowanie w miejscach publicznych*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Górski, P. (2021). *Prof. Andrzej Horban: Nadciąga prawdziwe tsunami, „Rzeczpospolita” 22 grudnia*, <https://www.rp.pl/ochrona-zdrowia/art19222901-prof-andrzej-horban-nadciaga-prawdziwe-tsunami>.
- GUS (2022). *Pomoc udzielona przez gospodarstwa domowe mieszkańcom Ukrainy w I półroczu 2022 r. w świetle wyników badania budżetów gospodarstw domowych*, https://stat.gov.pl/files/gfx/portalinformacyjny/pl/defaultaktualnosci/5486/34/1/1/pomoc_udzielona_mieszkancom_ukrainy_w_i_polroczu_2022_r._w_swietle_wynikow_badania_budzetow_gospodarstw_domowych.docx.
- Hall, E.T. (1978). *Ukryty wymiar*. Warszawa: PIW.
- Heidegger, M. (2010). *Bycie i czas*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Heidrich, D. (2016). *Znaczenie i rola organizacji pozarządowych w świadczeniu pomocy humanitarnej*. [w:] Grzebyk, P., Mikos-Skuza, E. (red.)

- Pomoc humanitarna w świetle praw i praktyki*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, s. 178-202.
- Hochschild, A.R. (2009). *Zarządzanie emocjami. Komercjalizacja ludzkich uczuć*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Horolets, A., Trzeszczyńska, P. (2022). *Apel do badaczy społecznych*. Facebook Sekcji Socjologii Migracji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, 23 marca, <https://www.facebook.com/SocjologiaMigracjiPTS/photos/a.118771519507665/740956827289128/>.
- Jankowska, J. i in. (2022). *Pomoc uchodźcom z Ukrainy na Dworcu Centralnym w Warszawie w doświadczeniach wolontariuszy*. [w:] Fuszara, M. (red.) *Masowa pomoc w masowej ucieczce. Społeczeństwo polskie wobec migracji wojennej z Ukrainy*. Warszawa: ISNS UW, s. 19-35.
- Kacperczyk, A. (2014). *Autoetnografia – technika, metoda, nowy paradygmat? O metodologicznym statusie autoetnografii*. „Przegląd Socjologii Jakościowej” nr 10(3), s. 32-74.
- Kalinowska, K. (2017). *O autoetnografii dotknięć, zranień i odkształceń*. „Kultura i Społeczeństwo” nr 61(3), s. 9-31.
- Kalinowska, K., Krakowska, K., Sałkowska, M. (2023). *Dlaczego Polacy pomagali Ukraińcom? Typologia powodów zaangażowania w pomoc ukraińskim uchodźcom*. „Kultura i Społeczeństwo” nr 67(3): s. 41-64.
- Kaniowski, A. (1999). *Supererogacja. Zagubiony wymiar etyki*. Warszawa: Oficyna Naukowa.
- Kaufmann, J.-C. (2010). *Wywiad rozumiejący*. Warszawa: Oficyna Naukowa.
- Kłoskowska, A. (1996). *Kultury narodowe u korzeni*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Kodeks Karny (1969). Ustawa z dnia 19 kwietnia 1969 r., Dz.U.1969.13.94, <https://www.prawo.pl/akty/dz-u-1969-13-94,16787601.html>.
- Konecki, K. (2005). *Problem interakcji symbolicznej a konstruowanie jaźni*. [w:] Hałas, E., Konecki, K.T. (red.) *Konstruowanie jaźni i społeczeństwa. Europejskie warianty interakcjonizmu symbolicznego*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, s. 40-58.

- Krajewski, M. (2013). *Są w życiu rzeczy... Szkice z socjologii przedmiotu*. Warszawa: Fundacja Bęc Zmiana.
- Krakowska, K. (2023a). *Wspólnota i walka. O pomocy ukraińskich migrantów w Polsce niesionej uchodźcom wojennym z Ukrainy*. [w:] Szymczyk, P., Domina, I. (red.) *Migracje i uchodźstwo ludności – trendy, problemy, wyzwania*. Lublin: Wydawnictwo Naukowe TYGIEL, s. 123-141.
- Krakowska, K. (2023b). *Zaplecza pomocy. Społeczna teoria samoorganizującego się chaosu*. Warszawa: PTS [w druku].
- Kuczyński, P., Latecka, M., Szczepaniak, I. (2023). *Niecodziennosc. Doświadczenie NGO-sów i inicjatyw obywatelskich pomagających emigrantom z Ukrainy w pierwszym okresie wojny*. „Kultura i Społeczeństwo” nr 67 (3): s. 65-90.
- Kvale, S. (2010). *Prowadzenie wywiadów*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Lao Che (2015). *Wojenka*. [w:] *Dzieciom* [dokument dźwiękowy], Warszawa: Mystic Production, 1 CD.
- Madej, M. (2016). *Militaryzacja pomocy humanitarnej*. [w:] Grzebyk, P., Mikos-Skuza, E. (red.) *Pomoc humanitarna w świetle praw i praktyki*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, s. 277-296.
- Maffesoli, M. (2008). *Czas plemion. Schyłek indywidualizmu w społeczeństwach ponowoczesnych*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Mączak, A. (2003). *Nierówna przyjaźń. Układy klientalne w perspektywie historycznej*. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.
- Mickiewicz, A. (1982). *Pan Tadeusz, czyli Ostatni Zajazd na Litwie*, księga VI. Warszawa: Książka i Wiedza.
- Mindell, A. (1998). *Siedząc w ogniu. Wykorzystywanie konfliktów i różnic między ludźmi dla transformacji dużych grup*. Warszawa: Firma ACTIS.
- Norwid, C.K. (1971). *Pisma wszystkie*, t. VIII. Warszawa: PIW.
- Nowak, S. (1979). *System wartości społeczeństwa polskiego*. „Studia Socjologiczne” nr 4(75), s. 155-173.

- Petrażycki, L. (1985). *O nauce, prawie i moralności*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Pisarek, A. (2014). *Gościnność polska. Próba interpretacji antropologicznej*. Katowice: Uniwersytet Śląski.
- Podgórecki, A. (1995). *Spółeczeństwo polskie*. Rzeszów: Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.
- Popper, K. (1992). *Wiedza obiektywna*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Putnam, R. (2008). *Samotna gra w kręgle*. Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne.
- Rakowski, F. (2022). *800 tys. rzeczywistych zakażeń. Rozmowa Zbigniewa Wojtasińskiego z prof. Franciszkiem Rakowskim*. „Menedżer Zdrowia” 14 stycznia, <https://www.termedia.pl/mz/800-tys-rzeczywistych-zakazen,45183.html>.
- Reinhard, K., Rudnicki, P. (2022). *Tworzenie miejsc wspólnych jako reakcja na kryzys uchodźczy. Doświadczenia z pracy wolontariackiej w „Czasoprzestrzeni” i „Stacji Dialog” (Wrocław, marzec-kwiecień 2022)*, [w:] Kurantowicz, E. (red.) *Uchodźcy pośród nas. Pomaganie w perspektywie interdyscyplinarnej*. Wrocław: DSW, s. 51-62.
- Rosa, H. (2020). *Przyspieszenie, wyobcowanie, rezonans. Projekt krytycznej teorii późnonowoczesnej czasowości*. Gdańsk: Europejskie Centrum Solidarności.
- Sadura, P., Urbańska, S. (2021). *Tam gdzie ich zabierają i „gonią” z powrotem*. „Krytyka Polityczna” 5 listopada.
- Shepard, B. (2016). *Powrót*. Warszawa: Wydawnictwo Wielka Litera.
- Simmel, G. (1997). *Filozofia pieniądza*. Poznań: Wydawnictwo Fundacji Humaniora.
- Simmel, G. (2006). *Socjologia zmysłów*, [w:] tegoż, *Most i drzwi*. Warszawa: Oficyna Naukowa, s. 184-203.
- Snyder, T. (2019). *Droga do niewolności. Rosja, Europa, Ameryka*. Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK.
- Sulej, K. (2012). *Historie osobiste. O ludziach i rzeczach w czasie wojny*. Warszawa: Wydawnictwo Czerwone i Czarne.

- Teodorczyk, T. (2016). *Mindell i Jung. Reedycje i inspiracje*. Warszawa: ENETEIA, Wydawnictwo Szkolenia.
- Tischner, J. (1982). *Myślenie według wartości*. Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak.
- Tischner, J. (1990). *Filozofia dramatu*. Wprowadzenie. Paris: Editions du Dialogue.
- de Tocqueville, A. (2009). *Raport o pauperyzmie*. Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.
- Touraine, A. (2010). *Samotworzenie się społeczeństwa*. Kraków: NOMOS.
- Touraine, A. (2013). *La fin des societes*. Paris: Seuil.
- Vaidhyanathan, S. (2018). *Antisocial media. Jak Facebook oddala nas od siebie i od demokracji*. Warszawa: Grupa Wydawnicza Foksal.
- WOŚP (2023). 31. *Final WOŚP zagrał 29 stycznia 2023 roku pod hasłem: Chcemy wygrać z sepsą! Gramy dla wszystkich – małych i dużych!*, <https://www.wosp.org.pl/final/31-final-wosp>.
- Wyka, A. (1993). *Badacz społeczny wobec doświadczenia*. Warszawa: IFiS PAN.
- Zadrożyńska, A. (1992). *Ludzie i przestrzeń domowa – przyczynek do antropologii schronienia*. [w:] Łukasiewicz, P., Siciński, A. (red.) *Dom we współczesnej Polsce. Szkice*. Wrocław: Wiedza o Kulturze, s. 35-41.
- Znamierowski, Cz. (1930). *Prolegomena do nauki o państwie*. Warszawa: Księgarnia F. Hoesicka.
- Znanięcki, F. (1991). *Rzeczywistość kulturowa*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Zuboff, Sh. (2020). *Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy*. Poznań: Zys i S-ka.

Noty o autorkach i autorze

Katarzyna Kalinowska, doktorka socjologii, absolwentka stosowanych nauk społecznych. Pracuje na stanowisku adiunktki w Instytucie Socjologii im. E. Wnuk-Lipińskiego Collegium Civitas i w Instytucie Badań Edukacyjnych. Zajmuje się socjologią emocji i miłości, badaniami młodzieży, etnografią szkoły oraz zagadnieniami metodologicznymi i etycznymi w badaniach jakościowych. Ewaluatorka inicjatyw teatralnych i projektów kulturalnych. Autorka książki *Praktyki flirtu i podrywu. Studium z mikrosocjologii emocji* (Monografie FNP 2018), za którą otrzymała Nagrodę im. S. Ossowskiego i wyróżnienie w Konkursie im. A. Straussa.

 ORCID: <https://orcid.org/0000-0003-2657-6107>
mail: katarzyna.kalinowska@civitas.edu.pl

Paweł Kuczyński, socjolog, wykładowca i pracownik naukowy Collegium Civitas. Główna specjalizacja: ruchy społeczne i radykalizacja. Stypendysta École des hautes études en sciences sociales w Paryżu i Harvard Business School w Bostonie. Prowadził projekty interwencji socjologicznych towarzyszących inwestycjom makrostrukturalnym (rewitalizacja, ochrona środowiska, energetyka, infrastruktura drogowa). Uczestnik polsko-francuskiego badania „Solidarność jako ruch społeczny” prowadzonego przez Alaina Touraine’a i Jana Strzeleckiego. Z ramienia Collegium Civitas koordynator międzynarodowego projektu Komisji Europejskiej DARE (Dialog na temat radykalizacji i równości), kierowanego przez Uniwersytet w Manchesterze, poświęconego skrajnej prawicy i islamofobii. Autor publikacji na temat kobiecych ruchów protestacyjnych, STOP

ACTA, Majdanu i światowego ruchu pomocy uchodźcom wojennym z Ukrainy.

 ORCID: <https://orcid.org/0000-0003-3819-2346>

mail: pawel.kuczynski@civitas.edu.pl

Izabella Bukraba-Rylska, prof. dr hab., absolwentka warszawskiej polonistyki, socjolog, pracowała w Instytucie Kultury MKiSz, następnie na Uniwersytecie Warszawskim i w Polskiej Akademii Nauk, obecnie wykłada w Collegium Civitas. Zajmuje się socjologią wsi i problematyką kultury lokalnej, a także dyskursem transformacyjnym w polskiej socjologii. W ostatnich latach rozwija koncepcję socjologii organoleptycznej, w której podkreśla doniosłość podejścia naturalistycznego w naukach społecznych i konieczność rezygnacji z perspektywy określanej jako ego-cefalo-centryzm na rzecz nos-korpo-cyrkularyzmu. Zrealizowała kilka grantów dotyczących kultury wiejskiej. Jest autorką ponad 300 publikacji, w tym kilkunastu książek, m.in.: *Kultura w społeczności lokalnej – podmiotowość odzyskana?* (PAN 2000), *Socjologia wsi polskiej* (WN PWN 2008), *W stronę socjologii ucieleśnionej* (WUW 2013), *Polskiej wsi Logos i Ethos* (Gaudentinum 2019), *Socjologia. Pytania podstawowe* (WN PWN 2021).

 ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-9178-9171>

mail: izabella.bukraba-rylska@civitas.edu.pl

Katarzyna Krakowska, magistra socjologii, pracuje na stanowisku asystentki w Instytucie Socjologii im. E. Wnuk-Lipińskiego i Katedrze Socjologii Collegium Civitas w Warszawie. Jej zainteresowania naukowe dotyczą przede wszystkim socjologii ruchów migracyjnych ze szczególnym uwzględnieniem migracji z Ukrainy do Polski oraz

kobiecych doświadczeń migracyjnych. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą doświadczeniom uchodźczyń wojennych z Ukrainy w Polsce.

 ORCID: <https://orcid.org/0000-0003-2558-202X>
mail: katarzyna.krakowska@civitas.edu.pl

Marta Sałkowska, doktorka socjologii, pracuje w Instytucie Socjologii Collegium Civitas. Wykładowczyni akademicka, badaczka studiów o niepełnosprawności, sojuszniczka osób z niepełnosprawnościami. Współpracowała z Biurem Rzecznika Praw Obywatelskich przy analizach związanych z sytuacją osób z niepełnosprawnościami (usługi asystenta, dostępność opieki medycznej), monitorowała wdrażanie Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych w wybranych instytucjach administracji centralnej w Polsce. Członkini redakcji rocznika naukowego „Zoon Politikon” oraz Sekcji Socjologii Niepełnosprawności Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Autorka książki *Matka Downa. Piętno. Znaczenia. Strategie* (NOMOS 2015) oraz licznych artykułów naukowych dotyczących sytuacji osób z niepełnosprawnościami.

 ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-8011-8214>
mail: marta.salkowska@civitas.edu.pl

Summary

On 24 February 2022, citizens helping refugees from Ukraine appeared everywhere, in many countries, not only bordering on the attacked country but also outside Europe. We witnessed a global civic movement to help refugees. The collective subjects of this movement were societies that reacted much faster than politicians. Poles were the society that was most often shown in the media as an example of an extraordinary spurt of aid and an attitude of solidarity with the victims of war. Why did ordinary people engage in helping others on such an unprecedented scale? From where did they draw the strength to do it selflessly in the first months of the Russian invasion? Why did so many people get involved? What was the pebble that started the avalanche? When was the key turned in the ignition switch? What was the spark that initiated the element of helping? The word 'spurt', which has been present in the public discourse from the very beginning and also appears in the interviews analysed in this book, shows that the sudden arousal that occurred first led to the apogee of emotions, which were contagious. This led to a movement that sociologists call a 'social movement' involving hundreds of thousands, even millions of people. We have attempted to document how this movement developed. We trace the gestures of solidarity and community that were activated in the face of the crisis that was the war in Ukraine and the resulting upsurge of refugees. We describe the civic engagement dormant in Polish society but is rarely visible in everyday life or statistics.

The book has been written as part of a research project entitled *Commitment – Neutrality – Hostility: Polish Society in the Face of the Refugee Crisis and the Russian-Ukrainian War* [Polish: *Zaangażowanie – neutralność – wrogość: polskie społeczeństwo wobec kryzysu uchodźczego i*

wojny rosyjsko-ukraińskiej], initiated at the Edmund Wnuk-Lipiński Institute of Sociology of Collegium Civitas in response to Russia's aggression against Ukraine. This publication presents the results of qualitative research carried out using the techniques of individual in-depth interviews, participant observation, and autoethnography. The study lasted from March to September 2022. The project aimed to capture the attitudes of Polish society to the war and to refugees from Ukraine.

This book contains stories about people – Poles and Ukrainians living in Poland for years – who, after the Russian aggression against Ukraine in February 2022, gave a helping hand to people fleeing the war and set in motion an extraordinary aid machine whose *modus operandi* was spontaneous civic solidarity, fuelled by the enthusiasm of people of good will. We call these people 'helpers' to emphasise that, at that time, helping was for many of them a central identity practice – involvement in various forms of refugees assistance organised their everyday life, set the horizon of experience and was the main feature by which they characterised themselves. It can be said that helping constituted an essential part of their lives.

In the research, we combine the analysis of individual experiences with the study of socialisation processes in helping practices. We reached for the accounts of unique people who were intensively involved in helping refugees, inviting them to their homes and undertaking various volunteer activities. Thanks to understanding interviews and our observations made in participating in the aid movement, we can recall images and experiences, and describe the range of emotions and values that guided both sides of the 'aid contract' – helpers and refugees. On the other hand, as sociologists, we owe readers a reflection on the process of helping as a social phenomenon. We intended to find a bridge between what is unique and personal in the experience of helping, and what is common and intersubjective in helping practices.

In the following chapters of the book, we describe various stages of the helping process. The action begins at the border and train stations,

where Poles' emotions after the war's outbreak collide with the emotions brought by refugees. The key role here is played by the corporeality of helping and emotions, which, on the one hand, bind volunteer teams and, on the other, are the area of helpers' responsibility, which they have to manage and work through. Then we look behind the scenes – at places where activities are taken without direct contact with refugees and support is focused on the coordination of logistics, supplies and collections. Things happen there at a dizzying pace, and potential failures are cushioned by networking mechanisms, which are the essential means of achieving goals in back rooms. Next, we describe reception points, which are the territory of generating and testing agency. The materiality of helping comes to the fore at this stage, so the considerations focus on material things – small objects that embody great values, such as dignity and subjectivity. Leaving reception points, which are the last area of impersonal, casual relations with refugees, we enter homes, and temporary shelters. This intimate space is the first to build deeper and closer relationships with newcomers based on shared emotions and values. In this chapter, we deal with building reciprocity, hospitality and familiarity that are born between helpers and refugee families. The last stage of helping includes taming the *orbis exterior*, i.e. those practices that focus on helping in dealing with life matters, such as arranging a place in kindergarten, a social security number or a job. The final stage of helping, aimed at paving the way for refugees and anchoring them in the new world, required interaction with representatives of institutions and was a test for local communities.

In our descriptions, helping has several dimensions. Firstly, it is geographically located – it moves with refugees; it is a mobile process that depends on the space in which it takes place. It looks different in places of transit from how it looks in private and home spaces; and in cities from how it looks in rural local communities. The second analysed dimension of helping is the emotions experienced by volunteers who worked in particular spaces: at the border, in train stations, back rooms

and reception points, who hosted refugee families in their flats and houses and who helped newcomers deal with formal matters. Our goal was to describe the social worlds of helpers' emotions at subsequent stages of this emotional journey. The third dimension is the materiality of helping, addressing both the lack of necessities and the excess of items collected for refugees during collections. Helping represents abstract values implemented in the approach to physical space and material objects. The fourth dimension, related to emotions and materiality, is the corporeality of helping – at stations, and at distribution, reception and sorting points, specific bodies helped, experiencing fatigue and feeling spaces and situations with various senses. The fifth dimension is the social dimension. It includes the relationship of helpers with refugees, who gradually become 'ours', close. Deeper acquaintances replace initial fleeting interactions. The turning point in the practice of helping is when refugees enter helpers' homes. Hosting them means a qualitative change in relations, distinguishing the initial stages of helping 'outside' from the later ones of receiving refugees 'at home'.

The analysis of helping practices ends with reflecting on the spurt of aid as a social movement. The metaphor of flammability characterising Polish society during this spurt indicates that their reaction was rapid, intense and spectacular. At the same time, it shows the risks associated with grassroots aid.

Résumé

Le 24 février 2022, les citoyens du monde entier se sont mobilisés pour apporter leur soutien ainsi qu'une aide exemplaire aux réfugiés venus d'Ukraine, fuyant la guerre d'invasion menée par l'armée russe. Cette mobilisation a pu être observée un peu partout dans le monde, principalement dans les pays frontaliers de l'Ukraine mais aussi dans d'autres contrées européennes et non européennes (notamment au Canada où vit depuis des années une importante diaspora ukrainienne). Nous avons été témoins d'un mouvement civique d'aide aux réfugiés tout à fait unique, mouvement qui a pris, avec les temps, une dimension mondiale. Ce sont les sociétés, qui ont réagi beaucoup plus vite que les hommes politiques, qui ont été les acteurs collectifs de ce mouvement.

Les médias du monde entier ont présenté souvent la société polonaise comme celle dans laquelle l'élan de solidarité avec les victimes de la guerre était de loin le plus important. On parle de quelques millions de personnes qui ont décidé de fuir l'Ukraine et qui auraient franchi la frontière polonaise au cours des premiers mois du conflit. Ils ont été accueillis par d'innombrables bénévoles. Pourquoi autant de personnes avaient décidé de participer à ce mouvement d'aide absolument impulsif? Comment expliquer la mobilisation des citoyens d'une ampleur sans précédent? Où ont-elles puisé la force nécessaire pour s'engager avec tant de générosité, tout au long des premiers mois, qui ont suivi l'invasion russe? Quel était ce caillou qui a déclenché l'avalanche; ce déclic lorsque on tourne la clé de contact dans la voiture; cette petite étincelle qui fut à l'origine de ce phénomène?

Le mot «élan», présent dès le début dans le discours public et qui est revenu très souvent dans les entretiens que nous évoquons et analysons dans ce livre, montre qu'il s'agissait tout d'abord d'un éveil brusque et soudain pour atteindre ensuite l'apogée des émotions, partagées rapidement par d'autres, comme si elles étaient devenues contagieuses.

Ce fut le début d'un phénomène que les sociologues aiment qualifier de «mouvement social», mouvement impliquant des centaines de milliers, voire des millions de personnes.

Nous avons essayé avant tout de documenter l'évolution de ce mouvement. Nous nous sommes efforcés ensuite de retrouver les gestes de solidarité et les traces de d'esprit de communauté, mobilisés par cette crise politique et militaire mais avant tout humanitaire. Nous avons cherché à décrire le civisme endormi au sein de la société polonaise, rarement visible dans la vie de tous les jours ou dans les nombreuses études statistiques.

Ce livre a été écrit dans le cadre du projet de recherche intitulé «Engagement – neutralité – hostilité: la société polonaise face à la crise des réfugiés et à la guerre russo-ukrainienne». Ce programme fut initié par l'Institut de Sociologie d'Edmund Wnuk-Lipiński du Collegium Civitas à Varsovie en réponse à l'agression de l'Ukraine par la Russie de Vladimir Poutine. Cette publication présente les résultats des recherches qualitatives, effectuées à l'aide des techniques de l'entretien individuel approfondi, de l'observation participante et de l'autoethnographie. Les travaux de recherche ont été menés de mars à septembre 2022. Le projet avait pour principal objectif d'appréhender les attitudes de la société polonaise à l'égard de la guerre et de la question des réfugiés venus d'Ukraine.

Le lecteur trouvera dans ce livre, de nombreux témoignages de nombreuses personnes (Polonaises et Polonais, Ukrainiennes et Ukrainiens, dont aussi ceux qui habitaient déjà depuis un certain temps en Pologne), qui ont tendu la main à celles et à ceux qui fuyaient les horreurs de la guerre. Ces personnes ont mis en branle une extraordinaire machine d'aide dont le modus operandi reposait sur une solidarité spontanée et civique et dont le principal moteur fut l'enthousiasme de gens de bonne volonté. Nous avons choisi d'appeler ces personnes les «aidants» et les «aidantes», voulant souligner qu'à cette époque, pour beaucoup d'entre eux, le fait d'apporter de l'aide

constituait une pratique identitaire centrale. L'engagement dans les différentes formes d'aide aux réfugiés a organisé le quotidien de ces personnes, marquant l'horizon de leur expérience, représentant ainsi la principale caractéristique par laquelle ils se définissaient eux-mêmes. On peut dire, que la vie de beaucoup de ces personnes, semblait être réduite à apporter de l'aide.

Dans notre présentation des recherches que nous avons réalisées, nous essayons de combiner l'analyse des expériences individuelles avec une analyse des processus de socialisation à travers les pratiques de l'aide. Nous avons recueilli les témoignages des personnes fortement engagées dans l'aide aux réfugiés. Certaines les ont invités dans leurs propres maisons et ont menés d'autres activités de volontariat. Grâce aux entretiens approfondis et «compréhensifs» et profitant de nos observations propres (souvent comme participants dans ce mouvement d'aide), nous avons été en mesure d'évoquer les images et expériences vécues tout autant que de décrire tout un éventail d'émotions et de valeurs qui ont guidé les deux parties du «contrat d'aide»: les aidants d'un côté et les réfugiés de l'autre. Par ailleurs, comme sociologues, nous devons aux lecteurs une réflexion plus théorique sur le processus d'aide en tant que phénomène social. Nos recherches avaient pour objectif de trouver un pont entre ce qui reste unique et personnel dans l'expérience d'aider et ce qui peut être considéré comme commun et intersubjectif dans toutes ces pratiques d'aide.

Dans les chapitres successifs de cette publication nous essayons de décrire les différentes étapes du processus d'aide analysé. Toute l'action avait commencé aux postes frontières et dans les gares, là où les émotions des Polonaises et des Polonais se sont heurtées à celles des réfugiés fuyants la guerre. L'aspect corporel de l'aide et les émotions qui, d'un côté, ont permis de souder les équipes de bénévoles et, de l'autre, ont permis de définir une zone de responsabilité des personnes «aidantes» (et que ceux-ci devaient gérer et continuellement retravailler) ont joué à ce stade un rôle crucial. Ensuite, nous avons

porté notre attention sur les coulisses: les lieux du travail sans contact direct avec les réfugiés, là où le soutien restait concentré sur la coordination de la logistique, de l'approvisionnement et des collectes diverses. Les choses se déroulaient ici à un rythme incroyable, et les échecs potentiels se voyaient amortis par les mécanismes de mise en réseau, moyen principal permettant d'atteindre les objectifs du back-office. Après, nous avons décrit plus en détail les centres d'accueil, territoire privilégié au sein duquel sont définis les mécanismes de contrôle de l'efficacité des actions entreprises. C'est l'aspect matériel de l'aide qui est ici mis en avant. Notre réflexion se concentre donc sur les éléments matériels: les petits objets qui incarnent les grandes valeurs comme la dignité ou la subjectivité. Après l'analyse du fonctionnement des centres d'accueil, qui forment comme une dernière zone où dominent toujours les relations de type impersonnel et occasionnel avec les réfugiés, nous passons à l'étape suivante: les foyer, organisés soit dans des refuges temporaires, soit dans les maisons et les appartements des «aidants». C'est sont des espaces intimes, où pour la première fois, des relations plus profondes et plus étroites avec les nouveaux venus, relations toujours basées sur des émotions et des valeurs partagées, peuvent lentement se construire. Dans le chapitre consacré à la présentation de cette étape, nous nous intéressons à la construction de la réciprocité, à l'hospitalité et à l'esprit familial, éléments qui apparaissent dans les relations entre les «aidants» et les familles des réfugiés. La dernière étape du processus de l'aide consiste à apprivoiser l'orbis exterior, c'est-à-dire à l'invention et la mise en pratique d'actions dont le but est d'aider les réfugiés à gérer leurs problèmes de la vie quotidienne, comme par exemple l'obtention d'une place dans une école maternelle, d'un numéro d'identification personnel (le PESEL polonais) ou d'un emploi (temporaire ou fixe). L'analyse de cette dernière étape du processus d'aide, dont l'objectif est de préparer le terrain permettant d'ouvrir de nouvelles perspectives aux réfugiés et à leurs familles de sorte à rendre possible leurs intégration dans un tout nouveau monde, a rendu

nécessaire l'interaction des chercheurs avec les représentants de diverses administrations et institutions, constituant ainsi un test pour les communautés locales.

Dans nos descriptions, l'aide analysée possède plusieurs dimensions. Tout d'abord, elle est située géographiquement: elle se déplace avec les réfugiés, elle est un processus dynamique et dépend de l'espace au sein duquel elle se déroule. Elle est différente dans les lieux de transit et toute autre dans les espaces privés ou domestiques, de même que dans les villes ou dans des communautés locales rurales. La deuxième dimension de l'aide que nous avons analysée, correspond aux émotions partagées par les bénévoles qui travaillent dans les différents espaces: à la frontière, dans les gares, dans le cadre du back-office, dans les centres d'accueil ou encore dans les appartements et maisons privées qui hébergent les familles de réfugiés.

Notre objectif était de décrire les univers sociaux propres aux émotions des «aidantes» et des «aidants» à chacune des étapes de ce «voyage émotionnel». La troisième dimension, correspond à l'aspect proprement matériel de l'aide (ce qui se traduit autant par le manque de produits de première nécessité que par l'excès d'articles et de dons pour les réfugiés recueillis à l'occasion de nombreuses collectes). Le phénomène de l'aide renvoie à des valeurs abstraites qui se concrétisent dans l'approche de l'espace physique tout autant que des objets matériels. La quatrième dimension, liée directement aux émotions et à la matérialité, comprend l'aspect corporel de l'aide. Les «aidants» et les «aidantes», présents et actifs dans les gares et les centres de tri ou de distribution étaient des personnes en chair et en os. Elles possédaient des corps et pouvaient ainsi ressentir de la fatigue ou de la lassitude, de même qu'elles ont pu percevoir de manière fort différente les espaces et les situations respectives. La cinquième dimension est une dimension proprement sociale qui renvoie à une sorte de relation unique qui s'est construite entre les «aidantes» et les «aidants» d'un côté et les réfugiés (qui sont devenus peu à peu et avec le temps «les nôtres» ou même des

proches), de l'autre. Les premières interactions de type passager vont être remplacées par des relations plus fortes et plus profondes. Le tournant décisif dans la pratique de l'aide correspond au moment où les réfugiés entrent sous le toit des personnes aidantes: l'accueil à domicile signifie un changement qualitatif dans la relation, ce qui distingue les étapes initiales du processus de l'aide «à l'extérieur» de celles qui vont suivre «chez soi».

Notre analyse des pratiques relatives à l'aide aux réfugiés d'Ukraine en Pologne débouche finalement sur une réflexion sur toutes ces actions comme mouvement social. La métaphore de l'inflammabilité, qui a été utilisée pour caractériser les réactions de la société polonaise souligne l'impétuosité, la véhémence, l'intensité et le caractère spectaculaire de ces réactions tout autant que les risques liés à une aide initiée et organisée par les citoyens.

Резюме

24 лютого 2022 року всюди з'являлися люди, які прагнули підставити плече біженцям з України. Охочі допомогти були в багатьох країнах: не лише в тих, що межують з Україною, яка зазнала нападу, а й далеко за межами Європи. Ми всі стали свідками глобального громадянського руху допомоги біженцям. Колективними суб'єктами (учасниками) цього руху були суспільства, які реагували на події набагато швидше, ніж самі політики. Саме поляки стали тим суспільством, яке найчастіше показувалося в засобах масової інформації як приклад надзвичайного пориву і солідарності з постраждалими у війні.

Звідки такий безпрецедентний рівень мобілізації серед пересічних людей? Звідки люди черпали сили, щоб так самовіддано діяти в перші місяці російського вторгнення? Чому так багато людей долучилося до допомоги? Який камінь викликав лавину, коли відбувся момент повороту ключа у замку запалювання, що запалило ту іскру, з якої і розпочалася допомога? Слово «порив», яке від самого початку було присутнє в публічному дискурсі, і також з'являється в розмовах, проаналізованих у цій книзі, показує, що спочатку мова йшла про раптове збудження, а вже потім про досягнення апогею емоцій, які могли переходити від однієї людини до іншої. Таким чином і виникає рух, який соціологи люблять називати «суспільним рухом», що охоплює сотні тисяч, навіть мільйони людей. Ми спробували задокументувати розвиток цього руху. Ми хотіли простежити жести солідарності та спільності, які були активізовані перед обличчям кризи, якою стала війна в Україні і викликана нею велика хвиля біженців. Ми спробували описати дрімаючу громадянську свідомість польського суспільства, яку рідко можна побачити в повсякденному житті або в статистиці.

Книга створена в рамках дослідницького проєкту під назвою «Прихильність – нейтралітет – ворожість: польське суспільство перед обличчям кризи біженців і російсько-української війни» та ініційована в Інституті соціології імені Едмунда Внук-Липинського Collegium Civitas у відповідь на агресію Росії проти України. У публікації подано результати якісного дослідження, проведеного за методиками

індивідуального глибинного інтерв'ю, учасника спостереження та автоетнографії. Дослідницька робота тривала з березня по вересень 2022 року. Метою проєкту було відобразити ставлення польського суспільства до війни та біженців з України.

У цій книжці читач знайде історії людей—польок і поляків, а також українок і українців, які роками живуть у Польщі — і які після російської агресії проти України в лютому 2022 року простягнули руку допомоги тим, хто тікав від війни, запустивши неймовірну машину допомоги, модусом якої стала спонтанна громадянська солідарність, а паливом—ентузіазм людей доброї волі. Ми назвали цих людей «помічниками» та «помічницями», бажаючи наголосити, що на той час допомога була для багатьох із них центральною практикою ідентичності — залучення до різних форм допомоги біженцям організовувало їхнє повсякденне життя, встановило горизонт досвіду та було головною ознакою, за якою вони себе характеризували. Можна сказати, що у той час допомога була їхнім життям.

У представленому тут дослідженні ми поєднуємо аналіз індивідуального досвіду з аналізом процесів соціалізації в практиках допомоги. Ми звернулися до розповідей людей, які брали активну участь у допомозі біженцям, запрошували їх до своїх домівок та займалися різноманітною волонтерською діяльністю. Завдяки особливому підходу до інтерв'ю, до якого ми ставилися з особливим розумінням, а також нашим власним спостереженням, отриманим під час участі в русі допомоги, ми можемо відтворити образи, досвід, переживання людей, а також пригадати образи, переживання та описати спектр емоцій і цінностей, якими керувалися обидві сторони «контракту про допомогу»—як ті, хто допомагав, так і біженці. З іншого боку, як соціологи, ми несемо обов'язок перед нашими читачами замислитися над процесом допомоги як соціальним явищем. Метою нашого дослідження було знайти місток як між унікальним і особистим у досвіді допомоги, так і загальним і інтерсуб'єктивним у практиках допомоги.

У наступних розділах книги ми описуємо різні етапи процесу надання допомоги. Дія починається на кордоні та вокзалах, де емоції, які відчують польські жінки і чоловіки після початку війни, стикаються з емоціями, які привозять із собою ті, хто тікає від війни. Ключову роль тут відіграє тілесність допомоги та емоції, які, з одного боку, об'єднують волонтерські команди, а з іншого—становлять зону відповідальності, якою повинні керувати і з якою

повинні працювати помічники та помічниці. Далі ми зазираємо в кулуари–місця, де переважають дії без прямого контакту з біженцями і де підтримка зосереджена на координації логістики, постачань і зборів. Тут все відбувається в запаморочливому темпі, і потенційні невдачі пом'якшують механізми мережевої взаємодії, які стають основним засобом досягнення цілей в кулуарах. Далі ми переходимо до опису пунктів прийому, які є територією генерації та перевірки причинно-наслідкових зв'язків. На цьому етапі на перший план виходить матеріальність допомоги, і тому міркування тут зосереджені на матеріальних речах–маленьких предметах, які втілюють великі цінності, такі як гідність і суб'єктність. З пунктів прийому, останньої сфери безособових, випадкових стосунків з біженцями, ми потрапляємо в дім, тимчасовий притулок–інтимний простір, який вперше дозволяє нам будувати глибші і ближчі стосунки з тими, хто приїхав, засновані на спільних емоціях і цінностях. У цьому розділі ми розглядаємо побудову взаємності, гостинності та родинних стосунків, які виникають між помічниками та сім'ями біженців. Останній етап допомоги включає в себе приборкання *orbis exterior*, тобто ті практики, які спрямовані на допомогу у вирішенні життєвих питань, таких як організація місця в дитячому садку, отримання номеру PESEL або пошук роботи. Заключний етап допомоги має на меті прокладання шляху для біженця та закріплення його в новому світі, який передбачає взаємодію з представниками інституцій, що у свою чергу є випробуванням для місцевих громад.

Допомога в наших описах має кілька вимірів. По-перше, вона географічно розташований – вона рухається разом з біженцями, це мобільний процес і залежить від простору, у якому вона відбувається. Це виглядає інакше в місцях транзиту, по-різному в приватних і домашніх просторах; у містах організована інакше, ніж у сільських місцевих громадах. Другим виміром допомоги, який ми проаналізували, є емоції, які переживають волонтери, які працюють у певних приміщеннях: кордон, вокзали, підсобні кімнати, пункти прийому, розміщення сімей біженців у їхніх квартирах і будинках, допомога новоприбулим у вирішенні формальних питань. Нашою метою було описати соціальні та емоційні світи жінок і чоловіків, які допомагають, на на послідовних етапах цієї емоційної подорожі. Третій вимір – це матеріальність допомоги, яка складається як з нестачі

предметів першої необхідності, так і з надлишку речей, зібраних для біженців під час зборів. Допомога—це абстрактна цінність, яка реалізується у підході до фізичного простору та матеріальних об'єктів. Четвертий вимір, пов'язаний з емоціями та матеріальністю, передбачає тілесність допомоги—на залізничних станціях, у пунктах видачі та прийому, у кімнатах сортування пожертв допомагали конкретні люди, які відчували втому, відчували простір і ситуації різними органами чуття. П'ятий вимір—соціальний, він включає тип стосунків помічників і помічниць з біженцями, які поступово стають «нашими», близькими. Початковий швидкоплинний взаємодії замінюють більш глибокі знайомства. Поворотним моментом у практиці допомоги є потрапляння біженців під дах, приймання яких означає якісну зміну стосунків, що відрізняє початкові етапи допомоги «зовні» від пізніших—«вдома».

Аналіз практик допомоги завершується роздумами про сплеск допомоги як суспільний рух. Метафора легкозаймистості, яка характеризує польське суспільство під час цього сплеску, вказує на бурхливість, інтенсивність і видовищність реакції і, водночас, на ризики, пов'язані з елементом низової допомоги.

Collegium Civitas jest wydawcą lub współwydawcą następujących publikacji:

Spojrzenia. Pałac Kultury i Nauki w socjologicznym kalejdoskopie, (red.) Anna Wyka, Katarzyna Iwińska, Warszawa 2005: Collegium Civitas

O życiu publicznym, kulturze i innych sprawach, (red.) Bogdan W. Mach, Edmund Wnuk-Lipiński, Warszawa 2007: Collegium Civitas / Instytut Studiów Politycznych PAN

Jadwiga Koralewicz, *Autorytaryzm, lęk, konformizm*, wyd. 2 zmienione, Warszawa 2008: Wydawnictwo Naukowe „Scholar” / Collegium Civitas

Gra w przywództwo. Jak zdobyć i utrzymać władzę?, (red.) Bohdan Szklarski, Warszawa 2008: Centrum Kreowania Liderów / Collegium Civitas

Lider, manager, oportunist – współczesne koncepcje przywództwa, (red.) Krzysztof Kasianiuk, Warszawa 2008: Centrum Kreowania Liderów / Collegium Civitas

Pamięć zbiorowa jako czynnik integracji i źródło konfliktów, (red.) Andrzej Szpociński, Warszawa 2009: ISP PAN / Wydawnictwo Naukowe „Scholar” / Collegium Civitas

Konsultacje społeczne wokół inwestycji infrastrukturalnych, (red.) Katarzyna Iwińska, Warszawa 2010: Collegium Civitas / Klub Myśli Społecznej Inicjatywy

Profesjonalny menedżer w NGO, (red.) Katarzyna Iwińska, Warszawa 2010: Collegium Civitas / Klub Myśli Społecznej Inicjatywy

„Po co pamiętać razem?” Praktyki pamięci a kultura obywatelska kobiet w gminie Stare Juchy i powiecie etckim, (red.) Barbara Markowska, Warszawa 2010: Collegium Civitas

Profesjonalny menedżer w NGO, cz. 2, (red.) Katarzyna Iwińska, Anna Radiukiewicz, Warszawa 2011: Klub Myśli Społecznej „Inicjatywy” / Collegium Civitas

Profesjonalny menedżer w NGO. Wydanie drugie poprawione, (red.) Katarzyna Iwińska, Warszawa 2012: Klub Myśli Społecznej „Inicjatywy” / Collegium Civitas

Można, (red.) Jadwiga Koralewicz, we współpracy z Kariną Wielomską, Piotrem Komorowskim, Warszawa 2012: Collegium Civitas

Piotr Siuda, Radosław Bomba, Magdalena Kamińska, Grzegorz D. Stunża, Marek Troszyński, Tomasz Żaglewski, *Prosumpcjonizm pop-przemysłów. Analiza polskich przedsiębiorstw z branży rozrywkowej*, Warszawa 2013: Fundacja „Wiedza Lokalna” / Collegium Civitas

Xymena Bukowska, Marcin Jewdokimow, Barbara Markowska, Paweł Winiarski, *Kapitał kulturowy w działaniu. Studium światów społecznych Białowieży*, Warszawa 2013: Collegium Civitas / ISP PAN / Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Przeszłość w dyskursie publicznym, (red.) Andrzej Szpociński, Warszawa 2013: Instytut Studiów Politycznych PAN / Wydawnictwo Naukowe „Scholar” / Collegium Civitas Press

Teresa Rakowska-Harmstone, *Reluctant Clones. Moscow and the “Socialist Commonwealth”*, Warszawa 2014: Collegium Civitas / IPN

Nieodkryty wymiar III sektora. Wprowadzenie do badań nad nowym społecznikiem, (red.) Stanisław Mocek, Warszawa 2014: Collegium Civitas / Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej CAL

The Visegrad Countries in Crisis, (red.) Jan Pakulski, Warsaw 2016: Collegium Civitas

Efekt motyla. Scenariusze rozwoju sektora społecznościowego w Polsce, (red.) Rafał Krenz, Stanisław Mocek, Bohdan Skrzypczak, Warszawa 2015: Collegium Civitas / Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej CAL

Dominik Smyrgała, Leszek Jesień, Łukasz Kister, Marcin Koniak, Łukasz Tolak, *PKP Energetyka po prywatyzacji – bezpieczeństwo dostaw energii i przewozów kolejowych*, Warszawa 2016: FIBRE / Collegium Civitas

Marcin Gajek, *W stronę republikańskiego liberalizmu. Kategoria cnót liberalnych we współczesnej amerykańskiej myśli politycznej*, Warszawa 2016: Ośrodek Myśli Politycznej / Collegium Civitas

WISE Handbook, (eds.) Katarzyna Iwińska, Michael Jones, Magdalena Kraszewska, Athens – Brno – Porto – Uppsala – Warsaw 2017: Collegium Civitas

Magdalena El Ghamari, *Cool Jihad*, Warszawa 2018: Wydawnictwo „Difin” / Collegium Civitas

Tomasz Płudowski, *American Political Issue Ownership and Framing. A Functional Theory of Electoral Advantage-Seeking in Presidential Advertising from Eisenhower to Trump*, Warsaw 2018: Collegium Civitas / ASPRA-JR

Joanna Konieczna-Sałamatin, Tomasz Stryjek, Natalia Otrishchenko, *Wydarzenia. Ludzie. Historia. Raport z badań sondażowych o pamięci współczesnych Polaków i Ukraińców*, Warszawa 2018: Collegium Civitas / Instytut Studiów Politycznych PAN

Йоанна Конечна-Саламатін, Наталія Отрищенко, Томаш Стрик, *Історія. Люди. Події. Звіт про дослідження про пам'ять сучасних поляків та українців*, Warszawa 2018: Collegium Civitas

Joanna Konieczna-Sałamatin, Tomasz Stryjek, Natalia Otrishchenko, *History. People. Events. Research report on the memory of contemporary Poles and Ukrainians*, Warsaw 2018: Collegium Civitas

Security and Society in the Information Age, (eds.) Katarzyna Maniszewska, Paulina Piasecka), Warsaw 2019: Collegium Civitas

Maria Kostyszak, *Etyka osobista. O przemieniającym potencjale sztuki i techniki / Personal Ethics On the Transforming Potential of Art and Technology*, Warszawa 2019: Collegium Civitas

Paweł T. Dobrowolski, *Magik, historyczka, podróżnik: trzy oblicza XVIII wieku*, Warszawa 2020: Collegium Civitas

Paweł Ruszkowski, Andrzej Przestalski, Paweł Maranowski, *Polaryzacja światopoglądowa społeczeństwa polskiego a klasy i warstwy społeczne*, Warszawa 2020: Collegium Civitas

Security and Society in the Information Age Vol. 2, (eds.) Katarzyna Maniszewska, Paulina Pias-ecka), Warsaw 2020: Collegium Civitas

Ewa Nowicka, Ayur Zhanaev, *Po obu stronach Ononu. Buriaci na pograniczu rosyjsko-mongolskim*, Warszawa 2020: Collegium Civitas

Krzysztof Kasianiuk, *Modelowanie percepcji transformacji politycznej. Podejście systemowe*, Warszawa 2021: Collegium Civitas

Paweł Kuczyński, *Niepowtarzalna kultura organizacyjna. Szkice z socjologii subiektywnej*, Warszawa 2021: Collegium Civitas

Security and Society in the Information Age Vol. 3, (eds.) Katarzyna Maniszewska, Paulina Pias-ecka), Warsaw 2021: Collegium Civitas

Roland Zarzycki, *Etyka codzienności – czy można być dobrym po prostu? Społeczno-polityczna analiza moralności jako towaru, oręża i dystynkcji*, Warszawa 2021: Collegium Civitas

Ewa Nowicka, Sławomir Łodziński, *Długie trwanie narodu. Społeczne wymiary polskości (1988-2021)*, Warszawa 2021: Collegium Civitas

Marta Sałkowska, Magdalena Kocajko, Magda Szarota, Angelika Greniuk, *Lista (nie)obecności. Niepełnosprawność w podręcznikach szkolnych*, Warszawa 2021: Collegium Civitas

Security and Society in the Information Age Vol. 4, (eds.) Katarzyna Maniszewska, Paulina Pias-ecka), Warsaw 2022: Collegium Civitas

Ewa Nowicka, Sławomir Łodziński, *The Nation's Longue Durée: Social Dimensions of Polishness (1988-2021)*, Warsaw 2022: Collegium Civitas

International Security Studies. Graduate research projects, (eds.) Paulina Piasecka, Katarzyna Maniszewska, Warsaw 2022: Collegium Civitas

Warto. Opowieść o Collegium Civitas, (wybór i opracowanie wypowiedzi) Stanisław Mocek, Warszawa 2022: Collegium Civitas

Security and Society in the Information Age Vol. 5, (eds.) Katarzyna Maniszewska, Paulina Pias-ecka, Vanessa Tinker, Warsaw 2023: Collegium Civitas

The Virus of Radicalization, (ed.) Paweł Kuczyński, Warsaw 2023: Collegium Civitas

Regeneracja! Społeczeństwo, (red. nauk.) Stanisław Mocek, Warszawa 2023: Collegium Civitas

Katarzyna Kalinowska, Paweł Kuczyński, Izabella Bukraba-Rylska, Katarzyna Krakowska, Marta Sałkowska *Społeczeństwo łatwopalne. Praktyki pomagania uchodźcom wojennym z Ukrainy w roku 2022 w Polsce*, Warszawa 2023: Collegium Civitas

Seria wydawnicza **Zeszyty Naukowe Collegium Civitas**

- Zeszyt nr 1:** *Intelektualiści a komunizm i inne eseje*, (red.) Andrzej Paczkowski, 2002
- Zeszyt nr 2:** *Płońsk w socjologicznym kalejdoskopie. Raporty z badań studenckich*, 2002
- Zeszyt nr 3:** *Świat instytucji i organizacji społecznych*, (red.) Włodzimierz Pańków, 2002
- Zeszyt nr 4:** *Panorama ruchów społecznych w Polsce*, (red.) Marcin Frybes, Paweł Kuczyński, 2002
- Zeszyt nr 5:** *Kaszuby: Prawdy i mity. Raporty z badań studenckich*, 2004
- Zeszyt nr 6:** *Być cudzoziemcem w Polsce*, (red.) Hanna Malewska-Peyre, 2004
- Zeszyt nr 7:** *Lobbing w praktyce: doświadczenia polskie*, (red.) Małgorzata Molęda-Zdziech, 2004
- Zeszyt nr 8:** *Polacy XXI wieku. Nowe style życia*, (red.) Stanisław Mocek, 2005
- Zeszyt nr 9:** *Bezpieczeństwo międzynarodowe po zakończeniu „zimnej wojny”*, (red.) Jacek Czaputowicz, 2005
- Zeszyt nr 10:** *Europejskie prawo gospodarcze. Nowe tendencje*, (red.) Aleksander Gubrynowicz, 2006
- Zeszyt nr 11:** *Lobbing w praktyce: doświadczenia polskie, wydanie drugie poprawione i rozszerzone*, (red.) Małgorzata Molęda-Zdziech, 2006
- Zeszyt nr 12:** *Europejskie prawo gospodarcze. Nowe tendencje – część 2*, (red.) Aleksander Gubrynowicz, 2008
- Zeszyt nr 13:** *Płeć współczesnej kultury*, (red.) Marta Zimniak-Hałajko, 2008
- Zeszyt nr 14:** *Antropologia wizualna*, (red.) Joanna Tokarska-Bakir, 2008
- Zeszyt nr 15:** *Polacy XXI wieku. Nowe ruchy religijne*, (red.) Marta Zimniak-Hałajko, 2009
- Zeszyt nr 16:** Joanna Aleksandra Janas, *Funkcjonowanie swobody przepływu kapitału i jej miejsce na rynku wewnętrznym Unii Europejskiej*, 2009

- Zeszyt nr 17:** *Polacy XXI wieku. Praca Polaków w kulturze współczesnego kapitalizmu*, (red.) Marta Zimniak-Hałąjko, 2011
- Zeszyt nr 18:** *Patologie życia społecznego*, (red.) Jadwiga Koralewicz, 2011
- Zeszyt nr 19:** *Surowce energetyczne w polityce wielkich mocarstw*, (red.) Dominik Smyrgała, 2011
- Zeszyt nr 20:** *„Wartością społeczeństwa są ludzie” – raporty ze studenckich badań terenowych w gminach śląskich*, (red.) Katarzyna Iwińska, Anna Radiukiewicz, 2012
- Zeszyt nr 21:** *Mediatyzacja – analiza zjawiska i wybranych studiów przypadków*, (red.) Małgorzata Molęda-Zdziech, 2012
- Zeszyt nr 22:** *Wokół niepodległości Kosowa: historia i pierwsze reakcje*, (red.) Dominik Smyrgała, 2012
- Zeszyt nr 23:** *Wojna o pokój trwa...*, (red.) Dominik Smyrgała, 2014
- Zeszyt nr 24:** *Democracy and Human Rights in East Asia and Beyond – Critical Essays*, (ed.) Marta Kosmala-Kozłowska, 2015

Seria wydawnicza **Studia i Analizy Collegium Civitas**

- Vol. 1.** *Cóż po antropologii? Prace Katedry Antropologii Kulturowej Collegium Civitas*, (red.) Joanna Tokarska-Bakir, 2006
- Vol. 2.** *5 lat Karty Praw Podstawowych UE*, (red.) Aleksander Gubrynowicz, 2006
- Vol. 3.** *EURO 2012. Mistrzostwa Europy w cieniu terroryzmu*, (red.) Krzysztof Liedel, 2007
- Vol. 4.** *Umowy zawarte przez Wspólnoty Europejskie w orzecznictwie sądowym państw członkowskich*, (red.) Aleksander Gubrynowicz, 2008
- Vol. 5.** *Kuba Jałoszyński, Janusz Skosolas, Media wobec współczesnego zagrożenia terroryzmem*, 2008
- Vol. 6.** *Rola mediów w przeciwdziałaniu terroryzmowi*, (red.) Krzysztof Liedel, Paulina Piasecka, 2009
- Vol. 7.** *Nowe technologie w zwalczaniu terroryzmu. Projekt PROTEUS*, (red.) Kuba Jałoszyński, Krzysztof Liedel, 2009
- Vol. 8.** *Kształtowanie się nowej europejskiej polityki wschodniej – ocena Partnerstwa Wschodniego*, (red.) Kerry Longhurst, 2009
- Vol. 9.** *Foring a new European Ostpolitik – An Assessment of the Eastern Partnership*, (ed.) Kerry Longhurst, 2009

- Vol. 10.** *Autorytaryzmy iberyjskie – Hiszpania Franco i Portugalia Salazara*, (red.) Bohdan Szklarski, Maciej Sęcki, 2010
- Vol. 11.** *Polska racja stanu*, (red.) Szymon Hatłas, 2010
- Vol. 12.** *Latynoameryka u progu trzeciego stulecia niepodległości: przywództwo, idee i systemy polityczne*, (red.) Piotr Łaciński, 2011
- Vol. 13.** Dominik Smyrgała, *Latynoamerykańska teologia wyzwolenia – wiara, rewolucja pasywna, nacjonalizm antykolonialny*, 2014
- Vol. 14.** *Między regionalnymi rynkami energii a technologią – przyszłość sektora energetycznego w Polsce*, (red.) Dominik Smyrgała, 2016
- Vol. 15.** *The Visegrad Countries in Crisis*, (red.) Jan Pakulski, 2016
- Vol. 16.** *Post-Communist Development: Europe's Experiences, Asia's Challenges*, (red.) Andrzej Bolesta, 2017
- Vol. 17.** *Śląsk kobiet: tradycja, aktywność i ekologia*, (red.) Xymena Bukowska, Katarzyna Iwińska, 2018
- Vol. 18.** Maria Cole, *Paradoks płci. Wyższe wykształcenie kobiet w Stanach Zjednoczonych i w Polsce*, 2018
- Vol. 19.** Agnieszka Nitza-Makowska, *Różnice demokracji: Indie i Pakistan*, 2018
- Vol. 20.** Paweł Maranowski, *Elita sądownictwa w III RP na początku procesu przemian i destabilizacji*, 2022

Seria wydawnicza **Studia i Analizy Historyczne Collegium Civitas**

- Vol. 1.** Eugeniusz Cezary Król, *Polska kultura 1956*, 2007
- Vol. 2.** *Rzeczpospolita wielokulturowa – dobrodziejstwo czy obciążenie?*, (red.) Jerzy Kłoczowski, 2009
- Vol. 3.** Piotr Toczyski, *Jak mit jednoczy Europę? Analiza arturiańskich elementów kultury symbolicznej jako czynników spajających współczesną Europę*, 2013
- Vol. 4.** Kamil Popowicz, *Madame de Staël*, 2013
- Vol. 5.** Paweł T. Dobrowolski, *(P)oszukiwanie tożsamości: cztery studia o angielskim Oświeceniu*, 2015

Seria wydawnicza **Studia i Analizy Dyplomacji Kulturalnej i Publicznej Collegium Civitas i Instytutu Adama Mickiewicza**

Vol. 1. *Promocja Polski w świecie: kultura – dyplomacja – marka narodowa*, 2010

Vol. 2. *Wymiana i konkurencja. Środowisko i formy promocji Polski w świecie*, 2011

Seria wydawnicza **Zeszyty Gospodarki Społecznej**

Vol. 1. *Z teorii i praktyki gospodarki społecznej*, (red.) Ewa Leś, Małgorzata Ołdak, 2006

Vol. 2. *Przedsiębiorstwo społeczne w rozwoju lokalnym*, (red.) Ewa Leś, Małgorzata Ołdak, 2007

Vol. 3. *Nowa gospodarka społeczna w rozwoju regionalnym i lokalnym*, (red.) Ewa Leś, Małgorzata Ołdak, 2008

Collegium Civitas jest również wydawcą i współwydawcą czasopism naukowych

Uczelnia jest wydawcą rocznika naukowego „**Zoon Politikon**”. Pismo to ma charakter interdyscyplinarny, wynikający z wielości doświadczeń i odmienności dyscyplin oraz różnych sposobów myślenia o sprawach zbiorowości i wspólnot w ponowoczesnym świecie. Autorzy tekstów publikowanych w tym czasopiśmie za swoje artykuły otrzymują 40 punktów MEiN. Rocznik dostępny jest na stronie internetowej o adresie: <http://www.ejournals.eu/Zoon-Politikon/>.

W ramach Centrum Badań Społeczności i Polityk Lokalnych od roku 2010 Collegium Civitas wydaje zeszyty „**Animacja Życia Publicznego**”.

Od roku 2015 uczelnia publikuje rocznik „**Energetyka – Społeczeństwo – Polityka**”, dostępny w wersji elektronicznej na stronie internetowej <http://www.ejournals.eu/ESP/> oraz na stronie <https://www.civitas.edu.pl/pl/nauka-i-rozwoj/energetyka-spoleczenstwo-polityka-czasopismo>.

Treść książki, oparta na naukowym badaniu, prezentuje się jako świetna, poruszająca lektura. Aktualność problematyki i sposób ujęcia przez autorów badania i opracowania dodatkowo – według mnie – sprzyja możliwemu powodzeniu czytelniczemu publikacji. Wyrażam podziw dla badaczy i autorów książki za tak sprawne i tak sięgające do serca i umysłu czytelników dzieło.

prof. dr hab. **Ireneusz Krzemiński**

Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

Książka jest oryginalnym dziełem naukowym, odnoszącym się do aktualnego i ważnego problemu – uchodźstwa wojennego i reakcji społeczeństwa polskiego postawionego w obliczu nagłej, masowej ucieczki Ukraińek i Ukraińców do Polski i przez Polskę. Publikacja nie jest jednak zbiorem przyczynkowych badań czy danych o charakterze socjograficznym; próbuje zrozumieć fenomen żywiołowego obywatelskiego pomagania, a nie tylko referuje akty pomocy.

dr hab. **Mariola Raclaw**

Instytut Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego

!Collegium Civitas

www.civitas.edu.pl